

Kathleen Kent

Córka heretyczki

Książkę tę dedykuję Mitchellowi i Joshui
oraz moim rodzicom, Johnowi i Audrey, którzy mi
opowiedzieli tę historię

W 1630 roku gubernator Massachusetts Bay Colony, Winthrop, przywiódł niewielką grupę kobiet i mężczyzn ze Starej Anglii do Nowej. Owi purytanie jak ich nazywano, stawiając czoła wojnie, zarazie i poczynaniom szatana, założyli w kolonii niewielką wioskę, Salem. Jedna kobieta wraz z rodziną sprzeciwiła się religijnej tyranii, za co została uwięziona, torturowana i stracona. Jej aroganckie i oburzające słowa spisał Cotton Mather, określając ją mianem „Królowej Piekieł”. Nazywała się Martha Carrier.

List z Colchesteru, Connecticut, 17 listopada 1752 roku
Do PANI JOHNOWEJ WAKEFIELD New London,
Connecticut

Droga Lydio,

Właśnie dotarły do mnie wieści o Twoim zamążpójściu i dziękuję Bogu, że dał Ci męża, który jest Ciebie wart i który posiada środki, by rozpocząć godne i dostatnie życie rodzinne. Nie muszę Ci mówić, najdroższa moja, że zawsze, jako Twoja babka, darzyłam Cię wielką miłością.

Wiele miesięcy upłynęło, odkąd widziałam Cię po raz ostatni, i marzę, by móc usiąść i wraz z Tobą dzielić Twą radość. Z powodu nękających mnie słabości zbyt długo nie widziałam tych, których kocham, mam jednak nadzieję, że wkrótce zdołam wyruszyć w podróż, by Was zobaczyć. Wiem, że jesteś już dorosłą kobietą, dla mnie jednak wciąż pozostajesz dwunastoletnią dziewczuszką, świeżą i pełną życia, która przybyła do mnie, by umilić mi trudy ziemskiego bytowania. Twoja obecność zawsze przynosiła aromat zieleni, która przepędzała aurę rozkładu obecną w moim domu. Modlę się, by przed śmiercią dane mi było ujrzeć Cię raz jeszcze, czuję jednak, że niewiele mi już czasu zostało, dlatego nadeszła pora, byś otrzymała dar cenniejszy od talerzy i misek. Dam Ci skarb obejmujący pokolenia i łączący oceany tego świata ze starym.

Dzisiaj przypadają moje urodziny i z Bożej łaski ukończyłam siedemdziesiąty pierwszy rok życia. To zadziwiająco wiele, nawet jak na ten wiek cudów i, ośmielę się stwierdzić, magicznych zdarzeń.

Jak Ci zapewne wiadomo, mądrzejsze od naszych umysły zdecydowały, że we wrześniu tego roku musimy wyrzucić z naszego kalendarza jedenaście dni. Powód tego jest dla mnie nieznan. Wiem jedynie, że położyłam się spać w środę,

drugiego dnia września roku Pańskiego 1752, a obudziłam w czwartek, 14 września tegoż samego roku.

Nazywają to nowym wyliczeniem kalendarza gregoriańskiego. Kalendarz juliański został zarzucony. Lecz czas był liczony tak samo, tak mi się przynajmniej wydaje, od dnia narodzin dobrego Chrystusa. Gdzie niby ma się podziąć te jedenaście dni? Jako że wciąż jesteś młoda, podobne rzeczy mogą Ci się wydawać naturalne. Ja jednak wciąż pamiętam przeszłość i takie zdarzenia mnie przerażają. Żyję wystarczająco długo, by wspominać czasy, gdy tego rodzaju postępowanie zostałyby uznane za magię i czarnoksiężstwo i spotkałoby się ze straszliwym osądem ojców miasta jako niestosowanie się do zakazów Boga.

W ten sposób dotarłam do sedna mego listu. Dorastając, musiałaś słyszeć przekazywane sobie szeptem pogłoski o wiosce Salem, o mnie i moich rodzicach. Obdarzając mnie jednak miłością, nigdy nie zapytałaś o straszliwe zdarzenia z mojej młodości. Nawet dzisiaj słowo „Salem” sprawia, że mężczyźni i kobiety bledną ze strachu. Czy wiesz, że nie dalej jak kilka miesięcy temu rada hrabstwa Essen w Massachusetts przegłosowała zmianę nazwy miejscowości na Danvers? Zrobiono to w sekrecie. Ja jednak jestem przekonana, że pamięć o procesach czarownic z Salem przeżyje tych nielicznych, którzy jeszcze mogą dać im świadectwo.

Bóg jeden wie, że zmiana nazwy jakiegoś miejsca nie zmienia jego historii. Te zdarzenia zbyt długo żyły niczym pajak w mojej piersi. Pajaki tkają i tkają swoją sieć, łapią w nią wspomnienia, odbierając wszelakie szczęście. Mam nadzieję, że tym listem zmyję przerażenie i smutek, z Bożej łaski odzyskując na powrót czystość serca. Oto prawdziwe znaczenie słowa „purytański”.

Obawiam się, że w dzisiejszych czasach stało się ono niemodne. Przywodzi na myśl staroświeckich ludzi, pełnych

przesądów i zacofanych. Purytanie wierzyli, że łączy ich przymierze z Bogiem, że On wyznaczył ich do zbudowania fortecy w dziczy i przemienienia jej w święte miejsce. Tam, w owych odległych zakątkach, mieli pilnować, aby sprawy tego świata toczyły się w zgodzie z boskim planem.

Dziś mogę powiedzieć: cóż za arogancja. Ojcowie miasta wierzyli, że są świętymi, predestynowanymi przez Wszechmogącego do rządzenia naszymi siołami, kierując się surową sprawiedliwością i uświęconym celem. Ów uświęcony cel przetoczył się niczym jesienny pożar i potężnie nadwątlił Salem oraz okoliczne miejscowości, rozbijając niezliczone rodziny, odbierając rozum, niszcząc zaufanie i dobrą wolę wśród sąsiadów, całych rodzin, podając w wątpliwość nawet naszą wiarę w Boga. Towarzyszyły temu chciwość, ospa wietrzna i nieustanne ataki Indian. To były straszne czasy, gdy dobroć, łaska i zwykły zdrowy rozsądek padły ofiarą wybuchu fanatyzmu, pokrywając tych, którzy przeżyli, gorzkim pyłem żalu i poczucia winy.

Purytańska wiara każde wydarzenie, obalone drzewo, chorobę, zwykłą kurzajkę, zamieniała w ostrzeżenie, osąd Odwiecznego Ojca. Byliśmy jak dzieci drżące ze strachu przed światem, który został nam dany. I właśnie owe dziecinne lęki, samolubstwo i oszczerstwa zmiotły z powierzchni całe wsie. Na własne oczy widziałam, Boga biorę na świadka, niejedno dziecko wiodące na szafot własnego ojca czy matkę. „Czcij ojca swego i matkę swoją” - mówi przykazanie. W tamtym czarnym roku 1692 z całą pewnością poszło ono w zapomnienie, a wiele innych było łamanych, pękało jak piaskowiec ciśnięty o twardą skałę. Mówię Ci o tym, byś zrozumiała, czym się kierował purytański umysł, a także byś była przygotowana na to, co zawiera moja przesyłka.

Poznasz moją historię, której skrawki docierały zapewne do Ciebie od najwcześniejszego dzieciństwa. To istny cud boski, że pokochałaś mnie tak mocno, podczas gdy inni odwrócili się ode mnie. Być może było to też zadośćuczynieniem za wszystko, co przyszło mi stracić. Moje życie przypomina bajkę opowiadaną przed snem niegrzecznemu dziecku, by przymusić je do posłuszeństwa; prawdziwy koszmar. Ale, moje drogie dziecko, nie jest to koszmar powtarzany dla zabawy przy palenisku, lecz utkany z krwi, kości i łez Twojej własnej rodziny. Zebrałam moje wspomnienia o udziale, jaki mi przypadł w wydarzeniach dotyczących procesów czarownic w Salem, i Bóg mi świadkiem, uczyniłam to najwierniej, jak potrafiłam. Modłę się, abyś dzięki tym zapiskom zrozumiała i wybaczyła mi moje uczynki.

Zimowe wiatry nadeszły wcześniej i wieją niestrudzenie od tygodni. Czy pamiętasz ten wielki dąb, który rósł przy domu? Jest bardzo stary i stracił wiele konarów, ale pień ma mocny i zdrowy, a korzenie długie. Przez wiele lat nie znosiłam widoku dębu. Nie mogę jednak winić drzewa, że ktoś na nim zawisł, tak jak nie mogę winić oceanu, że ktoś w nim utonął. Gdy to przeczytasz, zrozumiesz, o co mi chodzi. Modłę się, abyś przyrównała swoją rodzinę do tego bezbronnego drzewa, w którego konarach możesz znaleźć schronienie, a także o łączność pomiędzy ziemią a niebem, do którego, miejmy nadzieję, kiedyś trafimy, by się połączyć z Bogiem i sobą nawzajem.

Powierzam Cię Bożej łasce.

Twoja zawsze kochająca babka,

Sara Carrier Chapman

Ach, dziatki, lękajcie się kłaść do snu bez modlitwy,
albowiem przy waszym posłaniu może się czaić szatan.

COTTON MATHER,

z kazania podczas mszy żałobnej

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Massachusetts, grudzień 1690

JADĄC WOZEM z Billeriki do sąsiedniego Andover, trzeba pokonać dziewięć mil. Dla mnie to było coś więcej niż wyjazd z jedyne go domu, jaki dotąd znałam. Był to koniec przejścia z gęstej mgły niemowlęstwa do wyraźnych wspomnień dzieciństwa. Tamtego grudniowego dnia miałam dziewięć lat i cała moja rodzina wracała, by zamieszkać w domu babki, w którym moja matka przyszła na świat. Jechaliśmy w szóstkę, ściśnięci w otwartym wozie wiozącym matkę i ojca, dwóch starszych braci, mnie i Hanne, zaledwie dzidziusia. Mieliśmy ze sobą wszystko, co do nas należało. Wieźliśmy też, co prawda nie mając o tym pojęcia, ospę wietrzną.

Zaraza przetoczyła się przez osady hrabstwa Middlesex. Śmierć podążała za nami przez Blanchard's Plain. Bliski sąsiad, John Dunkin z Billeriki, zmarł w ciągu tygodnia, zostawiając wdowę z siódmką dzieci. Wieść o tym przyniósł inny sąsiad, i zanim jeszcze drzwi zdążyły się zamknąć za posłańcem, matka zaczęła się pakować. Myśleliśmy, że tym razem uda się nam wyprzedzić ospę. Mój ojciec wciąż z goryczą wspominał, jak wiele lat wcześniej został oskarżony o sprowadzenie jej do Billeriki. Zawsze mówił, że to dlatego, iż był Walijczykiem i obcym w mieście, mimo że spędził w nim tak wiele lat. Jednakże zaraza wlokła się za nami niczym parszywy pies. Jej pierwszą ofiarą miał paść mój starszy brat Andrew. Miał w sobie ziarno choroby, a ta rozniosła się po nowym miejscu naszego zamieszkania.

Zima trwała w najlepsze, a chłód był tak przejmujący, że płyny wyciekające z naszych łzawiących oczu i nosów zamarzały, tworząc na policzkach koronkowy wzór. Założyliśmy na siebie wszystko, co mieliśmy do ubrania, i siedzieliśmy przytuleni w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Szorstkie deski wozu pokrywała słoma - razem z braćmi

opatuliliśmy się w nią najlepiej jak się dało. Niemłody już wałach z trudem ciągnął swój ciężar. Jego oddech tworzył w powietrzu wielkie obłoki pary. Zwierzę było porośnięte gęstą sierścią jak jakiś niedźwiedź, a z brzucha zwisał mu las lodowych sopli. Mój najstarszy brat, Richard, nie towarzyszył nam. Jako niemal szesnastoletni mężczyzna został wysłany przodem, by pomóc w przygotowaniach domu na nasz przyjazd. Wiózł niezbędne zapasy na jedynym wole, jaki nam jeszcze pozostał.

Ojciec i matka jechali na przedzie wozu w milczeniu, jak to mieli w zwyczaju. W naszej obecności odzywali się do siebie rzadko, mówili wyłącznie o wagach, miarach i czasie odmierzonym porami roku. Rozmawiali językiem pól i domu. Ojciec często zdawał się na matkę, co się wydawało dziwne, jako że znacznie przewyższał ją wzrostem. Prawdę mówiąc, przewyższał wzrostem wszystkich. Mówiono, że miał ponad dwa metry, ale mnie, małej dziewczynce wydawało się, że głową sięga chmur, a jego twarz wiecznie skrywa cień. Kiedy się ożenił z moją matką, miał czterdzieści osiem lat i dla mnie zawsze był starcem, mimo że trzymał się prosto i poruszał dziarsko. Jak głosiła plotka, jeszcze jako młodzieniec Thomas Carrier przybył z Anglii, uciekając stamtąd przed jakimiś kłopotami. Ponieważ nigdy nie mówił o swoim życiu sprzed małżeństwa, a po prawdzie prawie w ogóle nie odzywał się na żaden temat, nie wiedziałam o nim nic z czasów, zanim został farmerem w Billerice.

Tylko o dwóch rzeczach z jego przeszłości wiedziałam na pewno. Po pierwsze, w czasie wojen domowych w Starej Anglii był żołnierzem. Miał starą zniszczoną kurtkę, której czerwona barwa tak wypłowiała, że teraz miała rdzawy odcień. Przywiózł ją ze sobą z Londynu. Jeden rękaw był rozdarty, jakby przecięty czymś ostrym, i Richard powiedział mi, że gdyby nie gruba wyściółka, ojciec z całą pewnością

straciłby rękę. Gdy próbowałam wydobyć z niego, jak i gdzie ojciec walczył, mój brat odparł:

- Och, jesteś tylko dziewczynką i nic ci do męskich spraw.

Poza tym wiedziałam, że ludzie bali się mojego ojca. Często za jego plecami potajemnie robili pewien szczególny gest. Przesuwali kciukiem po szyi, jakby chcieli odciąć sobie głowę. Ale nawet jeśli ojciec kiedykolwiek zauważył te znaki, nie dał po sobie niczego poznać.

Moja matka, Martha z domu Allen, siedziała obok niego, trzymając niedbale, niby jakąś paczkę, za ledwie roczną Hannę, opatuloną w bezkształtny tłumoczek. Pamiętam, jak z dziecięcą fascynacją wpatrywałam się w siostrę, zastanawiając się, kiedy spadnie z wozu. Przed laty straciliśmy moją małą siostrzyczkę Jane i myślę, że brak łączącej mnie z Hanną bliższej więzi wynikał z lęku, iż ona także umrze. Dzieci tak często umierały przed pierwszym rokiem życia, że wiele rodzin nie nadawało im imienia, póki nie skończyły dwunastu miesięcy i nie wzrastała szansa, że przeżyją. Jeśli dziecko umierało, rodzice często nadawali jego imię kolejnemu. I następnemu, jeśli tamto także umarło.

Niejednokrotnie podejrzewałam, że matka nie darzy głębszym uczuciem żadnego z nas. Byliśmy od siebie tak różni, jak to tylko możliwe. Richard bardzo przypominał ojca: wysoki, milczący i nieprzenikniony jak skały w Boston Bay. Andrew, drugi w kolejności, jako dziecko był słodki i radośnie skory do pracy, jednakże w miarę jak dorastał, stawał się coraz bardziej powolny i matka często traciła do niego cierpliwość. Tom, trzeci syn, najbliższy mi wiekiem i najbardziej przeze mnie ukochany, był szybki i bystry, podobnie jak ja niespokojny i skłonny do zmiennych nastrojów. Często jednak zdarzały mu się ataki, podczas których z trudem oddychał, przez co przy zmianie pór roku nie

miał siły do pracy w polu ani w stodole. Ja byłam następna, uparta i krnąbrna. Z tego powodu często spotykała mnie kara i niełatwo było mnie kochać. Świat traktowałam podejrzliwie, a ponieważ nie byłam ładna ani uległa, nikt za mną specjalnie nie przepadał. Bez przerwy stawałam okoniem, za co niejednokrotnie mocno i boleśnie obrywałam cedzakową łyżką, której my, dzieci, nadaliśmy imię Żelazna Bessie.

Miałam w zwyczaju patrzeć ludziom prosto w oczy, chociaż wiedziałam, że to ich krępuje, zwłaszcza matkę. Zupełnie jakby mój wzrok okradał ją z jakiejś jej części, niezmiernie dla niej ważnej, części, którą skrywała nawet przed najbliższymi. Rzadkie były chwile, gdy nie jadłyśmy, spały lub pracowały razem, można by się więc spodziewać, że choć pod tym względem będziemy mieć dla siebie odrobinę litości. Matka tak bardzo nie znosiła mego uporczywego wzroku, że specjalnie starała się mnie przyłapać, jak się w nią wpatruje, a kiedy nie udało mi się odwrócić spojrzenia dostatecznie szybko, okładała mnie Żelazną Bessie po plecach i nogach tak długo, aż rozbolał ją nadgarstek. A że była silna jak mężczyzna, trochę to trwało. Dzięki temu jednak mogłam dostrzec to, czego inni nie widzieli... albo nie chcieli zobaczyć.

Obserwowałam ją tak badawczo nie dlatego, że byłam nieposłuszna, chociaż nasza zabawa w kotka i myszkę stała się swego rodzaju wojną. Robiłam to, ponieważ ona z uporem godnym lepszej sprawy starała się nie okazywać kobiecych cech i była równie zaskakująca jak powódź czy pożar lasu. Wolę i postawę miała silną niczym kościelny diakon. Upływ czasu i kolejne nieszczęścia tylko ją hartowały i czyniły coraz twardszą. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie nadobnej niewiasty, niegłupiej, niezbyt młodej, ale też jeszcze nie starej. A jej twarz, gdy nie ożywiały jej słowa lub niepohamowane emocje, wydawała się pogodna. Martha Carrier przypominała

jednak głęboki staw, którego powierzchnia zdaje się spokojna i łagodna, lecz który w głębi okazuje się lodowaty, a dno ma najeżone ostrymi głazami i zdradliwymi korzeniami. Swoim ostrym językiem potrafiła ciąć boleśnie i równie szybko, jak rybak z Gloucester patroszy węgorza. Wiem, że w mojej rodzinie i wśród naszych sąsiadów nie ja jedna wołałam otrzymać baty, niż się narazić na ciosy, które zadawała słowami.

W miarę jak nasz wóz posuwał się wzdłuż pól pokrytych głębokimi zaspami zamrożonego śniegu, rozglądałam się wokół w nadziei ujrzania jakichś domostw, posterunku wojska lub szubienicznego wzgórza, ze sznurami wciąż jeszcze zwisającymi z grubych konarów dębu, z których kat odciął ciała wisielców. Zastanawialiśmy się, jak długo muszą wisieć trupy skazańców, zanim społeczna przyzwoitość uzna, że należy je usunąć. W latach, które miały nadejść, małoletnie dzieci trzymano z dala od egzekucji przez powieszenie, kary chłosty czy publicznych tortur wymierzanych przez szacowne sądy Nowej Anglii. Ja jednak byłam jeszcze nieświadoma, by owe konieczne praktyki traktować z równą obojętnością jak ukręcenie łebka kurczęciu. Od czasu do czasu widywałam kobiety i mężczyzn zakutych w dyby i razem z braćmi świetnie się bawiłam, ciskając odpadkami w ich uwięzione głowy.

Pokonawszy most na rzece Shawshin, wjechaliśmy na Boston Road Way, wiodącą na północ, do Andover. Minęliśmy domy nielicznych sąsiadów, Osgoodsów, Ballardów i Chandlersów, mieszkających na zachód od nas. Przed nami, na wschodzie, wznosił się budynek południowego garnizonu miasta. Przysadzisty dwupiętrowy obiekt, gdzie na drugim piętrze zgromadzono amunicję i prowiant, otaczała palisada, niezbędna, gdyż w okolicy wciąż miały miejsce gwałtowne ataki Indian. Zaledwie rok wcześniej doszło do

napadu na Dover. Zabito dwadzieścia trzy osoby. Dwadzieścioro dziewięcioro dzieci porwano, by je zatrzymać lub oddać rodzinom za okup. Pozdrowiliśmy strażę, ponieważ jednak okna pokrywał szron, człowiek na posterunku nie widział nas, nie skinął nam więc ręką, gdy przejeżdżaliśmy.

Na północ od garnizonu, oddalony od głównej drogi, stał dom mojej babki. Był mniejszy, niż pamiętałam, ze stromym, ostro zakończonym dachem i wzmocnionymi żelaznymi sztabami drzwiami. Kiedy jednak drzwi stanęły otworem i Richard wyszedł nam na powitanie, od razu rozpoznałam starą kobietę, która się pojawiła tuż za nim. Od naszej ostatniej wizyty minęły dwa lata, czy coś koło tego. Babka mawiała, że jej stare kości nie znoszą podróży wozem do Billeriki. Oznajmiła matce, że nie narazi nieśmiertelnej duszy swojej córki, pozwalając nam przybyć do Andover, jeżeli moi rodzice nie zaczną chodzić do domu modlitwy w każdy szabat. Powiedziała, że po drodze Indianie mogą nas pojmać lub nawet zabić, możemy paść ofiarą rozbójników albo też wpaść w szczelinę i utonąć. Wówczas nasze dusze zostałyby stracone na zawsze. Lata rozłąki z babką w równej mierze były spowodowane uporem mojej matki, jak jej ogromną niechęcią do przesiadywania w kościelnej ławce.

Starsza pani natychmiast wzięła Hannę z objęć mojej matki i zaprosiła nas do domu rozgrzanego ciepłem wielkiego ognia i zapachem gotującej się potrawy, który przypomniał nam, że naszym jedynym pożywieniem było kilka twardych sucharów o świcie. Przeszłam się po domu, ssąc obolałe zmarznięte palce i przyglądając się przedmiotom zrobionym przez mojego dziadka. Zmarł kilka lat przed moim przyjściem na świat, więc go nie znałam, ale słyszałam, jak Richard mówił, że on i matka byli tak do siebie podobni, że gdy przebywali w pobliżu, miało się wrażenie, jakby ktoś lał oliwę na płonąca pochodnię. W domu było jedno pomieszczenie z

paleniskiem, stołem wypolerowanym niezliczonymi dotykającymi go dłońmi, pachnącym woskiem pszczelim, masłem i popiołem, kilkoma plecionymi z sitowia krzesłami i jednym pięknie rzeźbionym kredensem na talerze. Delikatnie musnęłam palcami żłobienia, nie mogąc się nadziwić mistrzowskiemu wykonaniu. Nasz dom w Billerice mieścił tylko ławy i surowy stół na kozłach, pozbawione jakichkolwiek ozdób radujących oczy czy dłoń. W Andover była niewielka sypialnia obok głównej izby i schody wiodące na poddasze, wypełnione gromadzonymi przez lata skrzynkami, słojami i drewnianymi kuframi.

Moi rodzice i Hanny dostali sypialnię babki i jej łóżko, ona sama zajęła pryczę obok paleniska. Andrew, Tom i ja mieliśmy spać na poddaszu, a Richard udał się na spoczynek wraz w wołem i koniem do stodoły tuż za domem. Lepiej od innych znosił zimno, według mojej matki dlatego, że jego wewnętrzne ciepło nie marnowało się, ponieważ trzymał usta zamknięte i nie miał ozorem bez potrzeby. Dostał większość koców, gdyż w sianie nie mógł rozpaść porządnego ogniska. Dla całej reszty babka wyszukała stare kapy, abyśmy mieli czym się chronić przed lodowatym powietrzem.

Tej pierwszej nocy dom wypełniały dźwięki ścian stękających pod naporem śniegu i ciepły zwierzęcy zapach moich braci. Przywykłam spać w alkwie z Hanną, przytuloną do mojej piersi niczym rozgrzewająca cegła. Leżałam na pryczy, dygocząc z zimna, a kiedy zamknęłam oczy, wciąż czułam kołysanie wozu. Z materaca wyłaziła słoma i kłuła mnie w plecy, nie pozwalając usnąć. W naszym pokoju nie było świecy i nie widziałam moich braci, choć spali tuż obok. W końcu, po długim czasie promień księżyca przedostał się przez szpary w deskach okna i na surowych balach pojawiły się cienie rzucane przez słoje o długich szyjach - wyglądały jakby armia bezgłowych żołnierzy maszerowała wzdłuż ścian.

Odrzuciłam kapę i na czworakach popęzłam po najeżonych drzazgami deskach, aż po omacku odnalazłam pryczę moich braci i wślizgnęłam się obok Toma. Byłam za duża, by spać z braćmi, i jeśli ktoś mnie na tym przyłapie, rano spotka mnie kara, ale przylgnęłam do jego skulonego ciała i rozgrzewając się emanującym z niego ciepłem, zamknęłam oczy.

KIEDY RANO się obudziłam, byłam sama. Bracia już wstali, a wokół wszędzie się wałały porozrzucone rzeczy, szare i stare. Ubrałam się szybko w przejmującym zimnie, palce miałam sztywne jak kiełbaski. Cicho schodząc po schodach, usłyszałam głos ojca rozbrzmiewający w pokoju dziennym. Żołądek mi się skurczył, gdy poczułam zapach gotującego się mięsa, ale przycupnęłam na schodach, by móc widzieć, nie będąc widzianą, i zaczęłam słuchać.

- ...to kwestia sumienia - dobiegły mnie słowa ojca. - I na tym poprzestańmy.

Babka milczała chwilę, potem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Thomasie - rzekła - wiem o różnicach, jakie dzielą ciebie i pastora. Ale to nie jest Billerica. To jest Andover. A wielbny Barnard nie toleruje nieobecności podczas modlitwy. Jeżeli chcecie tu mieszkać, jeszcze dzisiaj przed szabatem musisz w dobrej wierze udać się do radnych i złożyć przysięgę wierności miastu. A jutro, w szabat, pojedziecie ze mną do domu modlitwy na mszę. Jeżeli tego nie uczynicie, nie zostaniecie przyjęci. Do nowo przybyłych, którzy się domagają ziemi, ludzie się odnoszą z niechęcią. Panuje tu dość zawiści, by napełnić nią studnię. Sam się przekonasz, jeżeli tu zostaniecie.

Ojciec spojrział w ogień, starając się dojść do ładu z miotającymi nim sprzecznymi uczuciami - w jego duszy toczyła się walka między podporządkowaniem się prawom domu modlitwy a pragnieniem, by inni pozostawili go w

spokoju. Byłam bardzo młoda, ale wiedziałam, że w Billerice nie darzono go sympatią. Był zbyt zamknięty w sobie, zbyt wyniosły w swym niezłomnym przekonaniu, co jest słuszne, a co nie. Nieustannie krążyły też przekazywane szeptem plotki o jego przeszłości, kiedy to nie zawsze postępował zgodnie z prawem, choć nigdy nic nie zostało nazwane po imieniu. Wszystko to sprawiało, że trzymał się na uboczu. W zeszłym roku ukarano go grzywną w wysokości 20 pensów za kłótnię z sąsiadem o miedzę. Wzrost ojca, jego ogromna siła i reputacja, jaką się cieszył, skłoniły sąsiada do ustąpienia, a ojciec umieścił paliki graniczne wedle własnego uznania, nie bacząc na grzywnę.

- Nie zrobisz tego dla swojej żony i dzieci? - zapytała łagodnie babka.

- Ze względu na ciebie i dzieci zrobię, jak zechcesz - odparł, pochylając głowę nad śniadaniem. - A co się tyczy mojej żony, musisz sama ją zapytać. Darzy wielką niechęcią pastora Barnarda i źle by przyjęła te wieści ode mnie.

BABKA, CHOĆ ŁAGODNA, potrafiła też być przekonująca i niczym kropla drążąca skałę tak długo naciskała matkę, póki ta nie zgodziła się uczestniczyć w mszy nazajutrz.

- Wolałabym jeść kamienie - burknęła matka pod nosem.

Mimo to wydobyla swój najlepszy bawełniany kołnierz, aby go wyprać. Z samego rana Richard i Andrew wraz z ojcem wyruszą na północny koniec Andover. Złożą swoje podpisy w miejskim rejestrze i przysięgną, że będą bronić osady przed wszelkimi atakami i w terminie płacić dziesięcinę duchownym. Uszczypnęłam Adrew w ramię z całej siły i kazałam mu przysiąc, że dokładnie opowie mi wszystko, co widział i słyszał. Tom i ja zostaliśmy z matką, żeby jej pomóc w gotowaniu i zbieraniu drewna na opał. Babka powiedziała, że należy również złożyć wizytę z wyrazami szacunku wielebnemu Francisowi Dane'owi, który mieszkał dokładnie

naprzeciwko domu modlitwy. Był pastorem w północnym Andover od ponad czterdziestu lat i ludzie bardzo go kochali. Lata temu powinien był przekazać swoje obowiązki wielebnemu Barnardowi, ale jako dobry pasterz wyczuwał drzemiącą w młodszym koledze naturę wilka, wolał więc pozostać na posterunku, by chronić swoich wiernych. Obaj z nieskrywaną niechęcią dzielili mównicę, z której - zmieniając się mniej więcej co tydzień - wygłaszali swoje kazania. Stałam w drzwiach i spoglądałam za oddalającym się wozem, póki wraz z pasażerami nie zniknął za wysokimi jak góry hałdami śniegu.

Kiedy zamknęłam drzwi, babka siedziała już przy swoim kołowrotku. Stopę wsparła na pedale, ale jej uważny wzrok spoczywał na mnie. Przepięknie wyrzeźbiony kołowrotek z ciemnego dębu zdobił ornament z liści wijący się po zewnętrznym obwodzie koła. Urządzenie musiało być bardzo stare i zbyt starannie wykonane, by mogło pochodzić z Nowej Anglii. Babka zawołała mnie i zapytała, czy umiem prząść. Odparłam, że owszem, całkiem nieźle, lecz szyć potrafię lepiej, co było prawdą zaledwie w połowie. Obozowy chirurg zręczniejsz odrąbywał kończynę siekierą, aniżeli ja wbijałam igłę w tkaninę. Babka przesuwiała wełnę między sękatymi palcami lśniącymi od owczego tłuszczu i z wprawą nawijała nici na szpulkę. Równie łagodnie, jak wysnuwała gładką nić z pogmatwanej masy wełny w swoich dłoniach, zaczęła wypytywać mnie o nasze dni w Billerice.

Nie pomyślałam, by opowiedzieć jej o naszym samotnym życiu, nie wiedziałam bowiem, że można żyć inaczej. Ziemia, którą posiadaliśmy w Billerice, nie była żyzna i wydawała niezbyt obfite plony. Pod koniec nasze zwierzęta zaczęły chorować i zdychać, jak gdyby przez glebę przesączała się niczym zatruta mgła niezyczliwość sąsiadów. Najbliższym towarzyszem mojego dzieciństwa był Tom, ale skończył już

dziesięć lat i razem z Richardem i Andrew pracował w polu. Ja dni spędzałam, opiekując się Hanną i pomagając matce w ciężkich domowych obowiązkach. Bardzo chciałam opowiedzieć babce coś ciekawego - przypomniał mi się pewien dzień ubiegłej wiosny.

- Któregoś dnia - zaczęłam - to było w maju, ułożyłam Hannę do snu i wymknęłam się z domu, żeby zobaczyć, co robi Tom. Schowałam się za murem, bo nie wolno mi tam było chodzić, i zobaczyłam, jak ojciec zaprzęga Richarda i Andrew do pługu. Tom szedł przed nimi, usuwając z pola głązy wielkie jak jego głowa. Pocił się i dyszał okropnie. Przez cały ten czas wół stał uwiązany w cieniu drzewa. Przy kolacji zapytałam o to Toma, a on szeptem wytłumaczył, że ojciec trzyma wołu do lżejszych prac. To nasz jedyny wół, i na dodatek bardzo stary. Niedobrze byłoby, gdyby zdechł.

Stopa babki znieruchomiała i kołowrotek powoli przestał się obracać. Przyciągnęła mnie do siebie, obejmując ramieniem.

- Życie rzeczywiście jest ciężkie, Saro - powiedziała. - Bóg wystawia nas na próbę, by zobaczyć, czy bez względu na wszystko wciąż pokładamy w Nim wiarę. Musimy chodzić do domu Bożego i postępować, jak każą nam Jego kapłani, by zasłużyć na nagrodę po śmierci. - Umilkła, by wsunąć mi pod czepek kosmyk włosów. - Co mówią o tym twoi rodzice?

Dotknęłam ręką jej twarzy.

- Ojciec powiedział, że pastorzy w Nowej Anglii nie są lepsi od królów w Starej.

- A twoja matka? Ona też tak uważa? - zapytała babka.

Powiedziałam jej, co matka rzekła o przybyłym z wizytą pastorze z dzikich terenów na wschodzie Maine. Zapytała go: „Czy jesteś pastorem, który służy w całym Salmon Falls?”. „Nie, zacna pani Carrier - odrzekł na to. - Jestem pastorem, który rządzi całym Salmon Falls”.

Myślałam, że to babkę rozbawi, ona jednak ujęła moją twarz w dłonie i rzekła:

- Pastorzy to ludzie, a ludziom często brak łaski. Ty jednak najlepiej zrobisz, pokładając wiarę w wielebnym Danie. Był mężem mojej siostry i opiekuje się mną od śmierci dziadka.

Nie zdejmując ręki z mojego policzka, umilkła i popatrzyła nagle na wciąż pogrążony w mroku pokój dzienny. Słońce dopiero co sięgnęło dolnej framugi okna i ściany nadal zalegały laty cienia, niczym zasłony z ciemnego aksamitu. Sowa kończąca nocne łowy wydała ostatni krzyk protestu, babka uniosła brodę i wciągnęła nosem powietrze, jakby wyczuła dobywającą się z paleniska ostrzegawczą smugę dymu. Obejmujące mnie ramię zeszywniało i przyciągnęła mnie do siebie mocniej.

Byłam przekonana, że kobiety dostrzegają rzeczy, które jeszcze się nie dokonały. Moja matka z całą pewnością ów dar posiadała. Często bez słowa ostrzeżenia poprawiała na głowie czepek, wygładzała fartuch i stawała w drzwiach, spoglądając na prowadzącą do naszego domu pustą drogę. Nie mijała chwila, gdy na progu stawał któryś z sąsiadów lub wędrowiec i ze zdumieniem spoglądał na zasnęłą panią Carrier czekającą na niego w drzwiach. Być może ową zdolność przewidywania odziedziczyła po swojej matce. Babka jednak wiedziała, że samo przewidywanie nie wystarczy, by zmienić bieg rzeczy, bo uwolniła mnie z objęcia i na nowo puściła kołowrotek w ruch.

- Trzeba się godzić z boskimi wyrokami, choćby były nie wiem jak surowe - powiedziała, ujmując w dłoń pasmo wełny.
- Gdybyś jednak była kiedyś w potrzebie, zwróć się do wielebnego Dane'a on znajdzie sposób, by ci pomóc. Słyszysz mnie, Saro?

Skinęłam głową i stałam przy niej, aż zawołała mnie matka. Później nieraz myślałam o jej słowach i zastanawiałam się, dlaczego z taką pokorą przyjmowała jarzmo Boga, który pozwalał, by niemowlęta umierały w brzuchach matek, kobiety i mężczyźni ginęli od ciosów kamiennych toporów, a zaraza skazywała dzieci na cierpienie i śmierć. Jednakże nie dane jej było żyć na tyle długo, by być świadkiem najgorszego.

- ZOSTALIŚMY OSTRZEŻENI - powiedział Andrew wysokim, łamiącym się głosem.

Było ciemno, rozmawiając, czuliśmy, jak mieszają się nasze oddechy. Tom, Andrew i ja siedzieliśmy na pryczy, stykając się kolanami, z głowami ukrytymi pod kapą, by stłumić odgłos naszych szeptów. Przed kolacją w ramach przygotowań do szabatu babka czytała długie fragmenty Pisma i upłynęło wiele godzin, zanim mogliśmy się udać na poddasze na nocny spoczynek. Tam w ciemnościach strychu Andrew opowiedział nam, jak ojciec zmierzał do domu modlitwy na północ Boston Road Way, gdzie wzdłuż zamarzniętych brzegów Shawshin ciągnęły się zabudowania farmerskie, liczne niczym szyszki w lesie.

Zajechawszy do centrum wioski, znaleźli się przed domem modlitwy, większym od tego w Billerice, dwupiętrowym budynkiem z szybami w oknach oprawionymi w ołów. Urzędnik miejski John Ballard, który otworzył im drzwi i wpuścił do wnętrza, by zaczekali na radnych, pełnił swoją funkcję od piętnastu lat, choć sam miał ich zaledwie trzydzieści dwa. Ów potężny mężczyzna mieszkał niecałe pół mili od domu babki. Andrew złapał mnie za łokieć.

- Saro - powiedział. - Szkoda, że go nie widziałas. Włosy ma czerwone jak miedź, a jego twarz wygląda jak roztopiony воск. Ma tyle dziobów na gębie, że na pewno przechodził ospę.

Upłynęły dwie godziny, zanim John Ballard wrócił, wiodąc radnych. W tym czasie mój ojciec i bracia mogli ogrzać się nieco w podszytym wiatrem pomieszczeniu z nieszczęlnych belek. W domu modlitwy zgromadziło się w końcu pięciu patriarchów, każdy przyodziany w czarną wełnianą pelerynę, niezniszczoną i niepołataną. Zachowywali się z rezerwą. Nosili nazwiska dobrze znane w Andover: Bradstreet, Handler, Osgood, Barker i Abbot. Posiadali władzę, na mocy której decydowali, które rodziny mogą zostać, a którym należy odmówić prawa pobytu. Zasiedli na ławach naprzeciwko ojca, niczym sędziowie na procesie, podczas którego oskarżony z góry był uznany za winnego, chyba że później dowiedziono jego niewinności. Według Andrew największe wrażenie robił kapitan John Osgood, surowy mężczyzna o pociągłej twarzy - nie uśmiechnął się ani nie wypowiedział choćby słowa pozdrowienia. To on zadawał większość pytań, pozostali we wszystkim mu przytakiwali. Młody urzędnik nie odstępował go na krok i notował wszystko piórem maczanym w inkauscie.

- Ten kapitan Osgood - powiedział Andrew, nachylając się ku mnie - zaszeleścił jakimiś papierami, wzrokiem zmierzył ojca od stóp do głów i zapytał go, czy wiedział o ospie w Billerice. Ojciec odpowiedział, że tak, wiedział. Potem namiestnik zapytał, czy ktoś z nas przyjechał do Andover chory, a ojciec odpowiedział, że nie, wszyscy jesteśmy w dobrym zdrowiu. Kapitan wbił wzrok w ojca i zaczął kręcić głową, a ja pomyślałem, że już po nas. I jak myślisz, co się wtedy stało? Drzwi otworzyły się gwałtownie i niczym anioł światłości pojawił się w nich wielebny Dane. Stał u naszego boku, twarzą do tamtych pięciu mężczyzn, i zaczął mówić o babce, szacunku, jakim się cieszy w mieście od wielu lat, i poprosił, żeby pozwolili nam zostać. Powiadam ci, jego słowa potrzęsnęły nimi jak letni wiatr napastrnicą.

- To znaczy, że możemy zostać? Tak czy nie? - spytał niecierpliwie Tom, ściskając moją rękę.

Andrew zwlekał chwilę, rozkoszując się naszym napięciem.

- Możemy zostać - rzekł w końcu. - Ale pod pewnymi warunkami. Musimy przestrzegać obowiązujących w mieście praw i uczestniczyć w mszy, albo odeśłą nas z powrotem do Billeriki.

Gdy to mówił, jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz i zakaszłał sucho. Przyłożyłam mu dłoń do czoła i miałam wrażenie, że dotykam rozpalonego pieca.

- Jestem bardzo zmęczony - powiedział, opadając na pryczę.

Oczy mu płonęły niczym rozżarzone węgle. Tom i ja także się położyliśmy i pogrążyliśmy we śnie. Jakiś czas potem obudziłam się w przekonaniu, że leżę obok rozpalonego paleniska. W ciemności wyciągnęłam rękę i dotknęłam szyi Andrew. Skórę miał gorącą i suchą jak papier, ciężko dyszał, a oddech cuchnął mu kwaśno. Przesunęłam się bliżej Toma i szybko znowu usnęłam.

Gdy się obudziłam ponownie, był już szabat. Odrzuciłam przykrycie, nie mogąc się doczekać, kiedy pojedziemy do domu modlitwy, gdzie miała się odbyć msza. Tom już wstał, ale Andrew wciąż leżał na pryczy, plecami do mnie. Miał dziwny oddech, przerywany i płytki. Nachyliłam się, żeby nim potrząsnąć, i poczułam, że jest ciepły. Jęknął cicho i wymamrotał coś, ale się nie podniósł. Powiedziałam mu, że jest rano i musi się szykować do wyjścia. Byłam już ubrana i właśnie miałam zejść po schodach, kiedy usiadł, trzymając się za głowę. Twarz miał czerwoną, a cienie pod oczami ciemne jak sińce. Powoli przyłożył palec do ust, nakazując mi milczenie, więc szybko zbiegłam na dół do jasnego dziennego pokoju. Andrew zjawił się wkrótce po mnie, wciąż usiłując

zapiąć guziki przy koszuli i spodniach, jakby stracił całą siłę w rękach.

Najszybciej jak się dało, ruszyliśmy w drogę, ściśnięci w wozie. Babka siedziała z przodu między matką a ojcem i przez cały czas opowiadała nam o wzajemnej życzliwości mieszkańców Andover.

- Modłę się, aby to była prawda - odezwała się moja matka po jakimś czasie. - Nie było mnie tu jakiś czas, ale z tego co pamiętam, niewiele było tu ciepła, przy którym można by się ogrzać.

- Martho - odparła babka ostro. - Swoimi słowami zawsze chcesz zwrócić na siebie uwagę. Wystawiasz na niebezpieczeństwo duszę swoją i swoich dzieci. Razem z rodziną wróciłaś do mojego domu i będziesz żyła tak, jak ja sobie życzę. Szabat jest przeznaczony na modlitwę, więc będziemy się modlić.

Spojrzałam ukradkiem na sztywne plecy mojej matki. Nigdy nie słyszałam, by ktoś odezwał się do niej tak ostro i nie naraził się na równie ostrą odpowiedź. Ojciec zakasłał w pięść, ale nie rzekł ani słowa. Dom modlitwy okazał się większy, niż sobie wyobrażałam. Kiedy przywiązywaliśmy konia, ujrzeliśmy wszystkich mieszkańców miasta wchodzących przez frontowe drzwi. Wiele twarzy zwróciło się w naszą stronę, na niektórych malowała się ciekawość, na kilku nieskrywana niechęć. Tuż przy drzwiach stała starsza kobieta i uderzała w wielki miedziany dzwon, który trzymała obiema rękami. Babka skinęła jej głową i powiedziała mi, że to wdowa Rebecca Johnson i że daje sygnał do rozpoczęcia mszy. Przed wieloma laty, dodała, miasto wybierało człowieka, który waleniem w bęben oznajmiał początek mszy i zakończenie dziennej pracy w polu.

Miejsca zajmowane przez ludzi na czas mszy miały ogromne znaczenie i pod żadnym pozorem nie wolno było ich

zmieniać. Do najbogatszych i najznamienitszych rodzin należały te z przodu, w pobliżu ambony, mniej szacowni obywatele zasiadali odpowiednio coraz dalej, aż w końcu ostatnie rzędy zajmowali ci, którym się wiodło najgorzej, oraz nowo przybyli. Babka miała znaczące miejsce po stronie dla kobiet i po długim szemraniu i kręceniu głowami zrobiono miejsce również dla mojej matki, Hanny i mnie. Ojciec i Richard usiedli po przeciwnej stronie wraz z innymi mężczyznami, a Andrew i Tom poszli na galerię nad nami. Kiedy odwróciłam głowę, widziałam ich dokładnie. Tom rozglądał się wokół wyczekująco, Andrew siedział, przytrzymując głowę dłońmi. Chciałam pomachać do Toma, ale matka złapała moją rękę i siłą położyła mi ją na kolanach.

Ławki były tak ciasne, że zaczęłam się zastanawiać, jak ojcu uda się wytrzymać całą mszę z nogami zgiętymi w niewygodnej pozycji. W budynku było równie zimno jak na zewnątrz, cieszyłam się więc, że dzięki stłoczonej razem wielkiej liczbie ciał można było nieco się ogrzać. Nogi nieustannie owiewał mi gwałtowny podmuch zimnego powietrza i przez całą długą godzinę, jaką musiałam spędzić na twardej ławce, moje plecy się buntowały przeciwko niewygodzie. Nareszcie wielebny Dane przeszedł do przodu wzdłuż ławek, witany zbiorowym westchnieniem. Zdawał się biec ku ambonie, jak gdyby jego chęć głoszenia Ewangelii z przemożną siłą nakazywała mu rozpocząć kazanie, jeszcze zanim się znajdzie na podwyższeniu przed wszystkimi wiernymi.

Wielebny Dane liczył sobie siedemdziesiąt lat, mimo to nie stracił jeszcze włosów i poruszał się nad wyraz żwawo. Skłamałabym, twierdząc, że pamiętam wiele z tego, co owego dnia mówił, dobrze jednak zapamiętałam ton, jakim przemawiał. Spodziewałam się, że będzie nas straszył ogniem piekielnym i potępieniem, jak pastor w Billerice, ale on czytał

List do Efezjan i ładnie mówił o dzieciach światłości. Później się dowiedziałam, że jeden z mężczyzn, który ze zmarszczonym czołem siedział w pierwszej ławce, był jego adwersarzem, wielbnym Thomasem Barnardem. Gdy wchodziliśmy, przyglądał się nam uporczywie, a kiedy nie spuściłam skromnie wzroku, ściągnął usta i pokręcił głową. Próbując się nauczyć wymówić słowo „Efezjanie”, ostrożnie przekrzywiłam głowę, by zerknąć na Andrew i Toma. Andrew siedział z głową wspartą o złożone na kolanach ramiona, ale Tom jak zauroczony wpatrywał się w wielbnego.

Za jego plecami zmaterializowała się ciemna postać. Z wrażenia otworzyłam usta. Wyglądało to tak, jakby cień zalegający galerię nagle przybrał realny kształt. Za moimi braćmi było dziecko, skulone i zdeformowane, czarne niczym wewnątrz kotła - słyszałam o czarnych niewolnikach, ale jak dotąd żadnego z nich nie widziałam. Oczy miało wylupiate i rzucało głową, jakby próbowało odgonić natrętnego owada. Wpatrywałam się w nie, aż wreszcie wyczuło mój wzrok. Stroiło do mnie miny i wystawiało język, aż się zaczęła się obawiać, iż wybuchnę głośnym śmiechem. Matka jednak mocno szturchnęła mnie łokciem, wyprostowałam się więc i na powrót skierowałam wzrok na wielbnego.

Gdy msza, podczas której co chwilę wstawaliśmy, siadaliśmy, śpiewaliśmy psalmy, znowu wstawaliśmy i siadaliśmy, dobiegła wreszcie końca, w powadze opuściliśmy dom modlitwy i wyszliśmy na śnieg. Dzień był piękny. W blasku południowego słońca czekałam, aż moi bracia zejną z galerii razem z dziwnym małym chłopcem cieniem. Andrew zachwiał się, z trudem trzymając się na nogach, i Tom musiał mu pomóc wdrapać się na wóz. Widząc czarnego chłopca, podbiegłam do Richarda i tak długo szarpałam go za rękaw, aż się zatrzymał i przemówił do mnie. Powiedział, że chłopiec był niewolnikiem kapitana Osgooda, jednego z radnych.

Stałam, wpatrując się w dziecko, zbyt nędznie odziane jak na taką pogodę i trzymające gruby płaszcz swego pana. Stroiliśmy do siebie miny, dopóki się nie pojawił kapitan, nie założył płaszcza i dosiadł konia. Chłopiec podążył za nim piechotą, ślizgając się po śniegu w za dużych butach. Wytężałam za nimi wzrok, aż minęli Haverhill Way.

KIEDY DOTARLIŚMY na miejsce, nie było już wątpliwości, że Andrew jest chory. Ojciec zaniósł go do domu i ułożył na pryczy koło paleniska. Mój brat był nieprzytomny, szarpał przykrycie, to naciągając, to spychając je z siebie, a jego ciałem wstrząsały dreszcze gorączki. Babka dotknęła jego twarzy i uklękła przy nim, łagodnie rozpinając mu koszulę. Na piersiach i brzuchu widniały pierwsze oznaki wysypki. Matka stanęła obok pryczy i przysunęła rękę do purpurowych plam.

- Nie mamy pewności, co to za dolegliwość - powiedziała wyzywającym, niemal złym głosem. Ale wytarła dłonie w fartuch, a ja między fałdami jej spódnicy wyczułam strach.

- Wkrótce będziemy wiedzieli - powiedziała cicho babka, sznurując koszulę mojego brata.

Uważnie obejrzała nas wszystkich, sprawdzając, czy nie mamy gorączki, i szukając purpurowych plam, po czym bez słowa zaczęła szykować posiłek, a także leczniczy napój na złagodzenie gorączki Andrew.

Spożyliśmy obiad w ciszy. Zakłócał ją tylko trzask ognia i ciche pojękiwanie dobiegające z kąta, w którym Andrew leżał na swojej pryczy. Babka i matka ocierały mu czoło i jeśli udało im się wlać mu do gardła kilka kropli płynu, próbowały zmusić go do ich połknięcia. Ojciec, wpatrzony w płomienie, siedział tak blisko ognia, że jeszcze trochę, a znalazłby się na ruszcie. Pot spływał mu po twarzy. Zaciskał z całej siły pięści, jakby ugniatał w nich wosk.

Wkrótce Tom i ja zostaliśmy odesłani do łóżka, ale żadne z nas nie mogło zasnąć. W pewnej chwili usłyszałam Andrew

krzyczącego jakby z bólu. Szybko zesłam po schodach i zobaczyłam go stojącego pośrodku pokoju z rozpostartymi ramionami, oświetlonego od tyłu blaskiem żarzącego się już tylko ognia. Zmoczył się i wydawał zagubiony i nieprzytomny. Matka próbowała ułożyć go z powrotem na pryczy, on jednak się bronił i walczył z nią jak tonący. Przemknęłam przez pokój, chwyciłam szmatę i nachyliłam się, by sprzątnąć po Andrew, babka jednak złapała mnie za ramię i gwałtownie odciągnęła.

- Saro, nie wolno ci teraz dotykać Andrew - powiedziała ostro. Poluzniła uchwyt i pogładziła mnie po twarzy. - Wystarczy, że go dotkniesz, i także możesz zachorować.

Posadziła mnie na krześle obok ognia i zarzuciła mi na ramiona szal. Owinęła szmatę wokół miotły i starła mętną kałużę, po czym wrzuciła szmatę do ognia. Zasnęłam, patrząc jak dwie ciemne sylwetki kobiet krzątają się wokół mojego dyszącego ciężko i niespokojnego brata.

Otworzyłam oczy, gdy usłyszałam w pokoju głos ojca. Nastął wczesny ranek i chociaż światło wciąż jeszcze było słabe, w mroku dostrzegałam ściągniętą twarz matki. Rozmawiali cicho, ale zażarcie, i nie słyszeli, jak zziębnięta i bosa podeszłam do pryczy brata. Popatrzyłam na okrywający go koc i dostrzegłam, że faluje lekko poruszany jego oddechem. Nachyliłam się, by się przyjrzeć dokładniej, i wyraźnie zobaczyłam na twarzy i szyi Andrew lekko wypukłe krosty, różowe na purpurowym. Piękny kolor, ale dla płatków róży lub goździka. Cofnęłam się o dwa, trzy kroki. Przyśpieszone bicie mojego serca brzmiało w uszach jak galopujący oddział huzarów wymachujących szablami, by odrąbać nam głowy od ciał. Krążyło wiele opowieści o całych rodzinach, które rano budziły się w zdrowiu, a wieczorem odnajdywano ich martwe, gnijące ciała na podłodze. Andrew zakaszał nagle, w przerażeniu zasłoniłam twarz i odwróciłam

się. Wstydziałam się swojej odrazy, nie na tyle mocno jednak, by przy nim zostać. Ile sił w nogach pognałam po schodach i skryłam się na bezpiecznym poddaszu.

CHOCIAŻ WIELE NAS to miało kosztować, babka uparła się, żeby przywieźć jedyne go medyka w Andover. Richard wyruszył natychmiast, ale potrzebował czterech godzin, aby wrócić z lekarzem. Ten zatrzymał się w sporej odległości od Andrew, starając się nie dotknąć niczego w pokoju. Z twarzą zasłoniętą wielką chustką przyglądał się choremu przez czas potrzebny na zrobienie trzech oddechów, po czym uciekł w popłochu drzwiami wejściowymi. Dogonił go jednak ryk babki.

- Jesteście nie lepsi od golibrody!

Wskakując na konia, powiedział ojcu, że musi ogłosić alarm, wydać nakaz izolacji naszej rodziny i przysłać konstabla, by odczytał go wszystkim sąsiadom. Gdy to mówił, okładał boki konia do krwi, by szybciej uciec. Babka nie pozwoliła Richardowi wejść do domu, dla bezpieczeństwa wysłała go do wdowy Johnson. Ponieważ spał w stodole, była szansa, że jeszcze się nie zaraził. Nie wrócił już tego dnia, mogliśmy więc wierzyć, że przebywa w domu przynajmniej jednej litościwej chrześcijanki.

Babka siedziała przy stole i pisała list. Przywołała mnie do siebie i ujęła za rękę.

- Ojciec zawiezie ciebie i Hannę z powrotem do Billeriki - powiedziała - do twojej ciotki Mary. Zostaniecie tam... może nawet na dłużej. - Musiałam się poruszyć, bo dodała szybko: - Będiesz tam szczęśliwa z kuzynką Margaret. No i będziesz się opiekować Hanną.

Minęło wiele lat, odkąd ostatnio widziałam moją kuzynkę, która mieszkała w najdalej wysuniętej na północ części Billeriki. Pamiętałam tylko, że była dziwną ciemnowłosą

dziewczynką - czasami bowiem przemawiała do pustego kąta w pokoju.

- Czy Tom może jechać z nami? - spytałam ją, ale odpowiedziała moja matka.

- Nie, Saro. Tom musi zostać, żeby pomóc na farmie. Richarda nie ma, a Andrew... - umilkła, ale i tak wiedziałam, co chce powiedzieć.

Andrew niedługo umrze, a nawet jeśli przeżyje, przez wiele miesięcy będzie kaleką. Cały ciężar pracy w polu spadnie na barki ojca i Toma. Tom stał w milczeniu i wpatrywał się we mnie wzrokiem kogoś, kto spada ze wzgórza pokrytego skruszonym na pył kamieniem. Rozległo się głośne pukanie do drzwi i wszedł wielki naburmuszony mężczyzna, przedstawiając się jako konstabl. Z nakazem izolacji w jednej ręce i nasączoną octem chustką w drugiej bez wahania podszedł do jęczącego na swojej pryczy Andrew. Jego pokryta dziobami twarz, wyglądająca dokładnie tak, jak ją opisał Andrew, stanowiła żywy dowód na to, że zdarzają się ludzie, którzy przeżywają ospę, czy to dzięki Bożej łasce, czy też dzięki opiece szatana. Odczytał na głos akt, który miał być przybity do drzwi domu modlitwy, by każdy mógł go ujrzyć oraz abyśmy „nie rozprzestrzeniali zarazy przez haniebne zaniedbanie”. Rozejrzałam się po schludnym pokoiku babki i nie dostrzegłam w nim żadnego zaniedbania, ale wyłącznie porządek i spokój.

- Boże, miej litość - bąknął pod nosem konstabl, wychodząc.

DYGO CZĄC, SIEDZIAŁAM na zamarznętej słomie, którą był wyścielony wóz, i trzymałam bardzo niespokojną, wierzącą się Hannę. Wyjeżdżaliśmy wbrew nałożonej kwarantannie, musieliśmy więc wymykać się pod osłoną ciemności, jak złodzieje. Jeśli nas złapią, cała rodzina trafi do więzienia. Pod warunkiem że będziemy żyli, gdy płomień ospy wygaśnie.

Matka miała ściągnięte usta, gdy wręczała mi tłumoczek z jedzeniem i kilkoma sztukami odzieży. Spodziewałam się paru słów otuchy poza poleceniem, bym się troszczyła o Hannę, ona jednak tylko zdecydowanym ruchem poprawiła mi czepek na głowie, dziwnie długo nie wypuszczając z rąk wstążek.

Babka wyszła z dłonią przyciśniętą do ust i podała mi małe zawiniątko.

- Pora, aby ci to dać - rzekła.

Odwinęłam tkaninę i zobaczyłam, że skrywała szmacianą lalkę w ubranku, z włosami z włóczki zafarbowanej na czerwono, by pasowały do moich. Usta miała wyhaftowane starannym drobnym ścięgiem.

- Ale nie ma oczu z guzików - powiedziałam, a babka uśmiechając się, ucałowała moje ręce.

- Nie zdążyłam. Ale przyszyjemy je, kiedy wrócicie - szepnęła. Tom pomachał nieśmiało, gdy ojciec ściągnął lejce. Ruszyliśmy na

południe, w stronę Billeriki. Odjechaliśmy już kawałek, gdy usłyszeliśmy, że Tom nas woła. Podbiegł do wozu i wepchnął mi coś do ręki, zaciskając mi palce, by tego nie upuściła. Odwrócił i pobiegł z powrotem do domu. Rozwarłam pięść i ujrzałam dwa małe białe guziki oddarte z jego jedynej porządnej koszuli, spoczywające na mojej dłoni jak dwie bliźniacze perły. Później często się martwiłam, że w te długie mroźne miesiące wiatr wdziera mu się przez otwarte rękawy, tym dotkliwiej kłusając go przejmującym zimnem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Grudzień 1690 - marzec 1691

ZIMĄ ZDARZAJĄ SIĘ w Massachusetts wieczory, kiedy nie ma wiatru, a panujący chłód sprawia, że na śniegu utrzymuje się zmrożona skorupa. Jeżeli jeszcze księżyc znajduje się akurat w trzeciej kwadrze, jego blask przydaje ziemi wokół swoistego ciepła. Było tak jasno, że widziałam ciemną sylwetkę zająca pędzącego przez pole w ucieczce przed śmiertcionośnymi szponami sowy. Długa zardzewiała lufa ojcowskiej strzelby spoczywała na jego kolanach. Zastanawiałam się, czy żałował, że musiał przepuścić taką okazję. Wiele razy słyszałam, jak Richard chełpił się, że ojciec potrafi trafić w cel z odległości osiemdziesięciu jardów i w ciągu jednej minuty załadować i wystrzelić cztery razy, podczas gdy innym udaje się to nie więcej niż trzy razy.

Panowała absolutna cisza i wstrzymywaliśmy oddech za każdym razem, kiedy mijaliśmy pogrążone w ciemności domostwo. Końska uprząż grzechotała przeraźliwie głośno i ojciec pozwolił koniowi iść powoli, gdyż dzięki temu wóz skrzypiał nieco mniej. Hanna zasnęła w moich ramionach i modliłam się, aby się nie obudziła z płaczem, gdyż zawożenie dziecka nocą niesie się na wiele mil. Kiedy przekroczyliśmy most na Shawshin, nie obawialiśmy się już, że zostaniemy zauważeni, bo choć skrzypienie wozu zbudziłoby umarłego, po tej stronie rzeki nie było żadnych osad.

Leżałam w słomie i patrzyłam na gwiazdy migoczące w doskonale czarnej misie, przez co niebo przypominało skwaśniałe mleko w matczynym naczyniu do farbowania. Podróż miała potrwać trzy godziny; ojciec zdąży nas dowieźć, po czym zawróci i znaleźć się na powrót w Andover przed świtem. Po jakimś czasie usnęłam i śniło mi się, że płynę małą łódką, niesiona silnym prądem rzeki, z ręką za burtą. Pod

powierzchnią wody unosiły się ciemne niewyraźne stworzenia, w ostrym blasku słońca niemożliwe do rozpoznania. Moje ciało stopniowo drętwiało i nie mogę wyjąć ręki z wody. Wkrótce poczułam, jak koniuszki palców szarpia ssące usta pełne maleńkich ostrych zębów. Czekałam na pierwszy przeszywający ból, po którym się pojawi krew, ale obudziłam się gwałtownie i zrozumiałam, że to wygłodniała Hanna ssie moje palce.

Nieopodal zamajaczyła ciemna sylwetka domu, w którego otwartych drzwiach połyskiwało mdłe światło. Na progu stał mężczyzna.

- Kto idzie? - zawołał ostrzegawczo.

W dłoni dzierzył niewielką zakrzywioną kosę. Głos mojego ojca rozbrzmiał w powietrzu niczym basetla, słychać w nim było wyraźny walijski akcent.

- Thomas Carrier. Wiozę ze sobą swoje dwie córki, Sarę i Hannę. W tym momencie obok mężczyzny pojawiła się kobieta. Naciągając na ramiona szal, ruszyła w stronę wozu.

- Thomasie, o co chodzi? Co się stało?

Chociaż nie widziałam twarzy, wiedziałam, że to moja ciotka. Słyszałam w jej głosie strach. Jakież to nieszczęście sprowadza w jej progi męża siostry i dwie siostrzenice o tak późnej porze?

- Mary, nie zbliżaj się jeszcze - powiedział ojciec, gdy podeszła do wozu. - Mam list od twojej matki. Lepiej, żebyś najpierw go przeczytała.

Wyciągnął długie ramię i podał jej pergamin. Wzięła go z wahaniem, jakby to był jadowity wąż. Wróciła do padającego z otwartych drzwi światła i przeczytała list, niespokojnie dotykając palcami szyi. Podała list wujowi i czekając, aż on także go przeczyta, wyciągała szyję, by mimo ciemności przyjrzeć się naszym twarzom. Hanna, której moje palce już nie wystarczały, zaczęła głośno płakać. Jej szloch brzmiał

dziwnie nierówno, bo czekając na przyjęcie bądź odmowę, huśtałam ją na kolanach coraz mocniej i mocniej.

Mary, przyświecając sobie cienką świeczką, ostrożnie podeszła do wozu, ociągając się z każdym krokiem, jakby wlokła za sobą karawan. Stała tuż obok, wpatrując się w nasze blade twarze i skulone sylwetki, znużone zimnem i późną porą. Widziałam, że się boi, bo wpuszczając nas do swego domu, z dużym prawdopodobieństwem mogła skazać swoją rodzinę na zagładę. Wyciągnęła jednak ręce po Hannę i przytuliła ją do piersi, otulając swoim płaszczem.

- Saro, musisz pójść ze mną - powiedziała.

Wygrzebałam się ze słomy zeszywniała i niosąc swój mały tłumoczek, podążyłam za nią do domu. Zatrzymałam się, widząc, że ojciec nie idzie za nami. Nie wiedziałam, czy mam wleźć z powrotem na wóz, czy też wejść do obcego domu.

Dobiegł mnie głos ojca, głęboki jak wibrujące kamienie.

- Bądź grzeczna, Saro. Zachowuj się jak należy.

Nastąpiła chwila ciszy, potem rozległo się szarpnięcie wodzami i ojciec bez słowa zawrócił konia i odjechał. Patrzyłam, jak podąża zrobionym przez siebie świeżym śladem z powrotem ku Andover. Księżyc zaczął zachodzić za drzewami, dach domu był więc niewidoczny, w ścianie czerni jarzył się tylko niewielki kwadrat żółtego światła. Ścisnęłam kolana i ze stopami wbitymi w śnieg stałam, przyciskając do piersi moje rzeczy. Gdzieś w lesie za podwórzem zaszeleściła gałązka i pękła, jak gdyby coś pełzło ku otwartej przestrzeni. Drzwi wciąż były otwarte, a ja nadal stałam przed domem. Po długiej chwili w drzwiach pojawiła się dziewczynka. Nosila białą sukienkę i czepek, a ciemne włosy opadały jej na ramiona.

- Saro, chodź już - rozległo się ciche wołanie. - Jest bardzo zimno. Ja jednak nie mogłam się poruszyć. Powietrze wokół mnie zgęstniało, a moje ciało stało się sztywne niczym

dębowa drzazga w szkle. Dziewczynka na podobieństwo zjawy ruszyła ku mnie, brnąc boso przez śnieg, wyciągniętą ręką odnajdując drogę w ciemności. Zobaczyłam, że to moja kuzynka Margaret - choć była dwa lata starsza ode mnie, nie przewyższała mnie wzrostem nawet o cal. Włosy miała kruczoczarne i była bardzo szczupła, a z powodu szpiczastej brody przypominała chochlika. Nie uśmiechnęła się ani nie odezwała. Po prostu sięgnęła po moje zaciśnięte kurczowo ręce i pociągnęła za sobą łagodnie, aż potykając się, razem przekroczyłyśmy próg domu.

Stałam przy drzwiach. W cieple moja spódnica i szal parowały. Hanna usnęła w ramionach ciotki Mary, ssąc gałganek zanurzony w osłodzonej wodzie. Miałam nadzieję, że w gospodarstwie jest krowa, bo rano dziecko będzie chciało mleka. Ciotka powiodła mnie ku palenisku, na którym płonęły świeże szczapy, do wymoszczonej słomą pryczy. Wkrótce leżałam szczelnie opatulona ciepłymi kocami, z Hanną przy boku. Zasnęłam, ukołysana głosem ciotki, która szeptem mówiła, że przez kilka dni będziemy musiały spać i jeść osobno, dopóki nie stanie się pewne, że nie nosimy w sobie zarazy. Nie powiedziała, co z nami będzie, jeżeli pojawią się oznaki ospy.

PRZEZ NASTĘPNE DWA dni wiodłyśmy z Hanną połowiczne życie w domu Mary i Rogera Toothakerów. Dostawałyśmy jedzenie przy palenisku, ale nie mogłyśmy się zbliżyć do reszty rodziny. Staralam się utrzymać Hannę przy sobie, nawet pozwalając jej się bawić moją lalką, ale Hanna była niespokojna i uparta i co chwilę próbowała chodzić dalej, niż jej było wolno. Mimo że ciotka sama tego zakazała, czasami gładziła ją po główce, zanurzając palce w puszystych loczkach. Wtedy moja siostra skakała po całym pokoju uszczęśliwiona. Jej wygłupy rozśmieszały wuja - łaskotał ją delikatnie pod brodą, po czym popychał z powrotem do mnie.

Gdy gęstniały wieczorne cienie, siedziałam w swoim ciemnym kącie jak duch i śledziłam wzrokiem, jak pozostali mieszkańcy krzątają się po domu. Spod spuszczonej rzesy obserwowałam moich kuzynów, Margaret i jej brata Henry'ego. Oni także nas obserwowali. Trzynastoletni Henry był szczupłym ciemnowłosym chłopcem. Uważałam, że jest nieszczerzy i wredny; często kiedy ciotka nie patrzyła, szturchał Hannę i popychał, aż się przewracała. Raz, kiedy myślał, że jesteśmy sami, podkradł się do mnie od tyłu i szarpnął mnie za delikatne włoski na karku. Łzy nabiegły mi do oczu, ale siedziałam cicho i czekałam. Następnego ranka odkrył, że ktoś wylał mu na buty siki z nocnika.

Ciotka miała ciemne włosy, jak moja matka, lecz z twarzy była podobna do babki. Podczas gdy w oczach mojej matki jarzył się nieugięty upór, oczy Mary, nawet kiedy serdecznie się śmiała, kryły w sobie smutek, przez co wydawała się łagodna, pogrążona w słodkiej melancholii. Od matki wiedziałam, że straciła troje dzieci z rzędu. Nie mogły dojrzeć w jej łonie i w trzecim miesiącu wypływały z niej, skąpane we krwi i łzach.

Jej mąż, wuj Roger, stanowił całkowite przeciwieństwo mojego ojca. Wzrostu był średniego, smukłej budowy ciała i jak na farmera miał delikatne dłonie. Czoło miał wysokie i wyraźnie zarysowane sklepienie czaszki, bo na czubku głowy włosy zaczynały mu rzednąć. Posiadał więcej książek i broszur, niż kiedykolwiek widziałam w naszym domu. Miał starą popalcowaną Biblię, prace Increase'a i Cottona Matherów, roczniki na temat siania i sadzenia, a także inne dzieła wydrukowane na cieniuteńkim pergaminie, donoszące o wydarzeniach w koloniach. Szczególnie wyróżniała go jednak skłonność do mówienia, w przeciwieństwie do mojego ojca, który przeważnie milczał. Rogerowi Toothakerowi usta nie zamykały się od świtu do nocy, kiedy się udawał na

spoczynek. Mówił podczas posiłków i wszelkich zajęć, jakich się imał w domu w długie zimowe dni. Trzeba też dodać, że ilekroć wuj zabierał się do ostrzenia jakiegoś narzędzia czy naprawy uprzęży, zawsze w końcu pozwalał, aby Henry dokończył za niego. Zupełnie jak gdyby trud pracy wykonywanej rękami przeszkadzał mu w snuciu opowieści. Pamiętam, jak przyglądałam się kiedyś ojcu, gdy przycinał krowią skórę i robił z niej nową uprzęż do pługa. Zabrało mu to tyle samo czasu, ile wuj potrzebował, by przypiąć sprzączkę do lejców.

W czasie pierwszej kolacji siedziałam w naszym ciemnym kącie z ciężką Hanną na kolanach. Mięso było tak twarde, że musiałam najpierw przeżuć je na miazgę, zanim mogłam po kawałeczku włożyć je Hannie do ust. Prawie nie miała jeszcze zębów, a ciotka zapomniała już, jak przygotowuje się papkę dla małego dziecka. Kabaczek był dobrze ugotowany i Hanna z zadowoleniem ssała jeden jego kawałek, a mnie tłuszcz spływał po ręce na fartuch. Wuj przerwał jedzenie i odsuwając się z krzesłem od stołu, wyciągnął przed siebie nogi. Henry, mrużąc oczy, spojrzał na mnie ponad jego ramieniem.

- Ojczy, opowiedz nam historię o wędrującym duchu żołnierza - poprosił.

- Och, nie, Roger. Jest za późno - zaprotestowała ciotka, a kąciki jej ust opadły.

Zauważyła, jak Henry wykrzywia się do mnie paskudnie, i uszczypnęła go w rękę. Wuj siedział i patrzył na mnie spod ciężkich powiek, tłuszcz na jego ustach i brodzie połyskiwał pomarańczowożółto w blasku płomienia. Wyglądał jak ktoś przypieczony w piecu. Margaret się obróciła i również patrzyła na mnie poprzez ciemne włosy opadające na twarz. Napięty jak cięciwa łuk jej szyi mówił do mnie: nie wahaj się.

- Nie boję się - rzekłam więc. - Opowiedz historię. Wuj objął ramieniem Margaret i powiedział do niej:

- Najwyraźniej znalazłaś bratnią duszę w swojej kuzynce Sarze. Odsunął od siebie talerz i zapatrzył się w drewniany blat stołu, jakby miał tam rozpostartą mapę.

- W zapadającym zmierzchu, w samotnej odległej osadzie, takiej jak Billerica, ciemność z każdą chwilą gęstnieje coraz bardziej, a jedyne światło dają pierwsze wieczorne gwiazdy rozbłyskujące na niebie. Blask świecy rzuca chybotliwy cień na parapet okienny. W powietrzu czuć przerażenie wywołane obecnością kogoś lub czegoś, co prawda jeszcze niewidzialnego, ale już wyczuwalnego. Przerażenie niczym gęstniejąca mgła unosi się nad domostwami, plebanią, cmentarzem. Wkrótce każde drzewo z poszarpanymi gałęziami zaczyna przypominać uzbrojonego wroga, a każdy pień wygłodniałego stworza gotowego pożreć wszystko.

Wychudzony, kościsty żołnierz wylania się spomiędzy pokrytych purpurą dębów i wiązów pobliskiego lasu. Ubiór ma potargany i nędzny, przerażające rany skrywają skrwawione bandaże. Żołnierz wędruje od drzwi do drzwi, błagając o kęs strawy. Na każdym progu szepcze wciąż te same słowa: „Głodny, tak straszliwie głodny!”. Litościwa niewiasta słyszy jego żalosne błaganie i wynosi mu talerz jedzenia, żołnierza jednak nigdzie nie widać. Jakiś czas później głupi rodzic zapomina zaryglować drzwi. Dziecko, rudowłose dziecko, tak się składa, że dziewięcioletnie jak nasza Sara, wylania się z domu, niosąc słodki przysmak dla dzielnego wojaka. Rano podnoszą alarm. Dziecko zaginęło. Po długich poszukiwaniach jeden z mężczyzn znajduje tylko bucik rozszarpany ostrymi krzywymi zębami, strzęp mokrej i zakrwawionej halki i pęk jaskraworudych włosów. Poza tym nie znaleziono żadnych śladów dziewczynki, a słuch o głodnym duchu zaginął na wiele lat.

Niemal od urodzenia słyszałam, jak stare kobiety smętnie ostrzegają, by po zmroku nie zapuszczać się na moczary i w wąwozy, bo wiadomo, że te położone niżej miejsca nawiedzają duchy zmarłych. Ale głos mojego wuja brzmiał melodyjnie. Nie jak nudne stłumione pieśni śpiewane w domu modlitwy, lecz jak muzyka, wonna i mroczna jednocześnie. Pod wpływem jego słów poczułam ucisk w piersiach, zupełnie jakbym była małą rybką, którą wbity w mostek haczyk ciągnie pod prąd na nieznany, niebezpieczny brzeg. Proste, grubo ciosane sprzęty w izbie stały się jakby bogatsze. Ciepło ognia i żarzące się w palenisku węgle przypominały złocistą wełnę. Małe czarne szybki w oknach zmieniły się w granaty i topazy w uchu olbrzyma. Hanna zaczęła się więc i wyrywać z moich objęć, pozwoliłam więc, by ześlizgnęła się na ziemię.

- Dlaczego głodny duch zjadł dziecko, skoro ludzie chcieli mu dać normalne jedzenie? - spytałam.

- No właśnie, dlaczego - odparł ze śmiechem wuj. - Twoje pytanie świadczy, że masz żywy umysł. Ale uważaj, czasem lepiej nie pytać i zadowolić się dobrze opowiedzianą historią. Zwłaszcza jeżeli zależy ci na dobrym zdaniu narratora.

Ostatnie słowa wypowiedział z powagą, ale mrugnął do mnie wesoło, a mnie się zdało, jakby mnie objął ramieniem.

Kiedy później leżałam na swojej pryczy, wciąż brzmiał mi w uszach wznoszący się i opadający melodyjnie głos wuja, chociaż on sam już dawno udał się na spoczynek. Przespałam głęboko całą noc, ale moja wyobraźnia nie zaznała spokoju, bo następnej nocy śniły mi się demony.

NAZAJUTRZ BYŁAM zła i czułam się niepotrzebna, nie mając nic do roboty, i walczyłam z chęcią, by otworzyć jedno z małych, oprawionych w ołów okienek i wyrzucić Hannę na śnieg. Wytchnienie nadeszło podczas kolacji, kiedy wuj opowiadał o swoich przygodach na wojnie króla Filipa, ale zrobił to dopiero po naszych długich i usilnych błaganiach.

- Król Filip - zaczął, przysuwając się bliżej ognia - to angielskie imię nadane Metacomowi, wodzowi plemienia Pokanoket. Ten dumny i wyniosły wódz wierzył, że zdoła przepędzić angielskich osadników. Wojna rozpoczęła się w wiosce nieopodal Bristolu. Indianie zarżnęli krewę jednego z osadników, wobec czego ci zabili Indian. Indianie się zemścili, ścinając głowy farmerów i ich rodzin. W ten sposób zaczęła się rzeź, która zniszczyła osady na przestrzeni setek mil. - Na palcach wyliczał nazwy indiańskich plemion, co brzmiało, jakby ktoś uderzał pałeczką o drewnianą ramkę. - Indianie z plemion Nipmuck, Wampanoag i Pokanoket napadli wsie i gospodarstwa na terenie Rhode Island, Connecticut i Massachusetts. Tysiące mężczyzn pod dowództwem generała Winslowa w zwartym szyku wkroczyło na terytorium Indian, i to właśnie z nimi służyłem jako lekarz. Wyszkoleni zwiadowcy szybko odkryli obóz Narragansett. Co prawda aż do tej chwili członkowie plemienia Narragansett byli nastawieni pokojowo, ale ich wielka liczba bardzo zaniepokoiła nowych Anglików, bo wiadomo było, że lada chwila przyłączą się do swoich pobratymców. I tak wczesnym świtem ścięte drzewo połączyło brzegi strumienia, a nasze oddziały szybko najechały ich obozowisko.

Bitwa trwała krótko. Wszyscy dzielni wojownicy Narragansett zostali wysłani do piekła, co do jednego. Gdy nadeszła noc, ziemia stała się tak śliska od krwi, że żaden człowiek ani zwierzę nie mogli ustać na śniegu. Ja sam zabiłem sześciu czy siedmiu. Najdziwniejsze było, jak łatwo dali się pokonać. Zatknęliśmy ich głowy na pikach i zostawiliśmy jako przestrożę dla innych plemion.

Przerwał na chwilę, by zapalić fajkę od gałązki wyciągniętej z paleniska. Dym, który wypuścił nosem, spłynął mu dwoma strużkami po policzkach, a on podjął swoją opowieść urywanym, przepelnionym smutkiem głosem.

- Niejaki kapitan Gardner został śmiertelnie ranny w głowę i nie pozwolił się zbliżyć do siebie żadnemu medykowi poza mną. Krew płynęła strumieniem w miejscu, w którym twarz oddzieliła mu się od czaszki niczym ugotowany na miękko kasztan. Uniosłem go i zawołałem po imieniu: „Kapitanie Gardner, kapitanie Gardner, czy pan mnie słyszy?”. Spojrzał na mnie, a kiedy życie opuszczało jego ciało, podziękował mi za pomoc. Zmarł w moich ramionach. Ponieśliśmy go do Bostonu, gdzie został pochowany ze wszystkimi należnymi honorami.

Siedzieliśmy w milczeniu i patrzyliśmy, jak blask płomienia maluje na białej brzozie obrazy masakry na śniegu.

- Ojczy, pokaż nam bliznę z tej bitwy - poprosił Henry.

Ciotka gniewnie zmarszczyła czoło, ale wuj ochoczo rozpiął kurtkę i koszulę, odsłaniając paskudną bliznę biegnącą mu w dół przez pierś. Zaczynała się tuż pod lewym sutkiem, a kończyła na brzuchu.

- Nie dalej jak rok temu - rzekł na zakończenie, opróżniając fajkę z wygasłego żaru - podczas najzimniejszych miesięcy Schenectady, Salmon Falls i Falmouth zostały zaatakowane przez Francuzów i Indian. Całe setki zginęły lub zostały wzięte do niewoli. Brzuchy brzemiennych kobiet rozplatywano, główki ich nienarodzonych dzieci roztrzaskiwano o skały. Ludzie sądzili, że w czasie zimy Indianie zachowują spokój - tu spojrzał na mnie - ale wygląda na to, że ani śnieg, ani zimno nie są w stanie obronić naszych domów.

- Wystarczy! - krzyknęła nagle ciotka.

Z drżącą brodą pobiegła zaryglować drzwi, a wyraz jej oczu mówił o dniach i nocach, podczas których drżała z lęku przed atakiem na farmę Toothakerów.

W nocy wpatrywałam się w ciemność zalegającą pokój, a każdy dźwięk, każdy cień brałam za skradający się koszmar.

Przyciągnęłam do siebie Hannę jak tarczę i myślałam, że ze strachu skóra zejdzie mi z czaszki. Widziałam przerażające, pomalowane jaskrawo jak strachy na wróble twarze Indian, którzy uzbrojeni w długie i ostre noże wdzierają się do domu mojej babki. Przyszli po moją rodzinę, ale ja nie mogłam wszczać alarmu, bo moje ciało było oddalone o wiele mil. Patrzyłam, jak gromadzą się wokół pryczy mojego brata Andrew i zrywają okrywające mu głowę prześcieradło. Leżał bez ruchu, a jego bladoniebieskie oczy tkwiły w krwawej miazdze, niegdyś będącej jego twarzą. Był obdarty ze skóry jak tucznik przed zimą.

Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam Margaret klęczącą przy mnie, wpatrującą się we mnie z powagą szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami. Zaczęłam płakać, a ona nachyliła się nad moim uchem.

- Chodź, będziesz spała ze mną - wyszeptała.

Razem przeniosłyśmy Hannę do pokoju mojej kuzynki i wszystkie trzy położyłyśmy się w jej łóżku. Margaret trzymała moje dłonie w swoich i chuchała na moje palce. Jej oddech był ciepły i wilgotny, pachniał jak owsianka polana słodkim syropem. Ściągnęła usta i spod przymkniętych powiek patrzyła na mnie ze zrozumieniem.

- Nikt nie potrafi tak opowiadać jak mój ojciec. Przychodzi mu to z wielką łatwością. Ale ja też mogę opowiedzieć ci niejedną historię, Saro.

Kiedy mówiła, przypatrywałam się jej w mdłym świetle. Miała delikatną urodę i gładką białą skórę. Plotła trzy po trzy niskim, dziwnie ochrypłym głosem. Objęła mnie mocniej i przyciągnęła moją głowę do swojej szyi jak metalową bryłę do wypolerowanego na błysk magnetytu. Usnęłyśmy w trójkę, ciasno przytulone, a palce Margaret mocno splotły się z moimi. Obudziłyśmy się i ujrzałyśmy stojącą nad nami przestraszoną ciotkę.

- Margaret, coś ty zrobiła? - odezwała się. - Naraziłaś się na niebezpieczeństwo.

Leżałyśmy, wpatrując się w nią, jakby była obca we własnym domu.

- Teraz już nic na to nie poradzimy, Boże, miej nas w opiece.

Uklękła przy łóżku i zmówiła cichą modlitwę. Spojrzałam na Margaret, ale ona tylko uśmiechnęła się i kiwnęła głową, a ja w tej samej chwili uwierzyłam, że ciotka i wuj także mnie pokochają.

Odtąd w każdej przemijającej godzinie porównywałam pełnię przeżywanego dnia z suszą, jaką było życie z moją własną rodziną. Moi rodzice byli skryci i oschli, podczas gdy matka i ojciec Margaret nie szczędzili pochwał i troski. Tam gdzie moi rodzice milczeli nadąsani, jej wciąż rozmawiali i śmiali się. I chociaż Margaret śmiała się czasem ze mnie, z mojej niewiedzy i powolności, wierzyłam, że dzięki temu mój umysł się rozwija, szlachetnie, tak jak miedziana moneta nabiera połysku pocierana szorstką szmatką.

Przebywanie z Margaret przypominało trwanie wewnątrz latarni, skąd nie uciekało ciepło, ale gdzie nie miały wstępu kąśliwe owady. Nie zwracałam uwagi na jej czasem dziwne zachowanie, kiedy wpatrywała się w czubki drzew, kiwała głową i mówiła nie wiadomo do kogo: „Tak. Zrobię to”. Albo kiedy wygrzebywała niewielką dziurę w śniegu i przykładła ucho do ziemi, wsłuchując się w muzykę niesłyszalną dla nikogo poza nią. Nie widziałam w tym nic dziwnego, ponieważ była urocza i przyjęła mnie. Ponieważ była moja.

Kiedyś, gdy miałam pięć lat, moja matka zebrała bardzo dużo młodych dyń, więcej niż zdołalibyśmy przechować, zanim zgniłyby doszczętnie. Posiekałyśmy je na małe kawałki, posoliłyśmy i nakarmiły nimi krowę. Przez wiele dni mleko i śmietana były żółtopomarańczowe i smakowały, jakby ktoś

dolał miodu do wiader na mleko. Tak samo było z rodziną mojej kuzynki: ich słodko - słone usposobienia mieszały się z moim, dzięki czemu stawałam się mniej podejrzliwa i łagodniejsza.

Kuzynka i ja robiłyśmy wszystko razem. Kiedy jednej z nas polecano coś wykonać, druga natychmiast wynajdywała sposób, by zająć się tym samym. Wuj, widząc to, często mówił z wielką radością: „Ach, oto moje bliźniaczki”. A my śmiałyśmy się, patrząc na siebie, ona czarnowłosa z cerą białą jak mleko, ja z moimi rudymi jak płomień włosami i piegowatą twarzą. Rozstawałyśmy się jedynie w szabat, gdy wuj z rodziną udawali się do domu modlitwy. Hanna i ja nie mogłyśmy im towarzyszyć, ponieważ rzekomo przebywałyśmy w domu w Andover, umierając na zarazę. Razem z siostrą, zamknięte w domu i znudzone, wpatrywałyśmy się w drogę, czekając na powrót Toothakerów.

Tej zimy wciąż padał obfity śnieg i często głębokie zaspasy przykrywały dom oraz stodołę w ciągu kilku godzin. Każdego ranka przed wschodem słońca musieliśmy przekopywać ścieżkę do stodoły, łopatami, miskami, lub wręcz gołymi rękami. Gdy była oczyszczona, razem z Margaret szłyśmy po wodę do strumienia płynącego za domem. Głęboki śnieg na jego brzegach sięgał pasa i jeśli wpadłyśmy w jakąś zaspę, byłyśmy przemoczone do suchej nitki. Od rozbijania lodu na rzeczce miałam poranione ręce - choćbyśmy się nie wiem jak starały i wyrąbały nie wiadomo jak wielką dziurę, następnego dnia strumień znowu był skuty lodem. Margaret zawsze nosiła rękawiczki, by chronić dłonie przed śniegiem. Nie znosiłam, kiedy jej gładkie ręce dotykały moich szorstkich i popękanych. Patrzyłam na swoje dłonie i wstydziłam się pokrywających je stwardnień, spękanej, krwawiącej skóry na kłykciach. Moja kuzynka jednak całowała każdy mój palec po

kolei, wkładała mi swoje rękawiczki, aż pod wpływem ciepła palce powracały do życia, a ona śpiewała dziwnym melodyjnym głosem.

- I tak, widzisz, ja jestem tobą, a ty jesteś mną, ja tobą, a ty znowu mną.

Picie wody ze strumienia przypominało gryzienie kawałka metalu, który długo przebywał w śniegu, a jeśli piłyśmy zbyt łapczywie, tył głowy przeszywało nam przenikliwe bolesne klucie. Kiedy przyniosłyśmy wodę do domu, przy pomocy Henry'ego prowadziłyśmy po kolei zwierzęta na brzeg. Obawiam się, że cierpiały wielkie pragnienie, kiedy poganiałyśmy je, chcąc jak najszybciej zapędzić je z powrotem do stodoły, żeby choć trochę oszczędzić nasze przemarznęte stopy i ręce.

Rodzina Margaret miała więcej żywego inwentarza niż my. Ich stodoła nie była zbyt duża, ale porządnie zbudowana - pomagał im w tym ich najstarszy syn, Allen. Allen nie miał jeszcze własnej farmy, ale mieszkał i pracował w północnym Andover, w domu swojego przyjaciela Timothy'ego Swana. Często przychodził w porze siewu i żniw, by pomóc w pracy na ojcowskich polach i odebrać swoją część zbiorów. Któregoś dnia to właśnie Allen odziedziczył farmę wuja. W ich stodole była mleczna krowa, dwa woły, wielka maciora z ogromnym wydętym brzuchem, bo wkrótce miała mieć młode, trzy kury i kogut.

Wuj miał także dużego dereszowatego wałacha, którego używał wyłącznie pod siodło. Mówił, że koń jest zbyt szlachetny, by zaprzęgać go do wozu. Jednym z zadań Henry'ego było pilnowanie, aby siodło wuja było zawsze czyste i naoliwione. Kiedyś pokazał mi miejsce tuż pod kulą, nacięte kilkanaście razy ostrym nożem. Zdradził mi szeptem, że te nacięcia wskazują, ilu Indian jego ojciec zabił

własnoręcznie podczas wojny króla Filipa. Przesunął palcem po małych szramach na skórze.

- Któregoś dnia to siodło będzie moje i zanim skończę dwadzieścia lat, na kuli pojawi się tuzin nowych nacięć - przechwalał się.

Popatrzyłam na niego spod zmrużonych powiek i zastanawiałam się, jak też zamierza dokonać tak wielu morderstw, ponieważ nie odznaczał się ani szczególną siłą, ani tym bardziej odwagą. Być może zastawi na swoje ofiary pułapkę i zaatakuje z ukrycia, jak robił to z Hanną i ze mną.

Kiedy wuj szedł do stodoły, zawsze przynosił swojemu ukochanemu wałachowi jakiś smakołyk, kawałek suszonego jabłka albo kilka ziaren kukurydzy. Koń miał na imię Bucefał, tak jak ulubiony bojowy wierzchowiec Aleksandra, greckiego króla. Był koniem apokalipsy, ponieważ wszędzie tam, dokąd zmierzał, jego śladem podążały wojska Aleksandra, niosąc pożogę wojny. Jego imię oznaczało „głowa wołu”, co mnie rozśmieszało, gdyż wałach miał niewielki kształtny łeb.

- Ach, ale jest słowo i coś takiego jak dusza słowa - mówił wuj, grożąc mi palcem. - Bucefał nosi takie imię, ponieważ ma w sobie ducha odwagi. Patrzę na świat, Saro, i widzę go takim, jakim według mnie powinien być, a nie takim, jak widzą go inni, ciemni i ograniczeni.

- Czy wobec tego mam cię nazywać Aleksandrem, wuju?
- zapytałam złośliwie.

Roześmiał się i widziałam, że przepeliło go poczucie dumy. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że Aleksander został otruty przez swoich żołnierzy.

WIECZORAMI NAJCZEŚCIEJ siedziałyśmy z Margaret obok siebie, naprawiałyśmy zimową odzież i przyglądałyśmy się, jak Hanna bawi się kawałkami nici lub włóczki, zbyt krótkimi, by mogły się do czegoś przydać. Margaret miała bardzo zwinne palce, więc czasem udawałam, że gubię ścieg albo nie

mogę sobie z czymś poradzić, a wtedy ona ujmowała moje niezgrabne dłonie w swoje i pokazywała mi, jak powinnam prowadzić igłę. Nigdy nie wytykała mi błędów, za to zawsze wychwalała moje nieudolne starania. Gdy tak razem siedziałyśmy ze schyłonymi głowami, prawie nie poruszając ustami, wyjawiałyśmy sobie swoje sekrety. Myślałyśmy, że jesteśmy bardzo sprytne i nikt niczego nie zauważy, ale kiedyś ciotka nas zaskoczyła.

- Ileż to razy jako dziewczynka siedziałam z twoją matką, tak jak teraz ty i Margaret, i zwierzałyśmy się sobie ze swoich nadziei... - powiedziała.

Niecierpliwie szarpnęła zaplątaną nitkę, którą cerowała koszulę Henry'ego i uśmiechnęła się.

- Moja siostra potrafiła rozsupłać węzeł wielkości rodzyńka z cierpliwością, jakiej nigdy u nikogo nie widziałam.

Chwilę się zastanawiałam nad jej słowami, wiedziałam bowiem, że ma tylko jedną siostrę, moją matkę. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że ta łagodna szwaczka, o której mówiła ciotka, była tą samą kobietą, która choć odwrócona tyłem, z odległości dwustu kroków potrafiła zobaczyć, kiedy robiłam coś źle.

- Czemu nigdy nas nie odwiedzasz, ciociu? - spytałam bez namysłu. Uśmiech ciotki zbladł, a Margaret trąciła mnie w stopę, abym była cicho. Ciotka zawołała Henry'ego, żeby przyszedł i założył naprawioną koszulę. Dygocząc z zimna, siedział przykryty kocem koło ognia.

- Powiem tylko, że między mną a twoją matką nigdy nie było niezgody. Bardzo ją kocham i gdybym mogła, widywałabym ją częściej - powiedziała ciotka cicho.

W zapadającym zmroku poszłam za Henrym do stodoły i zapytałam go o przepaść dzielącą nasze rodziny. Skrzyżował ramiona i prychnął.

- Twój ojciec uważa, że mój ojciec go oszukał w sprawie jakiejś ziemi. Ale to kłamstwo i powalę każdego, kto tak mówi.

Chociaż nie przepadałam za moim ojcem za jego surowość i skrytość wobec mnie, nie potrafiłam sobie wyobrazić, aby mógł kiedykolwiek postąpić nieuczciwie. Jednakże tego zarzutu wobec niego nie mogłam wyjaśnić jeszcze przez wiele następnych miesięcy.

- Ale co to ma wspólnego z ciotką i moją matką? - spytałam, kręcąc głową.

- Obowiązkiem żony jest zawsze podążać za mężem - odparł wyniośle Henry.

Rzekł to z wielką pewnością siebie, ale ja wiedziałam, że powtarza słowa jakiejś zasłyszanej homilii.

- Moja matka zawsze słucha męża - dodał. - Twoja matka nigdy tak nie postępuje, przez co jest bezczelna i ma rozwiązy...

Zdziwił się bardzo, kiedy pchnęłam go na zagrodę. Nie był silny, ale wyższy ode mnie o głowę i żylasty. Ja mogłam myśleć o mojej rodzinie źle, on jednak nie miał prawa wyrażać się o niej niepocholebnie. Zostawiłam go z otwartą gębą, miotającego przekleństwa, a później, kiedy przyszedł na kolację, wrzuciłam mu do jedzenia kurze łajno.

JAK TYLKO TO było możliwe, opowiadałyśmy sobie z Margaret różne skandaliczne historie. Jeśli ciotka przyłapała nas na tym, upominała nas łagodnie, że plotkowanie to grzech, musiałyśmy więc bardzo uważać. Sekrety Margaret były znacznie ciekawsze od moich, ale była przecież starsza ode mnie o dwa lata i bardziej doświadczona. Zdawała się znać mnóstwo pikantnych historyjek o sąsiadach, mnie jednak nieodmiennie fascynowała jej wiedza o niewidzialnym świecie. Potrafiła rozpoznać czarownicę po znamionach na ciele. Brodawka czarownicy może z pozoru wyglądać jak

zwyczajny pieprzyk lub narośl na skórze. Czarownica nie zmówi Modlitwy Pańskiej, nie zacinając się na każdym słowie. Czarownica wrzucona do wody nie tonie, lecz raczej unosi się na jej powierzchni, jakby sama ciecz nie chciała przyjąć w siebie trucizny. A ponieważ ja, gdyby ktoś wrzucił mnie do morza, poszłabym na dno jak kowadło, nie wątpiłam w jej mądrość. Kiedy spytałam ją, skąd o tym wszystkim wie, odparła, że jej ojciec jako człek uczony podzielił się z nią tą wiedzą, ponieważ wszędzie tam gdzie są kobiety, są też czarownice.

- Poza tym - powiedziała, błędząc wzrokiem po coraz głębszych cieniach późnego popołudnia - czułam, jak fruwały nad naszym dachem, kiedy jastrzębiec ukorzenia się przy pełni księżyca.

- Ciekawe, czy także teraz są w Billerice? - zapytałam, myśląc na głos. Margaret nachyliła się ku mnie.

- Możesz być tego pewna - rzekła.

Opowiedziałam jej, choć niewiele tego było, co zasłyszałam na targowiskach albo na ulicach, i nawet jeżeli trochę naciągałam fakty, to jedynie po to, by dodać moim opowieściom nieco pikanterii, jak czosnek przydaje smaku mięsu. Nie chciałam, żeby moja kuzynka miała mnie za dziecko niemające pojęcia o sprawach tego świata. Po raz pierwszy dzieliłam sekrety z drugą dziewczynką, dochowując tajemnicy. Przez te wszystkie lata, które upłynęły od tamtego czasu, przekonałam się, że kobiety ukazują swoje prawdziwe ja w zgoła inny sposób.

Wspólne tajemnice budują więź między kobietami, gdyż ich posiadanie stanowi dowód zaufania. Dochowanie sekretu świadczy o wiarygodności i swego rodzaju cichym sprzeciwie. W kobiecej naturze leży skrywanie sekretu w sercu, póki nie nadejdzie pora na jego ujawnienie. Czyż nie w ten sposób właśnie jest ukształtowane ciało kobiety? Kobieta posiada

ciemne i tajemnicze miejsce, w którym dziecko bezpiecznie rośnie, aż dojrzeje na tyle, by się narodzić. I podobnie jak narodziny, sekrety objawiają się w różny sposób. Niektóre wyskakują na świat z łatwością, inne trzeba wyciągać siłą, gdy ciało broni się przed ich wyjawieniem.

POD KONIEC STYCZNIA śnieg przestał padać, za to wydawało się, że zamarza otaczające nas powietrze. Zaspasy zamieniły się w lodowe fortece, a strumień ściał tak gruby lód, że musieliśmy topić jego bloki nad ogniem, by mieć wodę do picia i gotowania. Zwierząt nie można było wyprowadzać na zewnątrz na zbyt długo, aby nie okulały, stały się więc niespokojne i szarpały przytrzymujące je więzy. Któregoś dnia wczesnym rankiem poszliśmy z Margaret je nakarmić, ale musiałyśmy uważać, by nie znaleźć się zbyt blisko wierzgających wołów i krowy. Bucefał kołysał się w przód i tył w swoim boksie, potrząsał głową i wywracał oczy. Wzięłam z piwnicy kawałek jabłka, żeby go uspokoić, i kiedy podeszłam bliżej, dostrzegłam mężczyznę kryjącego się w sianie.

Przez chwilę stałam bez słowa, a ów człowiek przyglądał mi się ze strachem spod otulających go ubrań i szali. Był młody i miał poczerwieniałą z zimna twarz. Ale skóra pod oczami wydawała się popękana, a w dolnych powiekach zbierał mu się płyn, jak u kogoś z wysoką gorączką. Przypomniał mi się mój brat, z twarzą pokrytą chorobliwymi rumieńcami i poszarzałą, niezdrową skórą pod oczami. Mężczyzna podniósł dłoń, nie wiedziałam, czy pokornie, czy też raczej ostrzegawczo. Margaret stanęła za mną i dobiegł mnie jej głośny urywany oddech. Mężczyzna poruszył ustami, chcąc się odezwać, z początku jednak nie potrafił wykrztusić słowa, jakby miał opuchnięty język.

- Błagam, miejcie litość i dajcie mi wodę i strawę albo przyjdzie mi tu zemrzeć - rzekł w końcu z trudem.

Jęknął i zadygotał pod sianem. Zaczęłyśmy się cofać, a on wyciągnął ku nam ręce jak człowiek, który tonie.

- Błagam, nie uczynię wam krzywdy. Wezmę jedzenie, chwilę odpocznę, a potem odejdę.

Margaret zbliżyła się do niego.

- Jesteś kwakrem - rzuciła oskarżycielsko.

Mężczyzna spuścił głowę, ciężko dysząc, ale się nie odezwał.

- Jeżeli mój ojciec zobaczy, że wdarłeś się na naszą farmę, odda cię w ręce konstabla.

Mężczyzna usiłował wstać, podciągając się na deskach boksu, ale nie zdołał i przycupnął na piętach.

- Może powinniśmy przynieść mu coś do jedzenia? - szepnęłam, szarpiąc kuzynkę za płaszcz. - Wygląda bardzo źle.

Margaret odciągnęła mnie na tyle, by obcy nie mógł nas usłyszeć.

- Ojciec mówi, że kwakrzy to heretycy i należy ich unikać. A poza tym ten tutaj może mieć ospę.

- Och - odparłam, nie mając pojęcia, co to takiego heretyk. Popatrzyłam na mężczyznę i zrobiło mi się go żal. Margaret nagle chwyciła mnie za przegub i nachyliła się ku mnie.

- Pomożemy mu - szepnęła mi do ucha. - To będzie nasza tajemnica. Nie wolno nam nic powiedzieć ojcu ani matce, bo spotka nas kara, i to surowa.

Uśmiechnęłam się do niej i skinęłam głową. Bardziej cieszyło mnie, że będę dzielić z kuzynką tak niebezpieczny sekret, niż udzielenie pomocy obcemu.

- Musimy postępować sprytnie. Matka pilnie strzeże spiżarni.

Po południowym posiłku Margaret wymyśliła jakąś bajeczkę, że rzekomo zapomnialiśmy wziąć ziarno dla

któregoś ze zwierząt. Nie mogłam wyjść z podziwu, że kłamstwo przyszło jej tak łatwo. Udało nam się przemycić do stodoły trochę chleba, mięsa i kubek cydru, na czym nikt nas nie przyłapał, pilnowaliśmy się jednak, by zbytnio się nie zbliżać do nędznego człowieka. Biedak był tak wygłodniały, że połknął wszystko, niczego niemal nie gryząc. Wypił cydr i padł na słomę jak martwy. Przez chwilę przyglądałyśmy się, jak śpi, wsłuchując się w świszczący oddech dobywający się z jego krtani.

- Przystojny, prawda? - spytała Margaret.

Zgodziłam się z nią, chociaż dla mnie wyglądał jak każdy inny młody mężczyzna. Zostawiłyśmy go w przegrodzie, obiecując szeptem, że rano wrócimy i przyniesiemy więcej jedzenia.

Wieczorem leżałyśmy z Margaret przytulone w łóżku, wpatrując się w światło dogasającego ogarka świecy. Nasze stopy i dłonie były splecione jak dwa zimnowodne węgorze. Ciotka tak bardzo przywiązała się do Hanny, że co noc zabierała ją do swojej sypialni. W zgięciu łokcia mojej kuzynki leżała lalka, którą zrobiła ciotka. Miała włosy z czarnego sznurka i czerwoną spódnicę. Tkanina połyskiwała lekko, odbijając światło, w dotyku przypominała skórę świeżo ostrzyżonego jagnięcia. Wuj przywiózł materiał z Bostonu, gdzie wiele eleganckich dam nosiło spódnice i staniki w takim właśnie kolorze. Ciotka była zbyt skromna, by założyć suknię z takiego materiału, ale odcięła jego kawałek, by uszyć spódniczkę dla lalki. Margaret szepnęła do mnie, że ojciec wpadł w wielką złość, kiedy zobaczył, co ciotka zrobiła, i zabrał jej całą belę tkaniny. Co z nią później zrobił, Margaret nie miała pojęcia.

Moja lalka miała o wiele skromniejszą sukienkę, ale według mnie była lepiej zrobiona. Margaret własnoręcznie przyszyła guziki, które dał mi Tom. Oczka z guzików trochę

zszpeciły buzię lalki, nadając jej nieco złowrogi wygląd. Czasem kiedy na nią patrzyłam, nachodziły mnie przerażające wizje mojej rodziny umierającej na ospę.

Kiedy zamknęłyśmy oczy, rytm naszych oddechów przypominał kroki dwóch koni zaprzęzonych w sanie.

- Margaret, skąd wiedziałaś, że to kwakier? - zapytałam ją. Poruszyła się lekko.

- Bo tylko oni mówią w ten sposób.

- Margaret, co to jest heretyk?

Poza tym że uwielbiałam wyciągać od niej wiedzę, wielką przyjemność sprawiało mi samo wymawianie jej imienia.

- To ktoś, kto postępuje wbrew słowu Bożemu - padła odpowiedź.

- A dlaczego kwakier jest heretykiem?

Margaret nie odpowiedziała od razu i pomyślałam, że mnie nie usłyszała, wkrótce jednak poczułam jej oddech na swojej szyi.

- Kwakier jest heretykiem, ponieważ nie słucha żadnego ze sług Kościoła, lecz wyłącznie głosu własnego sumienia. Kwakrzy wierzą, że Bóg mieszka w ich ciałach obok wszystkich narządów i przemawia do nich, sprawiając, że trzęsą się i dygoczą jak w febrze.

- Bóg rzeczywiście do nich przemawia?

- Ojciec mówi, że nie. - Ziewnęła i położyła swoją nogę na mojej.

- Spadają na nich ciężkie kary. Czy Bóg przemawiałby do tych, których odrzucają namaszczeni kapłani? Saro, śpij już.

- W takim razie dlaczego mu pomogłaś?

Na wpół otworzyła ciężką powiekę i jeden kącik jej ust uniósł się w górę - tak samo jak u wuja, kiedy się uśmiechał - dzieląc jej twarz na dwie połowy: jaśniejszą, uśmiechniętą, rozbawioną zmianami zachodzącymi w doczesnym świecie, i ciemniejszą, zasmuconą zamroczeniem wariatki lub świętego

bliskiego rozpaczy lub zachwytu z powodu własnej samotności.

- Chciałam mu pomóc, Saro, ponieważ o n i mi kazali.

Rękę wciąż trzymała przy mojej twarzy, chociaż powieki już jej opadały.

- Oni... Margaret, kim są oni?

Dmuchnęłam jej delikatnie w twarz, żeby ją obudzić, i raz jeszcze otworzyła oczy.

Powoli podniosła palec i wskazała na coś za moimi plecami. Odwróciłam głowę, ale zobaczyłam tylko ciężką komodę, w której trzymałyśmy nasz skromny przyodziewek. Przyciągnęła mnie do siebie.

- Ludziki w kredensie, Saro - szepnęła.

Patrzyłam, jak pogrąża się we śnie. Jej białoniebieska skóra połyskiwała w ciemnościach, a gałki oczne poruszały się pod spuszczone powiekami. Włoski porastające mi ramiona stanęły dęba, jakby owiał je chłodny podmuch. Zerknęłam z lękiem przez ramię, ale nie usłyszałam ani nie zobaczyłam nic poza zawodzeniem wiatru na zewnątrz i cieniami układającymi się w znajome kształty łagodnego snu. Jej szaleństwo było tajemnicą, której ochoczo dochowam. Zanim sama zasnęłam, wtuliłam się bliżej w bijące od niej ciepło, i pocałowałam ją.

Następnego ranka zaniósłszyśmy mężczyźnie w stodole jabłko i kawałek chleba. Ale jego już nie było. Przeszukałyśmy każdy boks, wspięłyśmy się nawet na stryszek, ale nie znalazłyśmy go. A ponieważ w nocy padał śnieg, żaden ślad biegnący od stodoły nie potwierdzał, że obcy był prawdziwym człowiekiem, a nie mrzonką powołaną do życia przez naszą wyobraźnię.

PÓŻNYM POPOŁUDNIEM, tuż przed wieczornym posiłkiem, Margaret, Henry i ja mieliśmy lekcje czytania, pisania i historii. Jedynym celem owych nauk było przygotowanie nas

do czytania Pisma. Ja umiałam napisać tylko kilka słów. Wuj mnie zapytał, czy matka zadała sobie kiedykolwiek trud uczenia mnie. Odparłam, że nie, choć tak naprawdę matka próbowała uczyć mnie czytania i pisania, jednakże mój upór powiązany z jej brakiem cierpliwości sprawił, że zostałam nieukiem.

Margaret potrafiła czytać bardzo trudne fragmenty Biblii. Ja siedziałam obok niej z brodą wspartą na dłoniach i wpatrywałam się w jej usta, które wypowiadały trudne i na wpół tylko zrozumiałe słowa proroków. Dźwięk jej głosu przypominał dotyk delikatnej chusty muskającej moje uszy. Wieczorem, gdy naczynia były już umyte i wytarte do sucha, a ogień przygasał, wuj opowiadał nam o pierwszych koloniach i czasach jeszcze wcześniejszych, kiedy w Starej Anglii pojawiły się pierwsze kłopoty. Po chwili cienie na ścianach stawały się morderczym tańcem Indian, dzierzących w wysoko uniesionych dłoniach skrwawione skalpy. Gałąź spadająca na dach stawała się odciętą głową króla Karola I, toczącą się po stopniach szafotu przy Whitehall Gate. Za każdym razem opowieści wuja były coraz dłuższe i barwniejsze.

Znał także najróżniejsze sztuczki, które można robić rękami. Potrafił w tajemniczy sposób sprawić, że jakiś przedmiot znajdował się nagle w zupełnie innym miejscu, i tak zręcznie odwracał naszą uwagę, że w żaden sposób nie mogliśmy dostrzec, jak to robi. Umiał ukryć w dłoni monetę, by po chwili wyjąć ją z kubka z cydrem na drugim końcu stołu. Wyjmował kurze jajko z włosów na czubku głowy Henry'ego albo piórko zza mojego ucha. Kiedyś złączył dłonie moje i Margaret, po czym teatralnym gestem wyjął spomiędzy nich kawałek koronki. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Margaret mogła mu pomagać, ukrywając koronkę w szerokim rękawie.

W czasie styczniowych zamieci wuj spędzał z nami dużo czasu. Nie było tematu, na który nie miałby wyrobionego zdania. Wystarczyło kilka dobrze zadanych pytań, by zaczął szczegółowo się rozwodzić na temat jakiegoś wydarzenia z zamierzchłej przeszłości, przepisu prawnego, natury człowieka lub tajemnic boskości. Kiedy jednak nastał luty i zimno utwardziło lód na drogach, w domu Toothakerów zaczęło narastać napięcie i niepokój. Na ogół pogodnie usposobiony wuj teraz stał się niecierpliwy i często się pogrążał w ponurym milczeniu. Stawał w otwartych drzwiach, przestępując z nogi na nogę, póki ciotka nie zawołała, żeby je zamknął. Chodził niespokojnie z kąta w kąt po pokoju dziennym, pobudzony i zły na każdego.

Niejednokrotnie wczesnym rankiem wyruszał dokądś na Bucefale i wracał dopiero na kolację. W takie dni, kiedy już wszyscy udaliśmy się na spoczynek, przez ściany sypialni docierał do nas szloch ciotki. Z początku sądziłam, że cierpi z powodu mojej matki i babki, bo często modliła się, aby udało im się ująć śmierci. Jednakże wkrótce zrozumiałam, że płacze z powodu ciągłej nieobecności wuja.

Jedyną pociechę przynosiły jej chwile, kiedy tuliła siedzącą na jej kolanach Hannę, która mówiła do niej „mamo”. Uśmiech malujący się na twarzy ciotki sprawiał, że pragnęłam zająć miejsce Hanny i tak jak ona być tulona, głaskana i obsypywana czułymi słówkami. Rano wuj spał jeszcze długo po tym, jak zapiał pierwszy kur, a łagodny smutek ciotki pogłębiał się i tężał wokół niej jak drożdżowa posypka. Uporawszy się ze wszystkimi obowiązkami, otulała się ciasno szalem i całymi godzinami siedziała zapatrzona w płonący na palenisku ogień.

Wreszcie, w pierwszym tygodniu marca, wyglądało na to, że wuj nie wróci w ogóle. Zmrok dawno zapadł, a my zjedliśmy kolację bez niego w ponurej, milczącej atmosferze.

Gdy posiłek dobiegł końca, ciotka siedziała przycupnięta na brzeżku krzesła i wpatrywała się w drzwi. Margaret, Andrew i ja czekaliśmy cierpliwie, żeby w końcu przerwała milczenie. Siedzieliśmy, aż plecy nas rozboleły, jednocześnie usilnie się starając, by Hanna zbytnio nie rozrabiała. Ogień przygasł i żarzył się tylko, gdy w końcu usłyszeliśmy szczęk uprząży Bucefała zmierzającego ku stodole. Wkrótce do domu wszedł wuj i ujrzał grupę posągów siedzących przy jego stole. Włosy miał rozczochrane, jakby gnał w porywistym wietrze, a na ubraniu widniały jakieś ciemne plamy. Podszedł do paleniska krokiem człowieka walczącego z przechyłami statku. Jego odzież wydzielala mdlący i słodki zapach przypominający woń kwiatów unurzanych w ziołach. Zaczął łapczywie pić z wiadra, oblewając sobie pierś wodą. Obrócił się ku nam i zaśmiał, prychając powietrzem spomiędzy zamkniętych suchych ust.

- Czas, abyśmy poszli wszyscy spać. Mary... chodź już do łóżka. Ciotka wstała i biorąc Hannę za rękę, udała się do sypialni i zamknęła

za sobą drzwi. Szczęk ryglowanej zasuwki odbił się głośnym echem po całym domu. Nasza trójka - Margaret, Henry i ja - siedziała dalej przy stole w pełnym napięcia milczeniu. Wuj stał przez chwilę ze spuszczoną głową i mamrotał coś do siebie. Chwycił się oparcia krzesła, jakby z obawy, że upadnie, zaraz jednak zbliżył się do stołu i usiadł ciężko koło mnie. Czułam mocny słodkawy zapach jego oddechu, widziałam nabiegłe krwią oczy. Margaret i Henry siedzieli ze wzrokiem wbitym w swoje dłonie i spuszczonejmi głowami, jakby czekali na karę. Aż do tej chwili widziałam wuja tylko uśmiechniętego i w dobrym humorze.

- Wuju, co się dzieje? - odważyłam się w końcu zapytać. - Co się stało?

Spojrzał na mnie, a głowa chwiała mu się niebezpiecznie na karku jak obłuzowany kamień gzymsowy, który lada chwila spadnie.

- Czary, Saro - powiedział. - Znowu uprawiałem czary. - Mówił niewyraźnie, jego słowa zlewały się, jak gdyby stracił panowanie nad wargami. Nachylił się ku mnie i przyłożył mi palec do ust. - Ciiiiiiiiiiiiiiiiiii... Zdradzę ci sekret, dobrze... Saro? Próbowałem... zniknąć.

Ostatnie słowo wypowiedział prawie niesłyszalnie, owiewając mnie cuchnącym oddechem.

Popatrzyłam na Margaret, ale miała spuszczone oczy, a wuj popukał mnie w głowę, bym słuchała go uważnie.

- Próbowałem zniknąć, ale jak widzisz, wciąż tutaj jestem. Tutaj, w Billerice. Na tej pustyni zamieszkaną przez pospolitych farmerów, ich żony, bachory, świnie i psy... jestem człkiem uczonym, Saro! Służyłem pod kapitanem Gardnerem jako jego chirurg...

Umilkł na chwilę, wyraźnie zły. Błędnym wzrokiem omiótł pokój, po czym westchnął i skulił się na krześle. Wpatrywałam się w spokojną, obojętną twarz Margaret i jej opanowanie przyniosło mi ulgę. Jednakże na widok twarzy Henry'ego poczułam litość. Spod spuszczonej rzęs płynęły mu łzy, a policzki miał zaczerwienione. Wargi mu drżały i dygotał na całym ciele. Chociaż dokuczał Hannie i mnie i potrafił być okrutny, mimo wszystko był wciąż tylko chłopcem, dla którego dobre słowo ojca było wszystkim. Wuj nachylił się i niezgrabnie ujął mnie za rękę.

- Wciąż jesteś bliźniaczką Margaret, prawda? - Skinęłam głową, on także kiwnął swoją łagodnie, boleśnie ściskając mi palce. - Jesteś tak samo Toothakerem jak każde z nas. Odtąd będę dla ciebie ojcem... lepszym ojcem, niż ktokolwiek inny z krwią na rękach może być.

Margaret wstała nagle.

- Ojciec - rzekła. - Pora, abyśmy poszli spać.

Chwyciła mnie za fartuch i pociągnęła za sobą do sypialni. Wkrótce przyszedł Henry, poskrobał w drzwi i poprosił, abyśmy pozwoliły mu spać przy nas, na podłodze. Długo jeszcze słyszeliśmy, jak wuj hałasuje w pokoju dziennym, aż wreszcie z jękiem zwałił się na ziemię obok paleniska.

Kiepsko spałam tej nocy, dręczona snami o rzezi. W sennych majakach widziałam ojca zbliżającego się do zagrody dla świń z siekierą na ramieniu. Wybrał dorosłą, porośniętą szczecina świnie, która przy jego imponującej posturze wydawała się malutka, i kwiczącą przeraźliwie jak człowiek zaciągnął w cień stodoły. Rozległy się stłumione odgłosy szarpaniny, potem świst powietrza i lepki, mięsisty dźwięk metalu tnącego żywe ciało.

W DRUGIM TYGODNIU marca siedzieliśmy z Margaret, stykając się kolanami, zakopane głęboko w słomie obok zagrody maciory. W powietrzu unosił się gryzący smród, jakby stopionej miedzi i czegoś jeszcze... mięsa pozostawionego zbyt długo na powietrzu. Wiał silny wiatr i łomotał o deski, wpychając przez szpary tumany śniegu. Maciora właśnie urodziła swoje prosiaki i przyglądałyśmy się, jak żarłocznie ssą mleko z nabrzmiątych sutków, odpychając się nawzajem ryjkami. W sumie było sześcioro prosiąt i zabawiałyśmy się, nadając im imiona złoczyńców z Biblii. Najgrubszego, szarego prosiaka, nazwałyśmy Goliat. Najbardziej żarłoczny, łaciaty, został Judaszem. Dalej był Piłat, Herod i Faraon. Na końcu przyszedł czas na ładną samiczkę w paski. Siedzieliśmy w ciszy. Ja z głową wspartą o ramię Margaret bawiłam się kosmykiem włosów, który się jej wymknął spod czepka.

- Szkoda, że nie ma tu twojego ojca. On wiedziałby, jak nazwać prosiaka. Wuj na powrót stał się łagodnym człowiekiem i nie wracał już do domu rozwścieczony, chociaż

w dalszym ciągu często wyjeżdżał nocą i wracał z oddechem cuchnącym piwem. Margaret siedziała zamyślona, nie odzywając się.

- Dokąd udaje się twój ojciec, kiedy wyjeżdża z domu? - zapytałam ją, by przerwać milczenie.

Poczułam, jak sztywnieje pod moim policzkiem, i pożałowałam swojej ciekawości.

- Ojciec jeździ do miasta, gdzie leczy ludzi - odrzekła.

Po sposobie, w jaki wpatrywała się w swoje buty, by nie patrzeć na mnie, domyśliłam się, że kłamie.

- A może nazwiemy świnkę Nierządnicą? - wpadłam na pomysł. Słyszałam to imię, gdy wieczorami czytaliśmy Biblię, i wydało mi się niebezpieczne, jak rzadkie perfumy robione z piżma i lilii z krainy Ur. Uśmiechnęłam się na myśl, że świnka nosiłaby takie ekstrawaganckie imię.

Margaret jednak zmarszczyła czoło i odsunęła się.

- To nie jest imię. Nierządnicą to taka kobieta - powiedziała.

- Jaka kobieta? - spytałam, wyczuwając, że zaraz poznam kolejny sekret.

- Najgorsza z możliwych. Jak możesz nie wiedzieć, kim jest nierządnicą? - Wstała i gwałtownym ruchem otrzepała nogi ze słomy. - Nierządnicą to taka kobieta, które idzie z mężczyzną, który nie jest jej mężem. - Kiedy nic nie rozumiejąc, potrząsnęłam głową, mówiła dalej. - Kobieta, która pokłada się z mężczyzną w grzechu.

- Jakim grzechu? - W milczeniu przypominałam sobie wszystkie znane mi grzechy: obżarstwo, lenistwo, kłamstwo...

Nachyliła się blisko i wyszeptała, każdą sylabę wypowiadając z osobna.

- Cu - dzo - łós - two. Wiesz, co to znaczy?

Margaret zrobiła z palców jednej ręki kółko i zaczęła przesuwać przez nie palec drugiej tam i z powrotem ruchem,

który nawet ja zrozumiałam. Zaczerwieniłam się, bo wtedy dotarło do mnie, że to co często robiły zwierzęta między sobą, robią także kobieta z mężczyzną.

Kuzynka usiadła znowu i przyciągnęła moje ucho tuż do swoich ust.

- Mam ci zdradzić sekret? - zapytała. - Czy wiesz, jak nazywają się te nierządnice? - Gdy zaprzeczyłam ruchem głowy, zaśmiała się z goryczą. - Dziwki - powiedziała gwałtownie. Towarzyszył temu gwałtowny wydech, który sprawił, że słowo zabrzmiało groźnie i ostatecznie. - Mieszkają w tawernach, czuwają w gospodach i przydrożnych zajazdach, zastawiając pułapki na mężczyzn. Wmuszają w nich alkohol, ubierają się jaskrawo, nie noszą szali na stanikach, żeby nie zasłaniać dekoltu. Malują usta na taki sam kolor jak ich dziurki i zlewają się zapachami.

Pomyślałam o wuju, jak w kurcie przesiąkniętej jakimś słodkim obcym zapachem wtacza się do pokoju, i znowu zaczerwieniłam się na myśl, że może przebywać w takich miejscach. Nie miałam pojęcia, skąd Margaret wiedziała o tym wszystkim, bo z całą pewnością nie od ciotki.

- Czy tam właśnie wuj chodzi wieczorami? - zapytałam łagodnie. Bezmyślnie zdjęła z mojej spódnicy źdźbło słomy i milczała jakiś czas, jakby nie do końca przekonana, czy powinna zdradzić coś więcej.

- Którejś nocy go śledziłam - rzekła w końcu. - To było ubiegłego lata. Usłyszałam, jak wychodzi, chociaż matka od dawna już leżała w łóżku. Kłócili się o to, że ciągle nie ma go w domu. Myśleli, że Henry i ja śpimy, ale ja nie mogłam. Usłyszałam, jak matka mówi, że skoro nie potrafi być przyzwoitym mężem, niech się wynosi i idzie mieszkać ze swoimi dziwkami.

Pomiędzy jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka i nagle moja kuzynka wydała mi się dużo starsza.

- Do tawerny jest jakieś dwie mile. Podkrađłam się tam i kiedy zajrzałam ukradkiem przez okiennice, zobaczyłam go. Zobaczyłam ojca nad kieliszkami i kobietę siedzącą obok niego. Wyglądała ordynarnie, miała zwały tłuszczu i włosy w kolorze starej miedzi... Słyszałam... - Na jej blade, matowe policzki wystąpiły dwie czerwone plamy, ale w oczach miała pustkę. - Ojciec nigdy nie zrobiłby takich rzeczy ani niczego takiego by nie mówił, gdyby ta kobieta go nie urzekła. Więc przeklęłam ją, żeby umarła, zanim rok dobiegnie końca. - Obróciła się ku mnie z rozwartymi ustami, na których nie było uśmiechu. - W listopadzie zaraziła się ospą i umarła.

Ileż to razy słyszałam, jak wuj twierdził, że odwracał zaklęcia czarownicy.

- Zabić czarownicę za pomocą zaklęcia to dobry uczynek - powiedział kiedyś.

Ale to, co podobno zrobiła Margaret, nawet jeżeli chciała w ten sposób ratować ojca, sprawiło, że zaczęłam dygotać od wewnątrz i musiałam się objąć ramionami, by się uspokoić. Nawet jeżeli było prawdą, że miedzianowłosa kobieta rzuciła czary na wuja, jej zaklęcie musiało działać także zza grobu, bo jak inaczej tłumaczyć fakt, iż nadal schodził na złą drogę?

Margaret wyciągnęła ramiona i pozwoliłam, aby przytuliła mnie i ogrzała swoim ciepłem.

- Saro - rzekła cicho - musisz mi obiecać, że matka już nigdy nie usłyszy, jak pytasz, dokąd ojciec jeździ. To ją bardzo denerwuje.

Siedziałam z głową wspartą na jej ramieniu, a ona kołysała mnie jak dziecko, póki nie przestałam dygotać z przerażenia. Zdradziła mi wielki sekret, za co pokochałam ją jeszcze mocniej. A nawet jeżeli w owej chwili napawała mnie lękiem, stała się dla mnie tym bardziej tajemnicza i cudownie obca. Kiedy w końcu zamknęłyśmy stodołę, by wrócić do domu, postanowiłyśmy nadać ostatniej śwince imię Jezabel.

KONIEC MARCA bywa na ogół najgorszą porą roku. Nagle wiatr staje się ciepły i wilgotny, niosąc obietnicę wielkiej odwilży. Drzwi domostw stają otworem, ciepły przyodzievek i wełniane okrycia wędrują do skrzyń, gdy niespodziewanie zimny morderczy wicher zrywa się na powrót i topi świat w śniegu. Właśnie podczas takiej fałszywej wiosny wuj oznajmił, że czeka nas przybycie gościa w osobie wielbnego Nasona z Billeriki. Jak powiedział, wielbny jest człowiekiem powszechnie szanowanym i o wielkim intelekcie. Hanna i ja miałyśmy pozostać ukryte w pokoju Margaret, gdzie też zjemy kolację. Nasz widok dałby okazję do zbyt wielu pytań.

Ciotka odrobinę denerwowała się przygotowaniami. Gorączkowo przesuвано sprzęty, wietrzono bieliznę, a Margaret i ja co chwilę byłyśmy posyłane po wodę ze strumienia, potrzebną do szorowania i gotowania. W dniu, w którym wielbny miał nas odwiedzić, zostałam wysłana do piwnicy. Siedziałam w zimnie, sortując jabłka w koszyku, naburmuszona i zła. Otwarty właz przepuszczał tylko odrobinę światła do głębokiej dziury, której odległe ściany ginęły w mrocznych oparach.

Czułam się mocno dotknięta, że nie pozwolono mi uczestniczyć w wieczornym przyjęciu, gdyż nie dość, że miał na nim być wielbny, oczekiwano również przybycia najstarszego brata Margaret, Allena. Owsianka, którą zjadłam na śniadanie, zalegała mi w żołądku jak zepsute jajko. Popatrzyłam na jabłko leżące w zagłębieniu mojego fartucha. Lśniący miąższ nie zmienił się przez długie miesiące leżenia w piwnicy, ale skórka pociemniała i nabrała barwy matowej rdzy. Przebiłam ją zębami i znajdująca się pod nią biel stała się brązowożółta, jak czające się nad moją głową cienie.

Przed zapadnięciem zmroku dostałyśmy z Hanną posiłek i kazano nam się udać do pokoju Margaret. Wraz z zachodem słońca wielbny Nason stanął w progu domu. Wcześniej

Margaret pokazała mi, gdzie w ścianie jest dziura, i teraz, zasłaniając usta Hanny ręką, przyłożyłam oko do otworu. Wielebny był człkiem pokaźnej postury, za to o zadziwiająco małej głowie. Skórę miał bladą i błyszczącą, jakby posmarowaną białkiem jajka. Oczy tkwiły mu głęboko w czaszce, a uszy, jak na kogoś tak postawnego, były drobne. Przypominał wielgachny bochen chleba, zbyt mocno zaprawiony drożdżami przez piekarza. Siedziałam, wstrzymując oddech, ponieważ jego wzrok bacznie omiatał każdy zakątek pokoju, i byłam pewna, że widzi moje oko przyciśnięte do dziury w ścianie. Oglądał każdy sprzęt w domu, dotykał obrusa, sprawdzał łączenia w każdym krześle, podnosił cynowe kubki, ważąc ich ciężar w dłoni.

Wkrótce po nim zjawił się Allen i od początku nie przypadł mi do gustu. Był ciemny, o wysokim czole, jak jego ojciec, lecz o twarzy wąskiej niczym u fretki. Usta miał pełne, nieproporcjonalne w stosunku do oczu, zbyt blisko osadzonych, by mogły wzbudzać sympatię. Minę miał jak człowiek jedzący chleb umaczany w occie i nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że czerpie przyjemność ze straszenia małych dzieci i dręczenia zwierząt.

Wielebny chwalił przygotowane przez ciotkę potrawy, na obronę swej żarłoczności cytując Biblię.

- Jak pani wie, moja dobra pani Toothaker - powiedział, plując jedzeniem po całym stole - w Księdze Izajasza, rozdział dwudziesty czwarty, wers szósty, łaska Wszechmogącego spływa na nas poprzez chleb na stole. Zaiste ta uczta godnie naśladuje duchową strawę świętych nauk naszego Pana.

Można by pomyśleć, że ciotka podała na kolację anielski chleb, a nie stary śmierdzący kawał baraniny. Przeżuwając, wielebny wydłubywał sobie spomiędzy zębów chrząstki i kawałki tłuszczu, a ociekające sosem ręce wycierał w spodnie. Tak upajał się brzmieniem swojego głosu, że zamykał usta

wyłącznie wtedy, gdy musiał przełknąć. A jako że wuj i Allen równie mocno pragnęli być wysłuchani, ledwo jeden zdążył skończyć, gdy drugi już mu wchodził w słowo. Chwilami wszyscy trzej mówili naraz, przekrzykując się jak holenderscy kupcy w targowy dzień.

Powieki zaczynały mi już opadać, gdy nagle dobiegły mnie słowa wielebnego.

- Wszystko wskazuje na to, że epidemia ospy wygasa. W minionym miesiącu zmarło zaledwie sześć osób. Troje pochodziło z rodziny kwaków, z czego jeden zbiegł. Możemy tylko dziękować Bogu, że uwolnił nas od kolejnych trzech heretyków.

- Są jakieś wieści z okolicznych miast? - spytała ciotka, mnąc w rękach obrus.

- Nie, moja zacna pani Toothaker. Niesprzyjająca pogoda uczyniła nas wszystkich więźniami we własnych domach. Ale niedawno dostałem list od znajomego teologa z Bostonu. Píše w nim, że nadeszła ospa. A wraz z nią pojawiły się pewne... kłopoty. - Wypowiadając ostatnie słowo, zatrzepotał rozczapierzonymi palcami, udając stado ulatujących ptaków.

- Kłopoty? - zapytał wuj, a kąciki ust mu opadły.

- Czary. Zaklęcia i rzucanie uroków. Mój kolega wyznaje pogląd, że chorobie towarzyszy upadek cnót i wzrost czarnoksięstwa. Tak samo jak smrodliwe zapachy wydzielają się z moczarów. Przypomni mi przypadek na południu Bostonu, kiedy to dwa lata temu wybuchła ospa i dokładnie w tym samym czasie niejaki pan John Goodwin, z zawodu kamieniarz, wraz z całą rodziną padł ofiarą zdumiewających czarów. Mówię „zdumiewających”, gdyż takich właśnie słów użył Corton Mather w swoich pismach, opisując kobietę o nazwisku Glover oskarżoną o spowodowanie tychże zdarzeń.

By nie być gorszym, wuj dał Margaret znak, by stanęła przed wielebnym, po czym z dumą oznajmił, że osobiście

nauczył córkę, jak rozpoznać czarownicę. Wielebny skinął na moją kuzynkę, by podeszła bliżej.

- No, moje drogie dziecko. Powiedz mi, co wiesz.

- Po pierwsze, dobrowolne przyznanie się do zbrodni - wyrecytowała pierwszą oznakę.

- Jak napisał Perkins - odrzekł wielebny - „Nie twierdzę, że wystarczy samo przyznanie się, lecz przyznanie się po odpowiednim dochodzeniu...”.

Poklepał ją pobrudzoną tłuszczem ręką po ramieniu, ale nie cofnął jej. Jego dłoń wyglądała jak czarna wrona szpecąca śnieżną biel fartucha Margaret.

- Po drugie, jeżeli oskarżona się nie przyzna... - ciągnęła Margaret. Wielebny mocno ścisnął i ugniatał jej ramię.

- Potrzebne jest zeznanie dwóch świadków, którzy muszą przedstawić dowód.

Allen nachylił się w swoim krześle.

- Jaki dowód? - zapytał.

Wielebny zdjął rękę z ramienia Margaret i zaczął wyliczać na palcach.

- Oskarżoną widziano w towarzystwie szatana, gdy go wzywała lub rzucała urok. Gdy używa swoich czarów, towarzyszy jej kompan pod postacią psa lub innej bestii. Oskarżona stosowała czary albo rzucała urok na oskarżającego lub coś należącego do niego. Podejrzane jest przepowiadanie przyszłości lub niewielkie czary, jak na przykład przesuwanie sprzętów siłą woli.

Popatrzyłam na wuja, myśląc o piórku, które wyciągnął mi zza ucha. Wuj gestem nakazał Margaret, by wróciła na miejsce.

- Osobiście odwróciłem urok rzucony przez czarownicę, gotując mocz ofiary.

Wielebny wyjął z kieszeni kurtki małą zniszczoną Biblię.

- To, doktorze Toothaker, jest wykorzystanie tarczy szatana przeciwko jego mieczowi i trudno byłoby panu wytłumaczyć się, gdyby ktoś zechciał wykorzystać to przeciwko panu. Istnieje tylko jeden sposób zwalczania czarów, a mianowicie cytowanie świętych słów Pana. I, zwracam pańską uwagę, jest to jedyny legalny sposób postępowania. - Rzucił Biblię na stół. - Oto młot Boży, który po wsze czasy łamie miecz szatana. Gotowanie moczu, bez względu na szlachetność intencji, może jedynie ściągnąć kłopoty.

Popatrzył znacząco na wuja, który do końca posiłku zachował milczenie.

Było już późno, gdy wielebny opuścił dom wujostwa, a okruszki frunęły za nim niczym chmura. Wypełzłam ze swojej kryjówki i stanęłam naprzeciw mego najstarszego kuzyna - ten patrzył na mnie ze złą miną. Skrzyżował ramiona i przekrzywił głowę, jakby czemuś się przysłuchiwał, a ja nabrałam przekonania, że nie lubił mnie równie mocno, jak ja jego. Coś w nim sprawiało, że rozbolały mnie przednie zęby, jakbym wgryzła się w twardą gruszkę, w której były same pestki. Zwrócił się do ojca.

- Nie sądzisz, że przygarnięcie ich może być niebezpieczne? Wiadomo w końcu, że rodzina Thomasa przenosi zarazę.

Poczułam, jak czerwony rumieniec wściekłości zalewa mi szyję i wypływa na twarz, spuściłam więc głowę, by ukryć swoje uczucia. Ojciec i syn zapalili fajki, a gdy unoszący się z nich dym zgęstniał, Allen wsparł się łokciem o oparcie krzesła swojego ojca.

- Kiedy twój ojciec przybył do Billeriki, przywłókł ze sobą zarazę ospy. A razem z nią złą sławę - powiedział do mnie.

- Mój ojciec nie jest gorszy od innych - odparłam, czując nienawiść ścinającą mi serce jak czarny lód. W tym momencie przyszło mi do głowy, że może właśnie to wuj miał na myśli, mówiąc, że ojciec ma krew na rękach.

Allen się nachylił, by nasze oczy znalazły się na jednym poziomie.

- Można by pomyśleć, że ma się za lepszego od innych, skoro przejął dom naszej babki.

Gdybym była chłopcem, zrobiłabym diabłu przyjemność i grzmotnęła Allena pięścią w nos.

- Nie zapominaj, że Sara należy do naszej rodziny - odezwał się wuj, kładąc Allenowi rękę na ramieniu. - Póki jest u nas, musimy być dla niej dobrzy.

Nie wyrzekł jednak nawet słowa w obronie mojego ojca, a niewyraźny uśmiech ukryty za dymem z fajki bolał bardziej niż najgorsze obelgi.

Wieczorem leżałam plecami do Margaret, walcząc z goryczą, aż w końcu zmusiła mnie, bym obróciła się do niej twarzą.

- Nie złość się, kuzynko - powiedziała. - Kiedy poznasz mojego brata lepiej, pokochasz go równie mocno jak ja. Pokochasz go tak samo, jak ja kocham ciebie.

Wtuliłam głowę w zagłębienie jej szyi. Nie dlatego, że chciałam spać, lecz by ukryć myśli, które kotłowały mi się w głowie. Myślałam, modliłam się, bym w tej chwili stała się sierotą i mogła zostać w domu mojej kuzynki na zawsze. Rogera mieć za ojca, Mary za matkę, a Margaret za najdroższą siostrę. Obawiam się, że Bóg mnie za to ukarał, bo następnego dnia zjawił się ojciec, by zabrać nas do domu.

NAZAJUTRZ RANKIEM wróciłyśmy z Margaret ze stodoły, obejmując się ramionami i radując rozmytym blaskiem słońca prześwitującego zza niebieskoszarych chmur. Przykucnęłyśmy, by się przyjrzeć rozmięklej ziemi i

kiełkującym roślinom przebijającym się przez topniejącą warstwę śniegu. Wiosna nadciągała coraz szybciej, niosąc ze sobą ostrą woń, jak ze stajni kowala. Zawsze ilekroć nadchodzą roztopy, myślę o mojej kuzynce rozkoszującej się pierwszymi powiewami ciepła, z uśmiechniętą, zachwyconą twarzą na tle pędzących po niebie chmur.

W pierwszej chwili nie poznałam ojca. Gdy weszłam do pokoju, ujrzałam olbrzyma siedzącego przy stole i naprzeciwko niego ciotkę, obejmującą głowę rękami. Ciotka szlochała gwałtownie, a wuj stał za nią z dłońmi na jej ramionach. Olbrzym spojrzał na mnie, nie przemówił jednak. Margaret odezwała się pierwsza i wtedy w olbrzymie rozpoznałam ojca.

- Wuju, co się stało?

Jej ręka odszukała moją i ścisnęła mocno. Wuj Roger skinął na mnie, bym podeszła. Ruszyłam w stronę stołu małymi kroczkami, starając się zwiększyć odległość i odsunąć chwilę, w której usłyszę to, czego słyszeć nie chciałam.

Ojciec spuścił wzrok.

- Twoja babka nie żyje - rzekł.

- A Tom, Andrew i Richard?

Zasłoniłam dłońmi uszy, by zagłuszyć jego odpowiedź. - Żyją.

- I teraz muszę stąd wyjechać?

Byłam jedyną osobą w pomieszczeniu, która nie zdawała sobie sprawy, że nie zapytałam o matkę.

- Kwarantanna została zniesiona. Pora, byście z Hanną wróciły do domu. Wyruszymy z zapadnięciem nocy.

Margaret zaprowadziła mnie do naszego pokoju, gdzie leżałam na łóżku, aż nadeszła pora odjazdu. Szeptala w kółko, że nic nas nigdy nie rozdzieli, że jestem jej siostrą, teraz i na zawsze. Ciotka przygotowała tobolek z jedzeniem i ubraniem na drogę. Obiecała, że przyjadą do Andover na wiosnę, ja

jednak nie dawałam się pocieszyć. Hanna krzyczała i opierała się i trzeba było siłą wyrwać ją z objęć ciotki. Myślę, że utrata Hanny sprawiła ciotce większy ból niż śmierć jej własnej matki. Nawet jako niemowlę Hanna była poważna i spokojna, jakby od początku wyczuwała, że moja matka nie znosi płacznego marudzenia. Teraz jednak, w rodzinie Toothakerów, moja siostra zaznała troski i czułości. Nawet Henry pokochał ją całym sercem, przez co znacznie zyskał w moich oczach, a w naszych stosunkach zapanował względny spokój. W przyszłości Hanna miała trafić do wielu różnych rodzin i domów, gdzie zawsze była traktowana równie dobrze. Myślę jednakże, że właśnie to rozstanie z jej najprawdziwszą matką na zawsze uczyniło z niej lękliwą, uciążliwą istotę.

Objęłyśmy się z Margaret po raz ostatni i wymieniliśmy naszymi lalkami. Uniosła czerwoną spódnicę swojej lalki i pokazała mi, gdzie wpięła igłę, bym mogła się ćwiczyć w szyciu i nie zapomniała wszystkiego, czego mnie nauczyła. Z wozu patrzyłam, jak Margaret robi się coraz mniejsza i mniejsza, aż wyglądała jak lalka, którą trzymałam w rękach.

- Twoja matka żyje - powiedział ojciec, kiedy wsadzał mnie na wóz.

Zacisnęłam szczęki i odwróciłam wzrok, nie dając mu powodu, by myślał, że ta wiadomość mnie ucieszyła. Wraciałam do zimnego domu, nie wiedząc, kiedy znowu ujrzę moją kuzynkę. Chwyciłam mocniej lalkę i poczułam ukłucie igły w palec.

Igła jest maleńkim błyszczącym narzędziem. Łatwo ją złamać. Potrafi uciągnąć za sobą tylko jedną cienką nitkę. Jeśli jednak jest ostra, może przebić najgrubszą tkaninę. Wbijając ją w płótno, za pomocą długiej nici można uszyć żagiel, który poniesie statek przez ocean. Podobnie ostry język plotkarza, posługując się najbardziej ulotną plotką, potrafi uszyć historię, która mocno załopocze na wietrze. Jeśli na dodatek zawiśnie

na maszcie przesądów, wiatr przerażenia porwie całe miasto. Być może powinnam była odczytać ukłucie igły jako znak. Byłam jednak bardzo młoda i ranka przestała krwawić na długo, zanim dotarliśmy do Andover.

Popatrzyłam w niebo, nie dostrzegłam jednak gwiazd, a tylko chmury niosące śnieg, który na długie tygodnie odwleknął nadejście wiosny.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kwiecień - sierpień 1691

WALKA Z OSPĄ naznaczyła moją rodzinę na wiele sposobów, nie tylko bliznami na skórze. Jedyne ojciec zachował swój dawny wigor i wciąż troszczył się o żywy inwentarz, a także całymi dniami polował w okolicznych lasach. W owe wczesne poranki, gdy samotnie wędrował polami ze strzelbą przewieszoną przez plecy, w świetle wypranym z wszelkich kolorów, poza czernią i bielą, wyglądał jak wybujały wiąz kroczący przez śnieg. Wieczorem wracał z upolowanym zającem bądź lisem zwisającym mu u pasa. Bywało też, że wracał z pustymi rękami i wówczas kładliśmy się spać z żołądkami skręcającymi się z głodu.

Nie wiem, co matka sobie pomyślała, kiedy wraz z Hanną przyjechałyśmy na wozie do Andover i na powitanie ujrzała moją zaciętą twarz oraz Hannę przerażoną widokiem kobiety, którą już dawno zapomniała. Nie miałam jednak czasu rozwodzić się nad tym, ponieważ pierwsze dni po powrocie upływały mi na doprowadzaniu domu do porządku, gotowaniu szmat i ubrań w occie i ługu, by zabić zło czające się w fałdach, za guzikami i zapinkami. Choroba pozbawiła matkę tych resztek cierpliwości, które jeszcze kiedyś miała. Nieważne, jak długo i dokładnie szorowałam, gotowałam i zamiatałam, według niej zawsze coś zrobiłam nie tak lub czegoś nie dopatrzyłam. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zbyt długo skrywany smutek obróci się w końcu w złość, tak samo jak się psuje piwo zbyt długo fermentujące w beczce.

Obiecałam ciotce, że będę dobrą i posłuszną córką, ale wystarczyło kilka dni, by między mną a matką iskrzyło jak w piekle. W całym domu szukałam śladów obecności babki, ale jej suknie i pościel zostały spalone, a łóżko porąbane na drewno na opał. Zostawiła mi swój szal i kiedy został dokładnie oczyszczony i wygotowany, nosiłam go wokół

ramion, jak jej uścisk. Płakałam, że tak szybko zostałam pozbawiona jej dobroci, a wtedy matka litowała się nade mną i pozwalała w spokoju oddać się żałobie. Nocą w łóżku tuliłam do siebie Hannę i wyobrażałam sobie oddech Margaret, ciepły i wilgotny na mojej szyi. Kwaśny odór choroby wciąż unosił się w domu i z żalem przyznaję, że kiedy ujrzałam umęczone ciała moich braci, poczułam wstyd. Widząc, jak ojciec ucieka w lśniącą, czystą biel śniegu, żałowałam, że nie jestem chłopcem i nie mogę wraz z nim umykać przed groźnym widmem zarazy.

Maj rozpoczął się burzami, po których od razu nadeszły wielkie upały. Pierwszego dnia miesiąca siedziałam w cieniu domu, dzierżąc w jednej ręce nóż do skórowania, drugą zaś odganiając muchy kłębiące się nad ciałem niedźwiedzia, którego ojciec powalił rankiem. Zabił go jednym czystym strzałem w łeb. Po śmierci jego brązowe, zaszłe mgłą oczy wciąż były otwarte i zdawał się patrzeć mi w zamyśleniu nieruchomym wzrokiem, jakby dawał mi do zrozumienia, że nie ma żalu do nas za los, jaki mu zgotowaliśmy. Inny myśliwy przechwalałby się zabiciem niedźwiedzia dwa razy większego od niego strzałem z dwudziestu stóp. Szarżujący miś potrafi przebiec taki dystans, zanim się zdąży doliczyć do dziesięciu. A jeszcze szybciej oderwać szyję od ciała. Ojciec jednak, wieszając zwierzę, aby się wykrwawiło, opowiadał o wszystkim Richardowi równie spokojnie, jakby ustrzelił parę gęsi.

Prawie cały dzień minął, zanim ojciec i brat dotarli wozem do Falls Woods, skąd przywieźli niedźwiedzia. Ojciec stał nieopodal, dokładając do ognia pod wielkim garem, w którym wytapiał tłuszcz z mięsa. Mięso będzie ciemne i poprzerastane, ale wyschnie lepiej niż sarnina i wytrzyma dłużej od kozła. Oczyszczona skóra, z futrem wyczesanym z rzepów, będzie służyć jako zimowe okrycie na łóżko matki.

Ojciec głęboko wierzył w lecznicze właściwości niedźwiedziego łożu i używał go do wszystkiego, poczynając od smarowania kół wozu, a kończąc na kompresach na piersi Toma. Matka dodawała do łożu ziaren gorczycy i rozsmarowywała wszystko na piersi Toma, by następnie przykryć cuchnącą maź baranią skórą. Pęcherze szybko zamieniały się w blizny, a jego oddech stawał się lżejszy.

Podniosłam głowę, by spojrzeć na Hannę bawiącą się obok w cieniu, i zobaczyłam, jak matka i Tom okopują motyką ogródek. Sadzili kukurydzę, fasolę i kabaczki, wszystko razem, w jednej grzędzie. Kukurydza wyrośnie wysoka i prosta jak tyczka. Fasola będzie się piąć po kukurydzy ku słońcu, a kabaczek dojrzewać w ich cieniu. Tom popatrzył na mnie i uśmiechnął się, ale oczy miał jak syn Abrahama nad ołtarzem, ufne, lecz jednocześnie świadome, że prędzej czy później nóż ofiarny uderzy. W ciągu minionych miesięcy zgarbił się, pochylił i żałośnie wychudł, a kości w nadgarstkach sterczały mu dziwacznie. Gdyby nie wielebny Dane i wdowa Johnson, którzy zostawiali jedzenie na progu, moja rodzina umarłaby z głodu.

Andrew szedł wolno za nimi, umieszczając cenne ziarna w ziemi i wpychając je w głąb drżącymi palcami. Gdy to robił, cienkim, piskliwym głosem śpiewał piosenkę, którą matka nigdy często nuciała, pracując w ogrodzie.

Wiewiórka zje jedno, wrona zje drugie,
Trzecie połknie robał, czwarty puści pędy długie.

Andrew bardzo ucierpiał w chorobie, przez trzy miesiące zmagając się ze śmiercią. Jego twarz do końca życia będzie oszpecona bliznami, dla świata stanowiącymi znak, że już nigdy zaraza mu nie zagrozi. Lecz jego umysł, już przed chorobą nieskory do myślenia, teraz stał się jeszcze bardziej leniwy, często nie pozwalając mu dokończyć rozpoczętego zdania. Andrew nieraz przerywał w pół słowa i odchodził, a

słuchacz zostawał, nie rozumiejąc co ani dlaczego chciał powiedzieć.

Siedziałam, wpatrując się w swoje ręce, błyszczące i śliskie od niedźwiedziego tłuszczu, myśląc o dłoniach Margaret dotykających moich, gdy siedziałyśmy razem pochylone nad szyciem. Ojciec krzyknął, żebym przestała zbijać baki i dokończyła pracę. Odpędziłam kąśliwe muchy i zrobiłam głębokie nacięcie w twardych mięśniach niedźwiedzia, by oddzielić kolejny kawał tłuszczu. Kiedy patrzyłam, jak futro odchodzi od krwawego mięsa, przypomniał mi się sen o Indianach nachylających się nad łóżkiem Andrew. W tej samej chwili zrozumiałam, że to właśnie Andrew sprowadził zarazę do Andover. Trzyznaścioro ludzi, w tym moja babka, zmarło. Do trumien wrzucono im różane ślubne bukiety w odcieni diabelskiej czerwieni.

Radni nakazali, by nasza rodzina opuściła Andover, gdy kwarantanna dobiegnie końca. W naszej obronie stanął wielebny Dane, poza tym ostatnią wolą babki było, abyśmy zostali i zajęli się farmą Allena. Ponieważ nazwisko Allen było jednym z najstarszych w osadzie i dlatego że wielebny Dane błagał o to, radni niechętnie wyrazili zgodę. Jednakże głównie dlatego nie opuściliśmy Andover, że moja matka nie zgodziła się na opuszczenie domu babki. Sąsiadom bardzo nie spodobał się jej upór, w szczególności zaś nowemu młodemu kaznodziei, wielebnemu Thomasowi Barnardowi. Od dłuższego czasu niecierpliwie czekał, by jego starszy kolega zrezygnował ze swoich obowiązków, rok po roku cierpiąc zawód, albowiem wielebny Dane niezmiennie wstępował na ambonę i przemawiał do kongregacji, pozbawiając młodszego kaznodzieję połowy zarobków. Gdyby ktoś kiedyś potrzebował dowodu, że pastor nie jest świętym bez skazy, lecz zwykłym skorumpowanym człowiekiem, wystarczy pozbawić go połowy dochodów.

- Zaczyna pani Carrier - rzekł wielbny Barnard do matki podczas pogrzebu babki - w Liście do Rzymian powiedziane jest, że ten, kto się sprzeciwia władzy, występuje przeciwko boskim nakazom i ściągnie na siebie słuszną karę.

Moja matka nie zastanawiała się nad odpowiedzią.

- A czy nie jest powiedziane, że Piotr pierwszy rzekł, aby wyzbyć się hipokryzji, zawiści i nie rzucać oszczerstw, albowiem przyniosą one zgubę temu, kto je głosi?

Od tej chwili wielbny Barnard niczego sobie bardziej nie życzył, jak naszego odejścia.

Zaniosłam ciężkie wiadro wypełnione niedźwiedzim mięsem do ognia, gdzie ojciec wrzucił jego zawartość do kotła, by tłuszcz się wytopił. Staliśmy przez chwilę przy palenisku, podczas gdy ojciec mieszał masę tłuszczu i mięsa, aż rozszedł się zapach, od którego żołądek skręcił mi się z głodu. Twarz ojca była pobrużdżona, ale czerstwa, gdyż choroba objawiła się u niego zaledwie lekką gorączką. Wsunęłam rękę w jego szorstką dłoń, a on ścisnął moje palce, lecz jego twarz pozostała jak zwykle obojętna i bez wyrazu. Odkąd wróciłam, nie widziałam, by uronił choć łzę z powodu śmierci babki. Jednakże nie do niego czułam niechęć. To matkę obwiniałam o to, że musiałam wrócić i rozstać się z moją kuzynką.

Mierzyłam ją nienawistnym spojrzeniem nawet wtedy, kiedy okładała moje pośladki Żelazną Bessie tak długo, aż zaczynałam krzyczeć. Pobyt u Toothakerów sprawił, że stałam się bardziej delikatna i z początku beczałam jak zarzynane jagnię, gdy mnie chłostała. Szybko jednak nauczyłam się zaciskać zęby, bo wolałam raczej umrzeć, niż płakać na jej oczach. Jedyne ukojenie znajdowałam późnym wieczorem, kiedy dotykałam rzeźbionej krawędzi kołowrotka, tęskniąc za łagodnym uściskiem babki.

DNI MIJAŁY, a ja się starałam, aby moi bracia lepiej poznali Toothakerów. Opowiadałam im historie zasłyszane w domu wuja, o atakach Indian i bitwach, lecz moim opowieściom brakowało wujowskiej swady. Richard siedział i uśmiechał się złośliwie, Tom udawał, że słucha, ale na ogół zasypiał zaraz po kolacji. Pod wpływem moich opowieści Andrew śniły się w nocy koszmary i budził się z krzykiem, wymachując rękami i wierzgając nogami. Matka nakazała mi przestać, mówiąc, że swoim oddechem wuj mógłby napędzać całą kuźnię, a bzdurami, jakie wygaduje, dałoby się napęłnić studnię. Po kilku miesiącach stałam się obca we własnej rodzinie, a moją jedyną towarzyszką była Hanna, już prawie dwuletnia, nieodstępująca mnie na krok. Nie mogłyśmy odchodzić od domu dalej niż na odległość strzału, gdyż w osadach na południe od Cambridge widziano Indian z plemienia Wabanaki. Od wielebnego Dane'a wiedzieliśmy, że ospa dziesiątkuje całe plemiona i wojownicy polują na młodych osadników, chłopców i dziewczęta, którzy mieli zasilać ich szeregi. Dorośli mężczyźni ginęli zaszlachtowani, podobnie jak kobiety, które nie mogły już rodzić dzieci. Stare babki z niemowlętami na rękach i dzieci zbyt małe lub słabe, by nadążyć za wycofującymi się wojownikami, były mordowane i zostawiane na pastwę kruków.

W ciągu kilku dni w Andover i Billerice wokół obsadzonych ludźmi wież pobudowano palisady z zakończonych ostro pali do obrony przed cichymi atakami. Jeden ze strażników, przerażony myślą o napadzie, postrzelił i zabił własnego syna, gdy ten zbierał drewno na opał zaledwie dwadzieścia kroków od wieży. Ojciec pokręcił głową i powiedział, że to cud, iż taki popędliwy farmer w ogóle trafił chłopaka. Młode kobiety nosiły ostre noże ukryte w stanikach i fałdach fartuchów, nie aby zabić napastnika, lecz by raczej otworzyć sobie żyły, niż ulec porywaczowi. Matki

przywiązywały do siebie małe dzieci, by te nie zdołały zbyt szybko się oddalić, a chłopcy w wieku poborowym ćwiczyli się w walce, posługując się kijami, drewnianymi motykami i kosami.

Jedynym ratunkiem dla porwanych był okup zapłacony przez pozostałych przy życiu krewnych. Nigdy nie podejmowano zbrojnej akcji ratunkowej, ponieważ Indianie Wabanaki byli dziećmi dziczy i znali każdą górską przełęcz, każdą rzekę i las równie dobrze jak włoski porastające im ramiona. Ci nieliczni, którym się udało wrócić po spędzeniu czasu w owych ciemnych odległych miejscach, stawali się dzicy i obcy nawet dla najbliższych. Pewna młoda kobieta, zwrócona krewnym w Billerice, musiała leżeć przywiązana do łóżka, ciągle bowiem usiłowała uciec, by wrócić do swych niedawnych prześladowców. Gdy nie było żadnych pozostałych przy życiu członków rodziny, uwolniony porwany mógł trafić wyłącznie do tych, którzy zapłacili okup.

Mercy Williams urodziła się w Topsfield i wraz z rodziną przeniosła do tak zwanego Eastward, dzikiego terytorium na wysuniętych daleko na północ i wschód krańcach kolonii. Wabanaki wymordowali jej rodziców, wszystkich braci i siostry, a ją samą uprowadzili do Kanady. Gubernator Phips wykupił ją wraz z tuzinem innych. Wrócili oni do rodzin lub jako służący trafili do obcych domów. Za dwadzieścia muszkietów Mercy stała się pracownikiem najemnym i musiała przepracować pięć lat, by spłacić tych, którzy ją uratowali.

Ojciec chciał męskiego pomocnika, ale nie było nas stać na wykupienie mężczyzny, zgodziliśmy się więc wziąć osieroconą dziewczynę, której nikt inny nie chciał. Wkrótce wyjaśniło się, czemu wykupienie Mercy Williams kosztowało tak niewiele.

Babka posiadała ładny kawałek ziemi, prawie cztery akry żyznej gleby. Na wiosnę potrzebowaliśmy kogoś, kto pomógłby przygotować ją pod zasiew. Matka odziedziczyła niewielki spadek, sakiewkę z pieniędzmi, którą babka wręczyła jej na łożu śmierci, dzięki czemu mogliśmy kupić więcej ziarna. W pierwsze ciepłe dni zasialiśmy pół akra trawy i po akrze kukurydzy i pszenicy. Za pomocą mocnego pługa i wolu dwóch dorosłych mężczyzn mogło zaorać akr pola w jeden dzień, ale w ziemi w Essen County było równie dużo kamieni, jak małż w Casco Bay. Kamienie mogły połamać najtwardszy z pługów, więc zanim się zaczęło orać bruzdy, trzeba było wyciąć drzewa i krzewy oraz wypalić zarośla. Dopiero wtedy najcięższe, do połowy zakopane głązy można było wyciągnąć z ziemi.

Mercy przybyła do naszego domu w pierwszym tygodniu maja. Weszła za ojcem, który musiał się pochylić, aby się zmieścić w drzwiach. Stała ze skrzyżowanymi rękami, taksując nas wzrokiem tak samo jak my ją. Jak tylko matka na nią spojrzała, natychmiast kazała jej wyjść i się umyć, a mnie posłała za nią, przykazując, bym sprawdziła, czy nie ma gnid we włosach. Napełniłam garnek wodą ze strumienia, podczas gdy ona przyglądała mi się, siedząc na ziemi jak mężczyzna, ze zgiętymi, szeroko rozłożonymi kolanami. Wachlowała się fartuchem. Ze zgrozą spostrzegłam, że pod spódnicą nie nosi halki.

Nogi miała równie brązowe jak ramiona. Kiedy zauważyła, że gapię się na nią, podciągnęła spódnicę wyżej, odsłaniając uda. Ojciec powiedział, że Mercy to wciąż jeszcze dziewczynka, ale miała mięśnie wyrobione jak u chłopaka i spojrzenie, od którego włosy na karku stawały mi dęba. Niczym Łazarz powracający do świata żywych była naocznym świadkiem tego, co ja znałam tylko z opowieści wuja.

Przeżyła długi marsz do Kanady i miała własne wspomnienie z tej podróży.

- Ile masz lat? - spytałam ją, gdyż moja ciekawość wzięła górę nad poczuciem przyzwoitości.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się krzywo, jak gdyby jedną stronę ust miała porażoną.

- Chyba z siedemnaście.

Obróciła głowę i splunęła przez zęby, mamrocząc jakieś słowa, które nie brzmiały po angielsku. Podałam jej naczynie z wodą i kawałek mydła z ługu, ale ona powąchała je tylko i odłożyła. Podwinęła rękawy i byle jak umyła sobie ręce i twarz, samą wodą. Skórę na twarzy miała naznaczoną śladami po ospie. Mimo że się umyła, wciąż pachniała jakoś tak kwaśno, jak zepsute mleko albo źle wyprawiona cielęca skóra. Włosy na głowie miała rzadkie i w zasadzie nie było czego czesać w poszukiwaniu wszy. Myślałam, że została oskalpowana, ale kiedy później spytałam Richarda, powiedział, że gdyby tak było w istocie, brakowałoby jej też czubka czaszki.

- Jak długo byłaś u Indian? - zapytałam, grzebiąc w skołtunionych włosach i wypatrując pełzających insektów.

- Będzie ze trzy lata, może więcej - odparła, skrobiąc się po karku.

Grzebień utknął w kołtunie i kiedy go pociągnęłam, jej palce szybko zacisnęły się na moim nadgarstku. Odebrała mi grzebień i odrzuciła na bok. Następnie wyciągnęła rękę i dotknęła kosmyka włosów, który mi się wymknął spod czepka. Zrobiło mi się jej żal i uśmiechnęłam się do niej współczująco. Odwzajemniła się krzywym, jednostronnym uśmiechem.

- Ale teraz jestem w domu, no nie? - powiedziała.

Podążyłam za nią do domu, a ona idąc, gwizdała jakąś melodię. Matka kiedyś powiedziała, że kobieta, która gwizdze,

tak jak i kura, która gdacze, musi źle skończyć, ale ja się czułam samotna i z radością byłam gotowa przyjąć każdą oferowaną mi przyjaźń.

Wieczorem przy kolacji jak urzeczeni przyglądaliśmy się Mercy łapczywie pakującej jedzenie do ust. Jadła rękami, nie upuszczając nawet okruszyny, i pilnowała swojego talerza, jakby się bala, że w każdej chwili ktoś może go jej odebrać. Kiedy sprzątałiliśmy ze stołu, upuściła talerz i stłukła go. Matka zmierzyła ją wzrokiem, przed którym wszyscy wciąż drżeliśmy, Mercy jednak pozbierała kawałki, nie zauważywszy chyba niczego. Po kolacji poszliśmy spać. Ojciec przedzielił dzienny pokój ścianką, żebyśmy razem z Mercy miały własną małą izdebkę. Richard, Andrew i Tom spali na stryszku, a Hanna na niskim łóżeczku obok Mercy i mnie. Ojciec zrobił nowe łóżka dla siebie i matki, bo w za krótkim dla niego łóżku babki nie mógł wyciągnąć nóg, więc stare posłanie dostało się nam. Pierwszej nocy, którą spędziłyśmy razem Mercy, bez pytania chwyciła lalkę Margaret i oglądała ją, jakby była słodką bułeczką. Wywracała nią na wszystkie strony, obmacując obgryzionymi do krwi palcami.

- Jak to było, kiedy cię porwali? Było strasznie? - spytałam.

Igła ukryta pod spódnicą lalki musiała ją ukłuć, bo nagle rzuciła lalką we mnie.

- Nie tak strasznie jak wtedy, kiedy walnęli mnie w głowę.

Gwałtownie się odwróciła i zasnęła. Odsunęłam się, by nie czuć jej smrodu, i uważnie obejrzałam lalkę, by sprawdzić, czy szwy nie popękały. Poglądziłam czerwony materiał, zastanawiając się, czy Margaret w ogóle czasem o mnie myśli, tak jak ja o niej.

CHOCIAŻ MERCY i moja kuzynka różniły się od siebie jak wrona od gołębic, zdarzały się chwile, kiedy Mercy dawała się nawet lubić. Czasami bywała niezdarna i potykała się o własne nogi, kiedy indziej zaś potrafiła podejść do mnie, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Odwracałam się, a ona stała za mną na wyciągnięcie ręki i wpatrywała się we mnie wzrokiem, pod wpływem którego miałam ochotę zasłonić sobie brzuch. Ze swych obowiązków wywiązywała się w miarę dobrze, bo była silna i nigdy na nic się nie uskarżała, ale w jej postawie było coś, co kazało wierzyć, że wykonuje swoją pracę wyłącznie dlatego, że nie ma nic przeciwko temu. Była u nas dopiero od niedawna, kiedy wykrzywiła się do matki, gdy ta stała do niej plecami. Matka kazała jej coś zrobić na swój zwykły, lodowaty i nieznoszący sprzeciwu, sposób, a kiedy się odwróciła, Mercy kpiąco wydeła wargi. Zasłoniłam dłonią usta, żeby nie parsknąć śmiechem, czując, że w końcu znalazłam sprzymierzeńca. Mercy szybko nauczyła się udawać pokorną wobec matki, wystarczyło jednak, by ta znikła z pola widzenia, a ona naśmiewała się z niej.

Któregoś wieczoru po kolacji opowiadałam Mercy o bitwie z Indianami Narrangansett, w której wuj brał udział. Miałam nadzieję pobudzić jej pamięć i zachęcić ją, by powiedziała coś o swojej niewoli. Kiedy skończyłam, zaskoczona usłyszałam dudniący głos mojego ojca dobiegający z odległego kąta pokoju. Plótł linę, a kiedy mówił, gwałtownie i mocno skręcał sznurki.

- W wiosce, którą zaatakowali ludzie generała Winslowa, byli tylko kobiety i starcy. Wszyscy wojownicy wyruszyli do lasu na polowanie. Nigdy nie podnieśli ręki na żadnego Anglika. Ale ich dzieci zostały zarżnięte jak zapędzone w pułapkę jelonki. Ich ciała zostawiono na pastwę kruków i wilków. Potem Indianie Narrangansett walczyli pod królem

Filipem i zanim wojna dobiegła końca, po obydwu stronach polało się wiele krwi.

- Ale ja widziałam bliznę, jaka została mu po walce z wojownikiem... - powiedziałam przekonana, że zazdrości wujowi odwagi.

Ojciec zwinął linę pomiędzy łokciem i dłonią, układając ją w równe zwoje.

- Bliznę, którą tak się chwali, zrobiła mu squaw. Cięła go nożem, zanim odrąbał jej głowę.

Usłyszałam chichot Mercy, która się odwróciła, by przydusić ogień. Poczułam się dotknięta, że bawi się moim kosztem, gdy jednak spostrzegła mój wzrok, tylko wzruszyła ramionami.

Dni mijały. Zasiaлиśmy akry pszenicy, kukurydzy i trawy na wschód, w stronę Ladle Meadow. Nawet Hanna dostała mały worek z ziarnem i pomagała w siewie, a jej małe nóżki potykały się o grudy ziemi i kraj jej dopiero co przedłużonej halki. Praca szła wolno, bo w ziemi było pełno kamieni, ale pogoda nam sprzyjała i od czasu do czasu porządnie padało. Mercy dowiodła, że jest równie silna jak młody chłopak - z łatwością wyciągała z ziemi głązy wielkie jak głowa cielaka.

Sądziłam, że nie będzie skora do takiej ciężkiej pracy, woląc pomagać przy gotowaniu, ale wszędzie tam, gdzie pracowali mężczyźni, ona ochoczo przyłączała się do nich. Od Czasu do czasu Robert Russell przychodził pomóc nam w sianiu. Jego gospodarstwo znajdowało się na wschód od naszego, pomiędzy Ladle Meadow i Gibbet Plain. Robert, wysoki i silny, przed wieloma laty wraz z moim ojcem przybył ze Starej Anglii. Był jedynym mężczyzną, z którym ojciec wybierał się na polowanie, i kiedy razem szli do lasu, wiedzieliśmy, że nie będzie ich przez długi czas. Mercy dźgnęła mnie z całej siły łokciem.

- Czy on ma żonę? - zapytała głośnym szeptem.

- Nie, ale mieszka z siostrzenicą o imieniu Elizabeth - odparłam, masując obolałe zebra.

- Ile ona ma lat?

- Nie wiem, myślę, że czternaście, może piętnaście.

Zrobiła mądrą minę, ale bez przerwy kręciła się koło Roberta, przy każdej nadarzającej się okazji przynosząc mu wodę. Nie był on jedynym mężczyzną, którego darzyła szczególnymi względami. Zaczęła też chodzić wszędzie za Richardem, proponując mu pomoc w pracy w stodole, a przy stole nakładając mu największe porcje mięsa, aż w końcu matka zabrała Robertowi talerz i dała ojcu.

W DRUGIM TYGODNIU maja robiłyśmy razem z Mercy pranie. Dodałyśmy ługu do wrzącej wody i przy pomocy długich kijów wpychałyśmy do kotła koszule. Kocioł wciąż cuchnął niedźwiedziem, choć szorowałyśmy go piaskiem przez dobrą godzinę. Mercy ciągle denerwująco zbywała milczeniem moje pytania o jej życie z Wabanaki, a opowieści wuja nie robiły na niej żadnego wrażenia. Ojciec z braćmi rozrzucali w polu ziarno z uwiązanych w pasie fartuchów, a Mercy co chwilę podnosiła głowę znad pary i zerknęła w ich stronę.

- Mercy, słyszałam, że Indianie to diabły. Nawet sam Lucyfer jest brązowy.

Popatrzyła na mnie, mrużąc oczy przed ostrym światłem. Prychnęła przez nos.

- Indianin to taki sam mężczyzna jak każdy inny. - Wzięła patyk i przystawiła go sobie sztorcem do kroku. - Wszyscy mężczyźni wyglądają tak samo - powiedziała ordynarnie.

Roześmiałam się, żeby pokazać, iż rozumiem, o co jej chodzi, ale poczułam się niezręcznie.

- Twój brat to już mężczyzna. Myślę, że niedługo będzie potrzebował żony.

Nigdy dotąd nie myślałam, że mój brat przestał być chłopcem, a stał się mężczyzną. W ogóle nie zwracałam na niego szczególnej uwagi, chyba tylko wtedy, kiedy się kłóciliśmy. Mercy odeszła od żaru paleniska i położyła się w cieniu wiązu, którego gałęzie rozpościerały się ponad dachem domu. Zerwała źdźbło trawy i ukrywszy je w dłoni, dmuchnęła w nie - rozległ się piskliwy gwizd. Usiadłam przy niej i udając, że się przyglądam swoim butom, ukradkiem na nią zerkałam. Pomyślałam sobie, że Richard nigdy nie pojąłby takiej brzydkiej dziewczyny za żonę.

- Pytałaś o diabły - odezwała się po dłuższej chwili. - Czy wiesz, co Indianie robią z tymi, którzy próbują uciec?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Był taki jeden mężczyzna z Salmon Falls, którego porwali do Kanady razem z nami. Nazywał się Robert Rogers. Próbował uciec, ale go złapali. - Popatrzyła na mnie i znowu dmuchnęła w źdźbło trawy, tym razem wydobył się dźwięk przypominający krzyk kobiety. - Rozebrali go do naga, przywiązali do pala i przypalali płonącymi gałęziami. Trwało to jakiś czas. Potem go odwiązali i tańczyli wokół niego. Odcinali kawałki mięsa z jego nagiego ciała i rzucali mu je w twarz. Kiedy w końcu umarł, znowu go przywiązali do pala i podpalili, aż zamienił się w kawał węgla.

Poczułam, jak śniadanie podchodzi mi do gardła.

- Potem długo nie myślałam o ucieczce z Kanady. - Popatrzyła na kocioł. - Chyba pora zamieszać - stwierdziła.

Ponieważ jednak się nie poruszyła, wstałam i sama dokończyłam pranie koszul.

JEDNĄ z NIEOCZEKIWANYCH zmian, jakie zaszły w mojej matce, było jej uczestnictwo w świętowaniu szabat. Babka wiedząc, że wkrótce umrze, kazała matce przysiąc, że po zakończeniu kwarantanny będzie sumiennie chodzić do domu modlitwy i zabierać nas wszystkich ze sobą. I tak 24 maja

ubraliśmy się w pośpiechu, jak garnizon ostrzeliwany przez oddziały Francuzów. Zostaliśmy przymuszeni, żeby porządnie się umyć, więc mieliśmy szyje zaczerwienione od szorowania. Wszyscy założyliśmy świeże, sztywne od krochmalu kołnierze i fartuchy. Z powodu obowiązkowego wyjścia w szabat przez całą sobotę robiłyśmy z Mercy pranie i nasze ręce były opuchnięte i szorstkie od ługu.

W niedzielny poranek Mercy włąła na wóz obok mnie, kiedy jednak zobaczyła, że Richard podąża za nami piechotą, zwolniła miejsce Andrew, a sama szła obok Richarda przez całą drogę do miasta. Pomyślałam złośliwie, że nawet w świeżym czepku i fartuchu wciąż wygląda niechlujnie i niezbyt czysto. Richard równie dobrze mógłby iść sam, ponieważ w ogóle nie zwracał uwagi na jej niekończącą się paplaninę. Po kilku milach zabrakło jej tchu i szli dalej w milczeniu. Matka obejrzała się przez ramię kilka razy - gdyby wzrok mógł zabijać, Mercy padłaby trupem w pyle drogi, jak Norman z ręki walijskiego łucznika. Zastanawiałam się, jakie iskry leciałyby, gdyby Żelazna Bessie wylądowała na plecach Mercy, która wzrostem dorównywała matce. Raz mi powiedziała, że zabiłaby każdego, kto źle by ją potraktował.

Wejście do domu modlitwy było zimnym, ponurym przeżyciem. Gwar rozmów umilkł jak nożem uciął z chwilą, gdy z zalanego słońcem podwórza weszliśmy w mrok świątyni. Rozejrzałam się i ujrzałam wpatrzonych w nas wiele par oczu. Cisza była tak kompletna, że słyszałam gruchanie gołębi gnieźdzących się na krokwiach. Wielebny Dane, siedzący z przodu, odwrócił się i ledwo dostrzegalnie skinął, abyśmy weszli i usiedli. Zastanawiałam się, czy matka zatrzyma się z tyłu, ona jednak kroczyła dumnie jak królowa do miejsca, które moja babka zajmowała przez lata. W pierwszej chwili kobiety w ławce się nie poruszyły. Ale matka

wsunęła stopę, więc gdyby się nie przesunęły, usiadłybyśmy na nich.

Kiedy byłam w domu modlitwy w Andover po raz ostatni, słyszałam życzliwy głos wielebnego Dane'a, dzisiaj jednak było inaczej, gdyż tym razem wielebny Barnard rozwijał przed nami mroczne wizje. Choć jego głos przypominał szmer strumyka na kamieniach, słowa brzmiały złowieszczo. Jako przyjaciel wielkiego teologa Cottona Mathera wyznawał głębokie i niewzruszone przekonanie, że Bóg jest twardy jak skała. Często cytował kazania Mathera, szczególnie zaś upodobał sobie Księgę Powtórzonego Prawa: „Moja jest odpłata i kara, w dniu, gdy się noga ich potknie” (Wszystkie cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia, wyd. IV, Wydawnictwo Pallottinum.). Tego dnia zaczął od Księgi Joela, rozdział drugi, i obietnicy „dnia ciemności i mroku”.

Na zakończenie okraślił swoje kazanie przypowieścią o Hiobie i jego krwawiących ranach. Chyba tylko głupiec nie domyśliłby się, jaką myśl chciał przekazać. Cierpienia Hioba i koszmar ospy. Wielu słuchających jego słów ukradkiem i z dezaprobatą zerkało w naszą stronę. Moje dłonie zrobiły się zimne i wilgotne. Ścigany królik, nie mogąc znaleźć swojej nory ani żadnego innego schronienia, przywiera do ziemi i umiera, zanim lis go dopadnie i pożre. Jeżeli jednak królik się odwróci i spojrzy na lisa, zeszywnieje ze strachu i umrze, w pełni świadomy szczęk zaciskających mu się wokół głowy, bardziej przerażony lisim wzrokiem niż jego zębami. Poszłam za przykładem matki i wbiłam wzrok w ścianę wysoko ponad głową kapłana.

Po skończonej mszy wyszłam na słońce i stałam, wypatrując małego czarnego niewolnika kapitana Osgooda. Nie zobaczyłam go, ale za to dostrzegłam Mercy szepczącą coś i chichoczącą nerwowo z dziewczyną mniej więcej w jej wieku. Głowy trzymały blisko, a kiedy podeszłam, odsunęły

się od siebie i patrzyły na mnie z pozbawionymi wyrazu twarzami, jakbym nie wiedziała, że rozmawiały o mnie. Ta druga dziewczyna, Mary Lacey, zaledwie w ciągu kilku minut opowiedziała mi o wszystkich młodych mężczyznach starających się o jej względy. Nie umknęło mi spojrzenie, jakim Mercy obrzuciła Richarda, a kiedy władczy, wyniosłym tonem kazała mi odejść, wbiłam w nią wzrok. Mercy wzruszyła ramionami i dalej plotkowała, głównie o wszystkich nieżonatych mężczyznach w wiosce.

- O, popatrz - powiedziała Mary, nagle odwracając wzrok.
- Tam jest Timothy Swan i jego bracia.

Zobaczyłam drobnego mężczyznę, który rozmawiał z trzema młodszymi. Garbił się, a jego skóra miała ziemisty odcień.

- Robert Swan jest już żonaty - powiedziała Mary - ale Timothy i John jeszcze nie. Timothy ostatnio chorował.

W tym momencie się nachyliła i zaczęła szeptać coś Mercy do ucha. Zasłoniły usta dłońmi, by stłumić śmiech, nie zrobiły tego jednak zbyt dobrze i kilka starszych kobiet wychodzących z domu modlitwy gniewnie zmarszczyło brwi. Popatrzyłam na mężczyzn i dostrzegłam między nimi Allena Toothakera. Spojrzenie, jakim mnie zmierzył, przypomniało mi stęchłe powietrze w piwnicy jego ojca. Mary chwyciła Mercy za rękaw i brodą skinęła w kierunku mężczyzn.

- Ten tam to Allen Toothaker, który przyjechał z Billeriki i teraz mieszka u Swanów, dopóki nie odzyska swojego gospodarstwa. Myślał, że już jest jego - popatrzyła na mnie wymownie - ale wygląda na to, że ktoś przejął je przed nim. To twój najstarszy kuzyn, prawda, Saro?

Ktoś szarpnął mnie za łokieć i usłyszałam głos Toma.

- Pora ruszać. Matka czeka.

Nie przestawał mnie szarpać, więc w końcu poszłam za nim w kierunku wozu. Mercy chwilę zwlekała w nadziei, że

Allen podejdzie i zamieni z nią słowo, on jednak odszedł po pochyłym, porośniętym goździkami terenie cmentarza. W drodze do domu Mercy tak samo jak poprzednio szła koło Richarda, teraz jednak obrała inną taktykę. Udała, że skrzyła sobie najpierw jedną, potem drugą kostkę. Richard pomógł jej, podając jej kostur i dalej kroczył za wozem, milcząc uparcie.

TEJ WIOSNY świat przyoblekł się w świeżą soczystą zieleniczym w ogromny nieskończony kobierzec. Drzewa pokryły się delikatnym różowym i białym kwieciami, a z cienia krzewów głogu wypełzał bluszcz. Wzdłuż brzegów Roger's Brook rozkwitły dzikie fiołki. Wysokie trawy kłaniały się w podmuchach wiatru. W jeden z takich pięknych poranków Tom znalazł mnie w ogrodzie, gdzie okopywałam grządki motyką. Dłuższą chwilę dręczył mnie, wzdychając i niespokojnie tupiąc nogą, aż w końcu zapytałam go, z czym przychodzi. Wiedziałam, że czasami nachodziły go niepokojące myśli, często jednakże zamartwiał się drobiazgiem, które dawno straciły znaczenie.

- Czy pamiętasz, jak w szabat byliśmy w mieście i był tam też Allen Toothaker? - wydusił z siebie w końcu.

Pamiętałam, jak Allen rozwścieczony maszerował przez cmentarz po wyjściu z domu modlitwy, ale sądziłam, że chce uniknąć towarzystwa Mercy. Tom zbliżył się do mnie, jakby w obawie, że ktoś może nas podsłuchać.

- Boję się go - powiedział.

Twarz mu pobladła, jakby nagle zabrakło mu tchu. Spulchniając ziemię motyką, pomyślałam o blisko osadzonych, ziejących nienawiścią oczach Allena, gdy mówił, że ojciec ponosi winę za sprowadzenie ospy, a także iż bezprawnie przywłaszczyliśmy sobie dom babki.

- Allen to pleciuga, wygaduje same bzdury. Tom pokręcił głową.

- W marcu, kiedy byłaś u Margaret, przyjechał do nas, żeby porozmawiać z matką. Powiedział, że jego matka, Mary, jest najstarszym dzieckiem babki i zgodnie z prawem jej się należy gospodarstwo. Matka jednak zarzuciła mu, że chce gospodarstwa dla siebie. - Tom wyjął mi motykę z ręki i zmusił mnie, bym wraz z nim przykucnęła pomiędzy rzędami kukurydzy, sięgającej nam zaledwie do kolan. Wspomnienie tamtej wizyty tak go podnieciło i zdenerwowało, że z trudem mógł się wysłowić. Podałam mu rąbek swojego fartucha, by otarł sobie twarz, i uspokajałam go przez chwilę, aż mógł mówić dalej. - Doszło do okropnej kłótni. Matka klasnęła mu rękami przed twarzą i powiedziała, że nic mu z tego nie przyjdzie. A dom dostanie, ale nie prędzej jak po jej trupie. Na co Allen odparł, wściekły jak nie wiem co: „Może i tak się stanie”.

- Gdzie był ojciec? - spytałam, wiedząc, że Allenowi dostałoby się o wiele gorzej, gdyby ojciec był w domu.

- Na polowaniu z Richardem. Matka pogoniła Allena miotłą. Uciekłem na podwórze, żeby nie słyszeć tych krzyków. Trzymałem konia Allena, pięknego dereszowatego wałacha, myśląc, że mu pomogę.

Przyszło mi na myśl piękne umaszczenie Bucefała i zrozumiałam, że Allen mógł go dosiąść jedynie za przyzwoleniem wuja.

- Kiedy Allen wsiadał na konia, wyrwał mi lejce i zacisnął dłoń w pięść. Uderzył mnie z całej siły, aż przewróciłem się na ziemię. Powiedział, że przepędzi nas z domu, choćby miał go spalić. I ja mu wierzę, Saro.

- Co powiedział ojciec, kiedy wrócił do domu? - zapytałam.

- Powiedział, że hubka i krzesiwo Allena są za małe, żeby wywołać pożar. A potem matka zrobiła coś dziwnego... Roześmiała się.

Znienawidziłam Allena jeszcze bardziej za to, że powalił na ziemię chłopca o połowę mniejszego od siebie, ale uśmiechnęłam się na myśl, że jego groźby rozbawiły rodziców. Szturchnęłam Toma, żeby dodać mu odwagi, i powiedziałam, że taki tchórz nigdy nie odważy się nas skrzywdzić w obecności ojca. Wtedy naprawdę w to wierzyłam.

NASTAŁ CZERWIEC, a wraz z nim upały tak wielkie, że gorąco panujące na stryszku wyгнаło Richarda do stodoły, gdzie spędzał noce. Andrew cieszył się z wysokiej temperatury, bo zawsze odczuwał zimno, jakby choroba wygasła jego wewnętrzny piec. Tom sypiał jak zabity i prędzej utopiłby się we własnym pocie, niż obudził z gorąca. Mercy także stała się niespokojna i często wymykała się z łóżka, zapewne myśląc, że jej wielkie stopy błędzące w ciemnościach mnie nie obudzą. Znikała na jakąś godzinę bądź dwie, a ja się zastanawiałam, czy nie kradnie jedzenia ze spiżarni, na czym ją przyłapałam już wcześniej.

Któregoś dnia wszyscy w ogrodzie nosiliśmy wiadrami wodę ze studni, by podlać delikatne pnącza i kłosa przebijające się z rzadka przez wysuszoną glebę. Na wschodzie widniały ogromne fioletowe chmury, wiatr jednak wiał z południowego zachodu, gnając deszcz w kierunku Salem Town i dalej, ku morzu. Gorące powietrze wprawiało wszystkich w rozdrażnienie, szczególnie niemiły był Richard. Nauczyłam się szanować jego ponure nastroje i obchodziłam go wtedy szerokim łukiem. Miał szesnaście lat, porywcze usposobienie, jak gdyby przyszedł na świat ze zbyt dużą ilością prochu w swojej panewce. Tego ranka Mercy nieustannie drażniła się z nim, a ja próbowałam ją przekonać, aby go zostawiła w spokoju, ona jednak uśmiechnęła się tym swoim krzywym uśmiechem i dokuczała mu nadal. Ich podniesione głosy niosły się po ogrodzie. Usłyszałam, jak

Richard mówi ordynarnie, że jeżeli Mercy nie zamknie swojej gęby, on jej w tym pomoże. Przeraził mnie jego wulgarny język i obejrzałam się, by sprawdzić, czy matka nie słyszy, bo z całą pewnością srodze by go ukarała. Mercy jednak nie wyglądała na przestraszoną.

- W takim razie chodź i zrób to - powiedziała ze śmiechem, odstawiając wiadro.

Richard także rzucił wiadro i ruszył ku niej szybkim krokiem, przekonany, że się wycofa. Ona jednak stała spokojnie z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, po czym stała się rzecz niesłychana. Gdy Richard zbliżył się do niej, postąpiła kilka kroków, jakby chciała go wyminąć. Złapała go za koszulę, lewą stopą zahaczyła o jego piętę i mocno pchnęła go do tyłu. Richard grzotnął na ziemię jak ścięta siekierą akacja. Chwilę trwało, zanim pojął, dlaczego ma przed oczami niebo, a nie jak zwykle horyzont. Mercy stała nad nim, uśmiechając się, po czym wyciągnęła rękę, by pomóc mu wstać. W pierwszej chwili nie chciał przyjąć pomocy. Po chwili jednak się podniósł, a ja czekałam na atak wściekłości. On jednak zapytał tylko:

- Jak to zrobiłaś?

- Indianie są na ogół mali, ale potrafią w ten sposób przewrócić większego od siebie i rozplatać mu pierś, zanim jego serce przestanie bić.

- Naucz mnie - poprosił, a ona się zgodziła.

Kiedy skończyliśmy podlewanie, schroniliśmy się za stodołę, żeby nikt nas nie zobaczył. Mercy prawie przez godzinę pokazywała Richardowi, jak podciąć komuś nogi, bez względu na kierunek i rodzaj ataku. Według mnie Mercy zbyt długo przytrzymywała rękami pierś i ramiona Richarda i po jakimś czasie oboje tarzali się w kurzu, a po ich twarzach i barkach pot spływał brunatnymi strumieniami. Odeszłam przepełniona obrzydzeniem, kiedy Richard usiadł Mercy na

piersiach, a ona leżała z zadartymi nogami i spódnicą odsłaniającą wysoko uda. Tomowi oczy mało nie wyskoczyły z orbit, więc chwyciłam go za ramię i siłą zmusiłam do odejścia. Nawet kiedy odnosiłam wiadra do studni po drugiej stronie domu, wciąż słyszałam śmiech Mercy.

MATKA POTRAFIŁA W niepokojący sposób przepowiadać pogodę. Lipiec dobiegał końca i od wielu dni niebo zasnuwały niskie, kotłujące się chmury. Zbliżała się pora zbioru pszenicy, więc ojciec bacznie wpatrywał się w niebo, gdyż zbyt obfity deszcz zniszczyłby plony. Matka uspokajała go, że z tych chmur deszcz nie spadnie, nadejdą natomiast gwałtowne wiatry i pioruny. Baliśmy się letnich grzmotów, bo przy trwającej suszy mógł wybuchnąć pożar, który bez trudu strawiłby stodołę albo całe pole zboża w czasie wystarczającym do napełnienia wodą sześciu wiader. Daleko na horyzoncie pojawiały się błyskawice. Po kolacji razem z Tomem pobiegliśmy do Sunset Rock, na północ od domu, żeby obserwować przemarsz niebiańskiego ognia zmierzającego przez Merrimack River ku zachodowi.

Z chmur sączyło się zielonkawe, niezdrowe światło, a powietrze ciężkie jak ołów sprawiało, że włoski na ramionach stawały nam dęba i bolały nas karki. Mercy wspięła się razem z nami na głąz i stała przez chwilę, zwijając w rękach fartuch, jakby ukręcała łeb kurczakowi. Oddech miała szybki i przyspieszony, i nagle podbiegła pędem z powrotem do domu. Ja tańczyłam i podskakiwałam w rytm coraz bliższych grzmotów. Wkrótce błyskawice tańczyły nad Bald Hill, zalewając białym bajkowym światłem Blanchard's Pond. Potem nastąpiła cisza, a niebo pociemniało tak, że z trudem dostrzegałam stojącego obok Toma. Poczułam, jak łapie mnie za rękę, i czekaliśmy, zdawało się w nieskończoność, dopóki z nieba nie wyskoczyło niebieskożółte świetliste ramię i nie rozlało się niczym rtęć nad Blanchard's Plain, oddaloną o

kilkanaście mil. Huk był tak przerażający, że aż zacisnęłam zęby i na chwilę ogłuchłam, po czym w uszach zaczęło mi dzwonić, jakby kamień wpadł w młyńskie koło.

Nagle powietrze znieruchomiało, a lodowaty powiew w plecy sprawił, że skurczyłam się w sobie. Obróciłam się na wschód i ujrzałam drugą burzę, zmierzającą szybko na spotkanie siostry bliźniaczki. Od strony Salem Town nadciągały błyskawice, jakby wrogie armie prezentowały broń przed bitwą, jaka miała się rozpętać nad Blanchard's Plain.

Zbliżające się burze wprawiły mnie w drzenie i czułam, jak stopy odrywają mi się od ziemi, jakby wichur pragnął porwać mnie ze sobą i rzucić między nie. Powiedziałam Tomowi, że ze stryszku w stodole będziemy lepiej widzieli błyskawice, on jednak był blady i dygotał, i prawie urwał mi rękę, ściągając mnie za sobą ze skały. Wieczorem położyłam się do łóżka, ale nie mogłam spać, wsłuchując się w oddalające się grzmoty, które coraz słabiej i słabiej wstrząsały naszym małym pokoikiem. Dzięki temu wiedziałam, że Mercy wyslizgnęła się z łóżka kilka godzin po tym, jak ojciec i matka udali się na spoczynek. Przystanąła, nasłuchując, czy mój oddech nie uległ zmianie, a potem bosą wymknęła się z pokoju. Policzyłam do dziesięciu, następnie wstałam i poszłam za nią. Wciągnęłam spódnice przez głowę, a buty wzięłam do ręki. Kiedy wyszłam z domu, dostrzegłam białą postać - walcząc z wiatrem, otwierała drzwi do stodoły, by po chwili zniknąć w ciemnościach.

Pokonałam niewielką odległość dzielącą dom od stodoły, nie starając się stąpać cicho, gdyż wiatr wciąż duł mocno i targał największymi drzewami, a te skrzypiały i pojękiwały głośno. Szarpałam drzwiami, aż wreszcie ustąpiły na tyle, bym mogła wślizgnąć się do środka. Przystanąłam w mroku i nasłuchiwałam. I usłyszałam. Stękanie i westchnienia dochodzące jednak nie z zagród, lecz z góry, ze stryszku.

Drobnymi kroczkami podeszłam do drabiny i zamarłam, gdy blask błyskawicy oświetlił wszystko, pozwalając mi dostrzec białka oczu starego konia pociągowego, szarpiącego się na uwięzi. Stękanie ucichło na chwilę, po czym rozległo się ponownie, tym razem znacznie głośniejsze. Po omacku znalazłam drabinę i wolniutko się wspierałam, uważając, by nie zahaczyć o nic ręką spódnicy, aż w końcu dotarłam na ostatni szczebel. W tej samej chwili kolejna błyskawica rozbłysła na niebie i tym razem ujrzałam dwie postaci mocujące się i walczące ze sobą, jakby chciały dokonać na sobie nawzajem krwawego mord. Gdy na powrót zapadła ciemność, słyszałam, jak tarzają się w suchym sianie, potem rozległ się śmiech Mercy i głos Richarda:

- Nie ruszaj się, ty suko.

Słowa były ordynarne, ale w jego głosie również pobrzmiwał śmiech. Potem nastąpiła cisza, przerywana tylko ich urywanymi oddechami. Zsunęłam jeden but ze stopy i uniosłam go nad głowę, mierząc w niewyraźne splątane cienie kilka stóp ode mnie. Wkrótce pojawiła się następna błyskawica i wtedy z całej siły cisnęłam butem w głowę Mercy. Zapadła ciemność, ale wcześniej uradował mnie krzyk Mercy i seria przekleństw. Zlazłam z drabiny i uciekłam do domu, zanim zdążyli rzucić się w pogoń za mną.

Wślizgnęłam się do łóżka i leżałam odwrócona do ściany, gdy Mercy weszła chyłkiem do pokoju. Czułam na sobie jej spojrzenie, a po chwili poczułam lądujący na łóżku but. Liny łóżka jęknęły, gdy kładła głowę na ramieniu. Wiedziałam, że nie uśnie tak łatwo. Jej ciało wydawało ostry, zwierzęcy zapach. W głowie kotłowało mi się w kółko jedno i to samo słowo, aż w końcu rozwarłam usta i wyrzekłam: „Dziwka”. Jego dźwięk utonął w narastającej burzy, nie wiedziałam więc, czy mnie słyszała. Nocą przyśniła mi się Margaret. Stała na odległym brzegu Shawshin River i wołała coś do mnie, ale ryk

wichru zagłuszał jej słowa. Osłoniła usta dłońmi, ja jednak wciąż nic nie słyszałam. Biegałam tam i z powrotem wzdłuż brzegu, szukając drogi, by przejść na drugą stronę, ale nigdzie nie było brodu ani mostu. Margaret wskazywała na coś za moimi plecami i wreszcie jej słowa dobiegły mnie.

- Pożar, Saro. Pożar.

Obudził mnie Tom, szarpiący mnie gwałtownie za stopę.

- Pożar, Saro! - krzyczał. - Pola się palą!

Hanna otworzyła oczy i na widok przerażonej twarzy Toma wrzasnęła jak ktoś umierający. Chwyciła się kurczowo moich nóg i omal nie upadłam, usiłując wciągnąć spódnicę przez głowę. Wzięłam Hannę na ręce i razem z Tomem pobiegłam na skraj pola. Mercy biegła wraz z ojcem w kierunku ściany dymu. Świat na wschód od stodoły tonął w żółtej, sunącej nisko poświacie. Widziałam Andrew biegnącego ile sił w nogach z wiadrami wody. Podawał je Richardowi, a ten, stojąc na dachu stodoły, polewał wszystko wodą. Kiedy się wdrapałam na niewielkie wzniesienie za stodołą, ujrzałam, co wywołało pożar. Samotny stary wiąz przyciągnął piorun równie łatwo, jak kanał odprowadza wodę. Rozszczepiony leżał poczerniały i martwy, a ogień pochłaniał porośnięte trawą pole ciągnące się po przeciwnej stronie ścieżki biegnącej wzdłuż grani z północy na południe. Wiatr pędził wpierw na zachód, potem, gdy obie burze się spotkały, ruszył na wschód. Ujrzałam mężczyznę pracującego u boku ojca. Obaj rozpaczliwie starali się oczyścić przestrzeń między polem trawy a delikatnymi kielkami pszenicy, gwałtownie wznosząc i opuszczając motyki.

Matka chwyciła mnie za ramię i pchnęła w kierunku stodoły.

- Przynieś kosy, Saro - krzyknęła. - Przy drzwiach jest jeszcze jedna motyka. Pośpiesz się, na miłość boską, bo spłonimy doszczętnie.

Popędziłam, aż rozboleły mnie płuca, zastanawiając się, co mam zrobić z Hanną. Nie mogłam zabrać jej na płonące pole, a bracia musieli walczyć z napierającymi płomieniami. Kiedy siłą odrywałam ją od siebie, paznokciami drapała mnie do krwi, a gdy skórzanym paskiem przywiązywałam ją do słupa, wierzgała i płakała żałośnie. Mało nie oszalałam, widząc, jak jest przerażona, że ją zostawiam. Białka jej oczu połyskiwały, kiedy próbowała przegryźć krępujące ją więzy. Krzyknęłam do Andrew, aby pamiętał uwolnić Hannę, gdyby stodoła stanęła w płomieniach, i modliłam się, żeby nie zapomniał o niej w zamieszaniu. Chwyciłam narzędzia i pognałam na pole, modląc się w duchu, żeby się nie przewrócić i nie odciąć sobie nogi jedną ze świeżo naostrzonych kos. Matka i ja pracowałyśmy ramieniem w ramię z mężczyznami kopiącymi płytki rów i ścinającymi łodygi, by zrobić ścieżkę, której ogień nie zdoła przekroczyć. Płomienie jednak gnały ku nam i pszenicy, parząc mi policzki i osmalając włosy. Przerwałam na chwilę dla złapania tchu, ale matka mnie popchnęła.

- Nie przestawaj - powiedziała ochryple. - Pracuj dalej.

Gdzieś z tyłu słyszałam Toma zasypującego piaskiem powalone kłosa.

Buchał okropny żar, ale najgorszy był kłębiący się dym, wdzierający się dosłownie wszędzie, wkrótce zaczęły nam od niego łzawić oczy, piec uszy i gardła. Osłoniłam sobie twarz spódnicą i nagle spostrzegłam, że stoję zupełnie sama w zniszczonym polu, otoczona nieprzeniknioną ścianą dymu. Poczułam, jak panika ściska mnie za gardło, a kiedy się odwróciłam, język ognia jak jedwabista szarfa sunął w kierunku mojego buta. Krzyknęłam, ale nie widziałam niczego poza szarą masą, nie wiedziałam, gdzie jest północ ani południe, wschód czy zachód. Osunęłam się na kolana i pociemniało mi w oczach, jakby ktoś zaciskał mi na głowie

filcowy worek. Ramiona przeszył mi ból, gdy zacisnęły się na nich czyjeś palce. Szarpnęły mnie silne ręce i pobieглиśmy przez chmury ognia, aż nagle znowu zobaczyłam niebo i pole. Mercy walnęła mnie mocno w plecy i obie kaszłając, wypluwałyśmy z płuc spieniony popiół. Podniosłam wzrok i na jej czole w miejscu, gdzie trafił ją mój but, zobaczyłam siniaka na tyle dużego, że było go widać wyraźnie mimo czarnej sadzy pokrywającej jej twarz.

- Wygląda na to, że niedługo obie będziemy bezdomne - odezwała się bez złośliwości.

Moja rodzina i kilku najbliższych sąsiadów wspięli się na wzniesienie, przekonani, że za chwilę ujrzą, jak ogień pochłania resztę pszenicy. Robert Russell stał obok ojca, podobnie jak Samuel Holt i jego brat Henry Holt z farmy w pobliżu Ladle Meadow. Na wschodnim horyzoncie zaczęło się przejaśniać i wiatr nagle zmienił kierunek, by powiać z zachodu, pędząc na spotkanie świtu. Ogień zatrzymał się na chwilę, liżąc płomieniami powietrze jak łapiące trop psy, a potem zawrócił i jak rozpędzona kłębiąca się masa pognął na wschód, ku wodom oceanu. Holtowie ruszyli pędem ku swoim farmom, ojciec za nimi z długą motyką przerzuconą przez ramię, której metalowe ostrze wysyłało w powietrze kłęby pary. Nagle pojawiła się zimna, przeszywająca myśl: wspomnienie groźby Allena, że nas podpali. Nasze pola i dom przetrwały, jednakże dopiero po wielu godzinach pracy z motyką i wiadrami mogłam się zwalić do łóżka, ze skórą i włosami przesiąkniętymi kwaśnym odorem dymu. Kiedy w końcu przypomniałam sobie o Hannie, wciąż uwiązanej w stodole, ranek był już w pełni. Hanna zasnęła z oślinioną piąstką wepchniętą do ust, ale obudziła się, ledwie ją podniosłam, by zabrać do domu. Odtąd przez wiele dni domagała się, by wszędzie ją nosić, a zasypiała wyłącznie w moich objęciach.

POŻAR STRAWIŁ SIANO, lecz oszczędził pszenicę. Płomienie podeszły niebezpiecznie blisko kukurydzy i niektóre jedwabiste kitki opadły, a łupiny się zmarszczyły. Pod koniec lata ziarna z tych roślin będą smakowały jak przypalone, jakby ktoś je unurzał w popiele ogniska. Straty były dotkliwe, ale w niczym nie dorównywały tym, jakie ponieśli niektórzy nasi sąsiedzi. Najbardziej ucierpieli Holtowie, straciwszy większość plonów. Ogień zatrzymał się dopiero wtedy, gdy przemknąwszy przez całą Ladle Meadow, dotarł do wód Skug River. Gdy wiele dni później Robert Russell przyszedł pomóc przy zbiorze pszenicy, powiedział, że Holtowie mają pretensje, iż nasze zboże się uratowało, podczas gdy ich strawił ogień. Jasne brwi Roberta były całkowicie spalone, a na jednym policzku miał ropiejące wielkie bąble. Jego skórzany kaftan szerniał i popękał od żaru. Zrobiło mi się go żal, że nie ma żony, która opatrzyłaby mu rany i naprawiła ubranie. Owdowiał wiele lat temu i wkrótce będzie musiał poszukać sobie nowej kobiety, bo inaczej ludzie zaczną źle o nim mówić. Zwrócił się do mojej matki.

- Susanna Holt mówi, że widziała, jak tańczyłaś na wzgórzu, zanim wiatr zmienił kierunek - powiedział z uśmiechem.

Robert często żartował w ten sposób z moją matką i podczas gdy każdego z nas spotkałaby za to ostra reprymenda, do niego tylko się uśmiechała. Czasem na jej policzki wypływał gwałtowny rumieniec, choć tylko na krótką chwilę. Gdybym była starsza, zrozumiałabym, że chociaż jest mężatką, nie zawsze potrafi się oprzeć zalotnym uwagom miłego, przystojnego mężczyzny.

- Nie moja wina, że ich pola spłonęły - powiedziała, trzaskając garnkami przy palenisku. - Bardzo mi przykro z tego powodu. To przyzwoici ludzie. Ale Susanna jest stara i

na wpół ślepa, a jeśli tańczyłam, to dlatego, że ogień podpalił rąbek mojej spódnicy.

Później, gdy mieliśmy pszenicę na mąkę w Parker's Mill, posłaliśmy Susannie Holt cztery worki, ale chleb, który z niej upiekła, nie zdołał ugasić trawiącej ją gorzkiej niechęci.

Mercy i ja zawarłyśmy swego rodzaju rozejm. Kiedy kosiłyśmy pszenicę, śpiewała mi pioseneczkę, której się nauczyła od francuskiego trapera handlującego z Indianami. Słowa były mi obce. Ponieważ nie rozumiałam ich znaczenia, doszłam do wniosku, że to kołysanka, bo brzmiały słodko i miękko. Ale wtedy Mercy, wykrzywiając górną wargę, wyjaśniła mi, że to piosenka o motylku, który fruwa z kwiatka na kwiatek, aż w końcu bezgranicznie szczęśliwy opada, nie mogąc unieść ciężaru kwietnego pyłku.

Kiedy pszenica dojrzała, mieliśmy co najwyżej osiem dni na dokończenie żniw, zanim kłosa się rozwiną i wysypią ziarno. W trzy dni wszystkie snopki zostały związane i piętrzyły się wysoko - zebrało się ich co najmniej ze sto. Były suche i łatwo było je przewiać i wymłócić. Najbardziej lubiałam przewiewanie - podrzucałam swoim koszem w tym samym rytmie co Mercy. Urządziłyśmy sobie zabawę, by sprawdzić, która pierwsza oddzieli ziarno od plew. Wtedy też po raz pierwszy zaczęła mówić o swojej rodzinie, wymordowanej przez Wabanaki. Miała matkę i ojca, dwóch starszych braci i dwie siostry, z których najmłodsza miała dopiero cztery latka. Indianie podkradli się o brzasku i podpalili dach domu. Gdy rodzina wybiegała, by uniknąć spalenia żywcem, po kolei dostawali cios w głowę. Mercy wzięto żywcem do niewoli wraz ze starszym bratem, on jednak nie przeżył długiego marszu do Kanady. Kończąc swą opowieść, uśmiechnęła się tym swoim krzywym uśmiechem i ścisnęła palcami mój nadgarstek.

- Ale tak sobie myślę, że niedługo będę miała nową rodzinę.

Nie tak jednak miało się stać.

MERCY I MOJA MATKA stały naprzeciwko siebie, każda z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i mierząc się wzrokiem, ciskały z oczu gromy. Był sierpień i choć dzień dopiero się zaczął, żar buchający z paleniska sprawiał, że z trudem dawało się wytrzymać w domu. Pot spływający po czerwonej twarzy Mercy utworzył wielką plamę z przodu jej fartucha i zmoczył krawędź czepka. Suknia matki miała wielkie wilgotne plamy pod pachami, ale profil jej twarzy był gładki i chłodny jak nagrobny kamień. Od tyłu wyglądało, jakby wstążki jej fartucha miały pęknąć, tak mocno spięła plecy. Wstrzymywałam oddech, by sobie o mnie nie przypomniiała i nie kazała mi wyjść.

Ranek zaczął się w miarę spokojnie. O pierwszym brzasku ojciec wyruszył na polowanie z Andrew i Tomem. Richard wziął kilka worków pszenicy, by ją wymienić na inne produkty na targu w mieście. Nasza trójka wstała wcześnie, bo tego dnia miałyśmy piec chleb. Ja sortowałam rozmaryn zebrany w ogrodzie i układałam go w pachnące pęki na stole. Potrawka z królika na obiad zaczynała już bulgotać w kociołku wiszącym pod kominem. Ponieważ mężczyźni byli nieobecni, matka i Mercy zakasały spódnice i fartuchy i wsunęły je sobie za pasek, co ułatwiało im krzątanie się przy palenisku. Matka właśnie sprawdziła łokciem temperaturę w niszy do pieczenia i stwierdziła, że jest odpowiednia. Skóra na jej prawym ramieniu zawsze była gładka jak pupa niemowlęcia, bo wszystkie włoski wypaliło gorąco z pieca. Hanna siedziała pod stołem u moich stóp i bawiła się drewnianą łyżką, wprawiając ją w szaleńczy wirujący ruch na deskach podłogi. Dzisiejszego ranka matka była w pogodniejszym nastroju, bo udało się jej uleczyć naszą krowę.

Z powodu upałów wymię krowy spuchło i stało się obolałe, więc zwierzę nie dawało tyle mleka co zwykle. Matka przygotowała leczniczą miksturę z ziół namoczonych w ciepłej wodzie i co godzinę przemywała krowie wymiona, aż opuchlizna ustąpiła, a krowa zaczęła dawać normalną ilość mleka. Mercy powiedziała, że nigdy nie widziała, aby ktoś równie szybko uleczył krowę z podobnej dolegliwości.

Nadciągające chmury obiecywały rychły deszcz. Pszenica została zebrana z pola, kukurydza pięknie dojrzała. Jej zbiory będą szczególnie obfite i część z nich będzie można wymienić na inne potrzebne w gospodarstwie rzeczy. Matka niemal radośnie mówiła o łoju, z którego robi świece, i wełnie, jaką będzie przędła jesienią. Mówiła o kupnie młodej jałówki i maciory, byśmy mieli więcej mleka i mięsa. Mercy uznała chyba, że to sposobny dzień na dogadanie się z moją matką, i oznajmiła, że byłoby dobrze zamienić skandal wydania przez nią na świat bękartu na nadanie mu nazwiska Richarda przez ożenek z nią. Niestety, nie postarała się zbyt dobrze i wybeczała nowinę jak zagubiona koza. Kiedy skończyła, rozległ się huk zatrzaskiwanej przez matkę pokrywy piekarnika, wprawiając Hannę w takie przerażenie, że aż kurczowo złapała się moich nóg. Obie, matka i Mercy, stały, próbując zapanować nad emocjami. Matka tłumiała gniew, a Mercy chyba strach. Siedemnastego lipca Richard skończył siedemnaście lat i stał się mężczyzną. Kobietę jednak mógł poślubić jedynie za zgodą ojca.

Nagle matka podciągnęła rękawy.

- Doskonale - rzekła. - Powiadasz, że jesteś brzemienna, wobec tego chcę na własne oczy się przekonać, że tak jest w istocie.

Mercy była tak zaskoczona, że otworzyła usta i bez słowa patrzyła, jak matka zrzuca ze stołu całą zieleninę do mojego fartucha.

- Dobry Boże, dziewczyno, nie zliczę, ile razy byłam akuszerką i aż za dobrze wiem, co masz pod spódnicą. Naprawdę myślisz, że oddam mojego syna komuś takiemu jak ty, nie mając dowodu, że rzeczywiście będziesz miała dziecko?

Mercy stała jak wryta. Wzrokiem szukała u mnie pomocy, ale ja byłam bezradna wobec wściekłości matki i mogłam jedynie się przyglądać, jak idzie na rzeź.

- Noszę w sobie dziecko - zaczęła protestować. - Richard musi ożenić się ze mną albo spotka mnie hańba - stwierdziła z uporem.

Matka nic nie odrzekła, tylko czekała z kamienną twarzą przy stole. Widziałam malującą się na twarzy Mercy kotłowaną myśl, niektórych przebiegłych, innych naznaczonych strachem. Być może sądziła, że w swoich igraszkach z Richardem posunęli się na tyle daleko, że mimo wszystko uda się jej oszukać swego kata. Wdrapała się na stół i położyła płasko na plecach. Matka szybko zadarła spódnicę i halkę Mercy, odsłaniając jej uda, i rozsunęła kolana. Cofnęłam się od stołu, nie na tyle jednak, by nie widzieć, co ma między nogami. Margaret powiedziała mi niejedno, ale nigdy wcześniej nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak wygląda w pełni rozwinięta kobieta. Patrzyłam po części zafascynowana, po części przerażona, jak matka bada ją szybko, po czym opuszcza jej spódnicę do kostek.

- Twoja błona dziewicza jest wciąż nietknięta - rzekła matka, odsuwając się od stołu. - Nie wiem, jakim cudem miałabyś wypchnąć z siebie dziecko, jeżeli wprawdzie nie wszedł w ciebie mężczyzna.

Mercy usiadła.

- Jestem brzemienna. Jestem brzemienna! - krzyczała na cały głos.

Zabrzmiało to jak bezsilne skomlenie, matka jednak pozostała niewzruszona. Mercy siedziała przez chwilę na stole, jęcząc i szlochając, ale szybko zrozumiała, że nic tym nie wskóra. Zlazła ze stołu i wygładziła pomiętą spódnicę oraz fartuch. Zebrała się w sobie i rzekła, ocierając rękawem nos:

- To dlatego, że za mnie zapłaciliście, uważacie, że nie jestem dość dobra dla waszego syna. Ale nieważne, co myślicie, według prawa powinien się ożenić ze mną i uczciwie zapłacić za to, co już sobie wziął. Teraz macie mnie za nic, ale moja rodzina w Topsfield miała się o wiele lepiej niż wy tutaj. Przy ich farmie wasza wygląda jak kupa gnoju.

Matka chyba zaczynała jej żałować, do czasu jednak, gdy nas obraziła.

- Nie możesz nic poradzić na to, co cię spotkało. Nieszczęście zmusiło cię do służenia innym, ale nie dlatego nie oddam ci mojego syna za męża, lecz dlatego, że jesteś podstępna złodziejką i kłamczuchą i nie chcę cię mieć dłużej w swoim domu. Przygarnęłam cię, ubierałam i karmiłam, a ty się odwdzięczyłaś, okradając moje dzieci z jedzenia. Myślałaś, że nie wiem o jedzeniu czy resztkach włóczki, które podkradałaś, albo o tym, jak ścinałaś spody świec. Ukradłabyś kołowrotek, gdybyś dała radę ukryć go pod spódnicą. To całe złodziejstwo mogłabym ci wybaczyć, ale najgorsze były twoje kłamstwa. A ja kłamców nie toleruję.

- To wy jesteście kłamcami - wrzasnęła Mercy, a na policzki wystąpiły jej niezdrowe czerwone plamy. - Wy i wasz syn nieudacznik. Obiecał, że się ze mną ożeni, a ja położyłam się z nim, żeby dobić targu, ale twój syn ze swoim żalosnym kutasem nie umiałby znaleźć kobiety, nawet gdyby mu ktoś cisnął nią w twarz. Jeżeli nie zgodzicie się na to małżeństwo, przysięgam, że cała wieś się dowie, jakie z was sukinsyny.

Coraz głośniejsze wrzaski przerwał siarczysty policzek wymierzony Mercy przez matkę. Z kącika ust pociekła jej strużka śliny, gdy przyłożyła dłoń do poczerwieniałej skóry.

- Udawałam, że nie widzę, jak robisz maślane oczy do Richarda i bezwstydnie się za nim uganiasz. Ale gdybym wiedziała, że pokładasz się z nim pod moim dachem, wyszarpałabym ci te nędzną resztkę włosów razem z korzeniami. Przynajmniej Richard miał dość rozumu, żeby trzymać swoją pałę w spodniach i nie marnować jej na taką paskudną i wstrętną dziewczuchę, której nawet Indianie nie chcieli.

Nigdy nie widziałam podobnego bezmiaru nienawiści, jaki się pojawił na twarzy Mercy Williams. Zmierzyła nas obie takim wzrokiem, że aż przytuliłam mocniej Hannę. Zabrała swoje nieliczne rzeczy i wyszła frontowymi drzwiami. Dopiero po wielu dniach dowiedzieliśmy się, że przygarnęli ją Chandlerowie. Mieszkali nieopodal, po drugiej stronie Boston Way Road. Prowadzili gospodę dla podróżnych i nad wyraz chętnie zwrócili ojcu resztę okupu za Mercy. Nie wiem, co Mercy im o nas naopowiadała, ale ojciec uczciwie powiedział Williamowi Chandlerowi, że dobry z niej pracownik. Wieczorem, po rozmowie z matką, skinął groźnie na Richarda, po czym obaj wyszli do stodoły, gdzie spędzili jakiś czas. Kiedy Richard wrócił do domu, ledwie mógł iść po razach, jakie spadły na jego nogi, ale wyraźnie mu ulżyło.

Leżąc tej nocy w łóżku, nuciłam pod nosem piosenkę francuskiego trapera, ale szybko przestałam, bo zaczęłam już zapominać jej słowa. Przytuliłam lalkę Margaret do ust, a kiedy nie wyczułam igły, uniosłam jej spódnicę i stwierdziłam, że igła znikła. Miałam szczerą nadzieję, że niedługo złamie się w złodziejskich palcach Mercy, skazując ją na szczękościsk i powolną, bolesną śmierć. Kiedy w środku

nocy Hanna wpełzła do mojego łóżka, przytuliłam jej małe ciało do siebie.

- Mercy odeszła - szepnęłam. - A ty masz już dwa lata i jesteś dużą dziewczynką, więc odtąd będziesz spała ze mną w łóżku.

Na swoich palcach wciąż czułam zapach rozmarynu i cieszyłam się, że tłumi ciężki odór Mercy, którym przesiąkły prześcieradła; odór skrytych myśli i daremnych kobiecych pragnień. Tej nocy śniłam o gwałtownych pożarach i ukrytych w lesie ścieżkach prowadzących wyłącznie na północ.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wrzesień - grudzień 1691

CZĘSTO W OWE pierwsze wrześniowe dni kryłam się w chłodzie szeleszczących łodyg kukurydzy rosnącej w przydomowym ogródku. Fasola i kabaczki zaczęły dojrzewać. Nie śpieszyłam się, napełniając nimi fartuch, wiedziałam bowiem, że o wiele mniej przyjemne zadania czekają na mnie w otępiającym, gorącym zaduchu domu czy stodoły. Z zewnętrznego pola zebraliśmy prawie osiemdziesiąt buszli kukurydzy i prawie nie było posiłku, który nie składałby się z twardych ziaren zmielonych, pogniecionych lub dodanych do dziczyzny upolowanej przez ojca. Jedliśmy kolby kukurydzy upieczone w żarze i mamałygę upieczoną z fasolą i kabaczkami. Później, gdy nastanie nowy rok i kiedy klony wypuszczą swój sok, będziemy jedli indiański pudding z mąki kukurydzianej z syropem klonowym. Trzeba będzie sporo syropu, by stłumić piaskowy posmak kukurydzy przechowywanej przez wiele miesięcy w koszach.

Weszłam głębiej w cień i znalazłam się obok stracha na wróble, którego głowa i ramiona wystawały ponad jedwabiste kłosa falujące na wietrze niczym mieszkańcy oddający hołd stojącemu na ich straży królowi. Był zrobiony z łąpaty piekarskiej i gałęzi orzesznika przywiązanej w poprzek, tak by tworzyła ramiona. Ubraliśmy go w parę starych spodni i kaftan - ojciec nosił je w czasach, kiedy przybył tutaj ze Starej Anglii. Kaftan z wypłowiałej czerwonej wełny miał wywinięte błękitne mankiety, na rękawie widniało zacerowane rozdarcie. Kilka tygodni wcześniej natknęłam się na ojca wpatrującego się w człowieka z patyków, jakby był kimś dawno uznanym za zmarłego. Nastąpiła najbardziej ulubiona przez ojca pora dnia, gdy cienie się wydłużają. Widząc, że jest w łagodnym nastroju, odważyłam się zapytać, o czym myśli.

- Wspominam to, o czym sądziłem, że zapomniałem. Ale przeszłość człowieka jest jak jego cień - odparł, nie poruszając się.

Po chwili, czując na sobie moje zaciekawione spojrzenie, skinął głową.

- No, Saro, zadaj swoje pytanie.

- Czy to wojskowy kaftan? - zapytałam.

- Tak - odparł cicho.

- Gdzie walczyłeś, kiedy tak go sobie rozdarłeś? - pytałam dalej, przysuwając się bliżej.

- W Irlandii. - Zdumiało mnie to, sądziłam bowiem, że był żołnierzem tylko w Starej Anglii. - Razem z Cromwellem walczyłem z katolikami.

Dość się nasłuchiwałam w domu modlitwy, by wiedzieć, że katolicy to bałwochwalcy, krwio pijcy, źli jak sam Lucyfer.

- I tę ranę zadał ci irlandzki żołnierz? - zapytałam coraz bardziej podekscytowana.

Wskazałam na jego ramię, gdzie widziałam wypukłą bliznę biegnącą od łokcia do nadgarstka.

- Nie - rzekł, potrząsając głową. - To był tylko człowiek, który bronił swego domu i rodziny.

Zawiedziona zwięzłą odpowiedzią zmarszczyłam brwi i zastanawiałam się, o co jeszcze by go zapytać. Kiedy podniosłam głowę, on już się odwrócił i wszedł między kukurydzę. Zielone łodygi skrzypiały i chrzęściły, rozstępując się przed nim, by zaraz zewrzeć na powrót szyki za jego oddalającą się sylwetką.

Sznurki grzechoczących muszelek zwisających z ramion stracha na wróble poruszyły się na wietrze i przypomniały mi tamtą chwilę. Matka nazywała stracha straszydłem, co brzmiało o wiele bardziej tajemniczo. Strach na wróble był czymś, co działało otwarcie, w pełnym świetle dnia. „Straszydło” zaś, z literą r wprawiającą język w drzenie,

mówiło o skrytej ostrożności, z jaką czyhało się na wrony grasujące w zapadającym zmroku. Tej nazwy używali ludzie przybyli z południowej Anglii, z Devon, Jasing i Ramsey, gdzie wciąż jeszcze posługiwano się starym językiem.

Kątem oka dostrzegłam błysk światła i kiedy się obróciłam, ujrzałam wielką pajęczynę, na której gromadziły się krople rosy jak paciorki nanizane na utkane przez pająka jedwabiste koło. Wyczarowanie tak misternego wzoru musiało zająć dużo czasu. Chociaż się wpatrywałam długo i z natężeniem, nigdzie nie dostrzegłam maleńkiego tkacza. Wolno i z gracją wodne koraliki zsuwały się po swoich jedwabistych ścieżkach, przystając na chwilę w najniższej części koła, po czym spadały na ziemię, stracone na zawsze. Wyglądało to jak klepsydra czarodzieja, odmierzająca minuty i godziny moich dni. Przez jedną ulotną chwilę pomyślałam, że mogłabym uchwycić dłonią spadające krople i zatrzymać czas. Mogłabym zostać ukryta w ogrodowym sanktuarium, w ogrodzie mojej babki, bezpieczna po kres czasów. Nie musiałabym znosić dni wypełnionych tylko pracą, nierozjaśnionych nigdy śmiechem czy przelotnym uściskiem, wypowiedzianymi szeptem słowami otuchy. Na mojej ręce usiadła czerwona osa - zamarłam ze strachu, że wbije mi żądło w ciało. Była piękna i przerażająca ze swoimi bezdusznymi czarnymi oczami i poruszającym się odwłokiem. Nagle objawiła mi się brutalna prawda, że ten ogród jest światem, a przed światem nie ma ucieczki.

Usłyszałam tętent kopyt konia pędzącego Boston Way Road, wybujale łądygi nie pozwalały mi jednak dostrzec jeźdźca. Podążając za dźwiękiem, ruszyłam ku domowi z fartuchem nabrzmiałym od zebranych kabaczków. Gdy wyszłam na podwórze, ujrzałam wuja dosiadającego Bucefała i upuściłam kabaczki na ziemię, by pomachać mu na powitanie. Wpatrywał się w pola, dłonią osłaniając oczy przed

słonecznym blaskiem. Kąciki ust miał wydęte i wykrzywione w dół, jakby zjadł coś gorzkiego. Widząc mnie jednak, uśmiechnął się wesoło.

- Proszę, proszę, oto moja druga bliźniaczka - zawołał.

Złapałam go mocno za rękę i powiodłam do domu, jak cennego więźnia. Matka obierała kukurydzę i wstała szybko, a z jej spódnicy sfrunęła na ziemię jedwabista zielono - żółta chmura. Nie lubiła niespodzianek zakłócających jej dzień pracy.

- Co cię sprowadza do Andover, bracie? - spytała ze ściągniętymi brwiami.

- Siostro, mam za sobą długą i męczącą podróż - odparł wuj z uśmiechem. - Szklanka zimnej wody byłaby mile widziana.

Gdy matka się odwróciła, by sięgnąć po kubek, wuj puścił do mnie oczko. Wypił szybko wodę i rzekł:

- Jak widzę, dobrze wam się wiedzie w domu twojej matki. A co z gospodarstwem w Billerice?

- Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie, bracie, jako że zapewne właśnie stamtąd przybyłeś. Jak widzisz, my tu, w Andover, ciężko pracujemy.

Zapadła cisza, gdy oboje mierzyli się wzrokiem, po czym wuj zmienił kierunek rozmowy, jak statek zmienia kurs, widząc nadciągający szkwał.

- Mary przesyła pozdrowienia i ma nadzieję odwiedzić was wkrótce... gdy pogoda będzie bardziej sprzyjająca.

- Upały długo jeszcze mogą nie zelżeć. Ale moja siostra zawsze będzie mile widziana. Wydaje się jednak, że ona przybędzie tu jako ostatnia z waszej rodziny.

Wuj pokręcił głową.

- Obawiam się, że wizyta mojego syna nie wypadła najlepiej, choć miałem nadzieję, że przyczyni się do większego szczęścia nas wszystkich.

Matka parsknęła śmiechem przez nos. Stała przy stole z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i milczała.

- Miałem nadzieję - ciągnął wuj ostrożnie - że moglibyśmy dojść do... porozumienia. Na przykład w sprawie rekompensaty za ziemię twojej matki. Miała przypaść Mary, a potem Allenowi.

- To się zmieniło. Na łożu śmierci moja matka w nasze ręce złożyła troskę o ziemię. I ten dom.

- Być może, ale jako lekarz doskonale wiem, jak może pobłądzić umysł dotknięty gorączką. Być może twoja matka nie była przy zdrowych zmysłach, gdy składała swoją obietnicę, lub też jej intencje zostały... źle zrozumiane.

Ostatnie słowa wymówił bez szczególnego nacisku, ale i tak nie było wątpliwości, co miały oznaczać.

Matka rozprostowała ręce i wyglądała jak norka czyhająca nad kryjówką pstrąga.

- Znamienne, że mówisz o sobie jako o lekarzu. Twoja pomoc przydałaby się w ciągu tych dwóch tygodni, kiedy opiekowałam się moją matką. Ocierałam ropę z jej ciekących bąbli, co godzinę zmieniałam pościel, gdy wyciekała z niej krew. Po prawdzie dziwię się, że nie słyszeliście jej krzyków w Billerice.

- Saro - rzekł wuj, zwracając się do mnie. - Przywiozłem ci coś od Margaret. Idź i weź to sobie, jest w siodle.

Wybiegłam na podwórze i dałam Bucefałowi rękę do powąchania, by mnie sobie przypomniął. Sięgnęłam do sakwy przy siodle i wyjęłam z niej mały kwadracik muślinu. Widniały na nim wyhaftowane równiutko krzyżykami litery, otoczone kolorowym szlaczkiem. Przytuliłam skrawek tkaniny do twarzy i wciągnęłam nosem zapach Margaret. Dopiero co dotykała materiału, może nie więcej niż kilka godzin temu. Uważnie przeczytałam słowa, cytując z Księgi Przysłów. „Przyjaciel kocha w każdym czasie”. Nie dokończyła cytatu,

który w całości brzmiał: „Przyjaciel kocha w każdym czasie, a bratem się staje w nieszczęściu”. Przypomniała mi się nienawistna twarz Allena, a wraz z nią zapach palącej się pszenicy. Siedziałam na progu z serwetką Margaret wsuniętą za stanik sukienki i wsłuchiwałam się w szmer przytłumionych głosów, dobiegający z wnętrza domu. Nie rozróżniałam słów, ale czułam ich ciężar i gwałtowność, uspokajający głos wuja i znacznie bardziej gniewny matki. Wuj starał się ją ułagodzić, niczym garncarz studzący rozgrzaną bryłę piasku i potażu, by móc ukształtować ją w naczynie. Czasem jednak nawet największa ostrożność nie zapobiegnie jego zniszczeniu. Siedziałam, rękami zasłaniając uszy, i czekałam na nieunikniony huk roztrzaskującego się szkła.

Ojciec wrócił z pola z wielką siekierą na ramieniu. Rąbał drewno i koszulę miał przesiąkniętą potem, a wilgotne włosy kleiły mu się do karku. Ujrzał wujowskiego konia i przyśpieszył kroku. Spojrzał na mnie, lecz nie zostawił siekiery przy drzwiach, jak to miał w zwyczaju. Gdy przechodził przez drzwi, ostrze narzędzia zahaczyło o framugę, robiąc w niej głębokie cięcie. Minęło kilka chwil, odkąd wszedł do domu, i nagle wszelkie rozmowy ucichły. Zaraz potem wuj wybiegł, w pośpiechu omal nie potykając się o mnie. Pobiegnęłam za nim.

- Wuju, proszę, zaczekaj chwilę - wołałam. - Nie odjeżdżaj, błagam.

On jednak się nie odwrócił i nie czekał. Nie zdążyłam przygotować prezentu dla Margaret. Co sobie pomyśli, gdy wuj wróci z pustymi rękoma? Nie ćwiczyłam się w szyciu, choć jej obiecałam, bo igłę, którą mi podarowała, ukradła Mercy, a bez niej nic nie mogłam zrobić. Została mi tylko jedna, zrobiona z ości i tępa, używana do naprawy wełnianych

ubrań. Wuj wskoczył na Bucefała i gwałtownie szarpnął wodze. Biegłam obok jego strzemienia, dysząc ciężko.

- Powiedz Margaret... powiedz Margaret...

On jednak szybko wysforował się przede mnie i zdążyłam tylko krzyknąć:

- Nie jestem jak moja matka... Nie jestem jak ona!

Patrzyłam za nim, aż matka mnie zawołała. Ja jednak zwlekałam, póki nie stanęła w drzwiach ze ściągniętymi brwiami. Gdy weszłam do kuchni, na stole leżała złowrogo siekiera ojca, ostrym ostrzem zwrócona ku miejscu, w którym stał wuj.

PEWNEGO WRZEŚNIOWEGO poranka Andrew, Tom i ja byliśmy w stodole. Wcześniej musiałam siedzieć w domu, wędząc i osuszając mięso na zimę. Godzina upływała za godziną, a ja obracałam rożen. Przestałam uważać i nie zauważyłam, że rąbek mojej spódnicy zbytnio się zbliżył do żaru. W mgnieniu oka mogłam zamienić się w płonącą pochodnię. Matka szarpnięciem odciągnęła mnie od paleniska.

- Na litość Boga, Saro, wszystkich nas spalisz! - wykrzyknęła.

Razem z Hanną posłała mnie do stodoły, żebym ustawiła miseczkę z mlekiem dla myszy, które wyjadały nasze cenne ziarno. Myszy przyjdą do mleka, a mieszkające na stryszku koty urządują sobie śniadanie z futerka, zębów i ogonów. Dla zabicia czasu przyglądałam się miseczce, wyobrażając sobie miniaturową krwawą bitwę, i mojej szarpiącej się siostrzyczce. Wmawiałam sobie, że przywiązałam Hannę do słupa, by ją ochronić przed kopnięciem konia, ale tak naprawdę straciłam do niej cierpliwość, bo bez przerwy czepiała się mnie i nieustannie wołała. Szarpała krępujące ją więzy, ale ja byłam nieugięta i ignorowałam jej żalosne skomlenie, żebym znowu wzięła ją na rękę. Słyszałam, jak Tom pracuje w jednym z boksów, rozrzucając świeże siano.

Za każdym razem gdy podrzucał widłami, w powietrzu unosiła się chmara drobnutkiego diabelskiego pyłku, od którego dostawał gwałtownych ataków kichania. Zgięty wpół, z rękami wspartymi o kolana, kichał i wypluwał kaskady śliny. Powtórzyło się to dziewięć razy, zanim od strony pola kukurydzy dobiegł nas rozsierdzony głos matki. Andrew skończył właśnie doić krowę i mało nie przewrócił wiadra ze strachu. Taki zwerbalizowany atak wściekłości najczęściej oznaczał, że zaraz któreś z nas dostanie lanie.

Wybiegliśmy wszyscy ze stodoły, Tom uzbrojony w widły, gdyż był przekonany, że matkę zaatakowali Indianie. Podążając za jej głosem, w pierwszej chwili nie mieliśmy pojęcia, co ją doprowadziło do takiej złości. Stała tyłem do nas, z pięściami na biodrach. Odwróciła się i wtedy zobaczyliśmy brązową krowę w kukurydzy, ze stoickim spokojem tratującą łodygi, by się dostać do ziarna. Za nią, spoglądając nieśmiało wielkimi wilgotnymi ślepiami, podążało jej cielę. Zwierzęta musiały paść się na naszym polu od dobrej chwili, być może nawet przez cały ranek, bo zdążyły połamać całą kukurydzę, jaka jeszcze została. Krowa spojrzała na matkę z zadowoleniem. W jej uchu pobrzękiwał mały mosiężny dzwoneczek, nie zważając na krzyki matki i klaskanie w dłonie, dalej pasła się spokojnie. Na dzwoneczku widniały wygrawerowane inicjały „S.P.” Przez dźwięk łagodnie stąpających kopyt przebił się krzyk Hanny. Matka odwróciła się ze ściągniętymi ustami i uniesioną jedną brwią.

- Saro, wracaj do stodoły i odwiąż siostrę, a potem przynieś mi postronek - powiedziała. - I pośpiesz się. Dzisiejszego ranka złożymy wizytę panu Prestonowi.

Popędziłam do stodoły, ale zdążyłam jeszcze wstąpić do domu i wziąć herbatnik. Jeszcze nie jedliśmy i żołądek skręcał mi się z głodu. Odwiązałam Hannę i oddałam ją pod opiekę Andrew, a sama pobiegłam do kuchni i wsunęłam do kieszeni

fartucha jeden herbatnik. Po namyśle wzięłam jeszcze jeden, bo herbatniki matki trudno było przełamać na dwie równe części, a jeżeli będę dość sprytna i szybka, może uda mi się zjeść po kryjomu jedno ciastko, a potem hojnie zaproponować matce, by sama zjadła drugie. Krowa nie stawiała zbytniego oporu, tym bardziej że i tak zjadła już całą kukurydzę. Szłam za nią, kijkiem popędzając cielaka, by nadażył za kroczącą szybko matką. Samuel Preston był naszym sąsiadem od południa. Jego farma znajdowała się poniżej Chandler's Inn i domu Thomasa Osgooda, na Preston's Plain. Mieszkał w naszym mieście od dawna. Miał dziesięć akrów, ale nie troszczył się ani o rodzinę, ani żywy dobytek. W lipcu ojciec znalazł jedną z krów Prestona w dole z jeżynami, z nogami i wymieniem poszarpanym do krwi przez kolce. Uwolnił ją i przez wiele dni leczył jej rany, okładając je piwem i niedźwiedzim sadłem. Kiedy wyzdrowiała, zwrócił ją Samuelowi Prestonowi, ale bez mleka w wymionach. Farmer Preston w zasadzie nawet mu nie podziękował, za to oskarżył ojca, że trzymał krowę tak długo, aby wykorzystać całe jej mleko.

Idąc wraz z matką, po kryjomu ułamywałam małe kawałeczki herbatnika i wkładałam je do ust, ani na chwilę nie spuszczać oka z matki maszerującej przede mną zdecydowanym krokiem. Chłód nadciągającego wieczoru kładł na polach mgłę, ale słońce podnosiło kłębiącą się masę z równą łatwością, z jaką fala przyływu unosi zacumowane w porcie statki. Drzewa i łąki wciąż były intensywnie zielone, lecz na najwyższych częściach dębowych gałęzi można było już dostrzec pierwsze żółknące liście. Wiązy i jesiony ze swych spletanych konarów tworzyły łuk nad drogą, blokując dostęp światła niczym odwrócony wielki ciemnozielony kocioł. Kardynały i wrony skryte wysoko w swoich zielonych namiotach skrzeczały ostrzegawczo. Przesycone zapachami

powietrze otulało moją skórę na podobieństwo wilgotnej ciepłej flaneli. Zwolniłam kroku i powłócząc nogami, wzbijałam w powietrze chmury pyłu. Głos matki, nucącej jakąś nieznaną mi melodię, niósł się ciepły i głęboki, i wkrótce ona także zwolniła kroku. Popatrzyła w górę na krzyżujące się ze sobą gałęzie, potem na trawy u jej stóp, raz też rzuciła mi spojrzenie przez ramię i uśmiechnęła się. Nie był to co prawda przepełniony bezgraniczną radością uśmiech, ale i tak przyjemny. Przystanąła, czekając, aż ją dogonię.

- Czy wiesz, jaki dzisiaj dzień, Saro? - spytała.

- Wtorek. Przynajmniej tak mi się wydaje - odrzekłam po chwili namysłu.

- Dzisiaj przypada pierwszy dzień jesieni. Koniec żniw. Skończyły się szybciej, niż przypuszczaliśmy - powiedziała, klepiąc krowę po zadzie. - Co powiesz na pudding dzisiaj na kolację? Mamy jajka, mąkę, głowę cukru, a ja pozwolę ci wylizać miskę. Jak ci się to podoba?

Nie czekając na moją odpowiedź, łagodnie ujęła dłonią moją brodę, po czym się odwróciła. Dawno już nie jedliśmy puddingu, a matka prawie zawsze dawała resztki z miski do wylizania ojcu albo Richardowi. Poczułam, jak coś we mnie mięknie, i gdybym mogła zobaczyć swoją twarz, bez wątpienia ujrzałabym malujące się na niej zdumienie i wdzięczność. Matka ruszyła wolno przed siebie i skinęła ręką, bym podążyła za nią.

Przyglądałam się jej pełnej wdzięku sylwetce, kroczącej pod drzewami, na przemian to znikającej w cieniu, to pojawiającej się w blasku. Przez chwilę była, a zaraz potem połykała ją ciemność, jakby nagle znikwała z powierzchni ziemi. Mlaskałam językiem na myśl o wyskrobaniu i wylizaniu słodczy z miski i postanowiłam, że podzielę się z Tomem w zamian za wykonywanie niektórych moich obowiązków. Z nisko zwisającej gałęzi krzyknęła sójka,

ćwierkała i trzepotała skrzydłami. Była tak blisko, że mogłam dotknąć jej ogonka. Gałąź uniosła się i zakołysała pchnięta podmuchem wiatru, osłaniając moją twarz przed słońcem. I nagle czubek głowy musnęło mi przerażenie. Spłynęło mi po czole, karku, ramionach, aż na piersi. Serce zabiło ogarnięte lękiem tak przemożnym, że uniósłby tonę ziarna lub kamienny mur, a mimo to ja zamarłam, niezdolna poruszyć się ani krzyknąć.

Dzień był taki piękny, migotliwe cienie na skałach, roślinach, niebie dawały świadectwo dobroci, porządku ustalonego ręką naszego Pana. A mimo to ujrzałam w przesuwającym się słońcu, jakbym patrzyła w mroczną topiel stawu, że za tym przepelnionym spokojem krajobrazem czai się Pan i z ostrzem w dłoni czeka, by ciąć nasze delikatne ciała, pozostawiając tylko kości, pustą wysuszoną skorupę. Moja matka, silna i twarda jak młoda sosna, nagle wydała mi się malutka i bezbronna. Podążała zdecydowanie przed siebie, każdym ruchem zdradzając swój silny charakter. Czymże jednak była wobec potęgi Boga, który gdy rok będzie miał się ku końcowi, wymorduje tysiące istnień, by wraz z wiosną rozpocząć swoje dzieło od nowa. Wraz z tą myślą pojawiła się pewność, że matka wkrótce stanie przed Samuelem Prestonem i zażąda zadośćuczynienia. Dojdzie między nimi do ostrej wymiany zdań, jako że on jest podłym, kłótliwym człowiekiem, ona zaś nie ustąpi, póki nie dostanie, czego chce, czy to w formie zamiany, czy też dobierając się panu Prestonowi do skóry. I tak samo jak byłam pewna swojego imienia, nie miałam wątpliwości, że on któregoś dnia wyrówna z nią swoje rachunki.

Klepnęłam w bok ociągające się ciele, by zaczęło iść szybciej. Przypomniałam sobie o ciastku w kieszeni fartucha.

- Matko, proszę - powiedziałam, podając jej. - Wzięłam dla ciebie. Spojrzała na mnie zdumiona i wzięła ciastko.

Podniosła je do ust, ale zatrzymała się i przełamawszy je na pół, podała mi jeden kawałek.

- Nie jestem głodna - rzekłam. - Ale ty powinnaś zjeść. Może byś usiadła na chwilę?

Nie zatrzymując się, potrząsnęła głową.

- To bardzo miłe z twojej strony, Saro. Ale mogę jeść ciastko i iść. - Uśmiechnęła się. - Tak jak ty robiłaś przed chwilą - rzuciła przez ramię. - No, strzep okruszki z twarzy albo nasz sąsiad uzna, że jesteśmy niegrzeczne.

Pan Preston odmówił zapłaty za zniszczoną kukurydzę, twierdząc, że nie jest głupcem i wie, iż zebraliśmy już całą kukurydzę z pola. Jego żona stanęła w drzwiach domu, przysłuchując się. Zauważyłam, że prawe oko ma podbite i tak opuchnięte, iż nie może rozewrzeć powiek. Ich dzieci stały w pobliżu, wszystkie jasnowłose, brudne i zdziczałe. Matka wyzwała go od „podłych skąpców, którzy próbowaliby sprzedać holenderski funt ziarna jako cetnar i dla zysku przetopiliby ołowianą klapę własnej studni, nawet gdyby przez to pięcioro ich dzieci miało się potopić”. Ponieważ nigdy wcześniej nie słyszał, jak moja matka włada językiem, przez chwilę stał oniemiały.

Otrząsnął się jednak szybko i nazwał ją „czarnolicą kąśliwą harpią pod postacią kobiety, o piersiach wypełnionych żółcią, która bez mrugnięcia okiem obiłaby przyzwoitego farmera i równie łatwo usmażyła i zjadła ludzką wątrobę, jak inni jedzą w domu jabłko”.

Przekonawszy się, że krzykiem jej nie odgoni, zacisnął pięści, jakby zamierzał ją uderzyć. Wtedy matka uniosła nad głowę długi kolczasty drąg, którym poganiała krowę. Myślę, że nigdy wcześniej żadna kobieta nie przyjęła jego gniewu inaczej jak ze spuszczoną głową i zgiętym karkiem. Tak go to zaskoczyło, że cofnął się o kilka kroków. Schyliłam się po kamień i oceniając odległość, jaka dzieliła mnie od jego

głowy, podeszłam bliżej matki. Ona spokojnie czekała, aż pan Preston przystanie dla złapania oddechu, po czym odezwała się ostro:

- Samuelu Prestonie, kiedy następnym razem twoja krowa wlezie nam w szkodę, zatrzymamy ją w ramach zadośćuczynienia. A z tego co tu widzę, niedługo będziemy na to czekać. - Popatrzyła na zdrowe oko jego żony, wciąż stojącej w drzwiach. - Zatrósz się lepiej o to, co twoje, albo to co twoje rozchoruje się i umrze.

Odwróciła się i odeszła, zostawiając krowę i jej cielę na podwórzu. Ja ściszałam w ręce kamień przez całą Boston Road Way i byłabym wniosła go do domu, gdyby matka nie zatrzymała się przede mną w progu. Ujęła moją dłoń i w zaciśniętych palcach znalazła kamień. Podłożyła swoją rękę pod moją i kołysała nią przez chwilę, jakby sprawdzając jej siłę. Następnie drugą ręką łagodnie rozwarła mi palce, odsłaniając połyskujący kawałek głazu.

WCZESNĄ JESIENIĄ wieczory stały się chłodniejsze. Robaczki świętojańskie, zakończywszy okres godowy, wirowały szaleńczo nad polami, zupełnie jak ludzie wokół rozpalanych nocą ognisk w czasie wielkiej zarazy, wiedzący, że wkrótce czarny wiatr złoży na nich swój pocałunek śmierci. Deszcze padały obficie, o świtaniu w zroszonym ogrodzie zbieraliśmy dynie, rzepę i cebulę. Strąki soczewicy nabrzmiały, rozsypując swoje ziarna na ziemię. Krzaczkę portulaki rosły gęsto, a ich czerwone łodygi i żółte kwiatki lśniły w słońcu na tle szarych ścian domu. Lasy roiły się od dzikiej zwierzyny, która wręcz sama wskakiwała do garnka. Ojciec często wracał z polowania z pasem ciężkim od uwiązanych u niego przepiórek i kuropatw, a kiedyś przywłókł przed dom indyka tak dużego jak Tom i spędziłyśmy z matką cały dzień, oskubując go z piór. Jednego tygodnia upolował aż dwa jelenie. Ich mięso zostało pocięte na cieniutkie paski,

posolone i uwędzone nad wolnym ogniem. Podczas długich zimowych miesięcy będziemy je moczyć w wodzie z jagodami i mąką kukurydzianą, by mu nadać smak leśnych plonów.

Ojciec zabronił nam wybierać się do lasu samotnie, bez pilnującego nas Richarda uzbrojonego w strzelbę. Często jednak udawało mi się wymknąć na okoliczne łąki i lasy samej lub tylko z Tomem, jeżeli zdołałam namówić go na wyprawę. Bezpieczeństwo, jakie zapewniała strzelba Richarda, było marnym zadośćuczynieniem jego nudnych wywodów i ponurej miny. Nie miał cierpliwości do naszej potrzeby przygód i kazał nam się trzymać ścieżki.

Wzdłuż brzegów Skug River zrywaliśmy trojeść, zwaną też koronkami królowej Anny, i wędrowaliśmy dalej na wschód, gdzie w starym sadzie zbieraliśmy jabłka. Te suche i małe owoce matka nazywała żółtymi słodkościami Blaxtona, od imienia człowieka, który sprowadził je z Anglii przed wieloma laty. Każde miało kilkanaście pestek. Richard powiedział nam, że jeżeli połkniemy choć jedną, z głowy wyrośnie nam jabłoń. Biedny Andrew, który od czasu choroby wierzył we wszystko, co mu się powiedziało, zawsze ilekroć zdarzyło mu się połknąć pestkę, całymi godzinami grzebał sobie w uszach, sprawdzając, czy nie rosną w nich gałęzie. Przez cały październik dzikie i domowe zwierzęta obrastały tłuszczem, tak jak my, dzięki zgromadzonym zapasom jedzenia. Obficie zaopatrzona spiżarnia, łagodna pogoda i możliwość wymiany zapasów na inne niezbędne rzeczy przepełniały mnie spokojem. Mimo to nie mogłam się pozbyć dręczących mnie przerażających myśli. Bałam się, że wiatr zerwie nam dach, woda w studni stanie się trująca albo któreś z nas przewróci się i nadzieje na siekierę. Nie mogłam zapomnieć przeczucia tragedii, które naszło mnie owego dnia, gdy wraz z matką odprowadzałyśmy krowę na farmę Prestona.

Nie ucieszyłam się, kiedy moje straszne przeczucia zmaterializowały się pod postacią Mercy Williams.

W każdy szabat widziałam ją w domu modlitwy. Teraz siedziała wraz z Phoebe Chandler, córką właściciela zajazdu, nigdy jednak nie spoglądała w moją stronę ani w żaden inny sposób nie pokazywała, że nas zauważa. Phoebe miała jedenaście lat i nie była szczególnie urodziwa. Z powodu słabego wzroku często zadzierała brodę i mrużyła oczy, by lepiej widzieć. Dwa przednie zęby wystawały jej z ust, przez co wyglądała trochę jak bóbr przepływający strumień z patykiem w pysku. Którejś niedzieli wielebny Dane cytował nam Psalm 19: „Prawo Pana doskonałe - krzepi ducha (...)”. Wodził swym łagodnym spojrzeniem po wszystkich zgromadzonych przed nim twarzach, bez wątpienia wierząc w dobroć swojej kongregacji. Gdy po ostatnich modlitwach wszyscy wyszliśmy z domu modlitwy, powitał nas cudowny dzień skąpany w miodowym świetle, z wiejącym lekkim wietrzykiem, łagodzącym nieco żar poranka. Stałam w tłumie kobiet, gdy nagle poczułam bolesne ukłucie najpierw w plecy, a po chwili w prawy pośladek. Krzyknęłam i się odwróciłam. Za sobą zobaczyłam Mercy z rękami skrzyżowanymi na piersiach i obojętnym wyrazem twarzy. Stojąca obok niej Phoebe stłumiła śmiech, zasłaniając usta dłonią. Miałam ochotę powalić Mercy na ziemię i wyrwać z jej palców skradzioną igłę, którą mnie dźgnęła. Posłałam jej złowrogie spojrzenie i przepchnęłam się przez stojące przede mną kobiety, po czym stanęłam na uboczu, czekając na Toma i Andrew, podczas gdy matka z płaczącą Hanną wsiadała na wóz.

Wkrótce Mercy i Phoebe wyszły przed kościół i zerkając na mnie, coś między sobą szeptały. Oddaliłam się i przystanąłam w cieniu drzew okalających cmentarz przed

świątynią. Podążyły za mną i podeszły na tyle blisko, bym mogła słyszeć ich słowa.

- Nie uważasz, że rude włosy u dziewczyny wyglądają paskudnie? - powiedziała Mercy.

Phoebe parsknęła śmiechem, podczas gdy Mercy mówiła dalej:

- Ja zawsze tak myślałam. Indianie z miejsca zabiliby rudą dziewczynę, tak bardzo nienawidzą tego koloru.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach i udawałam, że nie słyszę, ale coś w tonie jej głosu sprawiało, że serce zabiło mi szybciej. W tej chwili obok Mercy zjawiała się Mary Lacey i od razu się domyśliła, kto jest drapieżcą, a kto ofiarą, jak myśliwski pies zbyt późno dołączający do polującej sfory.

- Właśnie mówiłam Phoebe, że rudowłose dziewczyny są tak brzydkie, że nie powinny żyć - zwróciła się Mercy do Mary.

- Ty, Mercy, wiesz o tym najlepiej, bo sama jesteś brzydka od urodzenia.

Nieopatrznie wypowiedziałam te słowa, uświadamiając sobie natychmiast, że powinnam była trzymać język za zębami.

Mary i Phoebe popatrzyły na Mercy, a potem bez cienia współczucia przeniosły wzrok na mnie, czekając, aż rozpęta się burza. Mercy obejrzała się szybko przez ramię, by sprawdzić, że większość wiernych wsiadła już na swoje wozy. Nasza czwórka stała dość daleko od miejsca, w którym zebrała się moja rodzina. Mercy ruszyła ku mnie, a ja pamiętając, jak powaliła Richarda na ziemię, odstąpiłam w tył. Nie widziałam na jej twarzy złości, tylko martwy spokój, tak straszny, że chciałam się odwrócić i uciec, bo zapowiadał o wiele większe zagrożenie niż zwykła złość i dąsy. Ruszyłam szybkim krokiem, chcąc je wyminąć, ale Mercy chwyciła mnie boleśnie za kark i przyciągnęła do swoich kolan, tak

mocno ściskając moje ramiona, że nie mogłam się poruszyć ani wyprostować. Dla równowagi wsparła się szerokimi plecami o nagrobny kamień. Mary i Phoebe stanęły za nami, rozpościerając spódnice, niczym kurtynę zasłaniającą nieprzyjemny widok. Mercy nachyliła się i ugryzła mnie w ucho, nie na tyle mocno, by je rozkrwawić, lecz wystarczająco boleśnie.

- Spróbuj krzyknąć, a w jednej chwili ci je odgryzę - szepnęła.

Nie miałam wątpliwości, że nie tylko spełni swoją groźbę, ale też połknie moje ucho w całości.

- Cuchniesz jak kloaka - powiedziałam głośno. Ścisnęła mnie mocniej i rzekła do pozostałych:

- Lepiej na nią uważajcie. Indianie mówią, że rudowłose dziewczyny to czarownice. Jej matka jest czarownicą. To prawda. Słyszałam, jak przywołuje pioruny. I odwróciła wiatr, który niósł ogień na jej pole, kierując go na pole Henry'ego Holta. I uleczyła opuchnięte wymię krowy w czasie krótszym, niż trzeba żeby wypowiedzieć słowo „cycek”.

- Jedyna czarownica w Andover to ty - powiedziałam, próbując się uwolnić.

Ona jednak wzmocniła tylko uchwyt, tak boleśnie ściskając mi żebra, że niemal nie mogłam oddychać.

- Timothy Swan mówi, że Martha Carrier spojrzała na niego złym okiem, kiedy po raz pierwszy przyszła do domu modlitwy - odezwała się żywo Mary. - Od tamtej pory ciągle niedomaga.

Phoebe dołała oliwy do ognia.

- Mój ojciec mówi, że Roger Toothaker często bywa w gospodzie i że pani Carrier ukradła mu dom, który należał się jego synowi. Mówi, że go przeklęła i od tego czasu jego stara rana na brzuchu otworzyła się i nie chce zagoić.

Jej słowa ubodły mnie, jakbym się przewróciła na ściernisko. Mary przechyliła się przez kamień.

- O tym samym rozmawiałam z Allenem Toothakerem - szepnęła. - Mieszka teraz u Timothy'ego Swana, bo nie ma własnego domu. Allen mówi, że jego ciotka to najgorsza ze wszystkich kobiet.

Teraz Phoebe postanowiła wtrącić swoje trzy grosze.

- Słyszałam, jak mój ojciec mówił o Benjaminie Abbocie. Jego dom stoi po drugiej stronie Shawshin. Pan Abbot miał sprzeczkę z panią Carrier. Nie wadząc nikomu, budował mur z kamienia, kiedy pani Carrier zaatakowała go, mówiąc, że niedługo pożałuje, że poczyna sobie na ziemi tak blisko jej domu. Pogroziła mu pięścią i obiecała ucześcić się go jak kora drzewa, i powiedziała, że zanim upłynie siedem lat, on zrozumie, co miała na myśli. Dodała jeszcze, że ma nadzieję, że pan Abbot zapadnie na chorobę, której nawet doktor Prescott nie zdoła uleczyć.

Mieliła ozorem, jakby zlizywała miód z łyżki.

- Jak myślicie, co powinniśmy z nią zrobić? - Mercy obejrzała się na dziewczynki wiszące nad nagrobkiem niczym dwa gargulce.

- Wepchnijmy jej gębę w ziemię - zaproponowała Mary, prawie podskakując i klaszcząc w dłonie.

- Ale najpierw przywiążmy ją do kamienia - dodała Phoebe. Mercy wbiła mi paznokcie w ramiona, drapiąc mnie do krwi.

- A ja myślę, że najlepiej będzie zakopać ją w jednym z grobów - powiedziała spokojnie.

Usłyszałam, jak od strony kościoła ktoś woła moje imię.

- Wielebny Dane idzie tutaj - syknęła Mary do Mercy. - Lepiej ją puśćmy.

Wołanie rozległo się znowu, tym razem znacznie bliżej.

- Sara jest tutaj, pastorze - krzyknęła Mary. - Na litość boską, puść ją - zwróciła się do Mercy.

Mercy nachyliła się ku mnie.

- Pamiętasz, jak opowiadałam ci o Robercie Rogersie i Indianach, którzy obdarli go ze skóry? - szepnęła mi do ucha cichutko jak kochanek.

- Jak przywiązali go do pala, kiedy umarł? Kłamałam. Robert Rogers żył, kiedy go palili. Piśnij choć słówko, a ja zjawię się którejs nocy i spalę cię żywcem w twoim łóżku.

Zepchnęła mnie brutalnie z kolan i wstała, otrzepując spódnicę z liści. Odwróciła się do wielebnego Dane'a z uśmiechem.

- Sara się przewróciła, kiedy biegła po kamieniach - powiedziała.

- Pomagałyśmy jej wstać.

Wyciągnęła do mnie rękę, lecz ją zignorowałam, ale nie umknęło mi jej spojrzenie, które podążyło za mną jak płonący ogon spadającej komety. Wielebny odprowadził mnie do wozu i machał nam, póki nie minęliśmy nachylonych dębów rosnących przy wejściu na cmentarz. Za nim w pewnej odległości stały trzy postaci w spódnicach, które nie machały, lecz blisko siebie, nieruchome, wpatrywały się we mnie czujnie.

JESIEŃ NADESZŁA wraz z końcem października. Dni wciąż były ciepłe, a wieczory stawały się coraz chłodniejsze, aż ziemia zaczęła wydzielać woń starej zgnilizny, jak zawilgły koc lub ostry zapach mięty ucieranej w szklanym naczyniu. Wczesnym rankiem i późnym popołudniem niebo ciemniało od zmierzających na południe gołębi - w takiej ilości, że nie sposób było ich zliczyć. Ich odlot przepełnił mnie smutkiem, jak gdyby moja jedyna imienniczka opuszczała mnie, odchodząc w chłód i nieznośną ponurość. Kiedy o szarej godzinie żar w palenisku przygasał, nachodziły mnie

odpędzające sen wizje ciemnych i prymitywnych miejsc. Nocami śniłam, że opuszczam swoją ziemską powłokę i ulatuję nad nią, a raniem budziłam się z piersią ściśniętą bolesną tęsknotą. Owe wizje towarzyszyły mi nieustannie, aż stałam się pobudzona i niespokojna i krążyłam po domu ze złą miną. Ukojenie odnajdywałam jedynie w chwilach, gdy stojąc na szczycie Sunset Rock, wąchałam wilgotne powietrze nadciągające od oddalonej o trzydzieści mil Boston Bay, wdychając resztki morskiej piany, zanim opadła na słońce nieużytki Cat Swamp.

W ogrodzie nieopodal studni znalazłam odłamek jakiegoś naczynia. Trzymałam go w dłoni, podziwiając pokrywające go malowane zawijasy. Był bardzo stary, zniszczony przez pogodę i ziemię. Zdobiły go drobne żłobienia - poskrobałam je palcem w nadziei na wydobycie z gliny odgłosu tego, kto go stworzył, tak jak palec trącający struny wydobywa muzykę. Poszukałam ojca. Niedźwiedzim łojem smarował dwie sprężynowe pułapki na bobry, niegdyś należące do mojego dziadka. Zastawi je w południowym rozwidleniu rzeki Shawshin i zbierze w nie wszystkie skórki na nową głowę cukru, który wystarczy nam na całą zimę. Kiedy pokazałam mu znaleziony odłamek, przez chwilę ważył go w ręce.

- Nie zrobili tego Indianie Narragansett ani Abanaki. Nie mają odpowiedniego koła.

- W takim razie kto to zrobił, ojczy? - spytałam, drżąc z podniecenia, że znalazłam coś równie przedwiecznego jak ziemia pod stopami.

- Ktoś, kto był tu wcześniej od Indian, ale teraz już go nie ma - odparł, pocierając sękatymi palcami nędzny kawałeczek.

- To jest historia świata, Saro. Nowe powstaje na szczątkach tych, którzy żyli wcześniej. Tak będzie po wsze czasy.

Tej nocy, leżąc w łóżku, postanowiłam, że podaruję znaleziony kawałek Margaret. Nie potrafiłam zrobić sama

prezentu dla niej równie pięknego, jakim ona obdarowała mnie. Ale mogłam dać jej coś, co było dziwne, cudowne i rzadkie. Zamknęłam oczy i śniłam, że błędzę zagubiona w polu kukurydzy. Słyszałam nawołującą mnie Margaret, ale głos, za którym podążałam, wciąż ginął pośród łądyg. W końcu doprowadził mnie na skraj studni i wołał z głębi wypełniającej ją wody. Na obramowaniu studni leżał błyszczący kawałek naczynia, mokry, jakby dopiero co wydobyty z wody. Głos unoszący się ze studni wibrował i się zmieniał. To już nie była Margaret, lecz jakaś inna dziewczynka, która wołała i wołała. Podeszłam do samej studni i zajrzałam w fioletowy cień. W głębi, w ciemnym oczku wody ujrzałam odbicie swojej własnej twarzy. Obudziłam się zalana łzami i z pustką w piersi.

Od tego dnia narastała we mnie niechęć. Nabrałam niezłomnego przekonania, że winę za wszystko co straciłam, ponosi moja matka. Przez jej egoizm musiałam opuścić rodzinę wuja. Z powodu jej niepohamowanego gniewu wuj nigdy nie wróci do naszego domu i być może nie pozwoli na odwiedziny swojej rodzinie. Przez jej kąśliwy język sąsiedzi źle o nas mówili i rozsiewali podłe plotki na nasz temat. W rozżaleniu zapomniałam nawet o wrednym charakterze Mercy, jej oszustwach, kradzieżach i znęcaniu się, a w zamian obwinałam matkę, że ją przepędziła z naszego domu. Największą urazę chowałam za stratę mojej babki, zupełnie jakby matka przez swoje zaniedbanie przyczyniła się do jej śmierci. A gdy nie mogłam już zapanować nad wściekłością, płakałam długo i rozpaczliwie. Mój szloch tak ją zaskoczył, że upuściła warkocz cebuli, który wieszala właśnie do wysuszenia nad paleniskiem. Stałam przed nią z zaciśniętymi pięściami wspartymi o biodra.

- Dlaczego zabierasz mi wszystko, co kocham?! - wrzasnęłam.

Bez słowa sięgnęła po swoją pelerynę i skinęła, bym poszła za nią. Spodziewając się lania, po którym zaraz wrócimy do domu, nie założyłam okrycia i chłodny powiew porannego wiatru oziębził mi pot nad górną wargą. W końcu się stanie, pomyślałam. W końcu mnie zabije i porzuci moje kości w polu.

Z płonąca twarzą szłam za nią ścieżką wznoszącą się i opadającą na tyłach domu, przez rozległe zżęte pola, ku farmie Roberta Russella. Wtedy sobie pomyślałam, że odda mnie Robertowi Russellowi, a ten uczyni ze mnie swoją służącą. Minęliśmy jednak jego dom i skręciliśmy na południe w sosnowy las okalający Gibbet Plain. Słyszałam pokrzykiwania kardynała: „Quit - it, quit - it, quit - it - now” (Ang. „Quit - it, quit - it, quit - it - now” - „Zostaw - to, Zostaw - to, Zostaw - to - teraz”), i nagle pożałowałam, że wyszłam z domu bez okrycia, bo wiatr powiał chłodniejszy, ziębiąc mi włoski porastające ramiona. Dreptałam za matką, pewnie odnajdującą drogę pośród drzew, i zaczęłam się zastanawiać, czy dojdziemy tak aż do Reading. Łamiąc gałązki rosnących gęsto drzew, wyszliśmy na Gibbet Plain. Była to ogromna łąka, tu i ówdzie porośnięta kępami drzew, z trzech stron otoczona wodą: od wschodu Skug River, od zachodu Foster's Pond i od południa moczarami, którym nikt nie nadał imienia, wierzono bowiem, że błakają się po nich duchy straconych w tym miejscu wisielców. Popatrzyłam na rozległą przestrzeń porośniętą zielonymi i żółtymi trawami, niekiedy sięgającymi kolan, i chociaż usilnie wzbraniałam się przed tym, stojąc ze skrzyżowanymi rękami i zaciśniętą szczęką, mój nastrój poprawił się zdecydowanie.

- Jako mała dziewczynka przychodziłam tutaj z Mary - powiedziała matka.

Pojęłam, że mówi o matce Margaret, ciotce Mary, aczkolwiek trudno mi było wyobrazić sobie swoją opanowaną matkę jako dziewczynkę hasającą beztrosko po polu.

- Po raz pierwszy ujrzałam tę łąkę - mówiła dalej matka - kiedy przyprowadziła mnie tutaj twoja babka. Byłam mniej więcej w twoim wieku, może odrobinę młodsza. Od jakiegoś czasu przepełniała mnie złość na matkę, nie pamiętam już nawet z jakiego powodu, od tego prawie się pochorowałam. Nie mogłam jeść ani spać i tak jak ty chodziłam tam i z powrotem po całym domu. Matka przywiodła mnie tutaj i rzekła: „Ten jeden raz, dopóki nie staniesz się dorosłą kobietą, możesz powiedzieć mi wszystko, co chcesz. Możesz wyrazić każdą złość, jaką żywisz do mnie albo do świata, a ja nie zganię cię, nie ukarzę, nikomu też nie wyjawię twoich słów”.

Umilkła i zwróciła twarz ku słońcu, przymykając oczy w jego ciepłych promieniach.

- Powiedziała mi, że duszenie w sobie złości jest jak trzymanie ziarna w zamkniętej beczce na deszczówkę. Ciemność i wilgoć sprawia, że zacznie ono kiełkować, ale brak powietrza spowoduje, że się zepsuje. Wyjawiłam więc wszystkie swoje żale i pretensje, a ona mnie wysłuchała. Kiedy stąd odeszłyśmy, dotrzymała danego słowa i nigdy więcej o tym nie rozmawiałyśmy. Ja jednak poczułam się lepiej, wyrzuciwszy z siebie to, co mnie gryzło, a między mną i matką zapanowała większa harmonia.

Otworzyła oczy i popatrzyła na mnie pytająco. Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem bez słowa, ale dobrze wiedziałam, na co czeka. Czekala, bym wyjawila całą moją złość, ja jednak nie przemówiłam. Nie wierzyłam, by miała w sobie tyle samo współczucia co babka i potrafiła zrozumieć moje rozczarowanie i bolesne poczucie straty. Poza tym skoro pomiędzy nimi zapanowała taka zgoda, dlaczego wiele lat później babka tak długo zabraniała własnej córce wstępu do

swojego domu? Lecz było coś jeszcze, o wiele głębszego, czego nie potrafiłam wyznać: nieustanne modły, bym mogła wrócić do Margaret i jej rodziny. Choć widok matki wzbudzał we mnie niepohamowaną wściekłość, nie mogłam przyznać, że życzę jej śmierci. Dalej więc wpatrywałam się w falujące trawy, trzymając sztywno kark, jak ona czyni to zawsze. Westchnęła znużona, ale i pogodzona z moją postawą.

- Jesteś tak bardzo trudna - rzekła, akcentując każde słowo z osobna.

- To twoja zasługa - odparłam z goryczą.

- Nie, Saro. Z tym człowiek się rodzi. - Stała przede mną. - Ale przyznaję, że niewiele uczyniłam, by to zmienić - dodała cicho.

Odwróciłam się od niej, wzburzona jej niespodziewaną łagodnością, a przez łzy, którym nie pozwoliłam spłynąć, trawy wyglądały jak falujące pod wodą wodorosty.

- Czy myślisz, że nie wiem, czego chcesz? - powiedziała zniecierpliwiona, a ja czekałam, kiedy wbije mi palce w ramię, ona jednak nawet mnie nie dotknęła. - W takim razie jeszcze jakiś czas będziemy żyć w niezgodzie - rzekła z mocą, nie zmniejszając dzielącego nas dystansu. - A potem porozmawiamy o pięknych rzeczach.

Zaczęła się przechadzać bez celu, patrząc pod nogi, kopiąc połamane gałęzie i stosy opadłych liści. Przyklękła, a spódnica rozpostarła się wokół niej jak czarny staw. Spod kawałka kory wydłubała z ziemi coś białego. Zawołała, bym podeszła, co uczyniłam z ociąganiem, a kiedy zbliżyłam się do niej, ponad jej ramieniem zobaczyłam, że znalazła grzyb. Wiele razy chodziłam wraz z nią na grzyby. W maju zbierałyśmy smardze w zdziczałym sadzie jabłkowym, podczas gorących letnich miesięcy kurki rosnące gromadnie na pniach jesionów i wiązów, purchawki na brzegach Skug River. Zbieranie grzybów to nie taka prosta sprawa. Trzeba umieć odróżniać

trujące od jadalnych. Czasami te różnice są niemal niezauważalne. Wystarczy odrobina nieuwagi i można się natknąć na śmierć czającą się pod białym kapeluszem lub rdzawą blaszką.

- Wiesz, co to jest? - spytała matka, zdejmując czepek i pozwalając włosom swobodnie opaść.

- Pieczarka - odparłam, starając się wykazać możliwie jak najmniej zainteresowania.

- Jesteś pewna?

Przytaknęłam skinieniem głowy, znowu krzyżując ramiona.

Prychnęłam zniecierpliwiona. Pieczarki można było jeść na surowo, zebrane prosto z ziemi. Wydzielały mocną piżmową woń i były mięsiste. Gdy ich garść ugotowało się w bulionie z suszonego tłuszczu, nawet się nie zauważało, że w zupie nie było mięsa. Biały kapelusz miał jakieś trzy cale, był suchy i gładki, a nóżka była krótka.

- Tak - powiedziałam. - To pieczarka.

- W takim razie zjedz - powiedziała matka, gestem wskazując, bym ją zerwała.

Ślinka napłynęła mi do ust, gdy przykucnęłam, by wyrwać rosnący płytko w ziemi grzyb. Też mi nagroda, pomyślałam otwierając usta. Zamknęła mi nadgarstek w żelaznym uchwycie, gdy już prawie wkładałam pieczarkę do ust. Twarz trzymała tuż przy mojej i po raz pierwszy zauważyłam, że oczy ma w połowie bursztynowe, w połowie niebieskie.

- Saro, zajrzyj pod kapelusz - powiedziała, wykręcając mi rękę, bym mogła zobaczyć spód grzyba. Blaszkę miał białą, a na nóżce tuż pod kapeluszem widniał biały pierścień.

- Nazywa się anioł śmierci. Gdybyś go zjadła, na pewno byś umarła. Może nie dzisiaj, ani nawet jutro. Ale po czterech dniach wydalania każdej kropli wody z brzucha i z tyłka przywitałabyś się ze śmiercią.

Puściła mnie, a ja wypuściłam grzyba z ręki, jakby był płonąca głównią. Wytarłam obie ręce w fartuch.

- Znaki bywają różne i subtelne. Trzeba patrzeć uważnie, nie tylko z wierzchu, ale zaglądać też pod spód, gdzie często zbiera się trucizna. Młoda pieczarka ma różowe blaszki, które brązowieją, gdy dojrzeje. Jeśli człowiek się nie zna, ciemny spód bierze za niezdrowy objaw, a biały uzna za dowód, że grzyb jest dobry. Smardz może być ciemny, ale jest zawsze uszkodzony, a grzyb trujący też jest ciemny, ale za to gładki. Zewnętrzna szorstkość i brzydota może oznaczać zdrowie i życie, a gładka i piękna skórka zniszczenie i śmierć. Podobnie jest z ludźmi, nie zawsze okazują się tymi, za kogo ich uważamy, nawet ci, których kochamy. Zawsze trzeba się dobrze przyjrzeć, Saro.

Ciepło słońca, łagodny chłodny wiaterek, aksamitne ćmy fruujące mi nad głową zdawały się przeczyć słowom matki. Nadgarstek bolał mnie od jej uchwytu i chciałam już wracać do domu. Ona jednak jeszcze nie skończyła swojego kazania.

- To naturalne, że kochasz swoją kuzynkę i moją siostrę. Ale darzysz też głęboką miłością wuja, a on nie jest człowiekiem wartym tego uczucia. Z pozoru wydaje się samą dobrocią, dobrze traktuje ludzi, podczas gdy w sercu kryje tylko truciznę. Gdyby mógł, wygnałby cię z twojego domu bez chwili zastanowienia. A jego rodzina zawsze jest mu posłuszna. Już raz tak postąpił, dawno temu, okradł twojego ojca i mnie z ziemi, która po prawie nam się należała. Twój wuj mówi jedno, a robi drugie, i nawet teraz stara się jak może, żeby zepsuć nam reputację w Andover.

Jak żywy stanął mi przed oczami wuj demonstrujący swoje magiczne sztuczki, wykorzystujący je do niewłaściwych celów, ale nie odpędziłam od siebie tej myśli.

- W tym względzie żadna pomoc ci niepotrzebna - powiedziałam cicho.

Spreżyłam się cała, spodziewając się bolesnego policzka. Matka zakołysała się na piętach, obejmując ramionami kolana, jakbym to ja spoliczkowała ją. W tym momencie zaskoczenia, z szeroko otwartymi oczami i rozchylonymi wargami wyglądała na dużo młodszą, bardziej bezbronną. Lecz jej spojrzenie pociemniało, błękit jej oczu zniknął prawie całkowicie, pochłonięty przez brąz, i wpatrywała się we mnie zdawałoby się trwającą wieczność chwilę, aż spuściłam wzrok i przygryzłam wargę. Znowu rozkrzyczał się kardynał: Quit - it, quit - it, a z drugiego krańca pola nadeszła podobna odpowiedź. Matka otworzyła usta, by powiedzieć coś ostro, zaraz je jednak zamknęła, i widziałam, że owa decyzja o zachowaniu milczenia ukłuła ją boleśnie, jakby połknęła kolec, który zdradziecko zakradł się do talerza z zieleniną.

- Jest takie stare powiedzenie - odezwała się, bezmyślnie zbierając źdźbła, które się uczepiły jej spódnicy - dzisiaj równie prawdziwe jak niegdyś. Brzmi ono: „Jeśli nie za króla, to za kraj. Jeśli nie za kraj, to za klan. Jeśli nie za klan, to za brata. Jeśli nie za brata, wówczas nie zostaje nic prócz domu”. Czy rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć?

- Jeżeli każesz mi wyprzeć się mojej miłości do Margaret, ponieważ ty pokłóciłaś się z wujem, wiedz, że nie uczynię tego. Nie uda ci się mnie do tego zmusić. Margaret jest dla mnie wszystkim.

Uniosłam głos i nagle pojęłam, że wbrew temu co zamierzałam, udało się jej jednak sprawić, że wyjawiałam, co mi leży na sercu.

Matka odwróciła wzrok, jakby ujrzała nagiego nieznajomego, i poczekała, aż na powrót skryję swoją rozpacz za kurtyną gniewu.

- Lojalność wobec rodziny zawsze musi stać na pierwszym miejscu - odezwała się z mocą. - Zawsze trzeba być lojalnym wobec rodziny. - Spoglądała na mgły kłębiące

się nad rozciągającymi się na południu moczarami. - W listopadzie skończysz dziesięć lat - dodała cicho. - Przestaniesz być dzieckiem, a staniesz się kobietą. Ale nie jest to tak łatwe, jak przekroczenie progu domu. To raczej jak wędrówka długim korytarzem. Miałam nadzieję, że dzisiaj ty i ja mogłybyśmy... dojść do jakiegoś porozumienia. Niestety, jednak wciąż się różnimy. Niech i tak będzie. Ale jest coś, co muszę ci powiedzieć. I będzie to bolesne.

Jej słowa nagle stały się interesujące. Miałam nadzieję, że oto zostanę wtajemniczona i lepiej zrozumieję sprawę, z powodu których Mercy nieomal stała się kobietą okrytą wstydem. Matka doskonale wybrała czas i miejsce, wiedziałam bowiem, że grzyby często przyrównuje się do męskiego korzenia. Nieraz widziałam go u swoich braci i nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Tom i Richard byli zbyt skromni, by celowo obnażać się przede mną, ale żyliśmy w takiej ciasnocie, że oglądanie ich było nieuniknione. Andrew wraz z rozumem utracił poczucie przyzwoitości i nawet nie próbował się chować, gdy się załatwiał w polu czy za stodołą. Widząc ten nędzny blady członek, nie potrafiłam sobie wyobrazić, by mógł sprawić kobiecie zbyt wiele bólu lub interesować inaczej, jak tylko organ zdolny wywołać iskrę, od której w brzuchu kobiety zacznie dojrzewać dziecko.

Jednakże to, co matka powiedziała, rozczarowało mnie srodze.

- Życie nie jest tym, co masz lub możesz utrzymać - rzekła. - Życie to coś, czego utratę potrafisz znieść. Być może nie będziesz miała wyboru, jak tylko zapomnieć o Margaret.

- Nie.

Wstałam i aż mi zatrzeszczało w kolanach, tak bardzo pragnęłam uciec przed jej nieustannym gładzeniem. Zamrugałam kilka razy, czekając na dalsze słowa, ona jednak milczała. Słońce oświetlało jej twarz i trudno było nie

zrozumieć malującego się na niej uczucia. Okrutniejszego niż gniew, straszniejszego niż duma, bardziej bolesnego niż żal. Patrzyła na mnie z litością. Nie mówiąc nic więcej, wstała, założyła czepek i zaczęła iść. Słońce skryło się za kłębiącymi się chmurami i poruszające trawami powietrze nagle pochłodziło.

Pod stopami ujrzałam drżący na wietrze fiołek. Choć to kwiat wiosenny, bywa, że przy sprzyjającej pogodzie rozkwita także jesienią. Wkrótce szejnie i umrze samotnie ścięty przymrozkiem, jego piękno zniknie pod pierwszym śniegiem. Pobiełam za matką, nie chcąc zostać sama tak blisko mokradeł. Następnym razem przyjdę wraz z matką na Gibbet Plain w czasie nowiu, a ziemia wokół będzie rozkwitać w pełni wiosennego kwiecia. Będzie to poniedziałek, trzydziesty maja 1692 roku. W lesie będą rosnać cętkowane, kołyszące się lilie, a wielką łąkę pokryje gęsty kobierzec uroczych żółtych kwiatuszków. Lecz kwitnący za dnia, wydzielający czerwony sok kwiat, ulubiony przez matkę za jego urodę i lecznicze moce, będzie miał zamknięte płatki, jakby się bał usłyszeć jej tajemnice.

NASTAŁ LISTOPAD, mokry i ponury. Dni były zbyt ciepłe, by liście się zabarwiły jaskrawo, i świat przybrał szarą barwę. Pochłodziło na tyle, że ojciec mógł wybudować wielki ruszt do wędzenia dziczyzny, którą upolował. W ziemi został wykopany długi rów do przechowywania późnojesiennych jabłek i dzikich jagód. Na jego spodzie kładło się warstwę słomy, następnie warstwę jabłek, znowu słomę, aż wreszcie wszystko przysypywało się ziemią. Andrew miał za zadanie oznaczyć rów, by bez trudu można było odnaleźć owoce, gdy ziemię pokryje śnieg. Niezwykle starannie wetknął w ziemię kilkanaście drewnianych krzyży, dopiero matka kazała mu je zastąpić zwykłymi palikami, mówiąc, że mulda ziemi wygląda jak pole po jakiejś krwawej bitwie. Andrew płakał i pracował

dalej, mylnie biorąc zakopane owoce za pochowane ciało. Liczył i liczył nas wciąż od nowa, przekonany, że jedno z nas umarło, dopóki nie przypomnieliśmy mu łagodnie, że musi policzyć również siebie. Uspokoił się, gdy stwierdził, że wciąż jest nas siedmioro. Roczny wieprzek kupiony przez matkę obrósł tłuszczem i został zarżnięty, nie uskarżając się zbytnio. Z początku było mi go żal, bo był miły i w porze karmienia przybiegał na wołanie. Lecz prawdę powiedziawszy, ślinka napływała mi do ust, gdy pomyślałam, jak będę się zajadać porcją jego małego tłustego zadku.

Robert Russell miał razem z nami spożyć uroczysty posiłek z okazji zakończenia jesiennych prac w polu i dobrego początku zimy. Wraz z nim miała przyjść jego siostrzenica, Elizabeth Sessions. Zgodnie z prาดawnym obyczajem Robert pomagał nam w orce i żniwach, a ojciec odwdzięczał mu się tym samym. Wtedy właśnie dowiedziałam się o zamiarach Richarda, gdy któregoś popołudnia wrócił do domu ociekający wodą, jak wrzucony do rzeki pies. Kiedy go zapytałam, czy wpadł do Shawshin, skrzywił się ze złością i kazał mi się wynosić. Tom szepnął, że Richard rzeczywiście się wykąpał, zdejmując koszulę i spodnie i wskakując do wody w samej tylko bieliźnie. Dało mi to wyśmienity powód do kpin z jego uczuć do Elizabeth i nie żałowałam nawet siniaków, jakie zostawił mi na obydwu ramionach.

Rankiem w dniu uczty matka wygoniła nas z domu, by w spokoju pozamiatać i wyszorować podłogę. Tom zrobił łuk z sosnowej witki i sznurka, przygotował też strzały z młodych gałązek i kaczyc piór. Ukryliśmy się za stodołę, nie dlatego, że nie wolno nam było bawić się łukiem, lecz z powodu tego, w co zamierzaliśmy strzelać. Tom przygotował prymitywne cele, które narysowaliśmy na kawałkach desek. Ponieważ wszystkie małe zwierzęta pochowały się już w swoich norkach na zimę, do ćwiczeń zostali nam jedynie Hanna i

Andrew. Mieli trzymać na głowach coś na kształt wieży ze słomy, na tyle wysokiej, by kierować strzały na bezpieczną odległość od ich głów. Poradziłam Tomowi, by sobie wyobraził, że wieża jest szyją jelenia, który z uniesioną głową sprawdza wiatr. Strzała dobrze wycelowana w szyję może powalić każdego byka, o wiele skuteczniej niż rana zadana w bok czy brzuch. Szybko wykluczyliśmy Hannę, ponieważ nie potrafiła ustać spokojnie, bez przerwy się wierciła i zrzucała wieżę z głowy. Andrew był znacznie bardziej chętny do współpracy i bez protestów stał nieruchomy i wyprostowany, czekając, aż Tom wyceluje. Tom nałożył strzałę i cofnął się odrobine.

- Na miłość boską, tylko nie waż się poruszyć, póki nie trafię w cel, albo będziesz chodzić z tą wieżą do końca świata - powiedział.

W tej chwili matka zawołała nas z powrotem do domu i myślę, że Tom stałby tam do dzisiaj, gdybym nie wzięła go za rękę, mówiąc, że pora wracać. W kuchni matka wręczyła mi wiadro i przykazała udać się do Chandler's Inn po piwo. Zawiązała kilka cennych monet w węzełek i przymocowała do mojego fartucha. William Chandler przyjmował zapłatę w naturze za nocleg i wyżywienie, ale nigdy za alkohol. Musiał płacić żywą gotówką dostawcy z Bostonu i takiej samej zapłaty domagał się od swoich klientów. Po piwo do gospody wybierał się najczęściej ojciec, ale tego dnia przed świtaniem poszedł sprawdzić pułapki na rzece - jeśli szczęście nam dopisze, na kolację będziemy mieć pieczone bobrze ogony z wieprzowiną.

Pokonując niewielką odległość do gospody, przypomniałam sobie, co Richard mówił ojcu. Otóż w Bostonie pojawił się nowy trunek rodem z Karaibów, sprzedawany w tawernach marynarzom, którzy zawinęli tam do portu. Nazywał się „rum” i był o wiele mocniejszy od piwa.

Ojciec odrzekł na to, że pijąc go bez umiarkowania, ani chyba można się ocknąć na statku daleko w morzu, stając się łatwą zdobyczą dla marynarzy poszukujących nowych członków załogi. Kroczyłam w marszowym tempie i podśpiewywałam sobie do taktu: „rum, rum, rum, rum... rum, rum, rum, rum”.

W niedługim czasie znalazłam się na podwórzu przed gospodą i zobaczyłam Phoebe Chandler usiłującą wyciągnąć ze studni wypełnione wodą wiadro. Przyglądałam się jej przez chwilę, pasąc oczy widokiem walczącej i szarpiącej ciężkie liny dziewczynki, mając nadzieję, że prędzej wpadnie do środka, niż wyciągnie wiadro. Oparła się o krawędź studni dla złapania oddechu i wtedy jej wzrok padł na mnie. Chyba pomyślała, że pojawiłam się znikąd, jak jakaś zjawa, i aż podskoczyła ze strachu. Mierząc mnie wrednym spojrzeniem, uciekła do gospody, zatrzaskując za sobą boczne drzwi. Podążyłam za nią, ale weszłam drzwiami frontowymi, jakbym była królową świata. Wewnątrz panował mrok. Nozdrza podrażnił mi zapach pieczonego mięsa i przejrziałych owoców, a może źle uwędzonej ryby. Zaczyna pani Chandler była skąpą kucharką i wrzucała do garnka wszystko, co klienci zostawili na talerzach. Tym sposobem miała dość jedzenia dla gości na cały tydzień.

Pokój dzienny wyglądał jak mała jaskinia, zadymiona i stęchła, z potężnym ogniem na palenisku. Mężczyźni siedzieli przy nielicznych stołach, racząc się południowym posiłkiem. Najbliżej ognia dostrzegłam dobrze mi znaną postać. Widziałam go z profilu, z wysoko sklepionym czołem okolonym blaskiem padającym od paleniska. Nad nim stała pochylona Marcy Williams i nalewała mu trunek do szklanki. Gdy dolewała mu piwa z dzbanka, jeden z jego palców musnął lekko miejsce na jej staniku, w którym powinna się znajdować brodawka. Dotknięcie mogło być przypadkowe, zwykłe zetknięcie się ciała z wełnianą tkaniną. Zobaczyłam jednak

krzywy uśmiech na twarzy Mercy i wiedziałam, że sama się o to prosiła. Phoebe wślizgnęła się do izby z matczynej kuchni i mrużąc oczy, rozglądała się po mrocznym wnętrzu. Mercy się wyprostowała, wspierając dzbanek o biodro, i popatrzyła prosto na mnie, jakby od początku wiedziała, że stoję tam w półmroku. Zaczyna pani Chandler weszła ze ścierką w ręce i po jej ściągniętych ustach i zwężonych oczach domyśliłam się, że Mercy warzy na boku swoje własne cuchnące piwo.

Mężczyźni zawsze ostatni zauważają to, co kobiety potrafią wywęszyć w powietrzu. Dlatego właśnie Bóg obdarzył Adama fizyczną siłą, czyniąc z niej przeciwwagę dla naszej mocy. Gdyby bowiem Ewa posiadała siłę równą jej przebiegłości i okrucieństwu, straszliwy los czekałby ludzkość, a archanioł musiałby w ślad za Adamem salwować się ucieczką z raju. Wszystkie w trójkę stały, wpatrując się we mnie, póki jeden z mężczyzn nie przypomniał sobie o swoim pustym brzuchu i nie zażądał więcej jadła. Wuj zwrócił się ku mnie z twarzą poczerwieniałą od alkoholu i gorąca i uśmiech znikł z jego ust. Uniósł palec i dźgnął nim powietrze jak mieczem.

- Obserwuję was. Obserwuję was wszystkich - powiedział.

Mercy zrobiła kilka kroków w moją stronę.

- Czego tu chcesz? - spytała.

Róg brązowej spódnicy miała zadarty do góry, ukazując kawałeczek purpurowej halki. Gdy podeszła, zobaczyłam, że spódnica jest przypięta igłą, którą mi ukradła. Igła przytrzymała ciemny materiał, unosząc wierzchnią spódnicę, jakby poruszoną powiewem wiatru lub nieodpowiednim stąpieniem. Z takiego samego czerwonego materiału była uszyta spódnica lalki Margaret. Wtedy pojęłam, co wuj zrobił z materiałem, którego jego żona nie chciała.

Uniosłam wiadro.

- Przyszłam po piwo - zwróciłam się do zacnej pani Chandler. Wzięła ode mnie wiadro i pieniądze i znikła w kuchni. Mercy objęła

Phoebe ramieniem i szepcząc jej coś do ucha, odciągnęła ją w głąb izby, obojętna na wołania mężczyzn. Zaczyna pani Chandler wróciła z kuchni z wiadrem wypełnionym gęstym spienionym piwem i przytrzymała drzwi, gdy wychodziłam. Najpewniej po to, by skwapliwie zamknąć je za moimi plecami.

Z niskich pędzących chmur zaczął mżyć deszcz. Szczelniej docisnęłam pokrywkę wiadra, sama otulając się szalem. Przechodząc przez podwórze, zobaczyłam Phoebe stojącą w bocznych drzwiach z Mercy uwieszoną na jej szyi. Odwróciłam się do nich plecami, ale nie przeszłam więcej niż dwadzieścia jardów, kiedy kawałek nieba spadł mi na tył głowy i powalił na kolana. Wiadro przewróciło się, ale nie pękło. Obok niego leżał kamień wielkości mojej pięści. Gdyby trafił mnie w odkrytą głowę, zdarłby mi z czaszki skórę razem z pękiem włosów. Obie dziewczynki stały obok studni, Phoebe wciąż z kamieniem w garści. Sięgnęłam za ucho i wymacałam wielki, rosnący z każdą chwilą guz. Pachnące wilgotne powietrze, przepełnione deszczem i kurzem, zmieniło się w morze rdzawej krwistej masy. Przygryzłam sobie wargę i krople krwi ułożyły się w delikatny falujący wzór na ziemi. Zacisnęłam palce na rozmokłych liściach pokrywających podwórze niczym pozostałości po pogańskim weselu i przypomniałam sobie, jak wuj opowiadał, że każdy pogański ceremoniał kończył się złożeniem ofiary. Przypomniały mi się też słowa matki: „Jeśli nie za brata, nie zostaje nic prócz domu”. Wuj wolał ode mnie ordynarną, flejtuchowatą dziwkę, i nadzieja, że jeszcze kiedyś zobaczę Margaret, zmalą do rozmiarów kawałka naczynia, który znalazłam w ogrodzie.

- No, rzucaj... rzucaj... - dobiegły mnie słowa Mercy.

Phoebe podeszła bliżej, krzywiąc się i mrużąc oczy, by lepiej widzieć. Spodziewała się ujrzeć niewyraźną, skuloną i płaczącą postać, przekonana, że zachowam się tak, jak ona by zrobiła. Nie spodziewała się natomiast szarżującej bestii pod postacią dziewczynki, z szalem frunącym za nią niczym skrzydła drapieżnego ptaka, toczącej z ust spienioną ślinę. Przerazona upuściła swoją jedyną broń i zdążyła tylko pisnąć w proteście, zanim powaliłam ją na ziemię i przeorałam paznokciami jej brzydką, białą twarz. Złapałam ją za czepek i szarpnęłam gwałtownie, wyrywając jej garść włosów, i wtedy od tyłu zaszła mnie Mercy i zaczęła walić po uszach. Rzuciłam się więc na Mercy, kopiąc i gryząc, raniąc ją najdotkliwiej jak umiałam, wiedząc, że lada chwila mnie przewróci. Kopałam ją w golenie, jednocześnie gryząc w rękę tak mocno, że do końca życia została jej blizna w kształcie półksiężyca. Życie uratowała mi postawna zacna pani Chandler, która rozdzieliła nas tak gwałtownie, jakby od tego zależało jej zbawienie.

- Cóż za diaboliczka z ciebie! - wrzasnęła, odpychając mnie. - Patrz, co zrobiłaś mojej córce!

Phoebe leżała na ziemi, z rękami na twarzy, i popiskiwała jak myszka w pułapce paszczy węża. Niektórzy mężczyźni podeszli do drzwi, by się przyjrzeć awanturze, między nimi wuj z kubkiem w ręce.

Gdy podnosiłam wiadro, Mercyssała ranę na rękę.

- Mam nadzieję, że od tego pogniją ci wszystkie palce i odpadną od tej twojej złodziejskiej łapy - powiedziałam do niej.

Odwróciłam się, by odejść, lecz fałdy wełnianego szala otulającego mi szyję nie zdołały stłumić jej słów wypowiedzianych hardym, donośnym głosem.

- Sami słyszeliście - wykrzyknęła. - Przekleła mnie. To czarownica. Ale jakżeby inaczej? To nieodrodna córka swojej matki.

Zanim weszłam do domu, usiadłam na podwórzu, rozcierając sobie głowę. Skóra pulsowała mi boleśnie w rytm uderzeń serca, a jedno ramię miałam posiniaczone i obolałe. Delikatnie starałam się usunąć brud z poranionych od upadku dłoni. Być może prawdą było, że jestem jak moja matka, skoro wszyscy zdają się tak myśleć. Być może przemożne pragnienie, by oddzielić się od niej, dowodziło, że rzeczywiście odziedziczyłam po niej przekorną naturę. Nie byłam ładna i szybka jak Margaret ani brzydka i uległa jak Phoebe Chandler. Była za to we mnie hardość skrząca się jak mika. Przypomniało mi się, jak zaciskałam palce na kamieniu, którym chciałam cisnąć w Samuela Prestona. Obozowe psy walczą i rzucają się na siebie nawzajem całymi dniami, póki nie pojawi się intruz, przeciwko któremu obracają się zgodnie jak jeden mąż. A świat był pełen intruzów.

Póki co, jednak nie chciałam, aby matka się dowiedziała, co zaszło. Nie zniosłabym wymownego wzroku mówiącego: „Sama widzisz, nie myliłam się co do twojego wuja”. Zajrzałam do wiadra i stwierdziłam, że piwa rozlało się niewiele. Sukienkę miałam rozerwaną pod pachami, ale by uniknąć zbyt dociekliwego przesłuchania, mogłam powiedzieć, że poślizgnęłam się i upadłam. Musiałam uspokoić bicie serca, bo tak jak matka potrafiła przewidzieć zmianę pogody, równie zręcznie umiała czytać w moich myślach. Najbezpieczniej będzie, gdy wmieszam się pomiędzy braci, tak jak w młynku, ulubionej grze ojca, w której trzeba ustawić w rzędzie trzy pionki, przeskakując pionki przeciwnika, wykazując się wielką pewnością siebie, zmylić i osłabić innego gracza.

Zwyciężał ten, kto pierwszy zbił wszystkie inne pionki. Była to gra dla sprytnych i przewidujących, ale najważniejsze w niej było to, aby ani na chwilę się nie zatrzymać.

Tego wieczoru nikt nie zauważył mojej podartej sukienki, chociaż matka, przemywając mi rany na dłoniach, spytała, czy wpadłam w przepaść. Szybko jednak o mnie zapomniano, gdyż trzeba było witać Roberta i jego siostrzenicę, którzy właśnie nadeszli, a potem już do późna objadaliśmy się wieprzowiną i płaskimi plackami. Ojciec schwytał dwa bobry - ich ogony matka podała w żeliwnym naczyniu, bulgoczące w strumieniach ich własnego tłuszczu. Jedliśmy wędzone sarnie żeberka, palcami łamiąc kości i wysysając pożywny szpik. A gdy niemal pękaliśmy z przejedzenia, matka podała deser z cukru i dzikiego rabarbaru, jednocześnie słodki i kwaśny. Richard i Elizabeth siedzieli skrupowani na ławce obok paleniska, zbyt śpiący i nieśmiali, by rozmawiać.

Zasnęłam z głową na stole i kiedy nieśli mnie do łóżka, ręce miałam wciąż lepkie i czerwone od rabarbaru. Obudziłam się w nocy i przypomniałam sobie, że jest 17 listopada i że właśnie skończyłam dziesięć lat. Wymacałam pod poduszką kawałek glinianego naczynia zawinięty w serwetkę od Margaret. Wyślizgnęłam się z łóżka i po schodach wspięłam na stryszek, po czym bacząc, by nie obudzić braci, schowałam tkaninę i odłamek na samym dnie babcinego kufra. Zamknęłam wieko i dygocząc cała, po omacku wróciłam do łóżka.

Szybko nastąpiła ciężka mroźna zima. Słyszałam wiatr szalejący jak panna spóźniona na własne wesele, której powiewająca, szeleszcząca spódnica rozrzucała śnieg i lód po zamrożonej ziemi. Usnęłam, a gdy znowu się obudziłam, śnieżne zasy były tak głębokie, że ograniczyły nasz świat do domu i przylegającej obory.

Ta jedna z najmroźniejszych zim od wielu lat obejmowała tereny od naszego nowego świata po Anglię, skąd wyruszyła do krajów Holendrów i Francuzów. Belgowie i Prusowie jednakowo dygotali we własnych łózkach, a papiści w swoich północnych krainach podskakiwali, by stopy nie przymarzły im do ziemi. Indianie zaprzestali wojny, przez cały grudzień nie nękając Boston Colony, i przygraniczne miasta uśpiły swoją czujność, by w ciszy i z powagą świętować narodziny Zbawiciela świata.

Ale w sąsiedniej wiosce, Salem, grupka młodych dziewcząt w ciepłe i wygodzie domu swego kaznodziei, nudząc się w zamknięciu, bawiła się zakazaną „szklanką Wenus”. Przy pomocy niewolnicy z Karaibów przepowiadały sobie nawzajem przyszłość i szukały odpowiedzi na niewinne pytania w rodzaju: „Kto będzie moim ukochanym?” albo: „Kto się ze mną ożeni?”. Wrzucały do szklanki jajka, mieszały wodę, a wir powstały w kruchym naczyniu wciągał i topił tak zło, jak i dobro. Od tamtej chwili często myślałam o piekle jako o bardzo zimnym miejscu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Styczeń - maj 1692

25 STYCZNIA POSŁANIEC okładał boki swojego konia do krwi, gnając Ipswich Road na południe w kierunku Bostonu. W sakwie przy siodle wiózł plik pergaminów o brzegach poczerniałych od popiołu i dymu. Czterdzieści mil na północ, w York w stanie Maine, stu pięćdziesięciu Indian Abanaki zaatakowało osady nad Agamenticus River. Setki rodzin padło ofiarą pożarów, płonąc żywcem w swoich łóżkach, większość w nocnym przyodziewku. Wielebny George Burroughs z Wells, wioski leżącej nieopodal, przedstawił ojcom miasta Boston koszmarny opis rzezi, bijących w niebo słupów dymu, szalejących płomieni i wymordowania co najmniej pięćdziesięciu dusz, w tym także miejscowego pastora. Co najmniej osiemdziesiąt młodych kobiet i mężczyzn zostało porwanych przez Abanaki i uprowadzonych do Kanady. Niektórych później wykupiono, o innych słuch zaginął na zawsze. Wielebny Burroughs dobrze znał ojców miasta, ponieważ wcześniej był pastorem w Salem Village. Czuł się w obowiązku zdać relację z napadu, jako że wielu zabitych miało w mieście swoich krewnych. Później ci sami krewni aresztowali go, sądzili, na koniec wreszcie powiesili za uprawianie czarów.

Jednakże do nas wieści o owej napaści dotarły dopiero w lutym. Styczeń upłynął nam w pełnej izolacji i mimo zwałów śniegu i lodu blokujących ścieżki do miasta lub domostw naszych sąsiadów mieliśmy poczucie dobrobytu, wbrew niezłomnej wierze matki, że szczęścia nie należy kusić. Czymkolwiek była akurat zajęta, czy to gotowaniem, czy przedzeniem, wydawała się jakby nieobecna, na czymś skupiona. Wiedziałam, że się martwi nadciągającą wiosną. Zapasy mięsa i wełny z powodzeniem mogły wystarczyć na

wiele miesięcy. Na strychu w muślinowych workach wisiały małe twarde nasiona, śpiąc snem Łazarza.

Pod koniec miesiąca Hanna ściągnęła ze stołu garnek z wrzącą zupą i oblała sobie nią szyję i pierś. Jej skóra pomarszczyła się i pokryła bąblami i gdyby matka nie zdarła z niej sukienki, myślę, że do końca życia szpeciłyby ją wielkie blizny. Przez cały dzień i noc moja siostra leżała na naszym łóżku, płacząc i wyrywając się, gdy wraz z matką okładaliśmy poparzone miejsca szmatkami nasączonymi wodą z rumiankiem i poiłyśmy ją herbatkami z mięty i lawendy. Płakała i płakała, uspokajając się dopiero, gdy matka bądź ja kładłyśmy się przy niej. Przed świtem usnęła wyczerpana, w poparzonych rączkach ściskając moją lalkę.

Ja także musiałam zasnąć, zbudziłam się jednak, kiedy matka wstała, by rozpaść ogień. Moi bracia i ojciec wciąż jeszcze spali, przyglądałam się jej więc w ciszy ze swojego posłania, z ręką wciąż obejmującą spoconą, rozpaloną szyję Hanny. Dorzuciwszy do ognia, matka podeszła do dębowej komody babki, z rzeźbionymi liśćmi wyglądającymi w mroku jak twarze ogrów, i wyjęła z szuflady pióro, kałamarz i wielką czerwoną księgę, której nigdy wcześniej nie widziałam. Przerzuciła wiele stron zapełnionych zwartym, równym pismem i na koniec zatrzymała się na pustej, niezapisanej. Zanurzyła pióro w inkauscie i zaczęła pokrywać kartkę drobnymi literkami. Pisała lewą ręką i czyniła to nadzwyczaj sprawnie. Jej silny giętki nadgarstek płynnie poruszał dłonią, niczym umięśniona szyja głową mauretańskiej klaczy. Palce matki były długie i smukłe. Widoczne pod skórą kostki przywiodły mi na myśl opowiedzianą przez wuja historię młodej kobiety, która utonęła w strumieniu napędzającym młyn. Po jakimś czasie jej kości wypłynęły na brzeg i spoczęły obok młyńskiego koła. Syn młynarza zrobił z mostka kobiety harfę, a struny z kruczoczarnych włosów umocował

na paliczkach, które wyciął z jej długich białych palców. Za każdym razem gdy grał na harfie, instrument przemawiał głosem topielicy i śpiewał o tym, jak siostra wepchnęła ją do rzeki. Z opowieści nie wynikało, dlaczego doszło do morderstwa, później jednak, gdy wuj nie słyszał, ciotka szepnęła mi, że powodem był mężczyzna.

Czarne włosy matki, siwiejące tylko na skroniach i czubku głowy, spływały falą po jej plecach i zlewały się z gęstymi cieniami czającymi się pod krokwiami sufitu. Zastanawiałam się, jaka muzyka popłynęłaby z jej kości. Nie wątpiłam, że słowa byłyby silne i niepołamane jak fala przyprływu uderzająca w przybrzeżne skały, melodia zaś ciężka i zimna jak wschodni ocean. Być może, myślałam sobie, gdybym się znała na muzyce, poznałabym skryte myśli mojej matki, tak jak rybak po falowaniu wody poznaje, czy nadciągną groźne grzywacze, czy też morze będzie spokojne i przyjazne. Cichutko wyslizgnęłam się z łóżka i na palcach podeszłam do niej.

- Matko, co piszesz? - spytałam.

Aż do tej chwili była spokojna, lecz dźwięk mojego głosu przestraszył ją i natychmiast zamknęła książkę.

- To tylko rachunki, Saro - rzekła, chowając książkę z powrotem do komody. - Wracaj do łóżka. Jeszcze wcześniej.

Kiedy się odwróciła, wiedziałam, że nie mówi prawdy. Książka mieściła coś więcej niż tylko liczbę beczek z kukurydzą czy koszy z ziemniakami zgromadzonych w piwnicy. Poza tym była zapisana niemal do ostatniej strony, a to znaczyło, że towarzyszyła mojej matce od bardzo dawna. Siedziałyśmy w milczeniu, czekając na pierwsze pianie koguta oznajmujące, że nadejdzie pora gotowania. Twarz matki poczerwieniała od gorąca bijącego z paleniska, na jej czole połyskiwały kropelki potu niczym drogocenny diadem, zaś głęboko osadzone oczy utkwiała w ścianie za ogniem. Zdawała

się taka opanowana, odległa, niezwiązana ze mną, nieodczuwająca chęci ani nawet potrzeby okazywania zwykłych rodzinnych serdeczności. Jej codzienne życie było równie uporządkowane i proste, jak każdego innego mieszkańca Andover, a mimo to zastanawiałam się, jakież to niespokojne myśli, którymi wypełnia stronicę swojej książki, kłębią się za jej mocno sklepionym czołem.

- Nauczysz mnie lepiej pisać? - wyszeptałam. Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Skoro tego chcesz - rzekła. - Możemy zacząć jeszcze dzisiaj, przed kolacją.

Zdobyłam się na odwagę.

- A czemu nie widzimy... - przerwałam, spodziewając się ostrzegawczego słowa bądź gestu, że nie wolno mi mówić o rodzinie wuja. Ona jednak nachyliła się i ręką wygładziła mi spódnicę na kolanach, przepędzając wszystkie cienie kryjące się w jej fałdach.

- Chciałaś zapytać: „Czemu nie widzimy czasem Margaret?” - powiedziała.

Przytaknęłam, a ona ujęła łokcie w dłonie i odwróciła wzrok.

- Twój wuj okrył się wstydem, bo dużo pije i zaniedbuje żonę i dzieci. Starszyzna w Billerice nieraz go upominała, by lepiej dbał o rodzinę. My także oferowaliśmy pomoc, odrzucił ją jednak, a tam gdzie nie chce się czyjejs pomocy, rodzi się niechęć.

- Dlaczego nas odrzuca? - spytałam.

- Twojego wuja i ojca dzieli wielka wrogość. - Umilkła, nie tłumacząc, o co chodzi. - Teraz zaś - mówiła dalej - Roger Toothaker ma tym większy powód, by paść do nas nienawiścią. Dostaliśmy ten dom, ponieważ twoja babka zrozumiała, o ile więcej wart jest twój ojciec od człowieka,

który zwie się uzdrowicielem i człkiem pobożnym, lecz spędza swoje dni z kuflem w jednej ręce, a rajfurką w drugiej.

Tym oto sposobem poznałam kolejne słowo określające Mercy.

- I wszystko to opisujesz w swojej wielkiej czerwonej księdze? - zapytałam żartobliwie.

Złapała mnie mocno za łokieć.

- Nigdy nikomu nie wolno ci mówić o czerwonej księdze - rzekła ostro. - Obiecuj mi teraz, że tej jednej tajemnicy dochowasz, nie zdradzisz jej nawet swoim braciom. Obiecuj.

Dotąd jedynymi sekretami, jakie miałam, były dziewczynskie głupstwa, z jakich zwierzałyśmy się sobie z Margaret. To jednak było coś zupełnie innego. Matka żądała, bym nikomu nie powiedziała o małej, oprawnej w skórę księdze, o której i tak nic nie wiedziałam. Coraz silniej płonący ogień oświetlał jej twarz od tyłu i choć oczy pozostawały w cieniu, wyczuwałam jej pytające spojrzenie. Po raz pierwszy prosiła mnie o coś, co nie wymagało pracy moich dwóch rąk.

- Obiecuję - szepnęłam, kiwając głową.

Dotknęła palcem wskazującym piersi, postukała nim kilka razy, a potem skierowała go na mnie, tym gestem stwarzając iluzję łączącej nas niewidzialnej więzi.

- Któregoś dnia powiem ci, co jest w tej księdze, ale nie dzisiaj - rzekła. - Chodź, pora wziąć się do gotowania. Słyszę, że ojciec zaczyna się budzić.

Odwróciła się, ale czułam tłący się w niej lęk, jak płomień w osłoniętej latarni. Przez całą zimę ani razu nie widziałam już czerwonej książki, dotrzymałam jednak danej obietnicy i nikomu nie pisnęłam o niej słówkiem.

Tego dnia, jak przyrzekła matka, rozpoczęłyśmy nasze lekcje, a jako że miała do mnie wielką cierpliwość, moje nieporadne bazgroły szybko stały się całkiem znośnymi

literami. Czasem, gdy siedziałyśmy obok siebie przy stole, ćwicząc jakiś nudny fragment Biblii, kładła lewą dłoń na mojej prawej i kierowała nią, w chaos wprowadzając porządek, a wtedy spostrzegłam, że nasza bliskość sprawia mi przyjemność. Najbardziej bałam się przepisywania fragmentów katechizmu Cottona Mathera, na przykład: „Niebo gotowe jest przyjąć pobożne dzieci; Piekło czeka na krnąbrne”, lub: „Cóż za sromota znaleźć się pomiędzy diabły w Krainie Smoków”.

Kiedy palce odmawiały mi posłuszeństwa, matka czytała mi, aby moja głowa rosła od gromadzącej się w niej wiedzy, tak jak poduszka puchnie, gdy wpycha się w nią coraz więcej pierza. Matka posiadała tomik poezji kobiety o nazwisku Anne Bradstreet, której dzieła wydał pastor z Andover. Późnym wieczorem słowa stawały się lodzią, która niosła nas poprzez pola zasłane śniegiem, obok naszego stracha odartego z ubrania, przysypanego jedynie warstwą śnieżnej bieli. Unosiłyśmy się ponad głazami uśpionymi pod lodem, póki ogrzewające ciepło wiosennej ziemi nie każe im wyskoczyć ponownie na powierzchnię.

By o wojnach pisać, kapitanach, królach, Jak miasta tworzone, państwa się rodziły, Zbyt to ważne rzeczy dla mojego pióra; Ani jak się potem ich dni zakończyły. Historycy, poeci niech o nich śpiewają Moje korne wersy im wszak nie sprostają.

Gdy matka skończyła czytać, siedziałyśmy w milczeniu, przycupnięte obok siebie na ławce, myślami błądząc daleko, ja z głową wspartą na jej ramieniu, na co pozwalała mi przez krótką chwilę.

ŚMIECH TO ZWYKŁA rzecz u dzieci. Rozległ się głośny i niestosowny ponad głowami pogrążonych w pobożnym skupieniu parafian. Oniemiały wielebny pan Barnard znieruchomiał na swojej kazalnicy z szeroko rozwartymi

ustami, jakby chciał cofnąć natchnione słowa, które właśnie z nich padły. Jego oczy spoczęły na mnie, lecz w pierwszej chwili mnie nie rozpoznał. Jakaś zacna matrona siedząca w pierwszym rzędzie odwróciła głowę i syknęła, jak się syczy na miauczącego kota.

Nie chciałam się rozeźmiać. Siedziałam cichutko, słuchając słów wielebnego, który przytaczał słowa wygłoszoną dwie niedziele temu przez jego kolegę Samuela Parrisa w Salem Village. Córka i siostrzenica tegoż wielebnego Parrisa zaczęły mieć dziwne ataki i uznano, że dziewczęta zostały dotknięte ręką zła. Słuchałam z cudowną trwogą opowieści o cierpieniach dziewcząt, które wiły się i krzyczały, po czym padały bez czucia na ziemię. Czasem gryzły je i szczypały jakieś niewidzialne istoty, kiedy indziej znów nieszczęsnice biegały po pokoju i wskakiwały do paleniska, jakby zamierzały ulecieć kominem. Popatrzyłam na krokwie u sufitu, zastanawiając się, czy niewidzialny świat także teraz nadciąga, by siać zamęt w Andover. Wielebny Barnard nawoływał do całodniowego postu i cytował słowa Psalmów: „Siądź po mojej prawicy, aż Twych wrogów położę jako podnózek pod Twoje stopy”. Słyszając to, wyobraziłam sobie z zadowoleniem, jak opieram stopy o plecy Phoebe Chandler. Mój wzrok powędrował na galerię nade mną i dojrzał małego czarnego niewolnika. Patrzył na mnie, jakby tylko czekał, aż nasze spojrzenia się spotkają. Zrobił zeza i wystawił język, jego koniuszkiem sięgając za brodę. Uśmiechnęłam się rozbawiona jego wygłupami, a on zaczął naśladować wielebnego głoszącego swe kazanie, wyolbrzymiając każde poruszenie jego twarzy i ciała. Gdy wielebny wsparł się o pulpit i palcem wskazał któregoś członka kongregacji, chłopak nachylił się i wycelował swój palec we mnie. Kiedy zaś wielebny wzniósł oczy do nieba,

przywołując Wszechmocnego, chłopiec wywrócił białka jak dotknięty atakiem drżączki. I wtedy się roześmiałam.

Cisza, jaka zapanowała po moim wybuchu, narastała z wolna, gdy każda para oczu kierowała się w moją stronę, aż w końcu wszystkie spojrzenia spoczęły na mnie. Wszyscy wyglądali jak sfera lisów tak zdumionych widokiem rzuconej między nie kury, że zamarły w nieruchomym wyczekiwaniu. Dopiero warknięcie przywódcy przypomniało im o ich prawdziwych naturach. Popatrzyłam na matkę tulącą w ramionach śpiącą Hanę, lecz jej twarz był nieprzenikniona, zamarła gdzieś pomiędzy ostrożnością a niedowierzaniem. Przeniosłam wzrok na pastora, a on zmrużył oczy i przybrał minę pełnego satysfakcji oburzenia. Poruszył się lekko, wysuwając przed siebie stopę, jakby się szykował do walki, i zaczął bębnić palcami w tekst, dźgając słowa, zachęcając je, by uleciały z kartki i spadły na moją głowę niczym deszcz z nieba. I choć jego głos grzotem unosił się nad całą kongregacją, swą przemowę kierował do mnie.

- Kościół jest oddzielony od świata, a główny cel szatana to jego obalenie. Światu szatan objawia się pod wieloma postaciami. Raz przychodzi jako choroba i zaraza, kiedy indziej kusi zmysłowymi przyjemnościami. Lubi naganne zachowanie, takie jak duma i gwałtowny sprzeciw - tu spojrzał przelotnie na moją matkę, po czym znowu skupił się na mnie - a czasem, czasem przybiera postać dziecka. Szatan poluje na słabych, czyniąc z nich swoje ofiary i swoje narzędzie. Dlatego właśnie musimy bacznie owych narzędzi wypatrywać. Gdy to konieczne, wyrwać je i oczyścić modlitwą, karą, a gdy zajdzie taka potrzeba, ogniem słowa Bożego...

Jego głos sięgnął tak wysokich tonów, że gdybym nie przytrzymała się ławki, rzuciłabym się do ucieczki, depcząc po drodze ze dwadzieścia matron.

Z ławki dla mężczyzn rozległo się głośnie i długie chrząknięcie. Donośny dźwięk odwrócił ode mnie karcące spojrzenia i jak przemieszczające się kamienie głowy wszystkich zwróciły się ku miejscu, gdzie siedział mój ojciec. Siedział z podkurczonymi długimi nogami, spokojnie wpatrując się w modlitewnik, w jego ogromnych palcach dziwnie mały i kruchy. Nie przestał czytać, lekko poruszając ustami i przewracając kartki, jakby siedział sam w domu, pogrążony w duchowej kontemplacji, niewzruszony nawet gulą flegmy zalegającej mu gardło. Lis stracił trop i wielebny wrócił do kazania, które sobie na ten dzień zaplanował, ja jednak nie słyszałam już ani słowa, ślepa na wszystko poza własnymi rękami zaciśniętymi na podołku.

Wychodząc za matką, spuściłam głowę, chowając się pod czepkiem przed wymownymi spojrzeniami. Nie miałam wątpliwości, że dzisiejszy dzień, 28 lutego, okaże się nad wyraz ponury i gdy wrócimy do domu, Żelazna Bessie utnie sobie pogawędkę z moimi udami. Zobaczyłam ojca i Roberta Russella pogrążonych w rozmowie obok naszego wozu, umilkli jednak, widząc, że nadchodzimy. Matka podała mi Hannę i już miała wspiąć się na wóz, gdy coś w ich zachowaniu kazało jej się zatrzymać.

- Robercie, masz taką niewyraźną minę. Czyżby mocne przesłanie wielebnego Barnarda skwasilo ci śniadanie w brzuchu?

Uśmiechnął się lekko, ale brwi miał zmarszczone.

- Źle się dzieje w Salem Village od kilku tygodni - rzekł. - Córka i siostrzenica wielebnego pana Parrisa, a także kilka innych dziewcząt oskarżyło trzy kobiety - jedną niewolnicę i dwie gospodynie - o rzucenie na nie czarów. Złożyły formalny pozew w magistracie, a to oznacza proces.

- Ludzie zawsze krzyczą i szepczą o czarach, Robercie, zwłaszcza zimą, gdy brak zajęcia miesza się ze strachem i

przesądami. Słyszałeś naszego dobrego wielebnego, szatana można spotkać wszędzie, ale jeśli Bóg pozwoli, zostanie w Salem Village. Z tego co słyszałam, mieszka tam swarliwe towarzystwo, a ich kłótnie to dla niego wspaniała pożywka.

Wdrapała się na wóz i sięgnęła po Hannę. Ojciec uspokajająco położył jej dłoń na kolanie i skinął na przyjaciela, by ten mówił dalej.

- Także tu, w Andover, mieszkają swarliwi ludzie. Rzeczywiście, w zimowe miesiące więcej jest czasu i możliwości na snucie intryg i szerzenie plotek. Sporo ich słyszałem tu i ówdzie. W kościele i w Chandler's Inn. Twój szwagier wciąż śpiewa swoją piosenkę o wysiedleniu was każdemu, kto tylko chce go słuchać.

- Piosenkę, w której bez wątpienia za każdym razem przybywa nowy wers - powiedziała żartobliwie. Jednakże żaden z mężczyzn się nie uśmiechnął, wobec czego wyprostowała się. - Mów dalej - rzekła.

- Szerzą się plotki, że używasz czarów i rzucasz uroki. Sam słyszałem, jak Samuel Preston mówi, że niedługo po tym, jak we wrześniu odprowadziłaś jego krowę, zwierzę zachorowało i zdechło. Podobno przeklęłaś go, kiedy się nie zgodził wynagrodzić jakichś wyimaginowanych strat. Przepowiedziałaś też, że krowa zdechnie, i tak się stało. Twój siostrzeniec, Allen, dolewa oliwy do ognia i rozpowiada o twojej kłótni z Benjaminem Abbotem w marcu zeszłego roku. On i Ralph Farnum twierdzą, jakoby obaj słyszeli, jak rzucasz klątwę na Benjamina, i wkrótce na stopie i w kroku pojawiły mu się wrzody, które doktor Prescott musiał nacinać.

Popatrzyłam na kamienie nagrobne sterczące ze śniegu na cmentarzu, niektóre nachylone tak blisko ku ziemi, jakby słuchały głosów zmarłych, i przypomniałam sobie paplającą z ożywieniem Phoebe, kiedy opowiadała o kłótni pomiędzy moją matką i Benjaminem Abbotem.

- A teraz - mówił dalej Robert - do chóru dołączył się Timothy Swan, twierdząc, że jego chorobę wywołały niezadowolone duchy.

- Jedyne niezadowolone duchy, jakie Timothy Swan napotkał, to cienie jego i mojego siostrzeńca, z którym dzieli swój dom.

Matka, z początku słuchająca z rozbawieniem, teraz zaczynała się niepokoić, a w jej głosie pojawiły się ostrzejsze tony. Robert nie dawał za wygraną.

- Nie tylko mężczyźni gadają. Również kobiety nie próżnują. Susanna Holt twierdzi, że zaczarowałaś wiatr, by odciągnął ogień od waszych zbóż i skierował go na jej pola, a Mercy Williams nieraz mówiła, jak przepowiadasz burzę i uzdrawiasz zwierzęta. Jest jak miejski obwoływacz ostrzegający przed zarazą.

Odwrócił się i przywołał swoją siostrzenicę, Elizabeth, która stała obok konia Roberta i prowadziła cichą, ukradkową rozmowę z Richardem, przy czym oboje próbowali nie zwracać uwagi na łagodne kpiny Toma i Andrew. Richard nie dorównywał jeszcze ojcu wzrostem, lecz i tak musiał się nachylić, by się zrównać z bardzo malutką Elizabeth. Podeszła do nas i stanęła nieśmiało przed wozem, ze złożonymi rękami i spuszczoną głową, jak została nauczona. Nie była szczególnie ładna, za to schludna, o jasnej twarzy i włosach, i oczach tak jasnoniebieskich, jakby w ogóle były pozbawione koloru.

- Elizabeth, powiedz zacnej pani Carrier, co mówią inne kobiety. - Gdy milczała, łagodnie ją ponaglił. - No, dalej. Powiedz jej.

Jej oddech stał się szybszy, a oczy powędrowały ku stojącym na podwórzu kobietom pogrążonym w rozmowie. Wśród nich była Mercy Williams, spod jej ciemnoszarego przyzwoitego okrycia nie wystawał nawet skrawek czerwonej

halki. Głos Elizabeth nie był wiele głośniejszy od szeptu, a jej wargi nie poruszały się prawie wcale.

- Słyszałam, jak Mercy Williams i Phoebe Chandler mówiły Mary Lacey i innym, że zacna pani Carrier rzuca na nie czary, nocami udaje się do Blanchard's Pond, gdzie się spotyka z innymi czarownicami.

- A to dobre. Jak niby miałabym tam dojść i wrócić w ciągu jednej nocy? - spytała matka, wspierając zaciśniętą pięść o biodro.

- Mówią, że pani leci. Na miotle.

Po raz drugi tego ranka rozległ się głośny śmiech i wiele spojrzeń skierowało się na moją matkę. Głowy nachyliły się ku sobie, dłonie przysłoniły usta, by stłumić szmer głosów, i wszyscy odsunęli się od nas, jakby uciekali przed pełnym dołem kloacznym. Elizabeth odwróciła się, najwyraźniej marząc, by do nich dołączyć, nie wiedząc, gdzie podziać oczy. Gdy nasze spojrzenia się zetknęły, przez chwilę patrzyła na mnie, a mnie dech zaparło w piersi, zrozumiałam bowiem, że o mnie również słyszała niejedno. Strach, który mną owładnął w drodze na farmę Samuela Prestona, powrócił i z oczu spłynął mi do gardła. Tam utknął i stwardniał, jak robak schwytyany w skamieniały bursztyn.

Matka zerknęła przez ramię na parafian wciąż zgromadzonych przed domem modlitwy.

- Cóż mam począć z podobnymi bzdurami? Co rzec ludziom na tyle głupim, by wierzyli, że stąpający po ziemi człowiek, z pewnością żaden skrzydlaty anioł, może pod osłoną nocy lecieć na miotle, by się zabawiać nad Blanchard's Pond?

Robert podszedł do wozu i wspierając dłonie o koło, popatrzył na nią. Dostrzegłam malujące się na jego twarzy uczucia o wiele silniejsze od zwykłej sąsiedzkiej troski.

- Czasy są ciężkie, Martho. Nie dalej jak dwa dni drogi stąd wciąż szaleje ospa i dochodzi do ataków Indian. Ludzie są przerażeni, a strach zamienia nas wszystkich w głupców. Najlepszą odpowiedzią jest spokój i - tu przerwał, zaciskając dłonie na kole - przede wszystkim powściągliwość.

Popatrzyła na niego z półuśmiechem na twarzy, następnie przeniosła wzrok na ojca, który stał ze spuszczoną głową i czołem osłoniętym rondem kapelusza. Wsunęła brodę przed siebie i spoglądając w stronę domu, powtórzyła: „powściągliwość”. Wiedziała jednak, że nie przejęła się całą tą rozmową, tak samo jak nie przejęłaby się opowieściami wielorybnika o czających się w morskich głębinach potworach. Dotknęła mojego ramienia, bym podała jej Hanne, co uczyniłam, po czym wdrapałam się na wóz i zajęłam miejsce pomiędzy Tomem i Andrew.

- Podobno starasz się o względy wdowy Frye - rzekła matka do Roberta, gdy ojciec wdrapywał się na kozła. - Mam nadzieję, że wkrótce czeka nas wesele, bo inaczej o tobie również ludzie zaczną rozpowiadać plotki.

Nic na to nie odrzekł, lecz skinął na pożegnanie, gdy nasz wóz ruszył po śniegu. Popatrzyłam na matkę i przekonałam się, że słowa Roberta nie zrobiły na niej wrażenia, więc mój strach nieco zelżał. Twarz ojca była bardziej nieprzenikniona, ani się bowiem nie uśmiechał, ani nie złościł, tylko ścisnął i rozluźniał szczęki. Odwróciłam się, by pomachać Elizabeth, ona jednak nie odwzajemniła gestu.

Przejechaliśmy zaledwie połowę Boston Way Road, gdy koń okulał i wszyscy z wyjątkiem mnie, Hanny i Toma musieli dalszą część drogi pokonać piechotą. Tom również zszedłby z wozu, gdyby nie trudności, jakie miał z oddychaniem z powodu przejmującego zimna. Leżał z głową na moich kolanach, ja jednak nie dałam mu spokoju, póki krztusząc się i zacinając, nie opowiedział mi o masakrze w

York, o której się dowiedział od starszych chłopców. I tak podczas gdy on opisywał mi wiele straconych skalpów, odrąbanych nóg i rąk, ludzi porwanych i sprzedanych przez Abanaki Indianom Narragansett, pomalutku, krok po kroku zmierzaliśmy ku domowi. Przyjazne ciepło domowego ogniska zdało się tym słodsze, że koszmar masakry został za drzwiami.

STARE KOBIETY powiadają: „Im dłuższe dni, tym bardziej przejmujące zimno”. Lecz w pierwszych dniach marca południowe słońce grzało na tyle mocno, że lód i śnieg topiąc się, tworzyły małe strużki, a my z niecierpliwością wyczekiwaliśmy, kiedy ojciec da znak, że nadeszła pora zbierania klonowego syropu na Billerica Meadow. Gdy to się stało, chwyciliśmy wiadra i okutani w płaszcze i szale, z butami wypchanymi słomą, gdyż w ocienionych miejscach ziemia wciąż była zamarznięta, wyruszyliśmy rzędkiem do lasu. Szliśmy według wieku i wzrostu, najpierw ojciec, za nim Richard i Andrew, następnie Tom i wreszcie ja. Wyglądaliśmy jak dziecięca kruczata powracająca z czarnych lasów porastających krainę Turków, uzbrojona jedynie w kije, haczyki i małe blaszane wiaderka.

Szliśmy na zachód przez Preston's Plains, potem na południe wzdłuż ośnieżonych brzegów Shawshin. Wędrowaliśmy wraz z południową odnogą rzeki, przystając jedynie na chwilę, by popatrzeć na srebrzyście połyskujące resztki liści i ryby znieruchomiłe we śnie. Richard, nieprzywykły jeszcze do swego wybujałego wzrostu, wylądował z hukiem na lodzie, a gdy zaczęliśmy się z niego śmiać, jął nas szarpać i popychać, póki sami nie powpadaliśmy w śnieg. Gdy ojciec swym długim ramieniem sięgał, by pomóc mi wstać, ofuknął nas za te wygłupy, ale zobaczyłam, jak się uśmiecha i popycha Richarda z powrotem na lód. Zbite w kępę klony były bardzo stare, wiele z nich

miało czterdzieści, pięćdziesiąt stóp wysokości. Ojciec powiedział nam, że Indianie przychodzą tu robić nacięcia w drzewach i zbierać do wydrążonych bali syrop, który później zagęszczają, wrzucając do niego rozgrzane kamienie. Ojciec wybierał najlepsze drzewa, uważnie badając palcami szczeliny i pęknięcia, nigdy nie szukając pod najniższymi gałęziami czy w pobliżu uszkodzonej kory od północy. Gdy wreszcie znalazł odpowiednie miejsce, delikatnie od góry wbijał w korę patyk, po którym z wnętrza drzewa spływał sok. Trzeba było wielu godzin, by napełnić wiadra, wobec czego ojciec zagłębił się w las, by sprawdzić zastawione przez siebie wnyki, zostawiwszy na straży Richarda ze strzelbą. Tuż obok zagajnika dostrzegliśmy w śniegu niewyraźny ślad. Nie był to ślad zakończono kwadratowo buta Anglika, lecz zaokrąglonego mokasy na miękkiej podeszwie. Ojciec powiedział, że ledwie kilka dni wcześniej przechodził tędy jakiś Indianin.

Usiedliśmy w kółko w blasku słońca, z plecami zwróconymi na północny wschód, a twarzami w stronę lasu, i szeptem opowiadaliśmy sobie historie, od których włoski na karkach stawały nam dęba. Mówiliśmy o kobietach z Salem, które ostatnio trafiły do więzienia. Wśród nich była staruszka jednakowo uwielbiana przez mężczyzn i kobiety - płakali oni na ulicach, gdy z łoża śmierci niesiono ją przed oblicze sędziów. Jako że nigdy wcześniej nie widziałam żadnego sędziego, wyobrażałam ich sobie jako istoty z ludzką głową, lecz ciałem kruka, przycupnięte na swoich długich ławach i niecierpliwie stukające szponami, niemogące się doczekać, kiedy nareszcie rozszarpią swoje ofiary. Chociaż Salem znajdowało się blisko Andover, nikogo stamtąd nie znaleźliśmy i chyba nigdy do głowy nam nie przyszło, że podobnie jak ospa, czary nie znają żadnych przeszkód ani granic.

25 marca znowu zrobiło się zimno i wiedzieliśmy, że zbieranie klonowego syropu dobiegło końca. Matka

wyskrobała do ostatniej kropli syrop z naszych blaszanych wiaderek i mogliśmy zjeść najlepszy smakołyk, jaki trafiał się zimą. Każde z nas dostało troszkę gorącego syropu. Wylaliśmy go na zmrożoną śnieżną zaspę, żeby zrobić sobie „cukier na śniegu”. Kiedy ja wylewałam swoją porcję na biały śnieg, brązowy płyn stwardniał, zamieniając się w rdzawą skorupkę, i nagle wydało mi się, że wygląda jak krew przesiąkająca przez opatrunek. Ręka mi zadrżała i chociaż ślinka napływała do ust, nie mogłam się zmusić, by podnieść chrupiącą skorupkę z ziemi. Straciłam na nią całą ochotę i oddałam wszystko Tomowi. Widząc to, matka ręką sprawdziła, czy nie mam rozpalonego czoła, i natychmiast zaaplikowała mi silne lekarstwo na chorobę, po którym wymiotowałam przez godzinę. Po tygodniu dowiedzieliśmy się od Richarda, że tego właśnie dnia, dokładnie o tej samej godzinie sędziowie przesłuchiwali czteroletnią Dorcas Good w więzieniu w Salem. Jej małe stópki i rączki unieruchomiono w żelaznych kajdanach, by zamieszkujący ją zły duch nie zdołał się uwolnić i przestał dręczyć dziewczynki, które ją oskarżyły. Później Dorcas wróciła do podziemnej celi, gdzie od wielu dni w ciemnościach siedziała jej skuta matka.

POD KONIEC MARCA śnieg padał niemal bez przerwy, po czym nagle ustał. W ostatnim dniu miesiąca matka zbudziła mnie wczesnym rankiem, mówiąc, że musimy natychmiast pójść do stodoły i zoperować koniowi nogę, bo inaczej zwierzę zdechnie. Po wewnętrznej stronie kolana wyrósł mu twarde guz wielkości małej pięści, gorący i bolesny w dotyku. Dzień wcześniej Richard raz go już naciął, ale nie zrobił tego wystarczająco głęboko i nie wszystko z niego wypłynęło. Przedsięwzięcie było niebezpieczne, więc matka nakazała mi trzymać się w bezpiecznej odległości od końskich kopyt i tylko się przyglądać, aby wiedzieć na przyszłość, jak należy postępować. Richard przytrzymał łeb konia z całej siły, a

jedno jego długie drżące ucho złapał delikatnie zębami. Kiedy matka zaczęła ciąć, on pociągnie łeb konia w dół i mocno przygryzie ucho, tak aby koń kopał zadnimi nogami, a nie stanął dęba i nie bił w powietrzu przednimi kopytami.

Byłam zmarznięta i zła, że musiałam tak wcześnie wstać, i prawie nie zdawałam sobie sprawy, co dzieje się wokół mnie, kiedy szłam z domu do stodoły. Świat spowijały biel, błękit i czerń, a sylwetka idącego przede mną Richarda rysowała się równie niewyraźnie jak drzewa na horyzoncie. Śnieg tłumiał nasze kroki, dlatego Allen nie słyszał, jak nadchodzimy. Od drzwi stodoły dzieliło nas nie więcej niż dwadzieścia kroków, gdy nagle uchyliły się lekko, na tyle, by zdołała się przez nie przecisnąć szczupła męska postać. W pierwszej chwili nie rozpoznaliśmy jego twarzy, ale widok naszej zbliżającej się trójki tak go zaskoczył, że widzieliśmy, jak białka jego oczu połyskują w przerażeniu. Gdyby był sprytniejszy, mógłby wymyślić ze sto powodów, dla których znalazł się w naszej stodole. On jednak stał jak zamurowany, gapiąc się na nas, po czym rzucił się do ucieczki, zostawiając za sobą ślady dobitnie świadczące o jego winie.

Richard na swoich długich nogach szybko go dogonił i szarpnięciem za włosy powalił na ziemię. Allen się zerwał i wymachując rękami, próbował uderzyć Richarda w twarz. Piszczął wysokim głosem jak kobieta i dysząc ciężko przez otwarte usta, pluł śliną na wszystkie strony. Richard pochylił się i tak jak nauczyła go Mercy, prawą stopą podciął Allenowi nogi od tyłu, ponownie obalając go na ziemię. Potem usiadł mu okrakiem na piersi i kolanami przyszpilając ramiona do ziemi, unieruchomił go.

Matka wybiegła ze stodoły, trzymając w ręce pęk słomy. Szal zsunął się jej z głowy, a widząc, jak zaciska szczęki, poczułam coś na kształt litości dla mojego kuzyna. Uklękła przy głowie Allena i podsunęła mu słomę pod twarz. Dopiero

teraz zobaczyliśmy, że słoma jest osmalona i dymi, zbyt wilgotna jednak, by mogła rozpaść się porządnie. Parę żdźbeł spadło Allenowi na policzek i chyba wciąż jeszcze musiały się tlić, bo wrzasnął z bólu.

- Myślałeś, że wystarczy, jak spalisz nam stodołę, i wtedy się wyniesiemy?

- Zostaw mnie, ty stara wredna suko.

Allen walczył zapamiętane, ale Richard mocniej przycisnął ramiona swojej ofiary do ziemi i dłonią zatkał mu usta. Matka nachyliła się nisko, by Allen mógł spojrzeć jej w oczy.

- Będziesz musiał lepiej się postarać, żeby się nas pozbyć. Będziesz musiał spalić nasz dom, ale co dobrego ci z tego przyjdzie? Wciąż nie będziesz miał domu i dalej będziesz tchórzem, Allenie Toothaker. Tak jak twój ojciec. I jeszcze ci powiem, że jeżeli Thomas cię przyłapie, jak się kręcisz koło nas, będziesz musiał poszukać nowego domu dla swojej głowy, a kapelusz będziesz nosił na ramionach.

Słyszając to, pobladł, a jego twarz przybrała barwę śniegu, na którym leżał. Matka wstała i skinęła na Richarda, by zrobił to samo. Allen podniósł się i uciekał tak szybko, na ile pozwoliły mu drżące nogi. Gdy się oddalił na bezpieczną odległość, odwrócił się i wycelował w nas drżący palec.

- To moja ziemia i mój dom, a wy mi je ukradliście, ale klnę się na Chrystusa, spłoniecie, choćbym miał pójść do samego piekła po ogień.

Matka pokazała mu plecy, a on stał jeszcze przez chwilę z grubymi ustami błyszczącymi od śliny i złością w blisko osadzonych zmrużonych oczach. Na jego policzku, w miejscu gdzie oparzyła go słoma, widniała wielka czerwona opuchlizna, płonąca niczym znamię Kaina. Popatrzył na każdego z nas po kolei, a gdy jego wzrok spoczął na mnie, wykrzywiłam się do niego, marszcząc złośliwie nos. Nawet gdyby zapomniał o swoich pretensjach do nas, tej ostatniej

obrazy na pewno nigdy nie wybaczy. Odszedł po jaśniejącym śniegu i upłynęło wiele miesięcy, zanim znowu było nam dane go ujrzeć. Idąc za matką i Richardem do domu, by rozpałcić poranny ogień, obejrzałam się i zobaczyłam wiązkę słomy wciąż tłącą się na śniegu. Jedna mała iskierka zamrugła do mnie złowieszczo niczym oko wyroczni przepowiadającej nadciągającą tragedię.

OJCIEC WRÓCIŁ do domu, prowadząc na krótkim łańcuchu czarnego kundla. Był hałaśliwy, niezbyt duży. Ojciec uwiązał go w stodole, by ostrzegał zawczasu przed każdym skradającym się intruzem. Według matki pies z pewnością przegoni wszystkie koty, na co ojciec odrzekł, że póki co, więcej myszy w stodole to mniejsze zło. Gdy się ociepliło i ziemia odtajała, brytan został uwiązany do domu od strony drogi, by każdy przechodzień dobrze mógł się przyjrzeć jego groźnym kłom. Karmił go wyłącznie ojciec, aby pies się nauczył, kto jest jego panem. My mieliśmy przykazane trzymać się od niego z daleka, bo zażarcie pilnował swojego jedzenia i gotów był zaatakować każdego.

Nasze dni wyznaczał rytm prac w polu. Słońce wschodziło, sunęło po niebie i zachodziło, zataczając łuk jak wznoszące się i opadające ziarno, które rzucaliśmy z naszych worków, albo jak patyk dźgający wołu w plecy, przymuszając go do szybszej orki. 7 kwietnia Andrew skończył piętnaście lat i chociaż jego ciało nadal rosło, wciąż było blade i słabe, a umysł pozostał łagodny i na poziomie jak u dziecka.

Robert Russell poślubił wdowę Frye i wraz z nią przyszedł do nas na weselną ucztę. Nowa zacna pani Russell miała pulchną twarz i była szeroka w pasie, za to opanowana, dobra i dość młoda, by dać Robertowi synów, których się nie doczekał z pierwszą żoną. Do Elizabeth odnosiła się życzliwie i po matczynemu, a gdy rozeszła się plotka, że Robert sypiał z własną siostrzenicą, nowa żona dała dowód swej prawdziwie

dobrotliwej natury. Nikomu nie pozwoliła powiedzieć złego słowa o dziewczynie i zatrzymała ją w domu, chociaż większość kobiet kazałaby się jej wynieść. Wkrótce jej dobre zdanie przywróciło Elizabeth cnotę, co moja matka skomentowała zwięźle:

- Zadziwiające, że wystarczy zaledwie kilka słów, by błąna dziewicza stała się jak reputacja. Łatwo się ją traci, łatwo odzyskuje.

Robert Russell był naszym źródłem informacji, jako że często wyjeżdżał handlować do Andover, czasem nawet aż do Bostonu. Pod koniec kwietnia dowiedzieliśmy się, że kolejnych dwadzieścia pięć osób zostało aresztowanych i zamkniętych w więzieniu w Salem Village za układanie się z diabłem. Pośród nich była Elizabeth Proctor, akuszerka i zielarka, a po kilku dniach dołączył do niej jej mąż, John Proctor, gdyż odważył się stanąć w jej obronie. Aresztowano też stare i nie lubiane kobiety. Ale również tych zamożnych, jak na przykład małżeństwo Bishopów czy Philipa Englisha, który później odzyskał wolność dzięki przekupstwu. Wśród uwięzionych znajdowali się niewolnicy, a nawet dawny pastor Salem, wielbny George Burroughs, którego przywleczono zakutego w łańcuchy aż z Maine. Do więzienia trafiali mieszkańcy okolicznych wiosek, Topsfield, Ipswich, Reading, Amesbury, Beverly, Salem Village, był wśród nich też obywatel Bostonu. Na razie jednak nikt z Andover. Wszystkich jednakowo zakuwano w łańcuchy i kajdany, by ulżyć cierpieniom grupie młodych dziewcząt opętanych przez czary. Szybko jednak, jak twierdziły owe młódki, znalazło się więcej czarownic, które wykorzystując swe niewidzialne siły, dręczyły niewinnych. Oskarżycielki na nowo zaczęły wrzeszczeć i miotać się i najtęższe teologiczne umysły, jakie udało się znaleźć w Salem, oznajmiły, że jeszcze wiele czarownic ukrywa się na wolności.

W NIEDZIELĘ 15 maja niebo spowijały gęste chmury, płynęły jednak tak wysoko po wypukłej misie nieboskłonu, że ich szarość zdawała się jednolita. Jechaliśmy do domu modlitwy. Ja jedną ręką trzymałam spódnicę Hanny, która wychylona na zewnątrz tłustymi jak kiełbaski paluszkami próbowała złapać obracające się szprychy koła, a drugą przytrzymałam róg skórzanej płachty, rozpostartej przez ojca nad naszymi głowami i mającej chronić nas przed mżawką towarzyszącą nam od chwili, gdy opuściliśmy podwórze przed domem. Powietrze na przemian było zimne i gorące. Walczyłam z szalem, jednocześnie pocąc się i drżąc z zimna pod nim. Przez cały ranek matka była zła i zniecierpliwiona, ponieważ jak my wszyscy bała się jechać do domu modlitwy. Przez dwie ostatnie niedziele wśród parafian panowała ciężka, oskarżycielska atmosfera, gdy wielebny Barnard okraszał swoje kazania nazwiskami obywateli oskarżonymi w Salem o uprawianie czarów. Według wielebnego był to znak czekającej nas o wiele cięższej bitwy. Bitwy, która w każdej chwili mogła rozgorzeć w Andover. Kazania wielebnego Dane'a nie miały w sobie mocy straszliwych przepowiedni wielebnego Barnarda, który niczym rozjuszony kapitan statku, stojąc na mostku, krzykiem ostrzega przed nadciągającym złem.

Na mszę spóźniliśmy się cały kwadrans. Wielebny stał przy pulpicie i przerwał swój wywód, by śledzić wzrokiem, jak zajmujemy miejsca z tyłu sali. Żaden z siedzących obok nie popatrzył na nas wprost, za to wszyscy kiwali do siebie złośliwie głowami, szepcząc: „Sami widzicie, sami widzicie, sami widzicie...”. Gdy sadowiliśmy się pośpiesznie, poszukałam wzrokiem wielebnego Dane'a i zdumiałam się na widok wielebnego Nasona z Billeriki zasiadającego wraz z innymi członkami starszyny twarzą do nas. Był jeszcze grubszy, ale wzrok miał bystry i jego tonące w fałdach

tłuszczu oczka wpatrywały się w wybrany punkt czujnie jak oko lornetki. Przez chwilę spoglądał na mnie, jakby widział mnie wtedy, gdy z ukrycia podglądałam go przez dziurę w ścianie pokoju Margaret, po czym zdecydowanie popatrzył gdzie indziej.

- Wielu jest dzisiaj udręczonych - rozpoczął wielebny Barnard po odśpiewaniu psalmów. - Większość z nich to dzieci. Niewinni. Chrześcijanie. Święci... Sam dwa tygodnie temu byłem świadkiem owych czarnoksięskich praktyk, wraz z innymi sługami Kościoła, którzy zebraliśmy się w domu wielebnego pana Parrisa w Salem Village. Na własne oczy widziałem dzieło szatana, gdy się starał nie dopuścić tych biednych umęczonych dzieci do zbawienia. Mój brat pastor, wielebny pan Nason, który siedzi tu przed wami, również był świadkiem tych zmagania. Podobnie jak ja, poruszony tym, co ujrzał, postanowił dniem i nocą walczyć, by powstrzymać szerzące się zło. I wierzcie mi, moi wierni naśladowcy Chrystusa, ono się rozprzestrzeni jak zaraza, jeżeli się dopuścimy zaniedbania i nie będziemy czujni. Ale dzięki pracy i świadectwu odkryjemy czarne moce. Tak, świadectwu. Nie wystarczy bowiem bać się zła czy bronić się przed nim modlitwą. Musimy wydobyć je na światło dzienne, aby zostało wyplenione i oczyszczone ogniem i mieczem, jeśli zajdzie taka konieczność, bo czyż nie naucza nas Pismo: „Nie pozwolisz żyć czarownicy”?

Tu umilkł na chwilę, by ochłonać, przełknąć, zapanować nad wyrazem twarzy, która drgała i wykrzywiała się w okropnych grymasach. Wskazał na wielebnego pana Nasona i podjął swój wywód cicho i konfidencyjnie, jakby zdradzał jakiś sekret.

- Ten oto wielebny udaje się nazajutrz do Salem Village, by zeznawać w sprawie mieszkańca Billeriki, z zawodu lekarza, który nie tylko utrzymuje, że zabił czarownicę, lecz

na dodatek chełpi się, że potrafi takową z miejsca rozpoznać. Nie modląc się, poszcząc czy zasięgając rady swego duchownego, lecz przy użyciu czarów i zaklęć. Nauczył tego nawet swoją małą córeczkę, czym się chwali w tawernach w Billerice, a także tutaj, w Andover. To dzieło szatana. Widzicie, jak się rozprzestrzenia? Jak przekracza granice i drogi, niczym kłębiąca się mgła?

Przestałam oddychać, a krew pulsowała mi pod czaszką, niby serce dzwonu wibrujące w jego wnętrzu. Oczami wyobraźni ujrzałam Margaret, jak schludna i wyprostowana stoi przed wielebnym Nasonem, recytując swój katechizm sposobów wykrywania czarownicy. Przypomniałam sobie też wuja, jak się chełpił, że potrafi zdejmować uroki.

- Ten człowiek bruka własne dzieci. Widzicie, jak to się szerzy? Kto wie, do czego się posuwa, by brukać również innych członków swojej rodziny? Widzicie, jak to się szerzy?

Powtarzał to w kółko, raz za razem, spoglądając w oczy każdemu z parafian po kolei, wzywając ich, by chóralnie przyłączyli się do tego psalmu wołającego o pomstę. Głowy zaczęły obracać się w przód i w tył („Widzicie, jak to się szerzy?”) najpierw ku nam, następnie w stronę wielebnego Barnarda, znowu ku nam, niby mrowie chorągwi targanych zmiennymi powiewami wiatru („Widzicie, jak to się szerzy?”). Nie było w domu modlitwy człowieka, który nie wiedziałby, że Roger Toothaker, medyk z zawodu, poprzez małżeństwo jest spokrewniony z Carrierami. Na koniec spojrzenie wielebnego spoczęło ciężko na wielebnym panu Danie, siedzącym w pierwszej ławce w otoczeniu synów, żony i córek. I znowu nie było nikogo, kto by nie wiedział, że z kolei Carrierowie są spokrewnieni z Dane'ami, również poprzez małżeństwo.

Gdy się rozległo ostatnie „amen”, chciałam się zerwać, by jako pierwsza opuścić kościół, jednakże palce matki zacisnęły

się na moim ramieniu, zmuszając mnie, bym tkwiła obok niej, gdy członkowie kongregacji po kolei mijali nas w milczącej i poważnej procesji, niczym żałobnicy żegnający ciało spoczywające na marach. Matka siedziała z nieruchomym wzrokiem utkwionym przed siebie, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, z gładką, chłodną i dumną twarzą. O targającym nią gniewie świadczyła tylko niebieska żyłka pulsująca szybko na jej skroni. Kiedy wszyscy wyszli ze świątyni, puściła moją rękę i w ślad za nią wyszłam z kościoła. Mżawka przeszła w ulewny deszcz i matka jedną ręką naciągała szal na głowę, drugą zaś na wpół wlokąc za sobą, prowadziła Hannę do wozu, przy którym czekał na nas ojciec. But ześlizgnął mi się ze stopy i utknął w gliniastej mazi. Gdy wyszarpywałam go z błota, moich uszu doszedł cichy złośliwy szept.

- Czarownica.

Podniosłam głowę i ujrzałam Phoeve Chandler, za nią Mercy i Mary Lacey i kilka innych dziewczynek, których nie znałam.

- Czarownica - powtórzyła.

Udało mi się wydobyć but z błota i nie tracąc czasu na zakładanie go, najszybciej jak mogłam, ruszyłam przez grząskie podwórze. Dziewczynki podążały krok w krok za mną, powtarzając: „Czarownica, czarownica, czarownica, czarownica...”. Wokoło panowała cisza, słyszeć było tylko ich syczące głosy i plusk deszczu. Nasi sąsiedzi stali nieruchomo jak głązy, pozwalając, by wilgoć przenikała ich ubrania. Ich usta się nie poruszały, za to żywe, baczne oczy śledziły każdy nasz ruch. Kiedy się potknęłam i upadłam na kolana, brudząc sobie fartuch błotem, za moimi plecami rozległ się śmiech. Twarz miałam skierowaną ku ziemi, czułam jednak napierające na mnie ciała i skuliłam się, pamiętając kamień uderzający mnie w głowę. Phoebe pochyliła się nade mną i wysokim, cienkim głosem powtarzała w kółko jedno słowo:

„Czarownica - czarownica - czarownica - czarownica...”. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co kazało innym dziewczynkom cofnąć się najpierw o dwa kroki, potem o trzy. Phoebe także niczego nie widziała, wciąż bowiem pochylała się nade mną, piszcząc mi nad głową jak oszalała wiewiórka. Ujrzałam zbliżający się szybko ubłocony rąbek spódnicy i czubki znoszonych butów, rozpryskujące na boki grudki błota. Gdy moja matka chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła mocno, Phoebe umilkła, dźwięk jej głosu został ucięty niczym świeży bochenek chleba ostrym nożem.

- Spokojnie, spokojnie. Gdzie ty mieszkasz? Czyżbyś dorastała w piwnicy, że tak brzydko się zachowujesz?

Włosy matki wysunęły się spod czepka, a na jej policzkach płonęły rumieńce.

- Odejdźcie. Wszystkie.

Dziewczynki zaczęły się wycofywać, zobaczyły jednak, jak Mercy krzyżuje ramiona i stoi z biodrem wypchniętym do przodu oraz paskudnie wykrzywioną górną wargą. Wtedy one także się zatrzymały i patrzyły, jak matka pomaga mi wstać, ujmując mnie za rękę, a błoto, które ją pokrywa, klei nasze dłonie. Ojciec przez cały czas siedział na wozie i gdy gramoliłam się na słomę, dwie myśli nie dawały mi spokoju. Pierwsza, że matka przyszła mi na ratunek, i druga, że ojciec tego nie zrobił. Do domu wracaliśmy w milczeniu, skuleni pod skórzanym dachem, czułam jednak na sobie wzrok braci. Zaczęłam dygotać z zimna, wilgoci i przemożnego strachu. Tom objął mnie ramieniem i szalikiem starł mi błoto z dłoni.

Gdy wóz ugrzązł w błocie, ojciec oddał matce lejce, a sam z Richardem zaczął go pchać od tyłu. Spojrzał na mnie raz i spytał:

- Już dobrze?

Skinęłam głową, ale zżerała mnie gorycz, że nie zeskoczyłam z wozu i nie rozgonił dziewcząt niczym stadka kur.

Odwrociłam się, by nie widział moich łez. Andrew jednak je dojrzał.

- Już po wszystkim. Już po wszystkim - rzekł i poklepał mnie po ramieniu.

Powtarzał to przez całą drogę, siedząc blisko mnie z twarzą promieniejącą niczym księżyc w pełni.

WCZESNYM RANKIEM 18 maja wuj został aresztowany i zabrany do więzienia w Bostonie. Gdy woźny Salem, Joseph Neall, przyszedł po niego do domu w Billerice, wuj był tak pijany, że dopiero w połowie drogi do więzienia zorientował się, że nie został wezwany jako medyk do chorego sąsiada, lecz zmierza do więzienia jako oskarżony o uprawianie czarnej magii. W owym czasie w więzieniach w Salem i Bostonie, we wspólnych celach przeznaczonych na o połowę mniejszą liczbę ludzi przebywało trzydzieści osiem osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. 24 maja gubernator Massachusetts, sir William Phips powołał sąd specjalny, który miał wysłuchać i określić wyniki procesów o czary. Zostało mianowanych dziewięciu sędziów, aby strzegli uświęconego świata przed potępionymi.

Zacna pani Easty, siostra świętej Rebeki Nurse z Salem, została aresztowana, uwolniona i ponownie aresztowana, gdy udręczone dzieci z Salem Village ze wzmożonym zapalem zaczęły uskarżać się z krzykiem, że jej widmo szczypie je, gryzie i dusi. 28 maja wydano w Salem nowe nakazy i jak to zwykle bywa, nawet z tajemnicami, wieść się rozeszła o nadchodzących woźnych. Sąsiad przekazywał nowinę sąsiadowi, aż wreszcie wieczorem 30 maja Robert Russell stanął u naszych drzwi z ostrzeżeniem, że o pierwszym brzasku następnego dnia przyjdą aresztować matkę, by powieść ją przed oblicze sędziów w Salem.

Staliśmy wszyscy w pokoju dziennym, na stole walały się resztki kolacji, oślepieni i ogłuszeni niczym potężną

błyskawicą. Matka popatrzyła na Roberta, jakby właśnie oznajmił jej, że wół uwił sobie gniazdo na naszym dachu, a gdy Robert zaklinał ją, by uciekała, jak inni, ona potrząsnęła głową i spokojnie sprzątała naczynia ze stołu.

- Thomasie, przemów do niej - zwrócił się Robert do ojca.
- Wy tłumacz jej.

- Ona rozumie - odparł jednak ojciec. - Od niej zależy, czy zostanie, czy też odejdzie.

Słyszając, jak ojciec słabo przemawia w jej imieniu, ogarnęła mnie wściekłość tłumiąca przerażenie. Czy ona naprawdę tak niewiele dla niego znaczy, my znaczymy dla niego tak niewiele, że jej nie namawia, wzorem Roberta, by w ukryciu zaczekała, aż znowu będzie bezpieczna?

Richard z pociemniałą twarzą i zaciśniętymi ustami wyszedł i skierował się do stodoły, gdzie czekał na przybycie woźnego. Andrew krążył po pokoju, zataczając coraz mniejsze kółka, jak kawałek drewnianka uwięziony w jakimś straszliwym wirze, aż wreszcie Tom złapał go za rękę i zmusił, by usiadł przy palenisku. Chrapliwy oddech Toma, który walczył z napływającymi łzami, rozbrzmiewał w pomieszczeniu. W końcu Tom nie wytrzymał i osunął się na ziemię. Stałam, przenosząc wzrok z ojca na Roberta, nie rozumiejąc, czemu nic nie robią, walcząc z cisnącym mi się na usta krzykiem, pragnieniem rzucenia się na ziemię, byle tylko nie pozwolić matce wsiąść na więzienny wóz.

Coś poruszyło się przy stole i kiedy się odwróciłam, napotkałam jej wzrok wbity we mnie, jednak nie przerażony, potępiający czy choćby smutny, lecz przepełniony wściekłością. Patrzyła na mnie tak długo i intensywnie, jakby poza nami nie było nikogo, a nas spowijała prowadzona w milczeniu rozmowa lub też kokon z matczynego mleka i żelaza. Trwało to dopóty, póki Hanna nie zaczęła płakać. Robert powiedział, że ciotka Mary i Margaret także mają

zostać uwięzione, po czym odszedł z przyrzeczeniem, że jeśli matka zmieni zdanie i ucieknie lub jej pobyt w Salem się przedłuży, on wraz z żoną zaopiekują się nami najlepiej jak potrafią.

Matka siedziała przy palenisku jeszcze długo po tym, jak bracia i ja udaliśmy się na spoczynek. Wierciłam się i rzucałam na łóżku, odpychając tulącą się do mnie Hanne, sen jednak nie nadchodził. W końcu wymknęłam się z pokoju i zobaczyłam, że ojciec siedzi obok matki. Zwróceni do siebie twarzami, szeptem prowadzili rozmowę.

- Są jak psy obwąchujące sobie tyłki - powiedział ojciec. - Nie ma słodsze zapachu od zepsucia, jakie samemu się szerzy.

Matka zaśmiała się krótko i zbliżyła swoją twarz do jego - wiedziałam, że rozmawiają o nakazie aresztowania.

- Przemówię im do rozsądku. Muszą mnie wysłuchać - powiedziała. - Opowieści tych dziewcząt rozsypią się jak domek z kart na chybotliwym stole. Tyle zniedołężniałych, głupich kobiet stało przed nimi, że sędziowie zaczynają mieć dość tych bzdur. Cóż, ja nie jestem ani ogłupiała, ani się ich boję. To prawnicy i sędziowie, muszą postępować zgodnie z prawem.

Ojciec ujął jej dłonie w swoje wielkie ręce i wsparł głowę na jej kolanach. Gładził kciukami wnętrze jej dłoni.

- Martho, oni nie wysłuchają głosu rozsądku. Bo i jakże, skoro wszystko tu stworzyli, pnać się po grzbietach innych? Przynosisz sobie zaszczyt, wierząc w swoją własną siłę i odwagę. Ale oni cię nie wysłuchają. Nie mogą.

Wysunęła jedną rękę z jego uścisku i pogładziła go po długich rozwichrzonych włosach.

- Jeżeli tak nie uczynię, to będzie trwało w nieskończoność. „Nic dobrego nie rodzi się bez walki i

poświęcenia, czy to kobiety, czy mężczyzny. To jedyna droga, by się wyzwolić spod tyranii". To twoje własne słowa.

Zachnął się niecierpliwie.

- To nie są moje słowa - powiedział. - Lecz tych, którzy przez nie zostali pomordowani i złożeni, by szejli w bezimiennych grobach.

Przyłożyła palec do ust.

- Dałeś mi światło, a teraz chcesz je zgasić? Naprawdę uważasz, że powinnam uciec? I kim wtedy będę? Sługą, którą inni depczą i pomiatają. Kim będę dla moich dzieci albo dla ciebie? Czy mógłbyś kochać mnie równie mocno, gdybym się wyparła prawdy? Nie lękam się, Thomasie.

- Tak. Tego właśnie ja się boję - odrzekł na to mój ojciec.

Deski pod moimi nogami skrzypnęły i matka dostrzegła mnie kryjącą się w cieniu. Podniosła się i nakazała, bym szybko się ubrała. Zarzuciłam na siebie spódnice bez fartucha i założyłam buty, ale bez pończoch, myśląc, że jednak zmieniła zdanie i odejdzie, zabierając mnie ze sobą. Moje nadzieje, niestety, okazały się płonne.

- Wrócę za dwie, trzy godziny - powiedziała do ojca. - Jest coś, co muszę dać Sarze.

Noc była bardzo ciemna, prawie bezksiężycowa, lecz pogoda znośna i ciepła i wkrótce koszula pod pachami zwilgotniała mi od potu. Matka szła tak szybko, że musiałam biec, by dotrzymać jej kroku. O jej biodro obijała się ciężka płócienna torba. Szłyśmy ścieżką wiodącą do domu Roberta, wkrótce jednak skrzyłyśmy na południe, zagłębiając się w las porośnięty dębami i jesionami. Zrozumiałam, że zmierzamy ku Gibbet Plain. Pomyślałam o grzybach i kwiatkach porastających całe pole, jednakże z powodu panujących ciemności niewiele widziałam. Matka powiodła mnie jakieś sto kroków w głąb łąki, gdzie na niewielkim wzgórku rósł samotny jesion. Tam przystanęła i zwróciła się ku mnie.

Przemówiła z taką mocą, że aż zamrugałam, czując na swej twarzy tchnienie jej oddechu.

- Czy wiesz, dokąd pojedę jutro? - Skinęłam głową. - Czy wiesz dlaczego? - Znowu przytaknęłam, ona jednak rzekła: - W takim razie powiedz to.

- Ponieważ mówią, że jesteś czarownicą - odezwałam się słabym głosem.

- A wiesz, dlaczego uwięzili Mary i Margaret? - spytała.

- Ponieważ wierzą, że one także są czarownicami - odrzekłam. Położyła mi ręce na ramionach, zmuszając mnie, bym patrzyła jej prosto w oczy.

- Nie. Zostały uwięzione, by wuj się przyznał, poza tym mają nadzieję, że oskarżą innych o uprawianie czarów. Jutro po mnie przyjdą, ale ja się nie przyznam i nikogo nie wskażę. Czy wiesz, co to oznacza?

Zaczęłam przecząco kręcić głową, ale w zakamarkach umysłu zakiełkowała mi straszliwa myśl i oczy musiały mi się zrobić wielkie. Matka ponuro skinęła głową.

- Kiedy nie zdołają zmusić mnie, abym się przyznała, wtedy przyjdą po moją rodzinę i nie będzie dla nich miało najmniejszego znaczenia to, że jeszcze jesteś dzieckiem. Już teraz w więzieniu w Salem trzymają dzieci.

Dostrzegła wyraz moich oczu i przyklękła, obejmując mnie mocno.

- Jeżeli przyjdą po ciebie, masz im powiedzieć wszystko, co będą chcieli usłyszeć. Tylko tak możesz się uratować. I musisz pouczyć Richarda, Andrew i Toma, by zrobili to samo.

- Ale czemu ty nie możesz zrobić tak samo... - pisnęłam błagalnie, ale ona potrząsnęła mną mocno i umilkłam.

- Ponieważ ktoś musi opowiedzieć się po stronie prawdy.

- Ale dlaczego właśnie ty?

Zbyła moje pytanie milczeniem i wyjęła z torby czerwoną książkę, którą widziałam wiele tygodni wcześniej, kiedy w niej pisała.

- W tej książce... - przerwała, wodząc palcem po zniszczonej skórzanej okładce - w tej książce jest spisana historia twojego ojca w Anglii, zanim przybył do nowych kolonii.

- I nic więcej? - spytałam zawiedziona.

- Saro, są ludzie, którzy stratowaliby cię żywcem, by wejść w jej posiadanie, a to oznaczałoby koniec nas wszystkich. Musisz mi przyrzec dwie rzeczy. Przysiąc na głowy swoich bliskich. Po pierwsze, musisz strzec tej książki. Dzisiaj ją ukryjemy, ale gdy nadejdzie właściwa pora, musisz po nią przyjść, jeżeli ja nie będę mogła tego uczynić. Po drugie, musisz przysiąc, że nie przeczytasz jej, dopóki nie dorośniesz.

Patrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc. Jak mogłam przysięgać, nie wiedząc, czego przysięga dotyczy?

- Daj mi rękę. - Gdy uczyniłam, o co prosiła, ujęła moją dłoń i położyła ją na książce, jakbym miała przysiąc na Biblię.

- Obiecuj mi, Saro

- rzekła matka z mocą.

- Ale ja nie rozumiem! - krzyknęłam.

Nie obchodziło mnie, czy potrząśnie mną, aż mi powypadają zęby. Nie obchodziło mnie, czy mój głos popłynął na wschód ponad moczarami, budząc każdego śpiącego farmera aż za granicami Reading. Ona jednak nie potrząsnęła mną ani mnie nie uderzyła, lecz trzymała mocno, pozwalając, bym się wyplakała, aż moje słone łzy przemoczyły jej suknię. Potem odsunęła się i zdjawszy czepek, otarła mi twarz.

- Saro, czasu zostało niewiele. Któregoś dnia zrozumiesz wszystko. Dzisiaj jednak musisz mi obiecać. Kiedy po ciebie

przyjdą, powiedz im wszystko, co będą chcieli usłyszeć, aż usatysfakcjonowani puszczą cię wolno. Nawet gdyby ci kazali przyznać, że latałaś na miotle na Bald Hill i tam tańczyłaś noc w noc. Nawet gdy zapytają, czy jestem czarownicą, powiedz, że tak, nie zaprzeczaj.

Znowu zaczęłam kręcić głową.

- Moja gwałtowna, wiecznie nadąsana Saro - powiedziała matka.

- To wielki ciężar, ale tylko ty jedna możesz go udźwignąć. Richard ledwie radzi sobie z własną ponurą naturą, i ta wiedza by go powaliła. Andrew zaś, biedny bezrozumny Andrew, nie trafi do drzwi, chociaż ma je przed sobą. Tom to dobry chłopiec, zbytnio jednak przejmuje się uczuciami innych i chcąc ich zadowolić, może postąpić niewłaściwie. W tej książce jest historia naszej rodziny, która będzie trwać dopóty, dopóki będzie miał ją kto opowiedzieć. Dlatego tobie ją przekazuję i nawet jeśli nie będę już żyć, nie pójdziemy w zapomnienie.

- A ojciec? Czemu on nie może zatrzymać książki? Usłyszałam, jak wciąga powietrze.

- On o niej nie wie - rzekła po chwili.

Stałam oniemiała, że żona może ukryć taki sekret przed własnym mężem, a podzielić się nim z córką. Odsunęła się, a panujące ciemności nie pozwalały mi dostrzec wyrazu jej twarzy. Głos miała stłumiony, jakby mówiła, przysłaniając usta rękami.

- Nigdy nie powiedziałam mu o książce, ponieważ opowiadając mi o swoim życiu, miał nadzieję zostawić je za sobą, zapomnieć i nigdy do niego nie wracać. Ale ja nie mogłam na to pozwolić. Zbyt wiele istnień ludzkich zostało poświęconych. Wiele krwi przelano, by ta historia została utrwalona na kruchych stronicach, a wszystko to na darmo, jeśli pójdzie w zapomnienie.

Ujęła moją rękę, pocałowała ją i położyła na książce.

- Dość pytań, Saro - powiedziała. - Odpowiedzi poznasz w odpowiednim czasie.

Złożyłam obietnicę, po czym razem zawińęłyśmy książkę w nasączoną tłuszczem skórę i zakopałyśmy u stóp wiązu, gołymi rękami grzebiąc w mokrej ziemi. Matka kazała mi dokładnie oznaczyć miejsce, bym mogła je odnaleźć, i nie rozmawiając więcej, wróciłyśmy do domu.

Wczesnym rankiem 31 maja przed dom zajechał wóz i usłyszeliśmy, jak kundel ujada, szarpiąc się na swoim łańcuchu, gdy John Ballard podchodził do drzwi. Wiedziałam, że ojciec przedłużył łańcuch i pies klapnął zębami, o włos mijając obcasy butów przybysza. Woźny podskoczył ze strachu i zaklął. Wszedł do domu i odczytał nakaz, a kiedy krępował matce ręce powrozem, ta patrzyła mu prosto w oczy. Nie płakała, nie błagała o trochę więcej czasu, popatrzyła tylko na każde z nas po kolei, po czym przywołała mnie do siebie. Przyłożyła palec do swojej piersi, a potem dotknęła nim mojej, tworząc łączącą nas niewidzialną nić porozumienia i wspólnoty. Nasze tajemnice zostaną dotrzymane. Hanna płakała i szarpała się, chcąc biec za wychodzącą matką, a ja tuliłam ją i kołysałam w rytm cichnącego z każdą chwilą skrzypienia kół wozu toczącego się drogą do Salem Village.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

WIELE LAT PÓŹNIEJ, kiedy byłam zameżna, a moje dzieci stały się dorosłe, mój drogi małżonek, John, wydał znaczną sumę pieniędzy, by urzędnik z Connecticut udał się do Salem i przepisał dokumenty z procesu mojej matki. Z upływem czasu duża ich część została zniszczona. Dokonali tego sami sędziowie lub ich rodziny z obawy, że nastroje ulegną zmianie i zwrócą się przeciwko nim. Te, które pozostały, opieczętowano i ukryto na dziesiątki lat, aż zapomniane trafiły na dno drewnianej szafy, w której przechowywano akty urodzenia i zgonu mieszkańców Salem Village.

Nie chciałam, ani nawet nie myślałam, by w ten sposób wracać do przeszłości, lecz którejs nocy, gdy nastał chłód jesieni i wszędzie unosiła się woń rozkładu, miałam sen. We śnie leżałam w łóżku obok męża, otoczona przez moich uspionych synów i córki, i ich synów i córki, mój duch jednak uleciał na skraj pola kukurydzy koło domu babki.

Była noc i na polu ścieliły się długie cienie, a ja stałam zasłuchana w szelest dojrzewającej kukurydzy. Straszydło okręciło się na swoim patyku wraz z wiatrem, jakby chciało na mnie spojrzeć, nie złowrogo, lecz w spokojnym oczekiwaniu. Księżyc w pełni otaczało srebrzyste halo, zapowiadające deszczowy poranek, na razie jednak niebo było błękitne, bez jednej chmurki. Na skórze czułam wilgotne, ciepłe powietrze, jak oddech dziecka. Strach kręcił się i wirował, wskazując raz północ, potem południe, wreszcie wschód i zachód, i wkrótce porastająca skraj pola kukurydza poruszyła się z drżącym szelestem. Spomiędzy niej wyłoniła się mała stopa obuta w znoszony, o wiele za duży pantofel z połyskującą w księżycowym blasku srebrną klamrą. Następnie ukazała się dłoń w czarnej rękawiczce, za nią ramię, małe skurczone ciało, wreszcie ciemna głowa z wielkimi jak spodki oczami, lśniącymi bielą na tle zieleni. Wtedy zrozumiałam, że dziwna

postać wcale nie nosiła rękawiczek; była to czarna ręka niewolnika kapitana Osgooda.

Popatrzył na mnie z wielkim smutkiem i przez chwilę spoglądaliśmy na siebie. Jego druga ręka wciąż kryła się w kukurydzy, a kiedy ją wysunął, trzymał w niej niedużą kosę, jaką się ścina paprocie, jest bowiem zbyt mała do żęcia siana. Jej krawędź pokrywała ciemna rdzawoczerwona plama. Chłopiec potrząsnął głową, jakby mówił: „Szkoda, że muszę to zrobić”, po czym rozsunał łodygi kukurydzy, tworząc ścieżkę, i wskazał na nią swoją kosą.

Bardzo się bałam i nie mogłam zrobić kroku. Wśród kukurydzy majaczyły ciemne kształty, sylwetki mężczyzn i kobiet, w dręczący sposób znajome, lecz niemożliwe do rozpoznania w cieniu. Mały czarny chłopiec otworzył usta i przemówił słodkim dzieciennym głosem:

- Saro, wejdź w kukurydzę.

- Ale dlaczego, dlaczego muszę tam wejść? - krzyknęłam, a mój głos rozległ się głośny i przenikliwy w nocnej ciszy.

I choć pragnęłam pozostać w miejscu, ruszyłam naprzód, jakby niesiona saniami, aż się zatrzymałam obok chłopca.

- Czy umiesz dochować sekretu, Saro? - szepnął mi do ucha, tym razem głosem Margaret.

Przytaknęłam skinieniem głowy, pamiętając wszystkie nasze sekrety, którymi się dzieliłyśmy w domu jej matki, a ona powiedziała, owiewając mi ucho gorącym oddechem:

- Nie możesz zebrać kukurydzy, póki w nią nie wejdiesz.

Obudziłam się z twarzą zalaną łzami, z rękami przyciśniętymi do serca. Przez ponad czterdzieści lat trzymałam przeszłość zamkniętą za niemożliwym do przebycia murem, który sama zbudowałam. Myślałam, że gdy go przekroczę, przeszłość wypali mi mózg i doprowadzi do szaleństwa.

Wtedy jednak, kiedy leżałam skąpana we własnym pocie, niespokojna i drżąca, zrozumiałam, że kukurydzy nie zbiera się, zaczynając od środka. Najlepiej zacząć od tej, która rośnie na skraju, i stopniowo posuwać się w głąb, pamiętając, by zawsze mieć słońce za plecami, gdyż wówczas jego promienie oświetlają każdą kolbę, ukazując, która jest nienaruszona i słodka, a która poczerniała i chora. W ten sam sposób przygotowuje się posiłek, który przywraca życie zagłodzonemu ciału.

Dalej przytaczam dokumenty z procesu czarownic, przywiezione z Salem Village. Gdy je otrzymałam, zaczęła wracać mi pamięć. A wraz z nią ozdrowienie.

CÓRKA HERETYCZKI

SPISANE Z PROTOKOŁÓW PROCESU MARTHY CARRIER,

MIESZKANKI ANDOVER, MASSACHUSETTS

1650 Do 1692

WEZWANIE

Niniejszym wzywamy przed sąd Marthę Carrier, Elizabeth Fosdick, Wilmota Reeda, Sarę Rice, Elizabeth How, Johna Aldena, Williama Proctora, Johna Flooda, Mary Toothaker oraz Arthura Abbota

Salem, 28 maja roku 1692

Dwaj obywatele Salem Village, gospodarze Joseph Houlton i John Walcott, wnoszą w imię Ich Królewskich Mości skargę przeciwko Marcie Carrier z Andover, żonie włościanina z tejże miejscowości, i jej podobnym. Wszystkich tych społem i każdego z nich kolejno skarżący czynią winnymi rzucania rozlicznych złych uroków na ciała Mary Walcott, Abigail Williams, Mercy Lewis, Ann Putnam oraz innych gospodarzy i obywateli Salem Village. Żądają zatem, by dopełniła się sprawiedliwość dla zadośćuczynienia pokrzywdzonym za uszczerbki na ciele i straty, jakie ponieśli.

JOSEPH HOULTON

JOHN WALCOTT

NAKAZ

Nakaz dla szeryfa Andover dotyczący pojmania Marthy Carrier.

Salem, 28 maja roku 1692

W imieniu Ich Królewskich Mości nakazujemy waszmości pojmać i osadzić Marthę Carrier, żonę Thomasa Camera z Andover, a następnie stawić ją przed nami w przyszły wtorek dnia 31 bieżącego miesiąca maja o godzinie dziesiątej przed południem bądź najrychlej jak to będzie możliwe po pojawieniu się w domu kapitana Nathaniela Ingersalla z Salem Village, pomawianego o praktykowanie wszelakich czarów...

JOHN HAWTHORNE JONATHAN CORWIN, ASYSTUJĄCY

ZEZNANIA

John Roger przeciwko Marcie Carrier

Świadcząc pod przysięgą John Roger z Billeriki, lat przeszło 51, wyznał, iż przed bodaj siedmiu laty zaistniał pewien spór między nim, składającym pod przysięgą niniejsze zeznanie, a Marthą Carrier, jego najbliższą sąsiadką. Oskarżona, jak to miała w zwyczaju, rzuciła wówczas kilka pogroźek i wkrótce potem zaginęły dwie tęgie maciory, dziennie krzątające się po obejściu świadka. Ten zaś, zeznając wciąż pod przysięgą, stwierdza, że którejs nocy znalazł w gospodarstwie Carrierów jedną z rzeczonych macior z obciętymi obydwoma uszami. Druga natomiast przepadła bez śladu i do dziś się nie odnalazła...

Samuel Preston przeciwko Marcie Carrier

Samuel Preston, lat 41, zeznał, co następuje... Pomiędzy mną a Marthą Carrier powstał pewnego razu spór i po niedługim czasie w nienaturalny sposób straciłem krowę, jako że ta, choć zdrowa, na gładkiej drodze przewróciła się na grzbiet kopytami do góry. To przytrafiło mi się w czerwcu, a już w następnym miesiącu, gdy ponownie doszło do sprzeczki

między mną a wymienioną Martha, ta nagle powiedziała, iż wie, że niedawno straciłem krowę i że niebawem stracę drugą. Co też się spełniło...

Benjamin Abbot przeciwko Marcie Carrier

Benjamin Abbot, lat przeszło 31, zeznał, że przed jakimiś dwunastoma miesiącami od minionego maja, kiedy to miasto Andover przyznało mu połąć ziemi graniczącą z gruntami zacnej pani Carrier, taż zacna pani Carrier zawrzała z tego powodu srogim gniewem. I powiedziała wówczas, że zanim upłynie siedem lat, Benjamin Abbot pożałuje tego, co zaszło, bo ona uczepli się go jak kleszcz psa i nawet doktor Prescott nie zdoła go wykurować...

Allen Toothaker przeciwko Marcie Carrier

W złożonym zeznaniu Allen Toothaker, lat ponad 22, oświadczył...

W ubiegłym roku, był to bodaj marzec, przyszło do sprzeczki pomiędzy mną a Richardem Carrierem i wówczas tenże Richard Carrier chwycił mnie za włosy i jednym szarpnięciem rzucił na ziemię, żeby mnie, leżącego, pobić. Błagałem, by dał mi wstać, ale gdy udało mi się podnieść i gdy spróbowałem go odepchnąć, nagle coś znowu zważyło mnie z nóg i ległem sztywno na plecach, niezdolny poruszyć ręką ni nogą...

Innym razem ona, to jest Martha Carrier, zaklaskała mi w dłonie przed oczyma i już nazajutrz, czy jakiś dzień później, straciłem trzyletniego wieprzka, po nim roczniaka, a jeszcze po nim krowę. Nie znajduję nijakich powodów zguby tych zwierząt, toteż stale nęka mnie myśl, że sprowadziła ją moja ciotka i jej złorzeczenia...

Phoebe Chandler przeciwko Marcie Carrier

Zeznająca z kolei Phoebe Chandler, lat przeszło 12, opowiedziała, co zaszło jakieś dwie niedziele przed przewiezieniem Marthy Carrier do Salem, gdzie miała zostać

poddana przesłuchaniu. Było to w szabat, w domu modlitwy. Martha Carrier złapała mnie, składającą dziś tutaj zeznanie, za ramię, potrząsnęła mną i zapytała, gdzie ja mieszkam, na co jednak nic jej nie odpowiedziałam (jako że musiała mnie znać, wszak od dłuższego czasu ma dom nieopodal domu mojego ojca, po drugiej stronie drogi)... Zaś w dniu, w którym Martha Carrier została uwięziona, zdarzyło się, że moja matka wysłała mnie z piwem dla naszych pracowników, i wtedy gdy podeszłam do ogrodzenia, dobiegł mnie głos (zrazu wzięłam go za dobrze mi przecie znany głos Marthy Carrier), ale wyjrzawszy za żywopłot, nie zobaczyłam żywego ducha, tylko ów głos odezwał się ponownie i zapytał, co tam robię i dokąd idę. Przeraziłam się straszliwie...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Maj - lipiec 1692

TAK OTO WTEDY rozpoczął się proces mojej matki.

Richard, który obserwował jej aresztowanie ze stryszku w stodole, szedł pieszo za woźnym i jego wozem przez kilka mil na północ Boston Way Road, potem na południe Salem Road. Ranek był jeszcze wczesny, gdy jednak wóz pokonywał swoją drogę, zebrała się mała grupka ludzi, by popatrzeć na matkę. Nikt się nie odezwał. Ani jeden człowiek nie rzucił przekleństwa, ostrzeżenia czy choćby błagania o litość. Zanim dotarli do Miller's Meadow, kobiety i mężczyźni wychodzili ze swoich domostw lub przerywali pracę w polu, by popatrzeć, a potem móc się chwalić sąsiadom, że widzieli czarownicę z Andover.

Dzień był ciepły, i woźny, będący otyłym człkiem, co chwilę pociągał łyk wody ze swojego bukłaka, ani razu jednak nie zapytał, czy jego więźniarka nie odczuwa pragnienia. Richard nie pomyślał, aby zabrać ze sobą bukłak z wodą, i gdy wóz przejeżdżał przez most na Mosquito Brook, nabrał wody ze strumienia do kapelusza i podbiegł, by dać matce się napić. John Ballard warknął i pogroził Richardowi pięścią, mówiąc, że jeśli jeszcze raz zbliży się do więźniarki, spęta mu ręce i wrzuci na wóz. Richard szedł za wozem przez całe siedemnaście mil, aż dotarli do opustoszałych, pogrążonych w lęku ulic Salem Village.

Z relacji Richarda poznaliśmy jedynie zarys wydarzeń. Później wszyscy na własne oczy mieliśmy ujrzeć miejsce, w którym zgromadzili się sędziowie. Dom modlitwy w Salem Village był kwadratowym budynkiem na kamiennej podmurówce, z wąskimi drzwiami po trzech stronach, z których wszystkie stały otworem, by bez trudu mogli wchodzić przez nie oskarżeni, ich ofiary, sąsiedzi zeznający

pod przysięgą i wszelacy ciekawscy mieszkańcy przybyli z miast i wsi z Essen i hrabstw Middlesex.

Matkę ściągnięto z wozu i wprowadzono do domu modlitwy, z wciąż skrępowanymi rękami, i chociaż Richard próbował wejść za nią, woźny ostrzegł go, by został na podwórcu i nie przeszkadzał sędziom. Richard stał za plecami cisnących się gapiów, ale jako że miał dobrze ponad sześć stóp, wyraźnie widział całe przesłuchanie. Ledwo matka weszła, sędziowie skinęli na woźnego, by powiódł ją przed oblicza trzech mężczyzn, których nazwiska dobrze były znane w Salem i poza jego granicami: Bartholomew Gedneya, Johna Hathorne'a i Jonathana Corwina. John Ballard podpisał pokwitowanie, zdjął więzy krępujące ręce matki, uchylił kapelusza przed sędziami i pozostawił matkę do dyspozycji sądu.

Po jej lewej stronie, oddzielone przez skuty łańcuchami ludzi, stały ciotka Mary i Margaret. Matka próbowała do nich przemówić, lecz nakazano jej milczenie. W pierwszych rzędach ławek siedziała grupa młodych kobiet i dziewcząt obejmujących się ramionami, rozmawiających ze sobą przyciszonymi głosami, przyglądających się z zaciekawieniem grupie oskarżonych. Gdy sędziowie kazali któremuś z oskarżonych stanąć przed nimi, dziewczęta zaczynały się miotać i krzyczeć lub padały na ziemię i wiły się niczym węże zrzucające skórę. Richard powiedział, że matka nieugiętym wzrokiem wpatrywała się w sędziów, ignorując dziewczęta, jak ignoruje się napad złości u dziecka.

W końcu wywołano Marthę Carrier i Richard powiedział, że jedna z dziewcząt, Abigail Williams, natychmiast się zerwała i wskazała palcem, jednak nie matkę, ale ciotkę Mary. Gdy matka postąpiła naprzód, dziewczyna zrozumiała swój błąd i zmieniła kierunek, w którym wycelowała swój palec, niczym wiatrowskaz pchnięty niespodziewanym podmuchem.

Wtedy wśród pozostałych dziewcząt nastąpiła gorączkowa wrzawa i upłynęło kilka minut, zanim względny spokój pozwolił sędziom przemówić. Jeden z nich zwrócił się do oskarżycielek.

- Abigail Williams - odezwał się do wskazującej palcem. - Kto cię krzywdzi?

- Zaczyna pani Carrier z Andover - odrzekła Abigail, orząc sobie twarz paznokciami.

Wówczas sędzia zwrócił się do kolejnej dziewczyny.

- Elizabeth Hubbard, kto cię krzywdzi?

- Zaczyna pani Carrier - powiedziała Elizabeth, łapiąc się rękami za brzuch.

- Susanna Sheldon, kto cię krzywdzi? - padło kolejne pytanie.

- Zaczyna pani Carrier - odparła Susanna, obracając się ku widzom, jakby od nich oczekiwała pomocy w walce z jej dręczycielką. - Kasa mnie i szczypie, i grozi, że poderżnie mi gardło, jeśli nie podpiszę jej księgi.

Podniósł się wielki krzyk, tym razem wśród zebranych.

- Szatańska księga... - mówili jeden do drugiego - ...kazała im podpisywać szatańską księgę.

W tej samej chwili dziewczyna o imieniu Mary zerwała się, krzycząc, że matka również jej przyniosła szatańską księgę i dręczyła ją we śnie. Sędziowie czekali cierpliwie, aż w sali zapanuje spokój, po czym zwrócili oczy na matkę.

- Co masz do powiedzenia w sprawie postawionych ci zarzutów? - zapytał główny sędzia matkę.

Głos matki, donośny i czysty, dotarł do najdalszych zakątków pomieszczenia.

- Nie popełniłam żadnego z zarzucanych mi czynów.

Wtedy jedna z dziewcząt zerwała się, wskazując na miejsce na ścianie ponad głowami sędziów.

- Ona patrzy na czarnego człowieka - wrzasnęła. Druga krzyknęła, że ktoś wbił jej igłę w biodro.

Najniższy z sędziów, zerkając niespokojnie przez ramię, zwrócił się do matki.

- Co to za czarny człowiek?

- Nikogo takiego nie znam - odparł matka, lecz jej głos utonął w powodzi wrzasków dwóch dziewcząt.

- Jest tam, jest tam. Widzę, jak szepcze jej do ucha...

- Och, znowu mnie kłuje.

Matka skrzyżowała ramiona na piersi, w dalszym ciągu nie zwracając uwagi na oszalałe dziewczęta.

- Jakiego czarnego człowieka tam widzisz? - zapytał ponownie główny sędzia.

- Jedyni czarni ludzie to wasze moście - rzekła matka chłodno.

W zapadłej nagle ciszy rozległ się krótki złośliwy chichot. Główny sędzia zamrugał oczami, jakby poraziło go jasne światło, i marszcząc brew, wskazał na dziewczęta.

- Czy możesz na nie spojrzeć i nie powalić ich?

- Jeżeli na nie spojrzę, będą udawały - rzekła matka.

Sędzia jednak ponownie dźgnął palcem w kierunku dziewcząt, a kiedy matka odwróciła ku nim głowę, przewracały się na podłogę, wrzeszcząc i czepiając się siebie nawzajem, jęcząc, jakby je ćwiartowano. Sędziowie wyczuli zimny powiew hysterii i podniósł się trzeci sędzia, dotąd zachowujący milczenie.

- Sama widzisz, że kiedy na nie spoglądasz, przewracają się. Matka zbliżyła się do sędziów i przemówiła głośno, by każdy mógł usłyszeć:

- To fałszerstwo. Szatan to kłamstwo. Odkąd tu weszłam, nie patrzyłam na nikogo poza wami.

Wtedy dziewczyna o imieniu Susanna popadła w jakiś trans i z ciałem sztywnym i drżącym od cierpień duszy wskazała na krokwie pod sufitem.

- Czy to nie dziwne, że zamordowałaś trzynaście osób? - krzyknęła. Pozostałe również wzniosły oczy na sufit i wspinając się jedna na drugą, próbowały się ukryć pod ławkami.

- Patrzcie, tam jest trzynaście duchów... - wrzeszczały. - Widzicie, jak wskazują na zacną panią Carrier? Zabiła trzynaście osób w Andover...

Mężczyźni i kobiety zgromadzeni w domu modlitwy, wszyscy jak jeden mąż, popatrzyli w górę i jak jedno ciało zakołysali się, jakby zmierzając ku drzwiom. Richard usłyszał, jak stojąca obok niego kobieta zwróciła się do drugiej:

- To prawda. Zeszłej zimy zabiła ospą trzynaście osób w Andover. Podobno przywlokła ją z Billeriki. Dużo się o tym mówiło.

Matka zrobiła kilka zdecydowanych kroków w stronę dziewcząt, co je tak zaskoczyło, że na chwilę zamilkły. Matka odwróciła się ku sędziom.

- Wstyd to doprawdy, że dajecie posłuch tym młodym dziewczętom, które bez wątpienia postradały rozum.

Dziewczęta zawyły z odzyskanym wigorem.

- Czyż ich nie widzicie? - wrzeszczały. - Nie widzicie duchów? Sędziowie poruszyli się zaniepokojeni, odsuwając się wraz z krzesłami, jak ludzie, którzy siedząc pod drzewem, chcą uniknąć spadających z nich ptasich odchodów. Niektórzy mężczyźni umknęli z domu modlitwy z obawy o życie, a kobiety w ławkach zasłabły i trzeba było im pomóc wstać. Uniesione ręce wskazywały na cienie czające się pod belkami stropu, a głowy chwiały się na zeszywniałych ze strachu karkach. Nawet Richard się poruszył, by poszukać wzrokiem duchów kryjących się między krokwiami.

- Czy ich nie widzisz? - niemal błagalnie spytał matkę najniższy z sędziów.

- Nawet jeżeli przemówię, i tak mi nie uwierzycie - odrzekła matka i wówczas Richard pojął, że możliwe jest tylko jedno zakończenie.

- Widzisz je... - wrzasnęły do niej dziewczęta jednym głosem. - Widzisz...

Matka wskazała na nie z mocą, niczym sam sędzia.

- Kłamiecie. Niesłusznie mnie oskarżacie.

Dziewczęta zaczęły miotać się z taką siłą, że główny sędzia wezwał szeryfa Salem, by przeprowadził próbę dotyku.

Szeryf ujął rękę matki, a dziewczyna o imieniu Mercy Lewis wystąpiła i ledwo jej dotknęła, uspokoiła się w jednej chwili. Wówczas sędziowie nakazali związać matce ręce i nogi, a gdy krępowano ją grubym sznurem, dziewczyna o imieniu Mary wyznała sędziom, że zacna pani Carrier nawiedzając ją w snach, wyznała, że jest czarownicą od czterdziestu lat. Słyszając to, matka, którą właśnie wywlekano z budynku, krzyknęła:

- A to dobre. Oznaczałoby, że stałam się czarownicą, mając zaledwie dwa lata. Czy myślicie, że latałam wtedy na grzechotce?

Gdy matkę zabrano sprzed oblicza sądu, dziewczęta się uspokoiły, dopóki nie wprowadzono kolejnego oskarżonego na przesłuchanie. Richard widział, jak szeryf wepchnął matkę na inny wóz i zawrócił na południe, ku miejskiemu więzieniu w Salem. Matka leżała na gołych deskach, bez źdźbła słomy, kiedy jednak Richard próbował pójść za nią, pokręciła głową, wobec czego nie pozostawało mu nic innego, jak wyruszyć w powrotną drogę do Andover. Do domu dotarł przed kolacją, a kiedy opowiedział nam wszystko, czego był świadkiem, siedzieliśmy w milczeniu w ukośnym świetle zapadającego zmierzchu. Zanim zapadły całkowite ciemności, wyszłam z

domu i chociaż ojciec wołał za mną, nie odpowiedziałam, lecz pobiegłam najszybciej jak umiałam do Chandler's Inn. Chciałam podpalić ich wędzarnię lub obciąć wszystkie włosy Phoebe, gdy będzie pogrążona we śnie. Niestety, nie miałam niczego na podpałkę ani też żadnego ostrego narzędzia, którym mogłabym ściąć jej włosy. Kiedy się zbliżyłam do podwórza gospody, ujrzałam trzech mężczyzn kończących pracę przy niewielkiej dobudówce, a nieco dalej zmierzającą ku nim Phoebe Chandler z posiłkiem i piwem.

Szybko przeszłam na drugą stronę drogi i kryjąc się w wieczornym cieniu, wślizgnęłam się pomiędzy wysokie sosny, z trzech stron okalające gospodę. Poczekałam, aż mężczyźni spożyją kolację, spakują narzędzia i odejdą, zostawiając Phoebe zbierającą naczynia po ich posiłku. Jestem przekonana, że mogłabym podejść i nadepnąć jej na stopy, a ona by mnie nie zauważyła, tak kiepski miała wzrok, a księżyc jeszcze nie wzeszedł. Zostałam jednak ukryta między drzewami i zawołałam do niej niskim, groźnym głosem:

- Dziewczynko, co ty tu robisz?

Wrzasnęła z przerażenia i upuściła naczynia. Stała, kręcąc się i rozglądając, szukając tego, kto do niej przemówił. Gdy w końcu się schyliła, by pozbierać rozrzucone talerze i miski, odezwałam się znowu:

- Dziewczynko, dokąd idziesz?

Znowu wrzasnęła i łapiąc co popadnie, pognęła do gospody.

Ścigałam ją, kryjąc się w cieniu, dysząc i sapiąc niby gotowy na wszystko, wściekle wygłodniały wilk. Phoebe zatrzymała się dopiero, gdy dopadła kuchennych drzwi. Patrzyłam, jak mociuje się z nimi bezmyślnie, usiłując je otworzyć. W panice zapomniała że otwierają się na zewnątrz. Stałam i śmiałam się bezgłośnie, patrząc, jak wali w drzwi, krzyczy i błaga, by ją wpuścić. Wreszcie jej matka, lękając się

morderczego ataku, od środka pchnęła drzwi z całej siły, powalając Phoebe na ziemię. Phoebe krzyczała i płakała, chowając twarz w obfitym biuście matki, bełkocząc, że jakiś zły duch gonił ją po podwórzu. Wracając do domu, w pierwszej chwili poczułam mściwe zadowolenie. Jednakże niczym wylękniony mul podążający moim śladem, szybko dopadły mnie zgoła inne uczucia. Nawet gdybym utopiła Phoebe w studni, nie zwróciłoby to wolności mojej matce, i żadne dziecinne psikusy nie zmienią wyroku sądu.

Kiedy w końcu dotarłam do domu, noc była w pełni, nikt jednak jeszcze nie spał. Chociaż ojciec długo na mnie spoglądał, nie zadawał żadnych pytań. Na stole wciąż wały się wyschłe kawałki chleba i mięsa, ale nie miałam siły ich sprzątnąć i zostawiłam wszystko tak, jak było. Wzięłam Hannę na ręce i zabrałam ze sobą do łóżka, przynajmniej ten jeden raz ciesząc się, gdy mocno objęła mnie za szyję. Mijały godziny, a sen nie nadchodził. Stożące mi przed oczami obrazy z przesłuchania matki z każdą upływającą chwilą stawały się coraz bardziej groteskowe i złowieszcze. Myślałam o wszystkim, co mi powiedziała ubiegłej nocy, i zastanawiałam się, ile czasu minie, zanim przyjdą po nas wszystkich. Myślałam o książce matki i opisanych w niej krwawych uczynkach, i zeznaniach dziewcząt, jakoby matka kazała im podpisywać szatańską księgę. Aż do rana to zasypiałam, to się budziłam, płonąc niczym w gorączce, i zastanawiałam się, czy książka zakopana u stóp wiązu wypełnia powietrze wonią płonącego haszyszu i siarki.

NADSZEDŁ CZERWIEC, ziarno spoczęło w ziemi. Zostało postanowione, że ojciec i Richard będą na zmianę chodzić codziennie do Salem, by zaność jedzenie matce oczekującej w więzieniu na proces. Nie mogliśmy narażać konia na ochwacenie i zmuszać go do takich wypraw, poza tym ojciec swoim długim krokiem pokonywał drogę szybciej niż każdy

idący stępa wałach. Podążając skrótem na południe przez Falls Woods, trzeba było przejść dwanaście mil tam i z powrotem. Czasami Robert Russell używał nam swego konia i wtedy zawoziliśmy na wozie dość jedzenia, by nakarmić nie tylko matkę, ale również tych więźniów, którzy nie mieli rodzin mogących im pomóc. Raz w tygodniu ojciec zanosił matce czystą koszulę i przynosił brudną, którą miała na sobie przez siedem dni. Zabierał też masę na opuchniętą i poranioną przez żelazne kajdany skórę. Gdy po raz pierwszy przyniósł do domu brudną bieliznę matki, roilo się w niej od wszy, a jej brzег był brudny od zaschniętych odchodów, matki bądź kogoś innego. Wciąż miała comiesięczne krwawienia i na koszuli widniała wielka rdzawobrazowa plama. Dwukrotnie wygotowałam koszulę w ługu, by wybić wszystkie insekty, i nasypałam dość soli do gara, aby ją wybielić, niestety, plama wciąż była widoczna. Zawinęłam koszulę, by ukryć zabrudzenie i przełożyłam ją lawendą, żeby w więzieniu matka poczuła choć namiastkę domowego zapachu.

W pierwszych dniach ojciec musiał zanieść kilka monet szeryfowi Salem jako zapłatę za kajdany matki. Każdy zakuty w łańcuchy miał obowiązek płacić za to George'owi Corwinowi, a także za wszelakie jedzenie przynoszone do więzienia przez jego żonę. Słyszeliśmy, że po aresztowaniu Johna Proctora i jego żony żadne nie miało monet, wobec czego szeryf zabrał z ich domu wszystko, co dało się wynieść, osuszył beczkę z piwa, by wywieźć drewniany stojak, wyskrobał nawet jedzenie z kociołka zostawione dla dzieci Proctorów, osieroconych teraz, gdy rodzice trafili do więzienia.

Nasze dni płynęły jednostajnym, z góry ustalonym rytmem, a każde z nas wywiązywało się ze swoich zadań najlepiej, jak umiało. Byliśmy jak pies, który choć stracił przednią łapę, wciąż kuśtyka, by polować, jeść, przemieszczać

się z miejsca na miejsce. Przypominaliśmy rozgwiadę dźgniętą w sam środek ciała, której odnóża wiją się i pełzną, tyle że każde w innym kierunku, jakby przestała istnieć jako całość z chwilą, gdy jej centralna część została okaleczona.

Dzieliliśmy się pracą, której przybyło w dwójnasób z powodu nieobecności matki, lecz doprowadzaliśmy wszystko do końca, jakbyśmy w swoich staraniach byli całkowicie samotni. Ani ojciec, ani Richard słowem nie napomykali o tym, co widzieli i słyszeli w więzieniu w Salem, wobec czego reszta z nas musiała się domyślać wszystkiego na podstawie słów tych nielicznych w Andover, którzy nie bali się do nas zbliżyć: rodziny Dane'ów i Russellów. Wkrótce ich powściągliwość udzieliła się nam wszystkim i ucichły słowne przepychanki, żarty, pogaduszki. Coraz rzadziej uskarżaliśmy się na coś i cisza spowiła nasze obejście niczym jednostajna mżawka. Zawsze zamknięty w sobie Richard stał się jeszcze bardziej ponury, pogrążony w gorzkim, nieprzejednanym milczeniu, a wszelkie próby nawiązania z nim rozmowy kończyły się gniewnym szturchnięciem lub ciosem na odlew.

Andrew, skołowany i przybity nieobecnością matki, jęczał całymi godzinami, aż w końcu zrozumiał, że istnieje związek między jego lamentami a pięścią Richarda lądującą na jego głowie. Richard pracował chyba najciężej z nas wszystkich, ciągle bowiem biegał między polem, stodołą a kuchnią, by mi pomóc przesunąć polano w palenisku lub uwolnić mnie od płaczącej mi się pod nogami Hanny. Hanna, którą matka nigdy po naszym powrocie nie zajmowała się tak jak dawniej, po jej aresztowaniu stała się jeszcze bardziej płaczliwa i lękliwa. Najmniejsze zamieszanie przyprawiało ją o rozpacz i wtedy czepiała się mnie niczym bluszcz muru. Ja sama przez ciągłe zgryzoty i zmęczenie łatwo wpadałam w złość i nieraz szczypałam mocno moją siostrę, zostawiając jej na skórze siniaki. W chwilach gdy jej zawodzenie stawało się nie do

zniesienia, pozwalałam jej się pobawić swoją lalką i wkrótce uspokajała się i bacznie mi się przyglądała. Kiedy indziej dawałam jej garść czerwcowych truskawek, drobnych i słodkich, i patrzyłam, jak wyciera lepkie rączki w spódnicę, zostawiając na niej plamy jak z krwi.

Wielokrotnie nocą, gdy sen nie nadchodził i pogrążałam się w myślach, solennie sobie przyrzekałam, że porozmawiam z braćmi i ostrzegę ich, iż w każdej chwili może się zjawić szeryf, by i nas zabrać do więzienia. Noc w noc ponawiałam postanowienie, że nazajutrz, zgodnie z obietnicą złożoną matce, każę im przysiąc, że powiedzą sędziom wszystko, co będą chcieli usłyszeć, i w ten sposób ocaleją. Dni jednak mijały, a ja nie mogłam się zmusić, by im o tym powiedzieć, zupełnie jakby moje milczenie miało zapobiec temu, co może się zdarzyć. Zaczęłam wierzyć, że matka, obstając przy swej niewinności, w końcu odzyska wolność.

Któregoś dnia, kilka tygodni po aresztowaniu matki, w końcu zdobyłam się na rozmowę z Richardem, gdy wspólnie usiłowaliśmy wydobyć utopione w studni wiadro. Sznur był stary i się zerwał. Richard pomagał sobie przywiązaniem do liny hakiem, a ja przechyłona przez krawędź studni przyświecałam mu latarnią. Studnię wykopał jeszcze mój dziadek i kamienie były śliskie od zielono - czarnych porostów, popękane od wrastających w nie korzeni drzew. Poziom wody był niski, gdyż Blanchard's Pond, zaopatrujący w wodę okoliczne studnie, skurczył się z powodu panujących upałów.

Dzień był szary od nisko płynących chmur, więc się śpieszyliśmy, aby wydostać wiadro, zanim zacznie padać. Panowała cisza, jak to zwykle przed burzą, powietrze było gęste i lepkie, a blask latarni oświetlającej nam twarze od dołu nadawał naszej skórze upiorny, zielonkawy odcień. Richard niecierpliwie szarpał moją ręką, obracając latarnią na

wszystkie strony, by lepiej widzieć unoszące się na powierzchni wody wiadro. Zobaczyłam z bliska jego twarz i spostrzegłam, że nie ogolił się rano brzytwą ojca i brodę porastały mu ciemne włoski zarostu.

- Myślę, że matka niedługo wróci do domu - powiedziałam. Richard spojrział na mnie dziwnie, ale się nie odezwał. Nie poddawałam się.

- Nie ma bardziej upartego człowieka od matki, kiedy coś sobie postanowi - odezwałam się po chwili. - Zanudzi ich swoim gadaniem.

Richard zanurzał i wyciągał hak bez specjalnego zapachu, jednakże po moich słowach jego ruchy stały się bardziej gwałtowne.

- Nie wiesz, o czym mówisz - rzekł cicho, jakby do siebie. Oczekiwałam z jego strony jakiejś otuchy, więc ta rzucona niedbale

uwaga zabolęła mnie.

- Richardzie, nie wiesz wszystkiego. Wiem o paru sprawach, matka mi powiedziała...

- Nic nie wiesz - krzyknął głośno, jakbym stała nie obok niego, lecz na drugim końcu pola, owiewając mi przy tym twarz gorącym oddechem.

Cofnęliśmy się od studni i staliśmy naprzeciwko siebie rozzłoszczeni. Byłam wściekła na niego za jego arogancję i nieczułość, od złości jednak silniejszy był strach. Twarz Richarda skąpana w słabym świetle latarni i szorstkie kamienie za jego głową sprawiały, że wyglądał, jakby tkwił zamknięty w więziennej celi. Chwyciłam go mocno za ramię.

- Powiesili Bridget Bishop - powiedział, odpychając mnie. Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, a on nachylił się bliżej. - Powiesili Bridget Bishop jako czarownicę. Sąd w Salem ją skazał i powieźli ją wozem na Gallow's Hill, gdzie zawisła na sznurze.

- Kiedy? - zapytałam, a w głowie huczały mi pytania, których bałam się zadać.

- W zeszły piątek. Dziesiątego czerwca.

- Ale skoro ją powiesili...

- Chcesz powiedzieć, że skoro ją powiesili, musiała być czarownicą. Była złośliwą, wredną babą o ciętym języku, która prowadziła gospodę i w piwnicy trzymała lalki. Ale została oskarżona, ponieważ one powiedziały, że jest czarownicą. Stała przed sądem i została skazana, ponieważ one powiedziały, że jest czarownicą. I powiesili ją, ponieważ one powiedziały, że jest czarownicą. - Richard ścisnął mnie za ramiona i przy każdym słowie potrząsał mną, jakbym była jakąś tykwą. Nagle puścił mnie i osunął się przy studni, chowając głowę w rękach.

- Nie wiesz, jak to jest. To są tylko... dziewczynki. Ale krzyczą, co chwilę wskazując palcem to jednego, to drugiego. A oni ich słuchają, wierzą im i kolejny mężczyzna albo kobieta trafia do więzienia w Salem. A każdy kto im się sprzeciwi, natychmiast jest oskarżany o czary. Saro, byłem na procesach. Widziałem, jak skazują Bridget Bishop, i to było jak istne szaleństwo, kiedy stałem w domu modlitwy i widziałem, jak oczy wszystkich robią się dzikie.

- A co z matką? Ona nie jest czarownicą. Muszą jej uwierzyć - powiedziałam, dygocząc na całym ciele.

- Zaczyna pani Bishop twierdziła, że jest niewinna, nawet kiedy zakładali jej pętlę na szyję. - Nagle musiało mu się chyba zrobić żal. - Teraz w Salem panuje cisza. Nikogo nowego nie aresztowali. Wszyscy myślą o ataku Indian na fort w Wells. Musimy wierzyć, że któremuś z sędziów wróci rozum przed następnym posiedzeniem.

W tej chwili zaczął padać delikatny deszczyk.

- Teraz przyjdą po nas - rzekłam, gdy staliśmy moknąc. - Matka powiedziała, że tak się stanie. Powiedziała, że mamy

im powiedzieć wszystko, co chcą usłyszeć, nawet gdybyśmy mieli wszyscy przyznać się do uprawiania czarów. Jeśli tak zrobimy, matka powiedziała, że wtedy puszcza nas wolno.

Coś poruszyło się za moimi plecami i gwałtownie obróciłam głowę. Ujrzałam kulącego się w deszczu Toma, z pobladłą twarzą, sinymi ustami, z trudem łapiącego powietrze. Nie wiem, jak długo przysłuchiwał się naszej rozmowie, ale musiało to trwać jakiś czas, bo nie byłby bardziej przerażony, nawet gdybym zacisnęła mu palce na szyi. Okręcił się na pięcie i pobiegł w pole, znikając wśród całkiem już dorodnych łodyg kukurydzy, miękkich i delikatnych przez deszcz i panujące ciepło.

Po ZAJŚCIU przy studni każdy z moich braci zaczął się zachowywać inaczej. Wybuch Richarda musiał sprawić mu ulgę, bo choć może nie uspokoił się całkowicie, nie był przynajmniej tak spięty. Z początku nie chciał mi nic powiedzieć o warunkach panujących w więzieniu, ponieważ matka mu zabroniła. Tak długo jednak go nękałam, aż w końcu opisał codzienne życie więźniów, przepełnione celem, brudem i strachem, wkrótce zaczął też zanosić do Salem skrawki papieru, na których pisałam do matki liściki. Prawie cały dzień męczyłam się, by naskrobać kilka słów: „Kohana matko. Wszyscy za tobą tensknimy. Jesteśmy czyści, oprócz Hanny i dobrze jemy, bo mamy dość miensa”. Matka odpisała mi na dole mojego liściku kawałkiem węgielka. „Najdroższa Saro. Musisz pilniej ćwiczyć pisanie. Twoja, zawsze oddana”.

Wpatrywałam się w wiadomość, zawiedziona jej zwięzłością, doszukując się w niej choć śladu uczucia. Przez myśl mi nie przeszło, ile musiało kosztować matkę, by w ciemnej celi znaleźć węgielek, a potem napisać nim litery, których prawie nie widziała. Na papierze widniały smugi w miejscu, w którym go dotykała, i nieraz później żałowałam, że nie udało mi się go zachować. Odbite na papierze delikatne

ślady jej palców, brudnych od niewoli, były jedynym prawdziwym przesłaniem dla mnie.

To, czego Tom się dowiedział przy studni, przytłaczało go niczym głaz i wkrótce zaczął przypominać wyschniętą, pomarszczoną gruszkę. Najgorsze były jego oczy, lśniło w nim błaganie chłopca, który tonie. Codziennie się zmuszał do pracy, któregoś jednak dnia, gdy ramiona oplatał mu skórzany pas przywiązany do pniaka, nagle zrzucił całą tę uprzęż i bez słowa odszedł. Wspiął się na strych i tam zaległ na swojej pryczy. Nie reagował na wołanie ojca, nie zszedł na kolację, a gdy weszłam na górę, by zobaczyć, czy nie ma gorączki, i postraszyć go, nawet na mnie nie spojrzął ani nie odezwał się słowem. Następnego ranka po śniadaniu ojciec wspiął się na strych, spędził tam z Tomem jakiś czas, po czym obaj zeszli na dół. I chociaż Tom nadal chodził jak błędny, przynajmniej jadł, pracował i zagadnięty odpowiadał, dzięki czemu pozostał wśród żywych.

W czwartek 16 czerwca wuj został znaleziony martwy w celi w Bostonie. Jego śmierć uznano za podejrzaną, zarządzono więc dochodzenie. Przeprowadził je królewski koroner z Suffolk County. Piętnastu mężczyzn, którzy dokonali oględzin ciała i podpisali zeznanie koronera, zgodnie stwierdziło, że śmierć wuja nastąpiła z przyczyn naturalnych. Dowiedzieliśmy się o wszystkim od Roberta Russella, gdy przyszedł do nas w niedzielę podczas świątecznej wieczerzy.

Chociaż od czasu aresztowania matki przestaliśmy chodzić do domu modlitwy, starałam się przynajmniej dochować ustalonej przez nią tradycji i tego dnia podawać pieczone mięso. Zawsze je trochę przypaliłam, a chleb był twardy i niezbyt smaczny, nikt jednak się nie uskarżał, gdy w ciszy siedzieliśmy w pokoju dziennym, a wieczorny wietrzyk wpadał przez otwarte drzwi, osuszając pot na naszych ramionach i karkach. Na widok kroczącego przez podwórze

Roberta z ponurą twarzą, złapałam się ze strachu za głowę, przekonana, że coś się stało z matką. Kiedy jednak oznajmił, że wuj zmarł, ojciec nie wydawał się zaskoczony, lecz tylko popatrzył na Richarda i kiwnął głową, jakby łączył ich jakiś tajemny pakt. Robert wraz z ojcem wyszli przed dom, gdzie jakiś czas rozmawiali. Richard siedział z głową zwróconą w stronę drzwi, wpatrując się w stojących na podwórzu mężczyzn, jakby ujrzał kłepę na polanie. Oddech miał szybki i płytki. Kiedy się odwrócił, napotkał mój wzrok.

Oczy miałam pełne łez.

- Nie płacz. Nie wolno ci opłakiwać tego człowieka - powiedział z wściekłością.

Zwalczyłam łzy i położyłam się do łóżka, naciągając kołdrę na głowę. Nie było tajemnicą, że wuj w więzieniu opowiadał niestworzone historie o matce, mając nadzieję na uratowanie własnej skóry. Może też łudził się, że dostanie w nagrodę farmę po babce, gdyby jemu udało się odzyskać wolność, a wszyscy Carrierowie trafiliby do więzienia. Mówił nawet, że zjawa matki nawiedzała ciotkę Mary i torturowała ją straszliwymi snami, że zabiją ją Indianie, chyba że wpisze swoje imię do szatańskiej księgi. Wszyscy wiedzieliśmy o panicznym strachu ciotki przed atakami Indian i składanie tego na karb czarów świadczyło o okrucieństwie i niesprawiedliwości. Wuj twierdził, że ciotka dobrowolnie poświadczy, iż nawiedzały ją zjawy, trzeba tylko jej na to pozwolić. Myślałam o tym, że w zasadzie nie kocham już wuja. O wiele bardziej litowałam się nad ciotką i Margaret, które za sprawą jego knowań znalazły się w więzieniu. Ale i tak płakałam po nim, cierpiąc tym bardziej, wiedziałam bowiem, że ojciec dopiero co był w Bostonie, gdzie go odwiedził w celi.

Wczesnym rankiem w środę 15 czerwca, dzień przed śmiercią wuja, u naszych drzwi zjawił się obcy człowiek i

powiedział ojcu, że wuj życzy sobie go zobaczyć najszybciej jak to możliwe. Człowiek ten był lekarzem wracającym do Haverhill z Bostonu, gdzie powodowany dobrocią leczył przetrzymywanych w tamtejszym więzieniu. Powiedział ojcu, że wuj jest w zasadzie zdrowy na ciele, ale cierpi w sercu i pragnie, aby ojciec do niego przyjechał. Wręczył ojcu zapieczętowany list i odszedł, nim zdążyliśmy poczęstować go jakimś jadłem, czy choćby napitkiem. Ojciec przeczytał list, po czym wrzucił go do paleniska. Zanim papier obrócił się w popiół, ojciec wziął swój płaszcz i kapelusz i udał się na farmę Roberta, by pożyczyć konia.

Gdy zdążając na północ, do Bostonu, mijał nasz dom, Richard biegł za nim i nie przestał, póki ojciec nie zsiadł z konia i nie odbył z moim bratem długiej rozmowy. Wkrótce Richard wrócił do domu, kiedy jednak chciałam dowiedzieć się czegoś od niego, rzekł jedynie, że ojciec pojechał odwiedzić wuja. I chociaż więcej nie wspomniał o tym ani słowem, wzrok miał twardy, niemal triumfujący. Ojca nie było przez cały dzień i jeszcze następny. Wrócił do nas dopiero w czwartek wieczorem, 16 czerwca. W dniu, w którym wuj umarł.

Kiedy leżałam, niemal dusząc się po kołdrą, by ukryć przed światem łzy, myślałam o czymś, co powiedziała kiedyś matka: „Szczęście sprzyja tym, którzy wiedzą, jak je złowić”. Przypomniał mi się wyraz oczu ojca, w których nie było zdziwienia, gdy Robert oznajmił nam nowinę, i ogarnęło mnie straszliwe przeczucie, że śmierć nie przyszła po Rogera Toothakera w sposób naturalny.

Mówi SIĘ, że dziecku dni upływają bardzo powoli, jako że znajduje się ono dopiero na początku swej drogi, a coś takiego jak starość i śmierć są niczym więcej jak odległym snem. Lecz dni, które nastąpiły po aresztowaniu mojej matki, pędziły z taką szybkością, że czasem zdało mi się, iż czuję wiatry od słońca i

księżycą, gnające przez nieboskłon. Każdego dnia odbierałam świat dwoma parami oczu i uszu. Jedna para skupiała się na pracy, druga wypatrywała zbliżającego się wozu posterunkowego.

28 czerwca sąd specjalny w Salem rozpoczął swoje drugie posiedzenie. Rebecca Nurse została uznana za niewinną przez jego sędziów, podniósł się jednak tak potworny krzyk wśród oskarżycieli, że sędziowie musieli ponownie rozpatrzyć jej sprawę, a gdy powrócili z narady, uznali ją za winną zarzucanych czynów. Przez pięć dni trzeciej sesji sądu dwanaścioro mężczyzn i kobiet stanęło przed obliczem sędziów, wśród nich moja matka. Pierwszego lipca ojciec udał się do Salem, by być świadkiem procesu. Obudził mnie przed świtaniem, bym naszykowała mu śniadanie i spakowała jedzenie do sakwy.

- Skoro mam iść na walkę psów, chcę słyszeć pierwsze warknięcie - rzekł tylko przed wyjściem.

Na procesie matce postawiono zarzut, jakoby pod postacią zjawy zaatakowała dwie młode kobiety, których nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Najwyraźniej śmierć wuja nie położyła kresu oskarżeniom, nie odwróciła też biegu zdarzeń zmierzających ku ostatecznemu wymierzeniu sprawiedliwości. Wróciwszy do domu wieczorem, ojciec powiedział nam, że matka jest z powrotem w więzieniu i wyrok skazujący zapadnie nie wcześniej niż w sierpniu. Nie powiedział nam natomiast, że pięć innych kobiet, wśród nich Rebecca Nurse, zostało skazanych na śmierć przez powieszenie, co miało nastąpić, zanim miesiąc dobiegnie końca.

Lipiec mijał, z każdym dniem bardziej upalny, tak jak przepowiedziała matka. Co rano wstawaliśmy, zakładając parujące brudne ubrania, przeżuwaliliśmy czerstwy chleb umoczony w wodzie, by nie utknął nam w gardle, w południe ocieraliśmy zalewający nas pot, odganialiśmy muchy i

jedliśmy zupę, zniszczonymi narzędziami wbijaliśmy paliki i kołki, przelykaliśmy odrobinę mięsa na kolację i z nastaniem nocy kładliśmy się na spoczynek, walcząc z sennymi koszmarami i cuchnącą pościelą. Niczym cień nie odstępowałam ojca na krok, nie troszcząc się w ogóle o dom, który jeśli o mnie chodzi, mógł spłonąć doszczętnie, albowiem w dni, kiedy nie szedł do Salem, towarzyszyłam mu wszędzie, czy to w stodole, czy w polu.

Sukienkę miałam podartą pod pachami od dźwigania i ciągnięcia ciężarów, skórę na kolanach poobdzieraną i zakrwawioną, ponieważ niczego nie cerowałam ani nie zakładałam pończoch, byle tylko przebywać w dającej poczucie bezpieczeństwa bliskości wysokiej sylwetki ojca. Hanna była tak brudna, a jej ubrania tak zniszczone, że gdybym miała siłę odczuwać wstyd, spuściłabym głowę, widząc fruujące nad nią muchy, jakby była rocznym prosiakiem. Jednakże jej zdawało się to nie przeszkadzać, wystarczyło, że miała mnie w zasięgu wzroku, by beztrósco bawić się na ziemi w polu lub na sianie w stodole. Rozrywki dostarczało jej wszystko, co wpadło jej w ręce; patyk, butelka czy łyżka, ponieważ żadne z nas nie miało siły ani chęci, by zrobić jej choćby najprostszą zabawkę.

14 lipca razem z ojcem naprawialiśmy straszydło, które się przewróciło na polu kukurydzy. Kukurydza była już tak wybujała, że sięgała wyżej mojej głowy, ojciec jednak wciąż nad nią górował i choćby był sto jardów dalej, i tak bez trudu odnalazłabym do niego drogę. Ja przytrzymałam główny drąg, podczas gdy ojciec owijał brzoźowe witki wokół grubej gałęzi tworzącej ramiona straszydła. W zasadzie pracowaliśmy w milczeniu, zakłócanym jedynie paplaniną Hanny, która z liści kukurydzy plotła sobie wianek na głowę. Czulałam się bezpieczna w gęstwie otaczających mnie roślin i chwilowy spokój rozwiązał mi język.

- Ojcie, czy kiedy byłeś mały, też mieliście takie straszycło? - zapytałam.

- Tak - odparł, a ja sądziłam, że nie powie nic więcej, on jednak mówił dalej. - Ale tak nazywa go twoja matka. W Walii mówimy na niego strachoput.

Spróbowałam powtórzyć za nim, ale walijski był dla mnie zbyt trudny. Wiedziałam, że ojciec dorastał, mówiąc językiem niepodobnym do angielskiego, którego my używaliśmy, ale rzadko posługiwał się nim w domu. Obrócił straszycło twarzą na wschód i pokazał mi, jak mam trzymać drąg, podczas gdy on wbijał go w ziemię.

- Niektórzy ludzie na północy nazywają go strachem na wróble - powiedział. - Ale Anglicy mają lepsze sposoby na odstraszanie wróbli.

Słowo „Anglicy” wyrzekł tonem pełnym pogardy i chociaż twarz miał spokojną, wokół ust pojawiła mu się niepokojąca zmarszczka.

- Jakie, ojcie? - zapytałam, pragnąc, by rzekł coś więcej.

- Wokół całego pola ustawiają patyki o końcach ostrych jak brzytwy. A na każdym z nich tkwi ptak z przebitą piersią. Niektóre z nich jeszcze żyją i trzepoczą skrzydłami. Wróble i wrony tego nie lubią. Dopóki choć jeden ptak tkwi wbity na patyk, kukurydza pozostaje nietknięta. Tak to robią Anglicy.

Gdy ojciec przykląkł, aby ubić ziemię wokół straszycła, spojrzałam na skraj naszego poletka i wyobraziłam sobie, jak okalają je patyki, na których ostrych końcach wiją się i miotają skrwawione ciała.

- Tak właśnie Anglicy sprawiają swoje sądy - głos ojca rozległ się tuż przy moim uchu. - Poświęcają niewinnych, sądząc, że w ten sposób powstrzymają zło, i nazywają to sprawiedliwością. Ale tacy oni są sprawiedliwi, jak ten kij jest człowiekiem.

Kiedy spojrzałam na niego, wciąż klęczał. Jego oczy znajdowały się dokładnie na wprost moich, a od siły jego spojrzenia ścisnęło mnie w gardle.

- Poruszyłbym niebo i ziemię, by uratować twoją matkę - rzekł z nagłą pasją. - Słyszysz mnie, Saro? Rozwaliłbym mury więzienia i poniosł ją w najdziksze ostępy Maine, ale ona tego nie chce. Zda się na pastwę swoich sędziów, ponieważ wierzy, że jej niewinność pokona wszelkie kłamstwa i zdradę.

Odwrócił spojrzenie, omiatając wzrokiem horyzont.

- Czuję się mizerny wobec jej siły - rzekł cicho, jakby przemawiał do wiatru.

Przyglądałam się profilowi jego twarzy, jakby wyrytym w granicie. Widziałam brud wbity w pory jego skóry, bruzdy wokół jego oczu i ust i ujrzałam ślady wieloletnich walk i zmagania, o których nie miałam najmniejszego pojęcia.

- Nic nie możemy zrobić? - zapytałam, ściskając go za ramię.

- Wszystko w jej rękach i rękach sędziów - odrzekł, patrząc na mnie.

Nie takie słowa pragnęłam usłyszeć z jego ust. Chciałam, żeby opracował jakiś podstępny ostateczny plan uwolnienia jej. Chciałam krzyknąć do niego: „A co z wujem? Wystąpił przeciwko nam i teraz nie żyje”. Chciałam błagać: „Jeśli ją kochasz, spuść psy ze smyczy, ojcze. Spal więzienie. Rozbij pałką głowę szeryfa, naoliw zamki, rozewrzyj drzwi na oścież i pod osłoną nocy zabierz ją z więzienia i ukryj gdzieś”. A wtedy, pomyślałam, wtedy my także bylibyśmy uratowani. Jednakże milczałam. Patrzyłam tylko na niego, a oczy mi płonęły, i coraz mocniej ścisnęłam jego ramię. Wtedy przypomniałam sobie, jak tamtego dnia przed kościołem, gdy Phoebe nachylała się nade mną, szepcząc: „czarownica”, na ratunek przyszła mi matka, podczas gdy on siedział nieporuszony na wozie.

- Przez ostatnie tygodnie wiele z nią rozmawiałem - powiedział. - Ale prędzej kamienne mury więzienia zamienią się w pył, niż ona zmieni zdanie. - Objął mnie i przyciągnął do siebie. - Przyniósłbym jej wstyd, prosząc, by skłamała lub dała o kimś fałszywe świadectwo. Czy rozumiesz, Saro, co do ciebie mówię? Każdy z nas musi pozostać wierny własnemu sumieniu. Żaden urzędnik, sędzia czy ksiądz nie może nas oddalić od prawdy, ponieważ to są tylko ludzie. Chcesz mi powiedzieć: „Ojczy, jeżeli ją kochasz, uratuj ją”. Ale właśnie przez moją miłość do niej nie będę próbował odwieść jej od prawdy. Nawet gdyby to znaczyło, że dla niej musi umrzeć.

Wpatrywał się we mnie pełnym rozpaczy pytającym wzrokiem, niczym celtycki król, który właśnie puścił z biegiem rzeki mary ze zwłokami swojej ukochanej królowej, a jego smutek podążał za nią, topiąc również jego. Przypomniałam sobie, jak matka łagodnie gładziła go po twarzy, gdy wiele tygodni wcześniej rozmawiali przy palenisku, i po raz pierwszy w swoim młodym życiu poczułam drgnienie kobiecych uczuć i zrozumiałam, że on ją kochał. Ale odtąd nigdy nie umiałam myśleć o łączącej ich miłości bez metalicznego posmaku w ustach.

- Mówisz tak, jakbyśmy już ją utracili - odezwałam się słabo. Przechylił swoją wielką głowę na bok, jakby chciał wesprzeć ją na moim ramieniu.

- Mówię, że ona nie utraciła siebie - powiedział cichym głosem.

Nagle usłyszeliśmy gwałtowne ujadanie kundla na podwórzu. Ojciec się podniósł i odrzucając łopatę, pobiegł w stronę domu. Ja chwyciłam Hannę na ręce i potykając się na osłabłych, drżących nogach, pobiegłam za nim. „Przyjechali po nas”, pomyślałam. Gdy wydostałam się z kukurydzy, ujrzałam na drodze obok naszego domu wóz, na którym siedział mężczyzna i dwie kobiety. Wyglądali zwyczajnie, jak

wszyscy inni mieszkańcy Andover, w roboczych ubraniach, kobiety w wykrochmalonych czepkach, mężczyzna w starym filcowym kapeluszu. Siedzieli nieruchomo, sztywno wyprostowani. Patrzyli, jak się zbliżamy, i przez chwilę wyglądali niczym wykuci z kamienia. Oddech uwiązał mi w gardle, pomyślałam bowiem, że oto nadjechały nasze nakazy, kiedy jednak zbliżyłam się wystarczająco, w mężczyźnie rozpoznałam nie posterunkowego, lecz jego brata, Josepha Ballarda. Był naszym bliskim sąsiadem, mieszkał ćwierć mili na północ od nas, przy Boston Road Way. Jego żona ciężko chorowała od kilku miesięcy i wiosną matka, jeszcze zanim trafiła do więzienia, posłała jej zioła na gorączkę. Niestety, zacnej pani Ballard pogorszyło się tylko i jej śmierć dla nikogo nie była niespodzianką.

Ojciec pozdrowił przybyłych, jednakże ich milczenie zmroziło go i zaniepokoiło, a mięśnie jego ramion się napięły. Ballard i jego towarzyszki nie powitali nas, nie uśmiechnęli się, nawet nie skinęli głowami. Bez słowa wpatrywali się w nas, aż Hanna ukryła buzię w moich włosach, potarganych i rozpuszczonych, bo nie nosiłam czepka. Młode kobiety poszeptały między sobą i wtedy jedna z nich, ciężka, grubokoścista, o poranionych ustach, szepnęła coś do Josepha. Wskazała na mnie i Hannę i ten jeden gest sprawił, że ziemia pod moimi stopami się zakołysała. Ojciec, widząc, że pokazują na nas, z zaciśniętymi szczękami zbliżył się do wozu. Joseph pospiesznie ściągnął wodze i popędził konia. Staliśmy, patrząc, jak odjeżdżają drogą na północ, ani razu się nie obejrzawszy. Później się dowiedziałam, że brat posterunkowego pojechał do Salem Village po Mercy Lewis i Betty Hubbard, dziewczęta, które rozpoznały kilkanaście czarownic w swoim mieście. Od dawna bał się, że złe moce sprowadziły chorobę na jego żonę, a odkąd matka trafiła do

więzienia, ją obwiniął o swoje nieszczęście. Później obie młode kobiety zeznawały przeciwko mojej matce.

15 lipca Robert Russell zjawił się, by nam przekazać, że za cztery dni Sara Good, Elizabeth Howe, Susanna Martin, Rebecca Nurse i Sara Wildes, kobiety z czterech różnych miast, zostaną powieszane na Gallows Hill w Salem. Chciał powiedzieć o tym tylko ojcu, na osobności, ten jednak zawołał nas wszystkich do domu i kazał usiąść przy stole. Nie płakaliśmy, nie krzyczeliśmy, nie obejmowaliśmy się w poszukiwaniu pociechy, bo nic nie mogło nas pocieszyć. Pomyślałam o matce zamkniętej w celi i w duchu zaczęłam się modlić, aby przyjechali po nas jak najszybciej, pragnęłam bowiem ujrzeć ją raz jeszcze, zanim zostanie skazana. Przypomniałam sobie o Dorcas Good i małej Sarze Good, uwięzionej i skutej łańcuchami wraz z matką. Spytałam Roberta, czy ją zwolnią, kiedy jej matka umrze, a on po chwili wahania odparł, że osierocona dalej siedzi w ciemnej celi. Nie uwolnili jej jeszcze przez kilka miesięcy. Tyle bowiem czasu potrzebował ojciec, by zebrać ilość pieniędzy potrzebną na wykupienie córki za kaucją. Tej nocy, gdy Hanna już spała, zalałam się łzami smutku i złości. Gryzłam poduszkę zębami, szarpałam prześcieradła, aż się podarły, a później śniłam o czarnych ptaszkach z przebitymi piersiami, miotających się na patyku.

GDYBYŚMY MOGLI w pełni ujrzeć to, co nas czeka jutro, ilu z nas podjęłoby desperacką próbę zmiany przyszłości? Gdybyśmy ujrzeli, jak tracimy domy, rodziny, życie, i wystarczyłoby tylko zaprzedać własną duszę, aby to wszystko uratować, kto z nas zrezygnowałby z tego, co niewidzialne, w zamian za to, co możemy uchwycić w ręce? Wierzę, że niejeden oddałby własną nieśmiertelność z równą łatwością, z jaką z ugotowanej śliwki odchodzi skórka, gdyby tylko dzięki

temu mógł pożyć na tej ziemi odrobinę dłużej, cieszyć się pełnym brzuchem i ciepłym, bezpiecznym łóżkiem w nocy.

Moja matka nigdy by tak nie uczyniła, za które to postanowienie przyszło jej zapłacić najwyższą cenę. Była zbyt niezwykła, zbyt otwarta, zbyt gwałtownie broniła przed sędziami swej niewinności, i chyba głównie dlatego, a nie przez dowiedzione jej uprawianie czarów, została ukarana. Tym dziwniejsze było, że ojca żadna kara nie spotkała. W ciągu wszystkich tych miesięcy, gdy trwało szaleństwo walki z czarami, mój ojciec, człowiek nadnaturalnie olbrzymi i silny, który wbrew przyjętemu zwyczajowi polował i łowił samotnie i który rzadko kiedy odzywał się choćby słowem do sąsiadów, nigdy nie był przesłuchiwany, sądzony, więziony, nikt nigdy na niego nie doniósł, czy choćby coś mu zarzucił, a przecież więzienia pękały w szwach od mężczyzn, którzy stawali w obronie swoich podejrzanych żon.

Czemuż więc mój ojciec wciąż chodził wolno? Wiele krążyło wśród naszych sąsiadów plotek o jego życiu w Starej Anglii. Czy to jego reputacja jako żołnierza kazała trzymać się ludziom z daleka? Spróbowałabym wypytać Roberta Russella o żołnierską przeszłość ojca, wszak w Starej Anglii byli towarzyszami, nigdy jednak nie nadarzyła się ku temu okazja. Gdy Robert powiadomił nas o egzekucjach, ojciec położył mu dłonie na ramionach.

- Mój przyjacielu - rzeki ze smutkiem. - Stary dobry przyjacielu, zadając się z nami, narażasz siebie i swoją rodzinę na wielkie niebezpieczeństwo. Nie możesz tu więcej przychodzić, przynajmniej do czasu, kiedy to szaleństwo nie dobiegnie końca.

W pierwszej chwili Robert zaprotestował gwałtownie, wkrótce jednak pojał mądrość rady ojca i odszedł, obiecując zrobić co w jego mocy, by nam pomóc.

- Nie tylko w Salem Village pogłoski i plotki o zmarłych mogą na nowo wywołać burzę - rzekł, dosiadając konia.

Wypowiedziawszy te dziwne, niezrozumiałe słowa, odjechał, a ja poczułam się samotna jak nigdy dotąd.

Byłam samotna, choć miałam siostrę, braci i ojca. Ojciec nigdy nie znał mnie zbyt dobrze. Rzadko z nim przebywałam, z wyjątkiem chwil gdy podawałam mu jedzenie czy wodę do picia. W milczeniu wytrwale pracował na farmie, zawsze obecny, a przy tym tak odległy, że zwracałam na niego tyle samo uwagi, co na orzącego pole konia czy wolu. Gdy jednak mijały dni bez matki, zaczęłam żyć jego rytmem - wstawałam, kiedy on wstawał, spałam, kiedy on spał, harowałam bez wytchnienia i tak samo jak bracia. Zaczęłam mu się przyglądać i obserwowałam ludzi, których ścieżki krzyżowały się z jego ścieżkami. Widziałam, że wszyscy, w zasadzie bez wyjątku, czuli przed nim wielki lęk.

Dzień po ostatniej wizycie Roberta pojechałam z ojcem do kuźni Thomasa Chandlera, gdyż musiał kupić worek gwoździ i naostrzyć jedną z naszych kos. Thomas Chandler był bratem Williama Chandlera, karczmarza, i jednym z najznamienitszych obywateli Andover, a jego kuźnia swego rodzaju miejscem spotkań miejscowych mężczyzn. Z początku ojciec kazał mi zostać i opiekować się Hanną, ponieważ Richard wczesnym rankiem udał się do więzienia w Salem z jedzeniem i na farmie zostali jedynie Tom i Andrew. Ja jednak śmiertelnie bałam się być z dala od ojca, którego obecność dawała mi poczucie bezpieczeństwa, i ów strach nie pozwolił mi się ruszyć. Zagroziłam, że rzucę się pod koła wozu, jeżeli nie zabierze Hanny i mnie, w końcu więc ustąpił i posadził nas obie obok siebie na koźle. Do kuźni na zachodnim brzegu Shawshin River jechało się jak do miasta, tyle że przed cmentarzem trzeba było skręcić na zachód, w Newbury Road. Gdy przejeżdżaliśmy mostek, dostrzeżliśmy przed warsztatem

kilka wozów i mężczyzn, którzy przybyli, aby coś naprawić, naostrzyć lub kupić nowe narzędzie przed nadciągającymi szybko żniwami.

Mężczyźni stali w niewielkich grupkach, z całą pewnością wymieniając się miejscowymi nowinami, czekając na swoją kolej przy kowadle, gdy jednak ojciec zsiadł z wozu, rozmowy umilkły. Wszyscy spojładali na nas przez chwilę, po czym się odwrócili, jakby od wody nadciągnął lodowaty podmuch. Stali skrepowani, ze skulonymi ramionami, odganiając muchy lub wierząc dziury w ziemi czubkami butów. Ojciec z kolei nigdy nie przechadzał się wolnym krokiem, nie powłóczył nogami i rzadko kiedy zwalniał, czy to podążając drogą, czy przez pole, a gdy szedł ze zwykłą swoją prędkością, musiałam pędzić, by nie zostać z tyłu. Zdjął z wozu wielką kosę i ruszył w stronę stojących przed kuźnią mężczyzn tak żwawo, że wiatr, jaki czynił swymi poruszającymi się w rytm kroków ramionami, bez trudu wydałby niewielki żagiel. Zbici w gromadę mężczyźni zakołysali się i w pierwszej chwili wyglądało na to, że nie zamierzają zejść mu z drogi, kiedy jednak zardzewiała, postawiona na sztorc kosa była coraz bliżej, rozstąpili się szeroko i ojciec przeszedł nie będąc przez nikogo niepokojony.

Ledwie wszedł do kuźni, mężczyźni na powrót zbili się w gromadę, niczym ciało zasklepiające się nad świeżo zadany cięciem. Obrócili się, zerkając na Hannę i na mnie, ja jednak patrzyłam prosto na nich, co chyba dodało im śmiałości. Po jakimś czasie jeden z nich, którego tylko raz widziałam, jak szedł Boston Way Road, odezwał się na tyle głośno, bym mogła go usłyszeć.

- Jaka matka, takie dzieci - rzekł. Inny się zaśmiał i także przemówił.

- Ta starsza tak wygląda, że lepiej od razu posłać po posterunkowego, bo inaczej porazi nas złym okiem.

Zacisnęłam pięści i spódnica wydeła mi się na biodrach. Pozostali mężczyźni odwrócili się i spoglądali na mnie badawczo złymi, ubawionymi, zmęczonymi oczami. Hanna wpełzła pod kozła i przycupnęła cichutko niczym osaczone zwierzątko.

- Powiadają, że łatwo można rozpoznać czarownicę - odezwał się jeden. - Wystarczy wrzucić ją do rzeki. Jeśli utonie, znaczy, że niewinna. Jeśli nie, znaczy, że czarownica i trzeba ją powiesić.

Udawali, że nie mają żadnych złych zamiarów, ale wolniutko, cal po calu zbliżali się do naszego wozu. Myślę, że gdybym była sama, wrzuciliby mnie do rzeki i załatwili sprawę. W tej chwili jednak od strony kuźni dobiegł głęboki wibrujący głos.

- Kto następny w kolejce do ognia?

Mężczyźni obrócili się jak jeden mąż, a ja ujrzałam ojca stojącego w cieniu kuźni, dzierżącego swoją starą kosę, teraz świeżo naostrzoną i wypolerowaną, a gdy z cienia wyszedł na słońce, jej ostrze zamigotało złowrogo. Przewyższał o dobre półtorej stopy najbardziej rosnącego z mężczyzn. Kiedy słońce oświetliło mu twarz, jego oczy zrobiły się czarne jak obsydian. Od panującego w kuźni gorąca koszulę ze zgrzebnego płótna miał przesiąkniętą potem, długie włosy tłuste i oklapnięte okalały mu twarz, na jego nosie widniała smuga sadzy. W oczach stojących na podwórzu mężczyzn musiał wyglądać jak jeden z druidów spoglądających na Rzymian z drugiego brzegu walijskiej rzeki.

- No, kto następny? - zawołał ojciec. - Ty, Grangerze, który mieszkasz na New Meadow? - Machnął ramieniem, zataczając kosą niewielki łuk. - A może ty, Haggecie, który mieszkasz w Blanchard's Pond? Albo ty, Farnumie, który mieszkasz w Boston Hill?

I tak po kolei wywołał wszystkich zebranych mężczyzn, wymieniając każdego z nazwiska i miejsca zamieszkania, tnąc powietrze kosą, dając do zrozumienia, że zna ich wszystkich i wie, gdzie mieszkają. W jego głosie nie było znać groźby, mówił jak poborca podatkowy wywołujący po kolei dłużników. Lecz za wypowiedzianymi przez niego słowami kryło się więcej, coś w wyrazie jego twarzy, zwartej, gotowej do działania postawie sprawiło, że powietrze stało się gęste i ciężkie. Ścierpła mi skóra na czaszce. Po sposobie, w jaki mężczyźni wtulili głowy w ramiona i rozeszli się pośpiesznie do swoich wozów lub kuźni, domyśliłam się, że w ich sercach zostało posiane ziarno strachu.

Ojciec ułożył kosę na słomie czule niby dziecko, wsiadł na wóz i szarpnąwszy lejcami, zawrócił konia, by nas zawiózł z powrotem do domu. Przyglądałam mu się kątem oka, on jednak nie wyrzekł do mnie ani słowa, jak gdyby rozpędzenie gromady nabuzowanych farmerów bez zadania choćby jednego ciosu czy rzucenia przekleństwa było najzwyczajszą rzeczą pod słońcem. Owo zajście przed kuźnią kazało mi zobaczyć ojca w nowym świetle, gdyż nie tylko umocniło jego pozycję wśród miejscowych, lecz dowiodło ponad wszelką wątpliwość, że otacza mnie swoją opieką. Nie działał gwałtownie i bezpośrednio jak matka, lecz w bardziej cichy i subtelny sposób. Nasza ostatnia wizyta w domu modlitwy w Andover przynajmniej po części ukazała mi strach i respekt, jaki mój ojciec wzbudzał u innych. Strach wykraczający daleko poza zwykłą obawę przed brutalną siłą...

Wieczorem zjawił się u nas wielebny Dane. Przyniósł nieco jedzenia i ubrań, niestety, ani krzty nadziei. Powiedział nam, że odwiedził w więzieniu matkę, że ta pojednała się z Bogiem i jest gotowa przyjąć każdy wyrok wydany przez sędziów. Stwierdził z całkowitą pewnością, że wkrótce również my, dzieci, zostaniemy wezwani przed sąd w Salem

Village, dlatego też zaklinał nas, abyśmy nazajutrz dali publiczny dowód naszej wiary w Boga. Ojciec słuchał z szacunkiem, a gdy starzec umilkł, wstał i wziął z rzeźbionej komody Biblię matki. Otworzył ją na Ewangelii według świętego Mateusza i uderzając palcem w jeden z wersów, wyszedł z domu i nie wrócił, póki wielebny nie odjechał. Później, gdy przerzucałam stronicę Biblii, znalazłam lekko zabrudzony fragment: „Ty zaś, gdy chcesz się modlić, wejdź do swej izdebki i módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu”. Mimo to ojciec zawiózł nas do domu modlitwy w Andover 17 lipca, w ostatnią niedzielę naszej wolności, albowiem jeśli istniał choć cień szansy, by sędziowie spojrzeli na nas przychylniejszym okiem, nie chciał jej zmarnować.

Nie wzbudzilibyśmy większej sensacji, nawet gdybyśmy nago pojawili się w centrum miasta. Gdy weszliśmy do świątyni, nikt nie starał się nawet ukryć swojej niechęci do rodziny Carrierów. Ojciec, Richard, Andrew i Tom bez trudu znaleźli miejsce wśród mężczyzn, kobiety natomiast pozostały niewzruszone, żadna nie przesunęła się nawet o cal, przez co musiałam stać w przejściu z wiercącą się Hanną w ramionach. Phoebe Chandler zadarła brodę, by spojrzeć na mnie wyniośle, kiedy jednak zauważyła rozwścieczony wzrok Richarda, szybko skupiła uwagę na mównicy. Gdy później zeznawała przed sądem w Salem, powiedziała, że Richard swoim spojrzeniem ogłuszył ją aż do końca mszy. Szkoda, że przy okazji nie pozbawił jej też mowy. Ojciec tylko raz na mnie popatrzył, a ja chcąc, aby był ze mnie dumny, uniosłam głowę i wyprostowałam plecy, spoglądając na wielebno Barnarda, który tym razem zagarnął kazalnicę wyłącznie dla siebie, zmuszając wielebno Dane'a do zajęcia miejsca w ławce dla zwykłych śmiertelników. Nic dziwnego też, że kazanie oparł na Pierwszym Liście Św. Piotra: „Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając kogo pożreć (...)”.

Wkrótce nie mogłam już utrzymać Hanny, próbowałam więc zapanować nad nią, ściskając ją za nadgarstek, ona jednak szarpała się i protestowała głośno, w końcu więc wywlokłam ją na zewnątrz, a że dzień był upalny, skryłam się wraz z nią w cieniu pod najbliższym wozem. By siedziała spokojnie, pozwoliłam jej grzebać w ziemi, nie strofując, kiedy sypała ją sobie na fartuszek. Wyglądała zupełnie jak sierota, brudna i zaniedbana. Odkąd matki zabrakło, wszyscy z każdym dniem stawaliśmy się coraz bardziej brudni i obszarpani. Gdy popatrzyłam na brud pod swoimi paznokciami, przypomniałam sobie gładkie czyste ręce Margaret.

Siedziałyśmy pod wozem już prawie godzinę, kiedy usłyszałam zgrzyt otwieranych drzwi i do wozu zbliżyło się dwóch mężczyzn. Nieśli trzeciego, bardzo posuniętego w wieku. Ochoczo wyszli z mszy, by dać staremu odetchnąć świeżym powietrzem. Gdy podchodzili, zaczęli rozmawiać, a zanim zdążyłam wymknąć się spod wozu, ułożyli starca na słomie. Teraz nie mogłam już się im pokazać, nie narażając się na wielki wstyd. Im dłużej rozmawiali, tym trudniej było mi wyjść spod wozu, nie wyglądając jak jakaś jaszczurka wypełzająca spod kamienia. Widziałam tylko ich nogi do kolan, za to dokładnie słyszałam każde słowo i miałam nadzieję, że Hanna nie odezwie się i nas nie zdradzi.

- I co powiecie na to, że tak bezczelnie, jakby nigdy nic przyszli do domu modlitwy? - odezwał się pierwszy mężczyzna, poklepując starca po plecach. Niedawno zaczął nosić swoje zakończone kwadratowymi noskami buty na odwrót, lewy na prawej stopie, a prawy na lewej, ale buty nie zdążyły się jeszcze odpowiednio ułożyć i wyglądało, jakby stał na skrzyżowanych nogach.

Drugi z mężczyzn był niższy i bardziej krępy. Sposób, w jaki wymawiał głoskę „r”, świadczył o dzieciństwie spędzonym w Szkocji.

- Z dziećmi jest coś nie tak, to jasne jak słońce - powiedział. - Ale to na jego widok krew mi w żyłach tężeje.

Położył wyjątkowy nacisk na słowo „jego” i od razu się domyśliłam, że mówi o ojcu. Ciągnął konspiracyjnym tonem, jakby opowiadał dziecku historyjkę o duchu:

- Kto poluje w pojedynkę? W tych lasach. Przecież tu się roi od Indian. I jest doskonałym strzelcem. Jednym strzałem w kark powalił niedźwiedzia wielkiego jak chałupa. W życiu nie widziałem podobnego olbrzyma. Powiadają, że nawet Indianie się go boją.

- Mówiono mi, że kilka lat wstecz jednym ciosem w głowę zabił w Bostonie mężczyznę - powiedział zacny pan Crossways.

- Nie - sprzeciwił się zacny pan Stout. - Jeżeli mówimy o tym samym, to było piętnaście lat temu i powalił człowieka w Billerice. Prawie go zabił. Ukarali go za to grzywną.

Starzec przestał kaszleć i usłyszałam, jak wóz zatrzeszczał, gdy kładł się na słomie, by odpocząć. Dwie pary nóg stanęły bliżej siebie, a głosy zniżyły się niemal do szeptu.

- Nie przejmujcie się - rzekł Crossways. - Możecie mówić. Stary jest głuchy jak pień. Skazali Carrierę na grzywnę, bo kto odważyłby się zakuć tego olbrzyma w kajdany? Był żołnierzem w królewskiej straży. Niektórzy mówią, że chronił samego króla, póki nie przeszedł na stronę Cromwella. Niewielu jest mężczyzn, którzy mają czarownicę za żonę, a mimo to wciąż chodzą wolno. Słyszeliście najgorsze?

- Tak - odparł Stout. - Tak między nami, oby Bóg pozwolił drugiemu Karolowi cieszyć się jak najdłuższym

życiem, choć jako Szkot dobrze wspominał starego Olivera. Ale zabić króla to zupełnie inna sprawa.

Crossways go uciszył.

- Nikt tego nie wie na pewno - rzekł ze strachem. - Ale ta plotka, że podniósł siekiere na pierwszego Karola, wlecze się za nim od trzydziestu lat. Chyba tylko czary pomogły mu przez tak długi czas uniknąć królewskiej sprawiedliwości.

- Czary? - powiedział Stout, spluwając na ziemię. - Kat zawsze nosi maskę, któż więc może wiedzieć? Poza tym nawet gdyby dało się dowieść, że zabił króla, kto wystawi na niego nakaz? Wy? Robert Russell, który wszystko wie, mówi, że istnieje tajne stowarzyszenie starych żołnierzy Cromwella. Mieszkają sobie jak u Pana Boga za piecem, tutaj, w Andover. Opiekują się sobą nawzajem i poprzysięgli zemścić się na każdym, kto pojmie lub źle potraktuje jednego z nich. Russell powiada, że o świtaniu przyjdą do domu zdrajcy, utną mu głowę, wsadzą do czarnego worka i porzucą na jakichś mokradłach, tak jak zrobili z głową pierwszego Karola. Rzeczywiście, też mi czary. Zakończone żelaznym ostrzem.

- Jezu miłosierny - jęknął Crossways. - Nie dość, że musimy się lękać czarów, to jeszcze ryglować drzwi przed mściwymi żołnierzami.

Stout wsparł stopę na kole, by otrzepać buty z kurzu, dalej mieląc ozorem o ukrywającej się armii Cromwella. Kiedy usłyszałam, jak mówią o Robercie, przyszło mi na myśl, że być może skrycie pracuje jak nasze straszdyło, rozsiewając wzbudzające lęk plotki mające odstraszyć wróble.

- A co powiecie o tym, jak Roger Toothaker umarł w swojej celi w Bostonie? - rozvodził się dalej Stout. - Strażnik więzienny powiedział, że w dniu jego śmierci odwiedził go jakiś wysoki mężczyzna. Wysoki mężczyzna wszedł. Wysoki mężczyzna wyszedł i parę godzin później doktor Toothaker pada martwy, bez śladu żadnych obrażeń na ciele. Powiadam

wam, w tej śmierci jest coś tajemniczego. Bez względu na to, co wykazało dochodzenie.

W tej chwili otworzyły się drzwi domu modlitwy i wierni, zgrzani i spragnieni odrobiny świeżego powietrza, wylegli na podwórzec. Złapałam Hannę i wygramoliłyśmy się spod wozu od drugiej strony, kiedy jednak wyprostowałam się i odwróciłam, krępy Szkot mnie zauważył. Chyba pomyślał, że wyrosłam przed nim znikąd, niczym jakaś zjawa, bo oczy rozszerzyły mu się, gdy zaskoczenie przerodziło się w strach i świadomość, że musiałam wszystko słyszeć. Gdy szłam do naszego wozu, by poczekać na ojca, czułam jak jego spojrzenie pali mnie w plecy.

Do domu wracaliśmy w milczeniu, przytłoczeni ciężkimi, nienawistnymi spojrzeniami, jakie nam towarzyszyły, gdy pokonywaliśmy Boston Way Road. Mimo obojętności upału przysunęłam się bliżej moich braci i mocno tuliłam w ramionach wilgotne, senne ciało Hanny. Patrzyłam na każdego po kolei i myślałam sobie, oto Richard, młody człowiek o mrocznej, ponurej naturze. I Andrew, z którego choroba uczyniła głupka. Dalej Tom, zawsze taki uroczy i pełen życia, a teraz z każdym dniem cichszy i bardziej zamknięty w sobie przez strach i niepewność. Znałam ich dobrze, wiedziałam, co kryją w swoim wnętrzu, nie dlatego jednak, że dzień po dniu widziałam, co i jak robią, lecz dlatego, że wszystko to mieli wypisane na twarzach, które niczego nie ukrywały i nigdy nie były fałszywe. I aż do dzisiejszego ranka jak każde dziecko wierzyłam, że zamiary, wartość i historia każdego człowieka są wyryte na jego obliczu niczym znak złotnika na srebrnym kielichu mszalnym.

Gdy jednak patrzyłam na ojca przyodzianego w ubiór zwykłego farmera, o kościach, mięśniach i stawach wyrobionych przez ciężką pracę na roli i w lesie, czole pooranym zmarszczkami od wieloletniego wpatrywania się w

słońce, czułam, że przestaję go rozumieć. Myślałam o starej purpurowej kurcie ojca, którą teraz nosiło straszycło, kurcie z wielkim rozcięciem na rękawie. Ileż to razy zostawiał nas, by samotnie zapuścić się w leśne ostępy, na co nikt inny przy zdrowych zmysłach nigdy by się nie odważył. O jego trafiającej zawsze ze śmiertelną dokładnością strzelbie. Myślałam o opowieściach snutych przez dwóch mężczyzn przy domu modlitwy i zastanawiałam się, jakim sposobem historie o żołnierskim życiu i śmierci króla łączą się z człowiekiem, który głośno, tak aby usłyszała cała Nowa Anglia, wykrzyknął: „Jestem Farmerem, Rolnikiem i Człowiekiem ciężkiej pracy”.

Jeżeli jednak powszechnie wierzono w to, co tamci mężczyźni mówili, nie dziwiło mnie już, że wuj uciekł jak zając na widok leżącej na stole siekiery ojca. Tak jak nie dziwiła mnie bladość, która spłynęła na twarz Allena, gdy matka zagroziła mu, że straci głowę, jeśli jeszcze raz spróbuje przepędzić nas z naszego domu. Przypomniałam sobie, jak ostrzegła mnie, że niejeden stratowałby mnie żywcem, byleby tylko wejść w posiadanie czerwonej książki, dziennika opisującego historię naszej rodziny. W tym momencie paliło mnie w brzuchu od przemożnej chęci, żeby ją odkopać i przeczytać. Na koniec przypomniało mi się, jak wuj snuł swoje opowieści, gdy wieczorami siedzieliśmy przycupnięci przy ogniu. Opowieści o egzekucji króla Anglii, Karola I, którego powiedli po stopniach w Whitehall Gate, gdzie wsparł głowę na pieńku, a wysoki zakapturzony kat siekierą oddzielił ją od reszty ciała. Potem kat uniósł odciętą głowę króla, by cały Londyn mógł ją zobaczyć, i obwieścić:

- Król, tyran i grabieżca ludu nie żyje.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z podwórca przed domem modlitwy, tylko mały czarny niewolnik kapitana Osgooda pomachał nam na pożegnanie. Stał z dala od tłumu kobiet i mężczyzn, mały i

pokręcony, w ciągle o wiele za dużych butach na bosych stopach, ubraniu jeszcze bardziej zniszczonym i brudnym niż kiedykolwiek. Znamienne było, że właśnie ten chłopiec, ignorowany, odtrącany i pogardzany, jako jedyny machał nam, póki nie zniknęliśmy mu z oczu. Nigdy więcej go już nie widziałam, ale często o nim śniłam, a w moich snach jego ubranie było nowe, klamry na butach srebrne, a czarna twarz smutna i ponadczasowa, jak ciemna połowa księżyca.

20 LIPCA Mary Lacey, przyjaciółka Mercy Williams, ta sama, która szydziła ze mnie na cmentarzu w Andover i którą właśnie zamknięto w więzieniu w Salem, zeznała, że w istocie jest czarownicą, podobnie jak jej własna matka i babka. Powiedziała swoim oprawcom, że Richard i Andrew również są czarownikami, a zacna pani Carrier wyjawiała jej na zlocie czarownic o północy, że szatan obiecał, iż ona, moja matka, zostanie Królową Piekła. 21 lipca John Ballard przyjechał swoim wozem po moich dwóch najstarszych braci.

Zaczekał, aż ojciec wybierze się w długą drogę do Salem, i dopiero wtedy wkroczył odważnie do naszego domu z nakazami. Musiałam zawołać Richarda i Andrew ze stodoły i sama czekałam wraz z nim w pokoju dziennym. Uśmiechnął się do mnie złośliwie i pogroził mi palcem.

- Ty będziesz następna, panienko - powiedział.

Gdy Richard wszedł i ujrzał nakazy, w pierwszej chwili chciał chyba obrócić się i rzucić do ucieczki, zmienił jednak zdanie, kiedy John Ballard zacisnął ręce na moich ramionach i ostrzegł go:

- Jak ty nie pójdziesz, równie dobrze mogę zabrać tę tutaj.

Richard pozwolił związać sobie ręce. Andrew, naśladując brata, również bez oporu wyciągnął swoje do oprawcy. Skulił się dopiero wtedy, gdy pęta zacisnęły się na jego przegubach. Obaj wsiedli na wóz i posterunkowy poprawił lejce.

- Richard, pamiętaj, co powiedziała matka - szepnęłam. -
Powiedz im wszystko, co będą chcieli usłyszeć.

Kiedy jednak usłyszałam jego odpowiedź, serce we mnie zamarło.

- Żadną siłą nie przymuszają mnie do złożenia fałszywych zeznań. Skoro matka może trwać przy swoim, ja też potrafię.

Wóz ruszył, a ja biegłam za nim.

- Richardzie, pomyśl więc o Andrew. Będzie cię naśladował we wszystkim, powie i zrobi dokładnie to co ty.

Wóz jechał coraz szybciej i nie mogłam za nim nadążyć, ale biegłam za nimi jeszcze przez ćwierć mili.

- Richardzie, proszę, Richardzie... - wołałam.

Spoglądał na mnie wyzywająco, butny i dumny jak każdy młody, silny i uparty chłopiec, który jednak aż do tego dnia broczył swoją cenną krwią tylko wtedy, gdy zaciął się brzytwą. 19 lipca, na dwa dni przed swoim aresztowaniem, skończył osiemnaście lat.

Po powrocie do domu zastałam Toma skulonego przy palenisku, kołyszącego się na piętach, z twarzą zalaną łzami, które spływając aż na brodę, zmywały brud, tworząc mu na policzkach różowe ścieżki. Nie umiałam znaleźć słów, by go pocieszyć, usiadłam więc przy nim w popiele i razem czekaliśmy na powrót ojca. Po przybyciu do Salem Town, odległego o pięć mil na wschód od Salem Village, Andrew i Richard spędzili noc zamknięci w piwnicy gospody Thomasa Beadle, posterunkowy bowiem wołał nie ryzykować spotkania z ojcem wracającym drogą z więzienia. Następnego ranka moi bracia stanęli przed obliczem sędziów, pośród których, by na własne oczy się przekonać o atakujących naszą społeczność zjawach, znajdował się Cotton Mather, duchowy doradca i wzór dla połowy duchownych w koloniach. Osobiście pouczył Richarda i Andrew, by przed sądem zeznawali jedynie prawdę. Powiedział im, że Bóg i Jego ziemscy sędziowie

okażą im litość, jeżeli w pełni przyznają się do uprawiania czarów. Mary Lacey, która dobrowolnie przyznała się do bycia czarownicą pod postacią zjawy torturującą niektóre dziewczynki z Salem Village, również zwróciła się do Richarda, aby ten wszem wobec wyznał swoją winę. Oskarżyła go o rzucenie czarów na cierpiącego od dawna Timothy'ego Swana, młodzieńca, u którego Allen Toothaker mieszkał w Andover. Powiedziała, że matka zabiła siedem osób, używając lalki, w którą wbijała igły.

Richard widział swoich sędziów przy pracy podczas procesu matki i innych oskarżonych i nawet się nie starał ukryć swojej pogardy dla nich. Na każde pytanie odpowiadał: „Nie”, lub: „Nie uczyniłem tego”. Główny sędzia, John Hawthorne, zwrócił się wówczas do Andrew, on jednak na każde pytanie odpowiadał tak samo jak brat. Gdy sędziowie nie zdołali wymusić na nich uległości, do której zdążyli już przywyknąć, rozkazali wyprowadzić Richarda i Andrew do innego pomieszczenia, by tam ponownie zastanowili się nad swoimi odpowiedziami. Szeryf i kat Essen County, George Corwin, czekał tam na nich z dwoma sznurami. Rozkazał Richardowi położyć się twarzą do ziemi, po czym od tyłu związał mu razem ręce i nogi. Następnie naciągnął sznur i zrobił z niego pętlę, którą założył Richardowi na szyję tak, by musiał odgiąć głowę do tyłu, w stronę stóp. Nazywano to „łukiem” i nawet najsilniejsi nie wytrzymywali długo w tej pozycji. Plecy im słabły, nogi i głowa opadały, a sznur zaciskał się na szyi. Dusili się długo i w męczarniach, ponieważ inaczej niż podczas wieszania na drzewie, kark nie ulegał złamaniu, kładąc szybki kres cierpieniom ofiary. Delikatna skóra na szyi puchła i siniała, oczy wychodziły z orbit, wkrótce z nosa zaczynała się sączyć krew, najpierw powoli, potem w gwałtownym krwotoku, gdy rosnące ciśnienie rozrywało żyły. Drogi oddechowe zatykały się i jeśli

więzień zemdłał, bezwład ogarniający jego ciało kończył dzieło, albowiem wówczas sznur dusił go do końca. I choć była to świeżo obmyślona metoda wydobywania zeznań w Nowej Anglii, i tak nazywała się angielską, gdyż nie uważano jej za równie okrutną jak napiętnowanie, przypalanie czy łamanie kołem.

Richard, jako bardzo silny i gotowy na wszystko, wolał raczej umrzeć, niż się przyznać, wobec czego szeryf rzucił na ziemię Andrew i związał go tak brutalnie, że z przegubów i szyi, gdzie sznur wpił się w skórę, pociekła mu krew. Później Richard opowiadał mi, że Andrew płakał jak małe dziecko, błagał i prosił, aby go uwolnić. W kółko powtarzał, z trudem dobywając głos ze ściśniętego gardła: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam...”. Właśnie owo cierpienie brata, bardziej niż lęk o własne ciało, skłoniły Richarda do wyznania sędziom wszystkiego, co chcieli usłyszeć.

Gdy przywieźli moich braci do głównej sali w domu modlitwy, Richard powiedział sędziom, że rzeczywiście on i Andrew są czarownikami, ale dopiero od niedawna. Zapytany, kto kazał mu obrócić się przeciw Bogu, Richard odparł, że matka położyła ich dłonie na szatańskiej księdze i musieli przysiąc wierność diabłu. Podał też nazwiska innych czarownic, wymienił jednak tylko te kobiety i mężczyzn, którzy już przebywali w więzieniu, oskarżeni i oczekujący na proces, lub tych, których uznano za winnych i powieszono. Andrew nie odrzekł słowa, lecz kurczowo się trzymał koszuli Richarda i dopiero szeryf pospołu z drugim mężczyzną zdołali ich rozdzielić, by skuć łańcuchami przed przewiezieniem do więzienia w Salem.

GDY OJCIEC wrócił późnym popołudniem i ujrzał, że Richarda i Andrew nie ma, twarz zmieniła mu się straszliwie. Stał i wpatrywał się w jakiś punkt ponad naszymi głowami, a ja myślałam, że zawali się palenisko lub dogasający żar

dębowych bierwion sam z siebie rozgorzeje gwałtownym ogniem. Ojciec wybiegł na podwórze i krążył po nim, szarpiąc sobie włosy na głowie i miażdżąc dłońmi kapelusz. Słyszałam, jak na głos obmyśla desperackie plany uwolnienia ich, w końcu jednak wrócił do domu i usiadł przy stole, zwieszając długie ręce między kolanami. Tom i ja tuliliśmy się do siebie, jak wtedy nocą, gdy ze szczytu Sunset Rock patrzyliśmy na szalejącą burzę, czekając, aż ojciec wróci do nas z odległego pustego miejsca, do którego się udał. Hanna, głodna i przestraszona, płakała tak długo, aż zasnęła pod stołem, z rączką zaciśniętą na kawałku suchego chleba.

W końcu, gdy zapadł głęboki wieczór, ojciec przywołał nas z cienia, w którym się zaszyliśmy, i przygarnął do siebie, obejmując silnymi twardymi ramionami. Po raz pierwszy w życiu ojciec tulił mnie do siebie, pozwalając, by nasze łzy mieszały się ze sobą. Rankiem powitały nas padające ukośnie promienie słońca. Towarzyszyły nam, gdy z rozpaczliwą nadzieją rozpoczynaliśmy letnie żniwa. Większość plonów zgnije na polu, gdyż było nas tylko troje do ścinania i wiązania pszenicy w snopy. Pracowaliśmy jednak ramię w ramię w pyłe i kurzu, z ustami wyschłymi od upału i coraz większej rozpacz, ramionami obolałymi i drżącymi od zdającego się nie mieć końca wymachiwania kosą, piekącymi oczami od ciągłego spoglądania na horyzont w wyczekiwaniu na nadjeżdżający wóz więzienny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lipiec - sierpień 1692

WŚCIEKŁE PSY pojawiają się w sierpniu, ale my już pod koniec lipca spostrzegliśmy kundla truchtającego Boston Way Road na południe. Od wczesnego ranka Tom i ja pracowaliśmy samotnie w stodole. Ojciec udał się w długą drogę do Salem, w swojej torbie niosąc odrobinę jedzenia, które z ledwością wystarczyłoby dla jednego człowieka. Jedzenia, którym musiały się podzielić trzy osoby. Ojciec chodził teraz do więzienia nieregularnie, co kilka dni, bał się bowiem, że posterunkowy go obserwuje i przyjedzie po nas w czasie, gdy jego nie będzie w domu.

Wszyscy coraz ciasniej spinaliśmy się w pasie, a głód był melodią, która rozbrzmiewała w naszych brzuchach jednako za dnia, jak i w nocy. Przez nieustanny upał rzeka Shawshin skurczyła się do rozmiarów małego strumyczka, a Ballard's Pond zamienił się w błotnistą kałużę. Woda w naszej studni opadła, odsłaniając niemal gładkie omszałe kamienie na dnie. Zebraliśmy tyle zboża, na ile pozwoliły nam siły. Podczas gdy Tom pracował na stryszku, rozrzucając świeżą słomę dla zwierząt, ja przesiewałam niewielkie kupki ziarna. Jedynie myszy nie brakowało w naszej stodole, krowa jednak dawała tak niewiele mleka, że nie miałam sumienia wystawiać go na spodeczkach do zwabienia węży. Z obawy przed naszym mieszańcem koty dawno już się od nas wyniosły. Przyglądałam się, jak myszy spokojnie wyjadają nasze ziarno, i zastanawiałam, jak bez chleba przeżyjemy zimę. Od dłuższego czasu na stryszku panowała cisza, tylko kurz wciąż się unosił w powietrzu, wzburzony, kiedy Tom po raz ostatni zamachnął się widłami.

Krzyknęłam do niego, żeby przestał leniuchować i dokończył pracę, lecz on nie odpowiadał. Z powodu gorąca byłam zła i podenerwowana, więc Hanna wołała trzymać się

ode mnie z daleka, bojąc się, że czeka ją więcej klapsów niż czułości. Widziałam ją, jak się bawi w słomie, wydłubując resztę włóczki z mojej lalki. Nie miałam już siły, żeby na nią nakrzyczeć, krzyknęłam więc znowu na Toma i zobaczyłam jego twarz wychylającą się znad belki.

- Saro, chodź tutaj - szepnął chrapliwie. - Zaraz.

Na jego twarzy troska malowała się zawsze, ale teraz coś w jego głosie, jakby strach, sprawiło, że poczułam ucisk w piersi.

- To on? Jedzie po nas? - zapytałam, a z przerażenia zakręciło mi się w głowie.

W końcu po tak długim wyczekiwaniu nadeszło to, co nieuniknione. Wywiozą nas bezceremonialnie, nie pożegna nas nikt z rodziny. Z podwórka dobiegło mnie niskie, gardłowe warczenie psa sygnalizujące zbliżającego się intruza. Kiedy włąziłam na drabinę, zastanawiałam się, czemu nie wita go jak zwykle wściekłym szczekaniem. Stałam obok Toma, a gdy wskazał na drogę, ujrzałam psa. Zmierzał w naszą stronę, zataczając się od jednego skraju drogi do drugiego, pysk miał cały w pianie i z wywalonym językiem dyszał jak po przebiegnięciu wielkiej odległości. Nasz mieszaniec szarpał się na łańcuchu, a jego warczenie przeszło w zawodzący skowyt. Kundel szedł w kierunku naszego psa, gdy nagle zatrzymał się dwadzieścia, może trzydzieści jardów od otwartych wrót stodoły. Opuścił łeb, aż sięgnął nim ziemi, i piana lecąca mu z pyska zamieniła pył w czarne błoto, po czym nagle obnażył kły.

Mija trochę czasu, zanim wściekłe zwierzę rzuci się do ataku, czasem jest to kilka uderzeń serca, czasem parę minut, jakby choroba nie tylko otumaniała mu mózg, ale też zagęszczała krew, przez co myśli płyną wolniej i z przerwami. Popatrzyłam na otwarte drzwi poniżej stryszku i zrozumiałam,

że minąwszy naszego psa, kundel może zaatakować stodołę i Hannę, zanim ja zdążę zejść z drabiny.

- Tom - szepnęłam, bojąc się odwrócić wzrok. - Gdzie jest strzelba? Wskazał na znajdujące się pod nami zagrody, a gdy spojrzałam, ujrzałam, że stoi oparta o jedną z belek. Mieszaniec na naprężonym do granic wytrzymałości łańcuchu przywarł brzuchem do ziemi, przestał skomleć i się szarpać, tylko marszcząc wargi, szczyrzył kły. Słyszałam, jak Hanna papie i podśpiewuje sobie, i syknęłam, żeby ją uciszyć. Kundel wolno skierował łeb w naszą stronę i przekrwionymi, kaprawymi ślepiami wpatrywał się w otwarte drzwi. Zrobił jeden krok, potem drugi i się zatrzymał. Z jego gardła dobyło się niskie warczenie, on sam zaś kichnął potężnie, rozsiewając wokół strumienie piany. Chwila mijąca za chwilą, a ja nie miałam odwagi się poruszyć, bojąc się sprowokować atak, lecz jednocześnie z każdym oddechem przeklinałam siebie, że nie rzucam się Hannie na ratunek. Pies postąpił kilka kolejnych kroków i zwarł się w sobie, by ruszyć na moją siostrę.

Tom złapał mnie za ramię.

- Nie zdążysz - szepnął.

Wyjął z kieszeni kilka drobnych przedmiotów, które zagrzechotały mu w dłoni. Zamachnął się płynnie ramieniem i wypuścił kamień, który zatoczywszy wysoki łuk wylądował dwadzieścia stóp za psem. Tom zrobił to bez wahania, z pewnością chłopca stojącego nad rzeką, usiłującego trafić w cel na drugim jej brzegu. Pies drgnął i obrócił się w stronę hałasu. Tom cisnął drugim kamieniem, który wylądował dziesięć stóp dalej niż pierwszy. Kundel warknął i rzucił się na kurz wzbity przez upadające kamienie, po czym stanął na chwiejnych, uginających się łapach, szukając swojej ofiary. Wtedy coś, może cień przelatującego ptaka, skacząca wiewiórka, a może liść poruszony powiewem wiatru kazał mu

pokuśtykać z powrotem na drogę, coraz dalej od nas. Przez resztę dnia, gdy w pocie czoła mozoliłam się w stodole i ogrodzie, nie spuszczałam z oka szczupłej zgarbionej sylwetki mojego brata, nie mogąc wyjść z podziwu nad jego opanowaniem i przytomnością umysłu. Gdy kundel oddalił się jak gorączka, która wybucha w czasie letnich wylewów, moje drżące nogi ugięły się pode mną i Tom musiał pomóc mi wstać i zejść z drabiny. I to on wziął Hannę na ręce i ku jej niepomiernemu zdumieniu kołysał ją, tuląc do piersi. I również Tom pewną dłonią ujął strzelbę i przeszedł co najmniej czterdzieści jardów drogą w pogoni za psem, następnie wycelował dokładnie i powalił go jednym strzałem w głowę.

Późnym popołudniem siedzieliśmy na progu tylnych drzwi, wypatrując wysokiej sylwetki ojca wyłaniającej się spomiędzy szeleszczących paproci Falls Woods, gdy nagle Tom obrócił się ku mnie.

- Nie jestem bezużyteczny - powiedział.

Spojrzałam na niego zaskoczona, a on obtarł sobie rękawami wilgotny pot z czoła. Rękawami, z których odciął guziki, bym mogła z nich zrobić oczy mojej lalce, a raczej lalce Margaret.

- Nie tylko ty jedna na tej farmie potrafisz się o nas zatroszczyć, kiedy ojca nie ma - dodał napiętym głosem.

Zacząłam protestować, on jednak nie dopuścił mnie do głosu.

- Tak właśnie o mnie myślisz - mówił. - Lekceważysz mnie i spoglądasz na mnie z litością. Tam na stryszku nawet nie pomyślałaś, żeby poprosić o pomoc. Ale ja umiem sobie radzić równie dobrze jak ty. I tak samo jak ty potrafię o nas zadbać.

Popatrzył na mnie wyzywająco, ze ściągniętymi brwiami i ciemnymi włosami wijącymi mu się wokół uszu, a ja

pomyślałam o kamieniach w jego kieszeni, które nosił nie wiadomo od ilu dni czy nawet tygodni. Amunicji, jakiej używa każdy chłopak do przepędzania ptaków i puszczania kaczek na gładkiej powierzchni stawu. Amunicji, której ze spokojną pewnością siebie użył, aby uchronić nas przed nieszczęściem.

- Tęsknię za nią tak samo jak ty - powiedział, ściskając pięści między kolanami, prostując i napinając mięśnie pleców, byle tylko nie dać upustu łzom.

Ledwie jednak wypowiedział te słowa, ujrzałam rozpacz czającą się w jego zaczerwienionych oczach i boleśnie ściągniętych w wiecznym grymasie ustach. Nachyliłam się i kciukiem starłam kóleczek brudu na jego policzku, które rękaw ominął.

- Teraz ja jestem najstarszy na farmie, kiedy ojca nie ma. Umiem się o nas zatroszczyć - powiedział i pociągnął mnie za fartuch, bym przysunęła się bliżej. Myślałam, że weźmie mnie za rękę albo obejmie ramieniem, on jednak nie uczynił żadnego gestu, by mnie dotknąć. Jedynie jego kolano mocno przylegało do mojego. Mimo to z moich barków spłynął jakiś wielki ciężar i siedzieliśmy tak razem przez długi czas, a za naszymi plecami słońce kładło długie cienie na polach wiodących ku Ladle Meadow.

30 LIPCA ciotka Mary została ponownie aresztowana w Billerice i przewieziona do Salem Village na przesłuchanie. Zwolniono ją po przesłuchaniu matki, ale Mary Lacey ją oskarżyła, wobec czego ciotka wraz z Margaret musiały stanąć przed obliczami sędziów. Po długim i ciężkim przesłuchaniu w końcu przyznała, że nękała Timothy'ego Swana oraz innych, powiedziała też, że wraz z moją matką i dwoma braćmi uczestniczyła w zlotach czarownic. Podczas owych czarnych sabatów dowiedziała się od mojej matki, że w okolicy jest co najmniej trzysta pięć czarownic, które mają za

zadanie obalić królestwo Chrystusa i ustanowić królestwo szatana. Dalej ciotka wyznała, że szatan objawił się jej pod postacią brązowego człowieka i obiecał chronić ją przed Indianami, jeżeli podpisze szatańską księgę. Zapytana, czy służyła szatanowi, ta dobra, łagodna kobieta odparła, że jej strach był tak ogromny, iż gotowa była oddać mu się całym sercem, byleby tylko obronił ją przed Indianami. Dwa dni później, pierwszego dnia sierpnia, w czasie gdy ciotka i Margaret przebywały w więzieniu, niewielki oddział Wabanaki napadł sąsiadujące z nimi domostwa w Billerice i zabił każdego mężczyznę, kobietę i dziecko. Tak więc szatan wywiązał się ze swej umowy z ciotką i być może dlatego właśnie ciotka nigdy nie zmieniła swojego zeznania, co inni czynili często, gdy tylko drzwi więzienia zatrzasnęły się za nimi.

Trzecie posiedzenie sądu zaczęło się we wtorek, drugiego sierpnia, i trwało cztery dni. Skazanie matki zajęło prawie dwa dni. Przeciwno niej zeznawała Mary Lacey, Phoebe Chandler sprowadzona z więziennej celi, a także Allen Toothaker. I chociaż Richard i Andrew obciążyli ją pod przysięgą, Cotton Mather zażądał wykreślenia ich zeznań, jako że było dość innych dowodów na jej związki z siłami nieczystymi. Był to jedyny gest życzliwości ze strony człowieka, który później okrzyknął moją matkę, jedyną kobietę w koloniach, która się sprzeciwiła swoim oskarżycielom, „szalejącą czarownicą”.

Matka miała zostać powieszona 19 sierpnia, wraz z wielebny George'em Burroughsem, dawnym pastorem Salem Village, Johnem Proctorem, który w liście do gubernatora opisał tortury, jakim poddano moich braci, George'em Jacobsem, zniedołężniałym starcem z Salem, i Johnem Willardem, młodym człowiekiem opiekującym się jedną z opętanych dziewcząt, który pewnego ranka obudził

się, by się przekonać, że ręka niosąca pomoc często jest gryziona jako pierwsza.

10 SIERPANIA obudziłam się w poczuciu absolutnego spokoju. W ciągu dnia upał panował jak zwykle, ale pod wieczór niespodziewanie się oziębilo. Chłód był tak przejmujący, że wspiełam się na strych i z kufra babki wyciągnęłam starą kołdrę. Pod nią leżała serwetka, z taką miłością wyhaftowana dla mnie przez Margaret, a w nią był zawinięty kawałek starego porcelanowego naczynia. Jedno i drugie ukryłam pod koszulą i z Hanną w ramionach schowałam się pod kołdrą, czując, jak ostry odłamek kłuje mnie w żebra niczym oskarżycielski palec. Kiedy rano wstałam z łóżka, odziałam się z nadzwyczajną starannością, palcami rozczesałam te kołtuny, z którymi grzebień nie mógł sobie poradzić, i porządnie schowałam włosy pod czepkiem. Założyłam pończochy, tak mało ostatnio noszone, i kawałkiem szmaty przetrarłam buły, dobywając połysk spod brudu. Z tego co miałam, przygotowałam śniadanie dla naszej czwórki, po czym stanęłam przed drzwiami z głową zwróconą na północ, czekając na przybycie gościa - ponieważ wiedziałam, że przyjedzie dzisiaj, tak jak moja matka zawsze wiedziała, że za chwilę zjawi się sąsiad z niezapowiedzianą wizytą.

Wkrótce nadjechał z nakazami dla mnie i Toma i podejrzewam, że widok małego strażnika czekającego na niego na progu był dla niego mocnym wstrząsem. Posterunkowy pokazał nakazy ojcu, ten jednak ani na chwilę nie oderwał od niego wzroku, a ja wyczuwałam kwaśny odór zalewającego go falami strachu. Posterunkowy dojrzał w rączkach Hanny lalkę i wyrwał ją brutalnie.

- Mam przywieźć do sądu wszystkie lalki, które znajdę - rzekł tylko.

Hanna nie przestawała rozpaczliwie zawodzić, nawet kiedy posterunkowy przeprowadził nas przez podwórze i

wsadził na wóz. Skrępował nas, ale niezbyt mocno i już po chwili uwolniliśmy się z więzów i mogliśmy siedzieć, trzymając się za ręce.

Gdy posterunkowy wsiadał na wóz i ujmował lejce, ojciec chwycił konia za uzdę i trzymał tak mocno, że zwierzę nie mogło unieść łba.

- Znasz mnie, Johnie Ballardzie.

- Tak, znam cię - wykrztusił z trudem posterunkowy.

- Ja ciebie też znam. Będzie lepiej, jeżeli moje dzieci dotrą do Salem w takim samym stanie, w jakim stąd odjeżdżają.

Ojciec puścił uzdę i odstąpił, pochylając się, by złapać Hannę za koszulę i odciągnąć ją od kół wozu.

- Ja dzieciom nie zrobię krzywdy - powiedział John Ballard, ściągając lejce. - Ale kiedy dotrą do sądu, nie będę mógł nic poradzić.

Ruszyliśmy Boston Way Road. Tom i ja siedzieliśmy przytuleni, Hanna biegła za nami z płaczem, krzycząc, żebyśmy wracali, przerażona, że musi zostać bez nas, tylko z ojcem, tym wielkim i nieruchomym człowiekiem stojącym przed domem.

W OWA ŚRODĘ, 10 sierpnia, w domu modlitwy przemienionym na sąd znajdowało się dziewięciu sędziów, poza tym sędziowie przysięgli, powodowie, świadkowie i zwykli ciekawscy przybyli w takiej mnogości, że dorośli mężczyźni musieli siedzieć na kolanach innych, by móc się przyglądać przesłuchaniu małych dzieci. Poza czteroletnią Dorcas Good byliśmy najmłodszy pośród oskarżonych i wszystkie oczy, gesty, oddechy były skierowane na nas, gdy prowadzili nas przez tłum, aż stanęliśmy kilka stóp przed zgromadzonymi dostojnikami. John Ballard wręczył głównemu sędziemu moją lalkę, a kiedy dokument doprowadzenia został podpisany, odszedł, nawet na nas nie

patrząc. Sędziowie, szeleszcząc papierami, rozmawiali między sobą z powagą, a ja spod opuszczonych rzęs zerkałam na lewo i prawo, by się przyjrzeć ich twarzom. Serce tłukło mi się w piersi, a przed oczami fruwały mi ciemne plamki, zupełnie jakby jego uderzenia wprowadzały powietrze w ruch. Poczułam, że Tom przybliżył się do mnie i stał tak, aby jego ramię dotykało mojego.

Sędziowie po kolei przekazywali sobie z maltretowaną, zniszczoną przez Hannę lalkę, a powaga, z jaką jej się przyglądali, stała w takiej sprzeczności z ich powołaniem, że na ustach pojawił mi się drżący uśmiezek. Czułam, jak jego kompan, nerwowy gwałtowny śmiech, zaczyna ku mojemu przerażeniu narastać mi w gardle, i aby go stłumić, przycisnęłam dłoń do ust. Taki sam nieproszony śmiech jak tamten, który mnie dopadł na widok facecji wyprawianych przez czarnego chłopca w domu modlitwy w Andover, a teraz mógł uczynić ze mnie roztrajkotaną małą w obliczu mężczyzn mogących jednym słowem położyć kres mojemu życiu. Po mojej prawej stronie nastąpiło jakieś poruszenie, a gdy obróciłam głowę, ujrzałam grupkę młodych kobiet i dziewcząt, pogrążonych w nieskrywanym cierpieniu. Wszystkie miały przy ustach dłonie, jakby ktoś je tam przybił, one same zaś skrzeczały i jęczały, usiłując wydusić poprzez palce jakieś słowa.

- Ona nie chce, abyśmy przemówiły - jedna z dziewcząt zdołała wykrztusić. - Nie chce pozwolić, żebyśmy zeznawały. Och, mój język, mój język, pali mnie, cały płonie...

Spojrzałam ponownie na sędziów.

- Od jak dawna jesteś czarownicą? - zwrócił się do mnie najważniejszy z nich, John Hawthorne, ten sam, który skazał moją matkę na powieszenie.

Przez chwilę nie mogłam nic powiedzieć ani oderwać dłoni od ust, wobec czego zapytał mnie ponownie, zniżając

głowę i wypowiadając słowa powoli i wyraźnie, jak ktoś przemawiający do dziecka idioty.

- Od jak dawna jesteś czarownicą? Opuściłam rękę.

- Odkąd skończyłam sześć lat - powiedziałam.

Ze wszystkich ławek rozległo się zbiorowe westchnienie, szybko jednak zapadła cisza, nikt bowiem nie chciał stracić ani słowa.

- Ile lat masz teraz? - zapytał John Hawthorne.

- Prawie jedenaście.

Czułam na sobie spojrzenie Toma i przez wzgląd na niego starałam się opanować drżenie twarzy.

Sędzia zaczął, dając skrybie czas na zapisanie mojej odpowiedzi, po czym nagle zadał kolejne pytanie, jakby chciał zmylić mnie i zmusić do wyjawienia prawdy.

- Kto uczynił cię czarownicą?

Popatrzyłam na niego oczami wielkimi z przerażenia, z rozchylonymi ustami, jakbym próbowała złapać powietrze uciekające mi z płuc, niezdolna przemówić. Od dawna byłam przygotowana na przedstawienie im historii, którą pragnęli usłyszeć i w której miałam wyznać swoją winę: że latałam na miotle, a palce kurczyły mi się pod wpływem wiatru, że piekłam chleb na ołtarzu czarownic, że tańczyłam na grobach ich matek. Ale oto nadeszła owa chwila, i to tak szybko. Byłam jak ktoś zagubiony na stromym brzegu oceanu, niezdolny wspiąć się na wznoszącą się za plecami skałę, ale też zbyt przerażony, by skoczyć w szalejące w dole wiry. Czas płynął, a ja słyszałam, jak stojące obok mnie dziewczęta poruszają się niespokojnie. Każda z nich nader chętnie wymieniłaby imię, dwa, nawet trzy, gdybym ja nie podała żadnego, które można by zapisać czarnym atramentem na czekającym cierpliwie papierze. Poczułam, że Tom wciska mi coś do ręki. Rozpoznałam gładką twardość małego rzecznoego kamienia i zamknęłam go mocno w dłoni. I wtedy podałam im

imię, na które wszyscy czekali. Imię kobiety, już uwięzionej, czekającej na śmierć.

Zrobiłam krok w przepaść i powiedziałam:

- Moja matka.

Wszędzie pojawiły się zadowolone kiwnięcia głowami, a jeden z pomniejszych sędziów zwrócił się do Johna Hawthorne'a głośnym szeptem:

- Jak do tego doszło?

Główny sędzia popatrzył na mnie i powtórzył pytanie tak głośno, jakbym była głucha.

- Kazała mi położyć rękę na książce.

Westchnienia, jakie napłynęły od strony ławy, były zadowolone i wyczekujące jednocześnie, zupełnie jakbym dobyte z fartucha bochen świeżo upieczonego chleba. Powiodłam wzrokiem po twarzach znajdujących się przede mną mężczyzn i ujrzałam na nich zainteresowanie i wrogość, ciekawość i strach, w żadnej jednak nie dopatrzyłam się niczego, co choć po części zdradzałoby współczucie, litość czy przynajmniej cień wątpliwości. Za plecami usłyszałam cichy zwierzęcy odgłos, a kiedy odwróciłam głowę, zobaczyłam jedną z opętanych dziewcząt miauczącą niczym kot. Jak ja, ubrana była w zwykłą wełnianą suknię domowej roboty i prosty czepek, spod którego wychodziły rude włosy, mogłybyśmy więc uchodzić za siostry. Ale w jej oczach wyczytałam jedynie nienawiść. Nagle zebrało mi się na mdłości, ciemna kurtyna przysłoniła mi wzrok i musiałam mocno przytrzymać się ramienia Toma.

- Mów dalej - rozkazał sędzia John Hawthorne, a jego głos zdawały się tłumić grube zwoje szorstkiej materii, znaczenie słów ginęło zaś w dźwiękach, jakie dobywały się z jego ust.

Kolana ugięły się przede mną i poczułam, jak Tom obejmuje mnie, podnosi, zmusza, bym stała prosto. Główny

sędzia skinął na urzędnika, by zaprzestał pisania, po czym zwrócił się do mnie, splatając mocno ręce.

- Czy wiesz, gdzie się znajdujesz? Skinęłam głową.

- Czy wiesz, do kogo się zwracasz? Ponownie przytaknęłam.

- Wobec tego wiesz, że wydobędziemy z ciebie prawdę. Musisz odpowiadać na wszystkie pytania, chętnie i nie pomijając niczego, inaczej bowiem źle to się dla ciebie skończy. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Twój młody wiek nie skłoni nas do żadnej pobłażliwości i jeżeli nie wyjawisz nam całej prawdy o twoim udziale w uprawianiu czarów, wystawisz na ryzyko swoją nieśmiertelną duszę. Ciało można poświęcić, ale dusza raz stracona, jest stracona na zawsze.

Słowa przebiły się przez zagłuszającą je osłonę, a po nich zapadła taka cisza, jaka panuje, zanim siekiera dosięgnie szyi przeznaczanego na ubój kurczaka. A gdy siekiera już opadnie i wbije się w ciało oraz kości, rozlega się tępy, stłumiony dźwięk, jaki wydaje ciężka zasuwa blokująca drzwi na dobre lub stos papierów przesuwany ze stołu jednego urzędnika na stół drugiego. Sędzia Hawthorne skinął na urzędnika, by był w gotowości, i ponownie zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Jak zostałam czarownicą?

- Matka kazała położyć mi rękę na księdze.

Wiedziałam, że oni myślą o księdze szatana, jak jednak oczami wyobraźni widziałam czerwony pamiętnik matki zakopany u stóp samotnego drzewa na Gibbet Plain. Pamiętnik, którego przysięgłam strzec i chronić przed ludźmi takimi, jak oni wszyscy tutaj.

- Jak położyłaś rękę na księdze?

- Dotknęłam jej palcami. Księga była czerwona. Czerwona jak krew. A jej stronice były białe. Tak białe jak... - ściszyłam głos i widziałam, jak urzędnik się wysiła, by mnie

usłyszeć, kiedy jednak spojrzałam na niego, spuścił wzrok i sięgnął po czystą kartkę papieru, jak gdyby moje ostatnie słowa nie mogły skalać pierwszej strony.

- Czy kiedykolwiek widziałaś czarnego człowieka? - zapytał mnie inny sędzia.

- Nie - odparłam, chcąc dodać: „Żadnego poza wami”, jak to uczyniła moja matka.

- Gdzie dotykałaś księgi? - spytał trzeci sędzia. - Kto był tam z tobą?

Moja odpowiedź niewiele mijła się z prawdą.

- Na pastwisku Andrew Fostera, obok Foster's Pond. Prawie na Bibbet Plain. - Po chwili milczenia dodałam: - Moja ciotka Mary była tam. I moja kuzynka Margaret.

Pogrążyłam Margaret jak i siebie, ale tylko odrobinę, bo przecież i tak czekała już na mnie w więzieniu. Ostre krawędzie odłamka naczynia przesunęły mi się pod koszulą, a ja w ramach pokuty przycisnęłam je mocniej do ciała. W końcu będę mogła dać go Margaret, jako że wkrótce zostaniemy siostrami w zamknięciu. Padały dalsze pytania, a ja podawałam im nazwiska tych, którzy już byli aresztowani. Z każdą kolejną odpowiedzią wyobraźnia coraz bardziej mnie ponosiła, a im bardziej niestworzone rzeczy opowiadałam, tym przychylniejsi stawali się sędziowie. Gdy w końcu ze mną skończyli, o to samo zaczęli pytać Toma, a on odpowiadał identycznie jak ja. Nasza matka była czarownicą i rzuciła nas na pastwę szatana. Jedynym dla nas ratunkiem będzie skrucha i uwięzienie, jedno i drugie po równo.

Nasze zeznania zostały spisane, świadkowie dodatkowo nas obciążali. Phoebe Chandler została wezwana pierwsza i oświadczyła sędziom, że rzuciłam na nią klątwę i sprowadziłam chorobę. Strach krępował ją tak okrutny, że mogła mówić jedynie szeptem, i raz po raz przykazywano jej mówić głośniej, by sędziowie mogli ją usłyszeć. Jednakże to

nie sędziów tak się lękała, lecz młodych kobiet z Salem Village, które stały i głośno szeptały za jej plecami. Następnie pojawiła się Mercy Williams, skromna i przybita, i gruba niczym kuropatwa. Powiedziała, że raniłam ją, wbijając szpilki w lalkę, po czym na dowód wyjęła z fartucha jedną z owych rzekomych szpilek, którą tak naprawdę mi ukradła. John Hawthorne wyciągnął rękę i ku wielkiemu niezadowoleniu Mercy zatrzymał szpilkę do dyspozycji sądu. Kiedy się odwracała, by wyjść, nasze spojrzenia na chwilę się spotkały i od razu wiedziałam z całą pewnością, że nosi w brzuchu czyjś bękarta. Jej zaokrąglone policzki, pulchne dłonie, jedna wciąż oszpecona blizną w kształcie sierpa księżycyca w miejscu, gdzie ją ugryzłam, jej paskudna cera, teraz zarumieniona i wilgotna, niezbicie dowodziły, że o jeden raz za dużo zadarła swoją czerwoną spódnicę w jakimś ustronnym ciemnym miejscu.

Ostatnim świadkiem był Allen Toothaker. Zeznał, że gdy minionego marca bił się z Richardem przed naszą stodołą, nie tylko zjawa matki, ale również moja sprawiły, że nie mógł się poruszyć. Powiedział, że często dręczyła go zjawa pod moją postacią, przez co bardzo cierpiał. Odprawiono go, a gdy przechodził obok mnie, uniósł kciuk do twarzy i wolno przesunął nim po nosie. Długo czekał, by odpłacić mi za to, co zrobiłam po jego utarczce z Richardem. Niewielką satysfakcję sprawił mi widok półokrągłej blizny na jego policzku, wciąż czerwonej i zaognionej od żarzącej się wiązki słomy, którą chciał podpalić naszą stodołę. Blizna była jak piętno tchórza i oszczercy.

Gdy wyprowadzano nas z budynku, przed obliczem sądu stanęła młoda kobieta, którą kiedyś widziałam w domu modlitwy w Andover. Była wnuczką wielebnego pana Dane'a i jako pierwszą z jego rodziny czekał ją proces. Wzrok miała nieruchomy, wbity w jeden punkt, jakby szła śpiąc, a za nią

ciągnęła się strużka żółtawego płynu, którego wydalenia jej sparaliżowane strachem ciało nie było w stanie powstrzymać.

Tom i ja wsiedliśmy na inny wóz. Pokonaliśmy pięć mil do Salem Town, jadąc na wschód główną ulicą. Przez całą drogę towarzyszył nam ostry zapach słonej wody napływający od strony South River. Gdy mijaliśmy jakiś znaczący dom, szeryf George Corwin wołał: „Oto dom waszego sędziego Jonathana Corwina”. „Oto dom waszego sędziego Johna Hawthorne'a”. „A oto jest dom modlitwy”. Zupełnie jakbyśmy się zgubili i pytali o wskazanie powrotnej drogi do domu. Tuż przed skretem na północ, w Prison Lane, szeryf wskazał na kolejny dom.

- Ten tam to dom dawnego gubernatora, Simona Bradstreeta.

Na dźwięk tego nazwiska naszyły mnie wspomnienia, jak wspólnie z matką czytałyśmy wiersze jego żony, Anne Bradstreet. Jednakże nie umiałam sobie przypomnieć wersów o zwycięskiej nadziei, pamiętałam tylko te, które mówiły o stracie.

Mój miły dobytek wnet w popiół się stoczył, Już go nie zobaczą nigdy moje oczy. Pod dach nie przybędą już też goście miii, Ani przy tym stole głodny się posili. Pogwarki nie będą już uszu radować, Ani nie obudzą przeszłych czynów słowa. Świeca nie rozbłyśnie w ścianach domu tego, Ani się rozlegnie głos pana młodego.

Cisza wieczna tylko się nad nim roztoczy... Kiedy przychodzimy na świat i akuszerka wyciąga nas z ciemności matczynego łona, czujemy najpierw zapach nowej rzeczywistości, w której odtąd będziemy żyli. Niemowlęta są niemal ślepe, nie mają siły, by kontrolować swoje ruchy, ale zanim skończą pięć minut, już potrafią obrócić główkę ku piersi wypełnionej mlekiem, bez przerwy kręcąc i poruszając noskiem. Gdy szeryf Corwin prowadził Toma i mnie

schodami w dół ku celi, pierwszym, co powitało nas w naszym nowym domu, był jego zapach.

Wejście tam przypominało zanurzenie głowy w zmoczonej deszczem kupie gnoju, która następnie została szczelnie okryta płótnem i pozostawiona na gorącym słońcu. Odór rozkładu był tak silny i przenikliwy, że do oczu napłynęły mi łzy, a wewnątrz nosa i gardła zapiekło mnie żywym ogniem. Nie był to jednak tylko smród ludzkich odchodów, lecz także słodko - kwaśna woń zepsutego jedzenia oraz czegoś, co wciąż jeszcze żyło, choć częściowo było już martwe: stęchlizny, rdzy, bagna. Smród rozkładających się na torfowisku pałek wodnych i sitowia.

Ściany z kamienia były zimne w dotyku. Stopy ślizgały mi się niebezpiecznie, gdy po omacku schodziłam po schodach, jedną ręką trzymając się przymocowanego do muru sznura, drugą zaś przytrzymując fartuch przy twarzy. Usłyszałam, jak podążający za mną Tom przystaje i wymiotuje, szeryf jednak pchnął go, nakazując, by szedł dalej. Gdy dotarliśmy na dół schodów, wokoło panowała ciemność i cisza. Cisza tak wielka, że w pierwszej chwili pomyślałam, iż w piwnicy poza nami trojgiem nie ma nikogo. Wkrótce jednak poprzez żelazne kraty dostrzegłam błyski światła rzucane przez nieliczne ogarki świec, ustawione tu i ówdzie. Usłyszałam charkot jakiegoś kaszłającego mężczyzny, zawtórowało mu chrząknięcie jakiejś kobiety. Rozległ się szelest ciał poruszających się w słomie i zbliżających ku nam.

Gdy mój wzrok przywykł do słabego światła, ujrzałam, że stoimy w wąskim korytarzu, z długą, zabezpieczoną żelaznymi kratami celą po prawej stronie i dwoma mniejszymi po lewej. Spomiędzy krat wystawały kłykcie zaciśniętych na żelazie dłoni. W świetle latarni szeryfa połyskujące białe dłonie zdawały się kończyć na nadgarstkach, ponieważ panujące w celach ciemności nie pozwalały dojrzeć ciał, do

których należały. Szeryf wyjął z płaszcza pęk kluczy, otworzył drewniane drzwi wiodące do większej celi i gestem nakazał nam wejść do środka.

- Chłopcze, póki co będziesz w celi dla kobiet - zwrócił się do Toma. - W tej chwili w celi dla mężczyzn nie ma miejsca. Ale spróbuj naprzykrzać się której z kobiet, a zostaniesz zakuty w dyby. Zrozumiałeś mnie, chłopcze?

W celi panował jeszcze silniejszy i bardziej obrzydliwy smród niż na schodach, a powietrze było zimne i wilgotne. Cofnęłam się o kilka kroków, następując szeryfowi na palce, zanim jednak zdążył mnie odepchnąć, Tom ujął mnie za rękę i wprowadził do celi. Drzwi zatrzasnęły się szybko i zostały zaryglowane, a my usłyszeliśmy oddalające się kroki szeryfa Corwina, gdy się wspinał po schodach do pomieszczenia na górze. Staliśmy w milczeniu, trzymając się mocno za ręce. Baliśmy się poruszyć, dopóki światło przebijające się przez wąskie otwory w odległej ścianie nie pozwoliło nam ocenić wysokości i szerokości naszego nowego domu. Podłogę pokrywała słoma i słyszeliśmy nieustanny szelest poruszających się na niej ciał. Z wolna zaczęliśmy je odróżniać. Z początku stopy, potem nogi i wreszcie ciała i twarze kobiet, całych dziesiątek kobiet leżących, siedzących lub stojących w celi, wpatrujących się w nas, z oczami skierowanymi wyłącznie na nas. Szukałam znajomej twarzy, jakiegokolwiek znajomej twarzy, aż w końcu otworzyłam usta.

- Matko? - zawołałam ochryple.

Na dźwięk mojego głosu kilka kobiet jęknęło bądź pokręciło głowami, a jedna młoda kobieta u moich stóp zaczęła płakać. Znikąd jednak nie rozległo się: „Jestem tutaj”.

Zrobiłam kilka kroków ku tylnej ścianie i znowu zawołałam:

- Matko?

Znowu nie doczekałam się odpowiedzi, zaczęłam więc iść dalej i nadepnęłam na starą kobietę, myśląc, że to rzucona na ziemię kupa szmat. Kobieta wrzasnęła i zerwała się, osłaniając twarz rękami, jakby broniąc się przed mającym zaraz nastąpić ciosem. Kręciłam głową na wszystkie strony, szukając, szukając mojej matki, przyciskając ręce do piersi, drżąc i dygocząc z zimna i strachu. Wszystkie oczy wpatrywały się we mnie, ale nikt nie przemówił, aż wreszcie cisza stała się gorsza od smrodu. Cofnęłam się i stanęłam znowu obok Toma, i wtedy usłyszałam, że ktoś woła moje imię. Głos był słaby, docierał do mnie z wielkiej odległości, stłumiony jakby przez gruby koc.

- Matko? - zawołałam raz jeszcze.

I znowu dotarł do mnie głos, dobiegał od strony korytarza, podbiegłam więc do oddalonych o kilka stóp krat. Rozległy się pełne oburzenia wrzaski i chamskie protesty siedzących pod niską ścianą kobiet, gdy wspinałam się po nich, by sięgnąć kraty. Ja jednak na nic nie zważałam. Podeptałabym setkę ciał, byle tylko dotrzeć do źródła głosu. Chwyciłam się żelaznej kraty i przywarłam do niej twarzą.

- Matko, gdzie jesteś?! - zawołałam.

- Tutaj, Saro, jestem tutaj.

Z odległej celi po drugiej stronie korytarza ujrzałam wyłaniającą się silną, przywołującą mnie rękę. Dłonią zwrócona była ku górze, jakby chciała złapać krople deszczu, a może dźwięk mojego głosu. Nadgarstek, silny i smukły niczym sprężysta szyja klaczy, miała skuty w żelazne kajdany z łańcuchem.

- Matko, mamó, mamó, matko...

Powtórzyłam to chyba ze sto razy, podobnie jak ona, odpowiadając mi. I tak nawoływałyśmy się, aż wreszcie szeryf wrzasnął na nas z pomieszczenia na górze:

- Uciszcie się albo pożałujecie!

Zniżyłyśmy głosy do szeptu i wtedy usłyszałam Richarda, mówiącego do mnie dokładnie z naprzeciwka, po drugiej stronie korytarza. Wraz z Andrew przebywał w położonej bliżej, mniejszej celi dla mężczyzn i wszyscy w trójkę szeptem rozmawialiśmy o różnych drobiazgach: że Tom jest ze mną i że póki co jesteśmy bezpieczni. Richard opowiedział nam o ranach na przegubach Andrew, których ten się nabawił podczas tortur dziesięć dni temu. Nie powiedział natomiast, że Andrew zaczął gorączkować od zakażenia, jakie wdało się w poranione miejsca. Nie rozmawialiśmy o procesach ani o mających zapasć wyrokach, kiedy jednak matka zapytała o Hannę, nie miałam dla niej żadnej odpowiedzi. Od chwili gdy się zbliżyłam do domu modlitwy w Salem, ani razu nie pomyślałam o swojej siostrze. Wkrótce kobiety pod ścianą chciały odzyskać miejsca, musiałam więc odsunąć się od krat i wrócić na środek celi, gdzie czekał na mnie Tom, siedząc w pełnym udręki milczeniu.

Jakaś kobieta podpełzła do nas wolno. Suknię miała brudną, zniszczoną, a od łańcuchów, które leżały na jej fartuchu, pokrytą plamami rdzy.

- Dzieci, usiądźcie koło mnie - odezwała się cicho. - Jesteście w dobrej celi. Dobrze, że nie w tamtych. Znajdźcie sobie miejsce przy mnie i odpocznijcie.

Na jej twarzy malowała się dobroć, a ręce, którymi ujęła moje stawiające opór palce, były delikatne. Popatrzyłam na otaczające mnie kobiety, brudne, zagłodzone, wszystkie zakute w kajdany, nawet te najmłodsze, i zastanawiałam się, co miała na myśli, mówiąc, że jesteśmy w „dobrej” celi. Nie wiedziałam, że większość kobiet w tamtej drugiej, najbardziej oddalonej celi, była skazana na śmierć, a moja matka dzieliła los z piętnastoma innymi męczennicami w pomieszczeniu przeznaczonym dla sześciu, najwyżej siedmiu osób.

Siedzieliśmy kilka godzin obok dobrej kobiety, gdy się pojawił kowal i zakął nas w kajdany, za które ojciec będzie musiał zapłacić szeryfowi.

Mężczyzna był szorstki i opryskliwy, ale znalazł się na swoim rzemiośle i ani razu ręka mu nie drgnęła, gdy walił swoim młotem, by zamknąć kajdany. Niejedno ramię czy kostka mogły zostać zmiażdżone, gdyby nie dość uważał. Łańcuchy skuwające niektóre z kobiet, zwłaszcza te przebywające w więzieniu najdłużej, były przeciągnięte przez kółko przytwierdzone do ściany lub podłogi, my jednak, ponieważ byliśmy bardzo młodzi, mogliśmy poruszać się swobodnie. Wkrótce nadeszła pora, kiedy szeryf wpuszczał na korytarz pojedynczo członków rodzin uwięzionych, by przez kraty podali jedzenie czy ubranie. Czas, jaki mogli spędzić w korytarzu, zależał od ilości monet lub towarów, jakie wręczali strażnikowi. Prawie nikt nie miał monet, wobec czego pozostawało im jedynie kilka chwil na dodanie otuchy, wspólną modlitwę lub pożegnanie. Drzwi celi rzadko stawały otworem dla odwiedzających, chyba że był to kapłan albo jeden z nielicznych lekarzy, którzy przychodzili do więźniów z dobroci serca. Otwierano je również, by wynieść ciało kogoś, kto zmarł w nocy. Było już późne popołudnie, gdy wraz z Tomem ujrzeliśmy, jak korytarz pogrąża się w mroku od cienia rzucanego przez pochyloną sylwetkę naszego ojca zbliżającego się do krat. Korytarz był wysoki na nie więcej niż sześć stóp, wkopany na trzy stopy w głąb skalistego podłoża i trzy kolejne sięgające do kamiennych fundamentów, na których się wspierał cały budynek. Ojciec chwycił dłońmi kraty i zawołał nas.

- Dobry Boże... - powiedział, gdy ujrzał nas zakutych w kajdany. Nie miał jednak czasu na roztkliwianie się, ponieważ musiał jeszcze podać jedzenie Richardowi, Andrew i matce,

zanim szeryf każe mu wyjść. Dał mi mały bochenek chleba i skórzany bukłak z wodą, szal dla mnie i płaszcz dla Toma.

- Saro, posłuchaj mnie uważnie - rzekł pośpiesznie. - Najpierw wypijcie wodę z bukłaka, a potem, jeżeli będziecie musieli, pijcie tylko z otwartej beczki. Ten chleb musi wam wystarczyć na jakiś czas. Jak będziecie żuli go wystarczająco długo, wyda się wam, że jest go więcej. Następnym razem spróbuję przynieść mięso, ale chyba dopiero za kilka dni. Dlatego musisz mi być posłuszna. - Sięgnął przez kraty i przyciągnął mnie do siebie. - Nie dziel się tym chlebem z nikim poza Tomem. Tu są kobiety, które umierają z głodu i będą cię błagać, ale jeżeli mnie nie posłuchasz, rozchorujecie się i umrzecie. Słyszysz, Saro?

Skinęłam głową i schowałam chleb w fartuchu.

- Tom - zwrócił się ojciec do mojego brata. - Czy pamiętasz, co ci powiedziałem tamtego dnia, kiedy zrzuciłeś uprząż na polu? Pamiętasz? - Tom przytaknął. - Nadeszła pora. Wrócę, kiedy będę mógł.

Odwrócił się, by odejść, a ja przypomniałam sobie nagle o swojej siostrze.

- Gdzie jest Hanna? - zawołałam. Ojciec pochylił głowę na chwilę.

- Jest z rodziną wielebnego pana Dane'a - odparł. - Zaopiekują się nią.

Żona wielebnego była dobrą kobietą, ale surową, i nie wiedziałam, jak potraktuje Hannę, zaledwie trzyletnią, dziką, brudną, domagającą się nieustannej uwagi. Przez wiele miesięcy byłam dla niej matką, a teraz znowu odebrano jej rodzinę. Zapłakałam, przypominając sobie, ile razy traktowałam ją źle i z niecierpliwością.

Ojciec przeszedł na drugą stronę korytarza, by podać Richardowi, Andrew i wreszcie matce odrobinę jedzenia. Gdy ręce matki wysunęły się spomiędzy krat, przycisnął je do

swoich oczu i wyrzekł do niej kilka słów. Wtedy szeryf krzyknął na niego i ojciec wyszedł, a popołudnie przeszło w zmierzch. Nasza cela, nasza „dobra” cela wychodziła na zachód i promienie zachodzącego słońca przeniknęły na chwilę do jej wnętrza przez wąskie szczeliny wysoko w murze, zabarwiając nasze twarze na czerwono i żółto, jakby słoma stała w płomieniach i paliła nas żywcem.

Już PO KILKU godzinach robactwo załęgło się w moich włosach i obudziłam się w nocy, czując, że pali mnie skóra na głowie. Zaczęłam ją drapać i szarpać paznokciami, a skaczące wszy łaskotały mnie w palce. Gdzieś pod przeciwległą ścianą jakaś kobieta zaczęła zawodzić rozdzierająco.

- O Boże, mój ząb. O Boże, mój ząb... - powtarzała w kółko.

Nie umilkła mimo próśb, a nawet grubiańskich przekleństw. Zrobiło się zimno i otuliłam się szczelniej szalem. Popatrzyłam na Toma, ale jego regularny oddech upewnił mnie, że jest pogrążony w głębokim śnie. Kobieta jęczała jeszcze przez co najmniej godzinę, aż w końcu jedna ze współwięźniarek podsunęła jej butelkę z jakimś płynem. Wkrótce zawodzenie przeszło w jęki, aż wreszcie kobieta straciła przytomność.

Bez przerwy słyszałam, jak coś szeleści w słomie, i raz zobaczyłam parę błyszczących ślepi osadzonych wąsko na szpiczastym pyszczku. Szczur popatrzył na mnie, obwąchując ukryty w moim fartuchu chleb. Kopnęłam go i cofnął się w słomę, ale nie uciekł. Kopnęłam go mocniej i zanurkował w ciemne sitowie pod słomą. Drzemałam niespokojnie, aż mętne światło poranka przesączyło się do celi, pozwalając mi wyraźniej dostrzec twarze otaczających mnie kobiet. Po kolei otwierały oczy, niektóre witając ból, inne rozpacz, jeszcze inne, by się pomodlić o zbawienie lub pogodzenie się z losem, lecz wszystkie tak samo od nowa przeżywały koszmar

uwięzienia. Wszystkie owe żony, matki i siostry oszołomione odkrywały, że zostały oskarżone, uwięzione i najwyraźniej zapomniane przez tychże samych sąsiadów, dla których jednak w dobrej wierze pracowały, za których się modliły i którym pomagały przy porodach.

Niektóre były takimi flejtuchami, że czołgały się do kubłów na odchody i podcierały się, nie bacząc na czystość i skromność, nie poprawiały fartuchów, nie sznurowały staników, nawet nie przekładały pończoch na drugą stronę. Większość jednak starała się jakoś o siebie zadbać: kobiety ocierały twarze rękawami, czyściły zęby rąbkiem fartuchów, co było pełne godności, ale jednocześnie żalosne. Dzieliły się też wszystkim, co miały. Wyszczerbiony grzebień przekazywany był z ręki do ręki delikatnie i z taką powagą, jakby był świętą relikwią. Odrobina maści trafiała do każdej, która miała rany od kajdan. Niejedna halka została podarta na opatrunki. Nie było owczej wełny ani miękkich skrawków skóry dla tych kobiet, które miały comiesięczne krwawienia, i wiele dziewcząt ze wstydem przytrzymywało w rękach tył spódnicy, by ukryć ciemne, rdzawe plamy.

Nadeszła chwila, gdy jedna z kobiet zaczęła krążyć po celi, prosząc o odrobinę jedzenia dla tych, które bądź nie miały rodziny, bądź ich krewni byli zbyt biedni, by przyjść i podać przez kraty choć kęs chleba. Nazywała się Dorcas Hoar, została aresztowana w Beverly i uwięziona w kwietniu. Była stara i kulawa, ale zachowywała się z godnością, a gdy podeszła do Toma i do mnie, w jej oczach widniało współczucie. Kiedy jednak wyciągnęła rękę, spuściłam oczy i powiedziałam, że nie mamy nic do dania. Czułam na sobie jej spojrzenie i ze wstydu krew napłynęła mi do twarzy. Kobieta nachyliła się i położyła mi rękę na głowie.

- Niech cię Bóg błogosławi i zachowa, dziecko - rzekła.

Przeszła do następnej kobiety i do następnej, aż uzbierała kilka okruchów.

Obróciłam się twarzą do ściany i ukradkiem wsunęłam rękę do kieszeni fartucha. Oderwałam kawałek chleba i zgmiotłam w palcach, by zrobił się mniejszy. Uniosłam rękę do twarzy, jakbym chciała powstrzymać ziewnięcie i wepchnęłam kulkę do ust. Żułam ją tak długo, aż zupełnie się rozpuściła i dopiero wtedy połknęłam. Mój żołądek, pobudzony do życia, zaburczał głośno, zjadłam więc jeszcze jeden kawałek, przez cały czas myśląc, że może byłoby lepiej, gdybym nie zjadła nic, zamiast tej odrobiny, przez którą tym dotkliwiej poczułam szarpiący głód.

Trąciłam Toma i podałam mu kawałek chleba, po czym wstałam, by pójść do kubła z nieczystościami i przy okazji rozprostować ścierpnięte nogi. Kubły stały na dwóch końcach celi i ten bliżej mnie był już prawie całkiem pełny, a podłoga wokół niego ciemna i oślizgła. Postanowiłam więc pójść do drugiego. Skuwające mnie łańcuchy były ciężkie i stapałam niepewnie. Patrzyłam pod nogi, by się nie potknąć i nie nadepnąć na kogoś, wobec czego w pierwszej chwili nie zauważyłam twarzy kobiet, których poprzedniego wieczoru nie widziałam w panujących ciemnościach. Kiedy się zbliżyłam do kubła, podniosłam wzrok i dostrzegłam ciotkę - opierała się plecami o najdalszą ścianę. Wraz z nią, z głową wspartą na jej kolanach, siedziała Margaret.

Moja radość była tak wielka, że ugięły się pode mną kolana, a z ust wyrwało westchnienie.

- Och.

Oczy nabiegły mi łzami i wyciągnęłam ku nim ręce, potykając się o coś, a może o kogoś.

- Ciociu...

Jakaś kobieta podtrzymała mnie, kiedy mój uśmiech stopniowo gasł i znikał. Nie było wątpliwości, że miałam

przed sobą siostrę mojej matki, ona jednak spojrzała na mnie ze złością i jawną niechęcią.

- Ciociu - powiedziałam znowu. - To ja, Sara - dodałam.

Lecz jej spojrzenie stało się jeszcze twardsze, a ramię obejmujące Margaret zeszywniało. Łańcuchy skuwające przeguby ciotki zwisały przed twarzą Margaret, rzucając na jej policzki okrągłe cienie. Oczy Margaret były skierowane nie na mnie, lecz na jakieś odległe miejsce. Jej usta poruszały się lekko, jakby prowadziła rozmowę z powietrzem, i choć niepodobna, by mnie nie widziała i nie słyszała, ani razu nie spojrzała w moją stronę.

Stałam jak głupia przez kilka chwil, wpatrując się we własne buty.

- Sio - usłyszałam głos ciotki, jak gdyby przeganiała spod drzwi psa albo szczura.

Popatrzyłam na nią, a ona machnęła złowrogo wolną ręką.

- Sio - powtórzyła.

Jej łańcuchy zadzwoniły w panującej ciszy, a ja się odwróciłam i potykając się, wróciłam na swoje miejsce obok Toma, z twarzą zalaną łzami. Ze spuszczoną nisko głową, dygocząc i z trudem łapiąc oddech, rozejrzałam się wokoło i zobaczyłam, jak wiele par oczu odwraca się ode mnie, jakby moje łzy obnażały mnie i przynosiły mi większy wstyd niż publiczne korzystanie z kubłów na nieczystości.

Poranek przeszedł w południe i zanim nadeszła pora odwiedzin, więźniowie ciągnęli losy, by wyznaczyć tego, którego dzisiaj spotka przywilej wyniesienia kubłów na podwórze, dając okazję do rozprostowania nóg i zaczerpnięcia świeżego powietrza. Najpierw dwie kobiety z naszej celi wyniosą kubły, później ktoś z celi dla mężczyzn wyniesie ich kubel oraz kubel z celi, w której przebywały skazane kobiety. Im nie wolno było opuszczać celi, obawiano się bowiem, że wzbiją się w powietrze i przelecą ponad dachem lub uwolnią

swoje zjawy i na nowo zaczną dręczyć ludzi z Salem Village. Tom i ja, ponieważ byliśmy najmłodsi i przebywaliśmy w więzieniu od niedawna, nie braliśmy udziału w ciągnięciu losów. Kilka odwiedzających rodzin pojawiło się i odeszło, a popołudniowe słońce ogrzało i osuszyło kamienie, które z zieleni przeszły w szarość, a następnie w biel. Gdy nadejdzie ranek, znowu staną się wilgotne i pojawi się mech, niczym wilgotna farba pokrywająca moździerz.

Wpatrywałam się w ścianę pod żelaznymi kratami wychodzącymi na korytarz i ilekroć któraś z siedzących pod nią kobiet wstawiała, by przejść się trochę, natychmiast zajmowałam jej miejsce i wołałam matkę i Richarda. Za każdym razem gdy rozmawialiśmy, ich ręce wyłaniały się spoza krat i sięgały ku mnie, dzięki czemu wiedziałam, że ich głosy są prawdziwe, tak prawdziwe jak kamienie, a nie stanowią tylko wytworu mojej rozgorączkowanej wyobraźni.

W pewnej chwili drzwi do naszej celi otworzyły się i wprowadzono Abigail Faulkner, kobietę mniej więcej w wieku mojej matki. Przystanęła, mrugając oczami w półmroku, a kilka kobiet z Andover jęknęło.

- To córka wielbnego pana Dane'a.

Wraz ze swą siostrzenicą, Betty Johnson, zacna pani Faulkner była jedną z kilkunastu kobiet z rodziny Dane'ów zakutych w łańcuchy. Wykonanie na niej kary śmierci wyznaczono na 17 września, ona jednak powołała się na swoją ciążę i została ułaskawiona. Jej dziecko urodziło się po czasie, w grudniu, już po jej uwolnieniu, jak gdyby koszmar więziennego życia zamknął jej macicę, nie pozwalając maleństwu przyjść na świat w tym cuchnącym i pozbawionym nadziei miejscu.

Dzień przeszedł w wieczór. Kiedy położyłam się obok Toma, zjadłam kolejny mały kawałek chleba i przytuliłam się do brata. Minął Dzień Pierwszy mojego pobytu w więzieniu,

11 sierpnia 1692 roku. Miało upłynąć jeszcze osiem, nim moja matkę powiodą z celi na szubienicę.

KIEDY SIĘ OBUDZIŁAM następnego ranka, z braku snu bolała mnie głowa; tym razem cierpiąca kobieta zawodziła o wiele dłużej, aż wreszcie jakaś litościwa dusza napoiła ją czymś, co pozwoliło jej zasnąć. Po godzinie wsłuchiwania się w jej rozpaczliwe jęki miałam ochotę wrzasnąć: „Na litość Boga, dajcież jej butelkę i pozwólcie nam odpocząć”. Z trudem usiadłam i napiłam się z bukłaka przyniesionego przez ojca. Ku swojej rozpaczy spostrzegłam, że w nocy skóra została przegryziona niemal na wylot i kilka kropli bezcennej czystej wody wsiąkło w podłogę. Kładąc się spać, będę musiała chować bukłak pod stanik, żeby szczury nie zniszczyły go do końca.

Podobnie jak wczoraj również dziś kobiety odprawiały poranny rytuał ubierania się, a zacna pani Hoar znowu krążyła między nimi, prosząc, by się podzieliły z innymi chlebem. Mijając mnie, nie przystanąła.

- Niech Bóg was błogosławi, dzieci - powiedziała tylko i poszła dalej.

Do końca naszego pobytu w więzieniu błogosławiła nas każdego ranka, ale nigdy więcej nie poprosiła o jedzenie. Z napięciem wpatrywałam się w ścianę pod kratami, czekając, aż się zwolni miejsce, bym mogła podejść i porozmawiać z matką, kobiety jednak nie śpieszyły się, by wstać.

Na dźwięk kroków na schodach wszyscy znieruchomieli, czekając w napięciu. Nie nadeszła jeszcze pora opróżniania kubłów, a od odwiedzin dzieliło nas wiele godzin. Schodziły dwie osoby, szybkim ciężkim krokiem szeryfa towarzyszył odgłos stąpania kogoś jeszcze, i zastanawiałam się, czy zanoszą się na jakiś wczesny proces. Drzwi do celi otworzyły się i weszła niska gruba kobieta. Zatrzymała się, rozglądając wokół, jakby kogoś szukała.

- Zona szeryfa - dobiegł mnie czyjś syczący szept.

Drzwi zostały uchylone, ale cień szeryfa Corwina tkwił w progu. Jego żona pewnym krokiem podeszła do zacnej pani Faulkner i wskazała na jej szal.

- Dam ci chleb za twój szal.

- Nie rób tego, panienko - odezwała się charczącym głosem stara kobieta z drugiego końca celi. - Przyda ci się, jak nadejdzie wrzesień.

Zaśmiała się niemiło, a po chwili jej śmiech przeszedł w szczekliwy kaszel. Zaczyna pani Faulkner pokręciła głową i szczerzej otuliła ramiona szalem. Żona szeryfa wzruszyła ramionami i zwróciła się do kilku innych kobiet, według niej przebywających w więzieniu od niedawna, które wciąż jeszcze miały czyste ręce i fartuchy, a także do innych, w bardziej rozpaczliwej sytuacji, które tkwiły tu już od jakiegoś czasu, pytając, czy nie zechcą wymienić swej odzieży za odrobinę jedzenia. Jedna z nich miała na sobie już tylko koszulę, kiedy jednak zaproponowała, że odda jej kraj, zaczyna pani Corwin pokręciła odmownie głową i przeszła dalej. Rozejrzała się raz jeszcze i jej wzrok padł na Toma i na mnie. Podeszła do nas.

- Wstań, żebym mogła ci się przyjrzeć - rzekła, nawet dość miło.

Wstałam, a ona przyciągnęła mnie do siebie, jakby chciała mnie przytulić. Prawą ręką chwyciła mnie za ramię, lewą zaś położyła mi na głowie. Następnie znowu przyciągnęła mnie do siebie i spojrzała na swoją lewą rękę, by dokładnie sprawdzić, dokąd sięga moja głowa. Mierzyła mnie, żeby sprawdzić, jaka jestem wysoka, nie miałam jednak pojęcia, po co to robi.

- Na miłość Jezusa - ktoś krzyknął z oburzeniem. - Zostawcie im ich ubrania. Czy chcecie, żeby ta wilgoć ich zabiła?

Zacna pani Corwin nie zwróciła uwagi na mówiącą i rzekła do mnie:

- Jak wystarczająco zgłodniejecie, wtedy znowu porozmawiamy. Ścisnęła mnie za brodę i wyszła, by szeryf Corwin mógł na nowo zaryglować drzwi.

- Czemu chciała nasze ubrania - szepnęłam do kobiety obok mnie, kiedy żona szeryfa wyszła. - Jest aż taka biedna?

Kobieta prychnęła.

- Ona? To istna bogaczka. Ma więcej monet niż my wszyscy razem wzięci. Daje nam jedzenie za nasze ubrania, a potem sprzedaje je na targu za pieniądze, twierdząc, że to ubrania zmarłych, po które nikt się nie zgłosił.

Zadrżałam i szczerzej opatuliłam się szalem, przyrzekając sobie w duchu, że nigdy nie oddam żonie szeryfa swoich ubrań, choćbym była nie wiem jak głodna.

Tego popołudnia ojciec nie przyszedł i tylko kilka razy udało mi się podejść do krat, by porozmawiać z matką. Dzień mijał, a we mnie narastał coraz większy strach. W głowie tłukły mi się słowa: „Zostało tylko siedem dni, zostało tylko siedem dni”. Wbrew wcześniejszemu postanowieniu obiecałam sobie, że gdy żona szeryfa przyjdzie znowu, oddam jej całe swoje odzienie w zamian za dziesięć minut w celi mojej matki. Kiedy krzyknęłam przez korytarz do męskiej celi, pytając Richarda o Andrew, minęła długa chwila, zanim mi odpowiedział.

- Andrew jakoś się trzyma. Ale dzisiaj jest z nim gorzej niż wczoraj. Boję się, że jego rana się zaogniła i trucizna draży jego ciało. Bez odpowiedniej opieki...

Nie dokończył, pozwalając, bym sama się domyśliła, co spotka Andrew, jeśli nie obmyje się go czystą wodą i nie poda lekarstwa, które powstrzymałoby rozprzestrzenianie się trucizny.

NADESZŁA NOC i razem z Tomem zjedliśmy reszkę stwardniałego chleba i wypiliśmy wodę do końca. Powietrze było cieplejsze i wbrew obawom szybko usnęłam. Nie śniłam o niczym. Gdy ciemności były najgłębsze, obudziły mnie głośne okrzyki z męskiej celi wzywające szeryfa. Krzyki nie ustawały, ale upłynęło wiele godzin, zanim usłyszeliśmy dudnienie jego kroków na schodach. Mieszkał ze swoją żoną na wyższym piętrze. Nigdy nie zjawiłby się przed świtem, chyba że w celach wybuchłby pożar i dym zacząłby przenikać przez deski podłogi w jego mieszkaniu.

Usłyszałam, jak otwiera się męska cela i rozlegają z niej błagania o pomoc. Wkrótce otworzyły się drzwi naszej celi i w progu, niosąc kogoś omdlałego, stanęli Richard i jakiś starszy mężczyzna. Wciągnęli bezwładną postać do środka i dopiero kiedy ułożyli ją na słomie, zobaczyłam, że to Andrew. Przywarłam do Richarda, ale szeryf szybko go wyprowadził i zamknął na powrót w jego celi.

- Doktor przyjeżdża w sobotę - powiedział do Toma i do mnie, kiedy wrócił. - Jeśli chłopak przeżyje do dziesiątej, lekarz go obejrzy. Tutaj jest lepsze światło i na razie tu zostanie.

Kilka kobiet podeszło, by pomóc nam obmyć twarz Andrew paroma kroplami bezcennej wody ze wspólnej beczki i poluzować mu ubranie. Zdjęto mu kajdany, miał więc wolne ręce. Nie zrobiliby tego, gdyby się spodziewali, że przeżyje. Andrew miał bardzo wysoką gorączkę i na jego pociemniałej, sinej jak surowa wątroba sarny twarzy głębokie dzioby po ospie odbijały się ostrą bielą. Kiedy podciągnęliśmy mu rękawy koszuli, zaparło mi dech - na prawym przegubie widniała zaogniona rana, z której ciekła żółtawa ropa. W górę ramienia biegła pod skórą czerwona pręga. Jedna ze starszych kobiet przysunęła nos do rany i powąchała ją.

- Jest zakażona - powiedziała. - A kiedy pręga dojdzie do ramienia... - umilkła i potrząsnęła głową. - Umrze, jeżeli nie odejmą mu ręki.

- Umrze, kiedy mu ją odejmą - szepnęła inna.

„Nie odejmą. Nie odejmą”. Słowa dźwięczały mi w uszach, ale pojęłam, co znaczą, dopiero wtedy gdy popatrzyłam na Toma i spostrzegłam malujące się na jego twarzy przerażenie.

Nie odstępiliśmy Andrew ani na chwilę aż do przyścia lekarza. Był chudym, patykowatym mężczyzną. Odgonił nas, jakbyśmy byli stadkiem kurcząt. Uniósł ramię Andrew i przez chwilę przyglądał się czerwonej prędze, cały czas kręcąc głową.

- Twój brat, ten wysoki w celi naprzeciwko, powiedział, że zapłacicie mi monetami za leczenie - zwrócił się do mnie.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, co do mnie mówi.

- Mój ojciec zapłaci - powiedział Tom. - Jak tylko przyjdzie.

- Bardzo dobrze - odrzekł doktor. - Wrócę wieczorem. Trzeba mu odjąć ramię, i to natychmiast. Ale pamiętajcie, musicie mi zapłacić bez względu na to, czy ten tu przeżyje czy nie.

Doktor wstał, zbierając się do wyjścia, a ja popatrzyłam na Andrew i aż podskoczyłam, ujrawszy, że ma otwarte oczy i spogląda na mnie. Błyszczał w nich strach i zrozumienie. Siedzieliśmy przy nim długie godziny i staraliśmy się dodać mu otuchy. Płakał i wiercił się, powtarzając w kółko jedno i to samo.

- Będę grzeczny. Nie odejmujcie mi ręki. Będę grzeczny. Kiedy nie mogłam już tego znieść, rzuciłam się do krat.

- Matko - krzyknęłam. - Co mamy zrobić? Co mamy zrobić? Doszła mnie jej odpowiedź. Z cienia celi skazańców

płynęła korytarzem niczym wiotka, nieuchwytna smużka dymu.

- Pożegnajcie się z nim czule, Saro. Bądźcie z nim. Dodawajcie mu siły. Pocieszajcie go.

Nie usłyszałam nic więcej, tylko jej szloch. Trudna to chwila, gdy dziecko odchodzi z tego świata przed tą, która go na niego wydała.

Wkrótce Andrew przestał płakać i pogrążył się we śnie ciężko chorego człowieka, a Tom i ja na zmianę podtrzymywaliśmy mu głowę. Niektóre kobiety podchodziły, by służyć nam radą lub się z nami pomodlić. Inne podchodziły, by tylko patrzeć i czerpać otuchę z faktu, że ktoś inny jest bliższy śmierci niż one. Wraz z nadejściem popołudnia korytarz wypełnił się odwiedzającymi. Z nimi zjawił się wielebny pan Dane, który przyniósł nam chleb, mięso i niewielki garnek zupy. Szeryf wpuścił go do naszej celi, a gdy pastor się nachylił, by popatrzeć na Andrew, pragnęłam jedynie rzucić się mu w ramiona i błagać, żeby wychodząc, zabrał mnie ze sobą. Położył dłonie na naszych głowach i z wielką tkliwością nas pobłogosławił. Potem przygarnął Toma i mnie do siebie.

- Wasz ojciec przyjdzie jutro z jedzeniem i ciepłym ubraniem - powiedział cicho, aby nie zbudzić Andrew. - Nie wie, jak bardzo Andrew jest chory, bo inaczej przyszedłby dzisiaj ze mną. Obawiam się, że kiedy przyjdzie tu jutro, Andrew nie będzie już z nami.

Jakby słysząc jego szept, Andrew poruszył się i jęknął przez sen. Szeryf krzyknął od drzwi i wielebny pan Dane wstał.

- Miejcie ufność w Bogu, dzieci - rzekł. - Cierpienia Andrew wkrótce się skończą.

Wyciągnął rękę, chcąc położyć ją Tomowi na ramieniu, Tom jednak odsunął się gwałtownie. Twarz miał pociemniałą

z gniewu i upartej niechęci. Oberwałabym mu uszy, że odtrąca pomocną dłoń. Jednakże wielkość człowieka wyraża się w zrozumieniu ludzkiego serca i wielebny pan Dane, spoglądając na ciasnotę i mrok naszej celi, na odchodnym zwrócił się do Toma:

- Wiara ratuje nas przed rozpaczą, synu. Na razie jednak jej miejsce zajmuje gniew. Teraz pójdę odwiedzić waszą matkę. Czy mam przekazać jej jakąś wiadomość?

- Powiedzcie jej... powiedzcie jej... - zaczęłam, ale nie mogłam skończyć.

Jakże miałam przekazać słowa pociechy lub błagać o nie, gdy w drzwiach celi stał szeryf, kiwając niecierpliwie na wielebnego, by wyszedł. Zupełnie jakbym chciała zbudować tratwę do przepłynięcia wzburzonego oceanu, mając jedynie kilka patyczków. Zwróciłam zrozpaczone oczy na wielebnego i wpatrywałam się w niego bez słowa.

- Powiem jej, Saro - rzekł, ściskając moje ręce w swoich.
- Powiem jej.

Podał torbę z jedzeniem swojej córce, zacnej pani Faulkner, i pomodlił się ponad głowami kobiet, nie bacząc na ponaglenia szeryfa. Gdy szeryf Corwin w końcu podszedł i położył wielebnemu panu Dane'owi rękę na ramieniu, spojrzenie, jakim go przy okazji zmierzył, bez wątpienia było równie karcące jak to, którym Archanioł Gabriel zegnał Adama opuszczającego raj. Godziny mijały i nastąpiło popołudnie, a gorączka Andrew wciąż nie spadała. Bełkotał coś i mrucał o rzeczach, jakie majaczyły mu pod zamkniętymi powiekami. Czasem szeptał i śmiał się. Kiedy indziej krzyczał coś i wymachiwał ramionami. Lecz nie były to słowa bezrozumnego chłopca. Były wyraźne i mądre, jakby paląca ciało gorączka uleczyła go i wyostrzyła umysł.

Gdy promienie zachodzącego słońca błysnęły w szczelinach w murze, Andrew otworzył oczy i popatrzył najpierw na mnie, potem na Toma.

- Jaki dziś dzień? - zapytał.

- Sobota - odrzekł Tom.

Andrew zmarszczył brwi, jakby liczył dni.

- Doktor niedługo nadejdzie? - powiedział.

- Tak - odparł Tom chropowatym, łamiącym się głosem.

- Odejmie mi rękę - szepnął cichutko Andrew, jakby usłyszał o tym po raz pierwszy.

W jego oczach błysnęło przerażenie.

- On mi odejmie rękę, Tomie. On mi odejmie rękę - wykrztusił, z trudem łapiąc oddech.

Złapał Toma lewą ręką i trzymał z całej siły.

- Nie pozwól mu odjąć mi ręki. Raczej wolę umrzeć.

- Andrew - powiedziałam, tuląc w ramionach jego głowę i czując, jak łzy wpadają mi do ust. - Doktor powiedział, że umrzesz...

- Nie. - Tom ujął zdrową rękę Andrew. - Nie umrzesz. - Popatrzył na mnie wyzywająco. - Nie umrzesz, Andrew - powtórzył. - Nie pozwolę, żeby odjął ci rękę. Słyszysz? - Wpatrywał się w Andrew. - Będę tu siedział całą noc i następną, i jeszcze następną. Będę cię pilnował, Andrew. Nikt nie odejmie ci ręki.

Trzymał Andrew za rękę, póki ten na powrót nie usnął, i siedział przy nim dalej, kiedy szeryf otworzył drzwi, by wpuścić doktora. Doktor w jednej ręce niósł niewielką skórzaną torbę i pas. W drugiej miał nieduży nóż do sprawiania i tasak.

- Światło gaśnie - powiedział głośno do szeryfa. - Będę musiał pracować szybko. Zostańcie przy drzwiach, na wypadek gdybyście musieli go przytrzymać.

W celi zapadła cisza, było słycać jedynie wypowiedane szeptem modlitwy i szelest delikatnej materii dartej na bandażu. Kiedy doktor wchodził, kilka młodszych kobiet zatkało rękami uszy, nie chcąc słyszeć krzyków. Ja zasłoniłam Andrew oczy, żeby nie widział zbliżającego się doktora, a gniew, który odczuwał Tom, teraz ogarnął także mnie, dotkliwie kłując mnie w kark.

- Przynieście mi całą wodę, jaką macie, a potem się odsuńcie - polecił doktor jednej z kobiet.

Zaczął się schylać, by klęknąć przy Andrew, Tom jednak uniósł rękę.

- Nie - powiedział. - Nie będziemy was potrzebowali. Możecie odejść.

- Nie bądź głupi, chłopcze. Twój brat stoi u wrót śmierci i jeżeli nie odejmę mu ręki, wkrótce przez nie przejdzie. A teraz wykaż się odwagą przez wzgląd na brata i przytrzymaj go za drugą rękę.

- Nie - powtórzył Tom bardziej zdecydowanie, a doktor zakołysał się na piętach, bez wątpienia myśląc o monetach, jakie przejdą mu koło nosa, jeżeli nie wykona swojej roboty. Podniósł pas i zrobił z niego małą pętlę, po czym skinął na szeryfa.

- Pozwólcie chłopcu umrzeć w spokoju! - rozległ się w gęstniejącym mroku krzyk jakiejś kobiety.

Szeryf westchnął zdenerwowany i zamknąwszy za sobą drzwi, zaczął iść w naszym kierunku. Poczułam, że Andrew szuka swoją ręką mojej i szarpnął mną gniew.

- Dotknijcie go, a was przeklnę - powiedziałam, z mocą wyduszając słowa z głębi gardła.

Słoma zaszleściła, gdy ciała się poruszyły, chcąc znaleźć się jak najbliżej, by zobaczyć, czym się to skończy.

Doktor obrócił się ku mnie z chmurnie zmarszczonym czołem.

- Coś ty powiedziała?

Ale słyszał, co powiedziałam, tak wyraźnie, jakbym krzyczała. Widać to było po tym, jak spał się cały i zerknął przez ramię na niewyraźne sylwetki stojące w coraz słabszym świetle, z rozwichrzonymi dziko włosami, odzieniem pobrudzonym ludzkimi odchodami, nierzadko potarganym w strzępy. Znowu popatrzył na mnie niepewnym wzrokiem i ujrzał rudowłosą nieposkromioną dziewczynkę wtrąconą do celi za szatańskie czyny. Zaczął zbierać swoje rzeczy, ale na całym świecie nie ma lepszego sposobu na odegnanie wszelkich strachów od wizji sakiewki wypełnionej monetami, przerwał więc i ponownie ostrożnie popatrzył na Toma. Mój brat siedział nieruchomo z pięściami zaciśniętymi na kolanach, ale w końcu był nikim więcej, jak tylko stawiającym opór chłopcem. Doktor zacisnął szczęki i zawołał na szeryfa, by pomógł mu dokończyć to, przez co nie mógł spokojnie zjeść kolacji.

Zobaczyłam, że Tom gorączkowo rozgląda się za czymś, jakąś bronią, choćby kijem, którym mógłby powstrzymać doktora. Jego pięść zacisnęła się na słomie, którą uniósł, jakby znalazł właśnie wspaniały skarb.

- A teraz odciągnij tych dwoje, a potem chwyć tego tu, byle szybko - doktor zaczął mówić do szeryfa, kiedy Tom uniósł rękę, która tak dobrze rzucała kamieniami, i wypuścił z niej słomę, trafiając nią doktora prosto w pierś i twarz. Można by pomyśleć, że wymierzył mu potężny cios, tak siarczyście doktor zaklął i zerwał się na równe nogi, strzepując z siebie słomę. Na jego wspaniałym czarnym płaszczu, płaszczu medyka, i na jego białej lnianej koszuli widniały rozmazane, cuchnące paskudnie plamy. Cała słoma była przesiąknięta odchodami kobiet, które z powodu głodu i choroby były zbyt słabe, by doczołgać się na czas do kubłów na nieczystości. Tom nie musiał daleko szukać, by na nie natrafić.

Doktor tupnął nogą rozwścieczony i splunął.

- Ty mały draniu. Patrz, co zrobiłeś.

- Prawda, to gównu nigdy się nie spierze.

Rozejrzeliśmy zdumieni siłą głosu i ujrzeliśmy, że to przemówiła stara kobieta, która radziła zacnej pani Faulkner, by nie oddawała swojego szala żonie szeryfa. Była krucha i zgarbiona i męczył ją szarpiący kaszel, ale wejrzenie miała bystre i rozbawione, gdy spoglądała na doktora. Rozwarła bezzębne usta w śmiechu.

- To żółć, widzisz? - powiedziała. - Nie ma gorszej plamy od tej, którą zostawia rozwścieczona, źle potraktowana kobieta. Nie, będziesz musiał wypełnić cały kosz odrąbanymi kończynami, żeby uzbierać na taki piękny płaszcz.

Doktor odsunął się od niej gwałtownie, jakby зараżała dżumą.

Szeryf otworzył drzwi celi.

- Lepiej już idźcie - powiedział. - Nic tu po was.

Doktor chwycił swoje narzędzie, ale obrócił się jeszcze ku nam.

- Wasz brat umrze, zanim słońce wzejdzie - powiedział.

Siedzieliśmy oniemiała nad skulonym ciałem Andrew, zbyt oszołomieni, by przemówić, i jedynie zgrzyt przekręcane go w zamku klucza towarzyszył odchodzącemu doktorowi. Spałam źle, co chwilę budząc się i znowu zasypiając, ilekroć jednak otwierałam oczy, widziałam Toma klęczącego obok Andrew. Trzymał go za rękę i ocierał mu czoło małą szmatką lub wlewał do ust kilka kropel wody. Andrew wciąż dygotał w gorączce i na powrót zapadł w niespokojny sen. Co jakiś czas Tom delikatnie unosił rękaw koszuli naszego brata i patrzył, jak czerwona pręga pełźnie nieubłaganie w stronę serca Andrew. Tuż przed niedzielnym świtem obudził mnie głos Andrew. Myślałam, że majaczy, bo Tom nachylał się nad nim, by lepiej słyszeć. Podpełzłam do

nich i zobaczyłam, że oczy Andrew są nieprzytomne i zamglone. Usta miał popękane i skrwawione, lecz mówił spokojnie i składnie.

- Richard obiecał, że jesienią wszyscy pójdziemy na polowanie - rzekł, unosząc lekko głowę. - I że da mi strzelbę, muszę tylko uważać. Teraz będę miał rękę, żeby ją przytrzymać, i będę strzelać tak celnie jak ojciec.

- Będiesz strzelał. I ustrzelisz największego indyka w całych koloniach.

Tom odgarnął Andrew włosy z czoła, a on uśmiechnął się i znowu zamknął oczy. Głowa opadła mu na bok, oddech stał się chrapliwy, a ja niemal zemdlałam, próbując oddychać równo z nim. Zanim ciemność przeszła w pierwszy brzask, usnęłam, żegnając się z Andrew. Staralam się robić to, co kazała mi matka. Powiedziałam mu, że go kocham i że będzie mi go brakować, że jest mi bardzo przykro, bo nie mogę nic uczynić, by go uratować lub ulżyć mu w cierpieniu. Do tej pory jego obecność była dla mnie czymś oczywistym - nie zwracałam na niego więcej uwagi niż na zwierzęta domowe; miał wypełniać moje polecenia i pomagać mi w pracy. Teraz jednak żałowałam, że nie okazywałam mu więcej dobroci i cierpliwości. On po prostu zawsze był z nami.

Ledwo zamknęłam oczy, zaczęłam śnić i we śnie widziałam Andrew stojącego na brzegu rzeki. Musiała być wiosna, bo w jaskrawym, rozsiewającym żółtą poświatę świetle trawy i drzewa były zamazane i zdawały się falować, jakby polane roztopionym masłem. Andrew trzymał przewieszoną przez ramię długą strzelbę ojca i stał, obejmując Toma i Richarda. Podniósł głowę, a na jego dobrej, okrągłej niczym księżyc twarzy malował się szeroki uśmiech, jakby zobaczył mnie stojącą na przeciwległym brzegu rzeki. Otworzył usta, by coś powiedzieć, zanim jednak usłyszałam cokolwiek, ktoś potrząsnął mnie za ramię i obudziłam się,

widząc nad sobą zalaną łzami twarz Toma. Osunęłam się i przytuliłam do Andrew. Świadoma, że odszedł, zaczęłam płakać.

Objęłam Toma, on jednak oderwał moje ręce od swojej szyi.

- Saro, popatrz tylko - powiedział.

Ale ja nie chciałam widzieć zamarłej w śmiertelnym grymasie twarzy Andrew. Tom potrząsnął mną i ponownie wypowiedział moje imię. Spojrzałam mu w twarz, spodziewając się ujrzeć w niej odbicie własnej rozpacz, lecz nie zobaczyłam smutku. Oczy błyszczały mu radością, a usta miał wygięte ku górze w pełnym niedowierzania śmiechu. Podciągnął rękaw koszuli Andrew.

- Popatrz na jego rękę - powiedział.

Spojrzałam i zobaczyłam, że czerwona pręga zaczęła się cofać od ramienia do łokcia i dalej do przegubu. Andrew oddychał głęboko i regularnie, a kiedy dotknęłam jego czoła, było chłodne i pokryte cienką warstwą potu. Gdy w końcu otworzył oczy, znowu był niespełna rozumem dzieckiem, które z głupawym uśmiechem prosiło jedynie o odrobinę zupy i kawałek chleba.

Gdy jakiś czas później zjawił się szeryf, wszedł do celi, by popatrzeć na Andrew. Wpatrywał się we mnie przez długą chwilę.

- Jeżeli to nie czary, to znaczy, że w ogóle nie istnieją - rzekł. Odwracając się do wyjścia, powiedział, że Andrew może zostać z nami

jeszcze jeden dzień, ale potem musi wrócić do męskiej celi. Ledwo jego kroki ucichły na schodach, rzuciłam się do krat.

- Andrew żyje - krzyknęłam przez korytarz do Richarda i matki. - On żyje.

Po raz pierwszy od wielu dni ich głosy napełniły mnie radością, która na chwilę pozwoliła mi zapomnieć o beznadziei więzienia w Salem. Przez kilka krótkich chwil nie pamiętałam, że mojej matce zostało zaledwie sześć dni, by śnić, budzić się i w ogóle czuć cokolwiek.

To była niedziela i w celi kobiet odprawiłyśmy poranne modły. Poproszono zająć panią Faulkner, aby nas poprowadziła w dziękczynnej modlitwie. Gdy w południe zjawił się ojciec, przyniósł nam jedzenie, upraną odzież i trochę czystej wody. Słuchając, jak Tom mu opowiada o wizycie doktora, który chciał odjąć Andrew ramię, zaciskał dłonie na kratkach tak kurczowo, że myślałam, iż wyrwie je ze ściany. Położyłam głowę Andrew na swoich kolanach, by mógł mówić.

- Ojczy, teraz mogę iść z tobą na polowanie - brzmiały jego pierwsze słowa.

- Synu, ty jako pierwszy wystrzelisz ze strzelby - odparł ojciec.

Gdy czas jego wizyty dobiegł końca, powiedział nam, że wróci we wtorek i będzie przychodził codziennie aż do piątku. Do późnego wieczoru trzymaliśmy się z braćmi za ręce, a nasze palce splecione były razem równie mocno, jak ogniwa naszych łańcuchów.

- JAK UDAŁO SIĘ wam pogodzić z tak straszliwą stratą? - pytają ludzie tych, którzy przeżyli koszmar procesów, jakby oczekując, że z powodu utraty najbliższych po prostu przestaje się wciągać powietrze nosem, aż pozbawione go płuca pękają. Prawdą jest, że niektórzy tracą chęć do życia i po śmierci ukochanej osoby odmawiają przyjmowania jedła i picia, jakby ich ciała przeżywały zbyt okrutne katusze. Jednakże dziecko, które tak niedawno wyłoniło się na świat z pustki stworzenia, potrafi być bardziej odporne od najsilniejszego mężczyzny, mocniejsze od najtwardszej kobiety. Dziecko jest jak

wczesnowiosenna cebulka wypełniona wszystkim co niezbędne, by się przebić poprzez glebę ku słońcu. I tak jak kropla wody wystarczy, żeby cebulka zaczęła rosnać nawet w twardej skale, tak odrobina dobroci daje dziecku siłę przetrwania najgorszego.

Owa dobroć nadeszła pod postacią doktora Amesa. Gdy w ów poniedziałek, 15 sierpnia, zjawił się w naszej celi, w pierwszej chwili go nie rozpoznałam. Wszedł z chusteczką przyciśniętą do nosa, niosąc torbę z wyprawionej cielejącej skóry. Pomyślałam, że to jakiś duchowny, nosił bowiem długi ciemny płaszcz i poważny kapelusz z szerokim rondem. Szybko schował chusteczkę do kieszeni i zobaczyłam, że jest młodym, najwyżej trzydziestoletnim mężczyzną o prostym nosie i ciemnych oczach okolonych gęstymi czarnymi brwiami. Kilka kobiet go powitało, wyciągały do niego ręce i okrążyły go, prosząc o pomoc. Uspokoił je kilkoma słowami, po czym zaczął krążyć, przechodząc od jednej do drugiej. Przy jednej się zatrzymał, by obejrzeć jej rany i nałożyć na nie maść, przy innej tylko po to, by ją potrzymać za rękę i chwilę porozmawiać. Z którąkolwiek rozmawiał, sprawiał wrażenie, jakby poza nią nikogo wokół nie było, i niejedna gładziła go po twarzy i błogosławiła za troskliwą opiekę. Gdy w końcu podszedł do nas, ukląkł przy Andrew.

- Oto cud, który widzę na własne oczy - rzekł.

Uśmiechnął się do Andrew, a on uśmiechnął się do niego i wyciągnął rękę, by doktor mógł ją obejrzeć dokładniej.

- Nie pamiętasz mnie, Saro? - rzekł jakby od niechcienia, zbadawszy ramię mojego brata.

Zdumiałam się, słysząc swoje imię.

- Przyszedłem do was z wiadomością od twojego wuja, Rogera Toothakera - powiedział, zwracając ku mnie twarz.

Wtedy sobie przypomniałam; był tym młodym lekarzem, który udał się do więzienia w Bostonie, by leczyć

przebywających tam więźniów. I to on właśnie przyniósł list dla ojca. List, który ojciec przeczytał, po czym wrzucił w ogień. Doktor szybko wyjął z torby bandaż i maść i opatrzył ranę Andrew. Gdy skończył, zajął się otarciami na skórze Toma, na koniec obejrzał moje podrażnione, obolałe przeguby.

- Znam twojego ojca - powiedział, owijając bandażem moje nadgarstki pod kajdanami. - Lub raczej słyszałem o nim. Często mówi się o nim w Bostonie. W pewnych stowarzyszeniach.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, a on mówił dalej, wciąż dotykając moich przegubów swoimi delikatnymi chłodnymi palcami.

- Czy wiesz, jak twój wuj zmarł?

- Mówi się, że został otruty - odpowiedziałam skrepowana jego pytaniem. - Otruty... przez kogoś - dodałam i spojrzałam mu niepewnie w oczy.

Wtedy ujął moje ręce w swoje smukłe dłonie i przemówił cicho.

- Nie, Saro, nie przez kogoś. Sam się otruł. - Otwierałam już usta, by coś powiedzieć, on jednak mnie ubiegł. - Wiem, co ludzie powiadają o twoim ojcu. Prawdą jest, że był w celi wuja w dniu, w którym twój wuj umarł. Prawdą jest też, że twój wuj błagał go o wybaczenie. Był torturowany i wiedział, że własna słabość każe mu oskarżyć was, dzieci. Powiedział mi, że żałuje tego, co powiedział o waszej matce, i że raczej woli umrzeć, niż wyrządzić więcej szkody. Wszystko to napisał w liście do waszego ojca. Nie wolno ci wierzyć, że twój ojciec przyłożył rękę do jego śmierci.

Patrzyłam na Toma, jego spojrzenie mówiło mi, że nie ja jedna wierzyłam, iż ojciec dopuścił się morderstwa z naszego powodu. Pamiętam, jak kiedyś ojciec powiedział, że zły

koniec wuja obrócił się na dobre, a ja zapytałam: „Co to znaczy?”.

Doktor spuścił wzrok.

- Wasz wuj bardzo cierpiał i skarżył mi się, że serce go zawodzi. Poprosił, żebym podał mu naparstnicę - powiedział. Wiedziałam tylko, że naparstnica to potężna trucizna, i popatrzyłam na niego. - Naparstnica podana w niewielkich dawkach uspokaja chore serce. W większych zabija po kilku godzinach, kiedy jednak ktoś zna się na rzeczy, może sprawić, że śmierć wygląda, jakby serce zmarłego przestało bić samo z siebie. Na kilka dni przed śmiercią wuj poprosił o bardzo dużą ilość naparstnicy, a ponieważ sam był medykiem, zaufałem jego mądrości i... dałem mu to, czego chciał. Rzekłem mu jednak na odchodnym: „Baczcie, byście zażyli tylko tyle, ile trzeba”. A on odrzekł, unosząc woreczek z ziołami: „Wystarczy mi to, co tu mam”.

Oczami wyobraźni ujrzałam wuja, zimnego i bladego, jak leży martwy na brudnej słomie w swojej celi, i poczułam dla niego litość, która we mnie umarła, kiedy wiele miesięcy temu na podwórzu Chandler's Inn spadały na mnie razy. Spojrzałam na drugi koniec celi, starając się dostrzec sylwetki mojej ciotki i kuzynki, jednakże panujący mrok mi to uniemożliwiał. Nie wątpiłam, że wciąż wierzą w to, o czym ja sama byłam do tej pory przekonana, że to mój ojciec otruł swojego szwagra, aby ratować rodzinę.

- Dobrze znam jednego z medyków, którzy badali sprawę twojego wuja - mówił dalej doktor. - Zauważył ślady trucizny i powiedział mi o tym. Jestem przekonany, że po rozmowie z twoim ojcem wuj zrobił jedyną rzecz, która mogła mu zamknąć usta na zawsze i w ten sposób uratować tych, których kochał.

Drzwi celi otworzyły się i szeryf załomotał w niej głośno kluczami. Młody doktor pozbierał swoje rzeczy.

- Jestem doktor Ames i chociaż teraz mieszkam w Haverhill, mój dom rodzinny jest w Bostonie. Chcę, abyś przekazała swojemu ojcu wiadomość. Musisz mu ją powtórzyć słowo w słowo. Potrafisz to zrobić?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Powiedz mu, że ma we mnie i kilku moich znajomych oddanych przyjaciół. Powiedz mu też, że zrobimy co w naszej mocy, aby mu pomóc. Słyszałaś mnie, Saro? Powiedz mu, że zrobimy absolutnie wszystko.

Powtórzyłam dokładnie jego słowa, kładąc szczególny nacisk na „wszystko”, tak samo jak on to zrobił.

- Będę przychodził was doglądać tak często, jak mi się uda - powiedział na odchodnym. - Wiedz, że to nie cały świat i jest wielu, którzy wierzą, iż to - tu wskazał na celę - to wszystko przynosi ludzkości wstyd.

Uśmiechnął się do nas raz jeszcze, chcąc dodać nam otuchy, i wyszedł, aby się zająć więźniami po przeciwnej stronie korytarza. Obiecał pomoc, co dało mi większą nadzieję na uratowanie mnie i moich braci. Jednakże ani słowem nie wspomniał o ratunku dla mojej matki. Później, tuż przed zmierzchem, szeryf przyszedł po Andrew. Ten przestał płakać i błagać, aby mógł zostać z nami, dopiero gdy wraz z Tomem pomogliśmy mu przejść przez korytarz, a z męskiej celi dobiegło go wołanie Richarda.

Kiedy kładliśmy się z Tomem tej nocy na spoczynek, tuż przed zaśnięciem myślałam o wuju. O jego żywym, energicznym usposobieniu, skłonności do śmiechu, o tym, jak dym z jego fajki spowijał jego wypukłe lśniące czoło, wzlatując pod powałę niczym marzenie włóczykija. I o tym, jak lubił nazywać mnie i Margaret swoimi bliźniaczkami. Nie myślałam o owych nocach, kiedy wracał do domu oszołomiony alkoholem, ani o długich godzinach, jakie spędzał w gospodzie. Ani o łzach ciotki wyczekującej jego

powrotu. Myślałam za to o opowieściach, które snuł przy blasku ognia. Opowieściach o szalejących Indianach, błąkających się duszach i śmierci pogańskich królów. Przypominałam sobie, jak z dumą dosiadał Bucefała, który nosił imię na cześć bojowego wierzchowca Aleksandra. Starożytnego króla uwielbianego przez swoich ludzi, dopóki nie wywiódł ich ze znanych im ziem do krainy zamieszkaanej przez duchy i obcych, dziwnych ludzi. Króla, któremu podano truciznę, by jego ludzie mogli powrócić do znanego sobie świata. Wuj jednak przyjął truciznę z własnych rąk w nadziei, że dzięki temu ci, których kochał, powrócą bezpiecznie z krainy potworów. Za to opłakiwałam go długo i rozpaczliwie.

WE WTOREK rano przebudziłam się gwałtownie, czując jak gardło ściska mi paniczny strach. Kobieta z gnijącym zębem zawodziła przez całą noc, sprowadzając na mnie sny o orłach spadających głowami w dół z nieba na ziemię. Był szesnasty dzień sierpnia i prawie cały ranek spędziłam przyciśnięta do krat, rozmawiając z matką i Richardem o świecie poza więzieniem. Mówiliśmy tylko o przeszłości. O ogrodzie matki, o wspaniałych zbiorach, jakie mieliśmy w ubiegłym roku, albo o indyku, którego Richard ustrzelił minionej wiosny. Głos matki był słaby i kilka razy prosiłam ją, by mówiła głośniejszym głosem, abym mogła zrozumieć jej słowa. Kobiety mające swoje miejsca pod krótszą ścianą ulitowały się nade mną i Tomem i przechadzały się po celi, dając nam czas na rozmowę, wkrótce jednak zostaliśmy odpędzeni i musieliśmy wrócić na środek celi.

Zobaczyłam, jak Mary Lacey czołga się obok nas, zmierzając do kubła, i w miejsce mojej beznadziejnej rozpaczki pojawił się gniew. Była naszą sąsiadką w Andover, a mimo to, próbując ratować siebie, złożyła fałszywe świadectwo przeciwko mojej matce. Nasze spojrzenia się spotkały i przypomniało mi się, jak jej wykrzywiona twarz

nachylała się nade mną przy nagrobku na wiejskim cmentarzu, podczas gdy Mercy Williams trzymała mnie uwięzioną w swoim uchwycie i mówiła mi, że spali mnie żywcem we własnym łóżku.

Rzuciłam się na nią, popychając na tyle mocno, by przewróciła się na ziemię. Rozległy się słowa protestu, gdy Mary, tratując kilka kobiet, usiłowała się podnieść na nogi. Żadna jednak nie zwróciła się przeciwko mnie ani nie próbowała też pomóc Mary. W niejednych oczach pojawił się błysk satysfakcji. Mary nie spojrzała na mnie, przytrzymała tylko spódnicę i oddaliła się w głąb celi. Poczułam dłoń Toma na ramieniu, odtrąciłam ją jednak, zbyt bliska płaczu ze złości, by przyjąć pociechę. Wstrzymałam oddech, próbując uspokoić serce, lecz jego gwałtowne bicie odczuwałam w całym ciele. W głowie mi pulsowało, a oczy mało nie wyskoczyły z orbit, podążając za wirującymi drobinkami powietrza, lśniącymi niczym jętki w wąskich promieniach słońca. Popatrzyłam na kobiety w celi, siedzące lub stojące z opadłą szczęką i zwisającymi luźno ramionami, i ogarnęła mnie wściekłość. Gdzie się podziała wola powstania i sprzeciwu? Czemu nikt nie planuje ucieczki albo przynajmniej nie zażąda czegoś od naszych oprawców? Gdzie się podziały złość, wściekłość, furia?

Gdy koło południa zjawił się ojciec, przynosząc jedzenie, prawie nie słyszałam składanych przez niego obietnic, że będzie przychodził codziennie aż do ostatniego dnia, w którym matka będzie z nami. W panice, jaka mnie ogarnęła, zupełnie zapomniałam o wiadomości od doktora Ames, którą miałam mu przekazać, i przypomniałam sobie o niej dopiero po wielu dniach. Chwyciłam ojca za ręce i przyciągnęłam jego ucho jak najbliżej swoich ust, błagając po raz kolejny, by spróbował ją uratować, zabrać nas i ją z tego okropnego miejsca. Powiedziałam mu, że będę pracować dzień i noc,

wyrzeknę się jedzenia, powędruję nago przez dzikie ostępy, byleby tylko coś zrobił. Gdy nasze spojrzenia w końcu się spotkały, w wyobraźni usłyszałam, jak zatrzaskuje się otwarta dotąd książka. Wielka księga z wypisanymi wielkimi dźwięcznymi słowami życia. Przednia okładka się wygina, a stronicie przewracając się, szepczą: „A potem, a potem, a potem...”. Mniej więcej od środka kartki coraz bliższe tylnej okładki rozrywają się z szelestem, aż w końcu księga zamyka się z ostatecznym niewypowiedzianym „nie”.

Ojciec odszedł, a ja stałam na środku swojego więzienia, nieruchoma niczym wskazówka zegara słonecznego, niezdolna się przyłączyć do toczącego się wokół nurtu życia. Promienie popołudniowego słońca przebiły się przez szczeliny w murze i na krótką chwilę rozjaśniły celę. Z przerażeniem patrzyłam, jak mój cień zmienia się wraz z natężeniem światła, wpierw jest wyraźny, by po chwili zaniknąć, gdy noc na nowo wypełniła dziurę, w której przyszło nam się znaleźć. Stałam tak dalej, nawet kiedy już księżyc zajął miejsce słońca, które spadło i znikło za zachodnim horyzontem.

ŚRODA UPLYNĘŁA podobnie jak wtorek. Kubły zostały wyniesione, ojciec przyszedł i odszedł, przynosząc nam coś, co choć odrobinę miało wypełnić nasze brzuchy. Dotarła do nas wiadomość, że Andrew wraca do zdrowia i jest coraz silniejszy. Jednakże ani wielebny pan Dane, ani doktor Ames nie zjawili się. Nie przyszła też żona szeryfa, podobnie jak kilka rodzin uwięzionych. Tego dnia nie odbył się proces żadnego nieszczęśnika i nikt nowy nie trafił do więzienia zakuty w kajdany. Głosy w domu modlitwy w Salem ucichły. Zupełnie jakby czas płynący w celi skrócił się w stosunku do tego poza zimnymi uśpionymi murami więzienia. Na podobieństwo mniejszego strączka ukrytego w większym, prześcigaliśmy zewnętrzny świat w pędzie ku niemającemu końca snowi. I choć z całych sił starałam się ów pęd

powstrzymać, czy to zamykając oczy, czy to poruszając się w zwolnionym tempie lub odpędzając nieuchronny sen, dzień mijał, przeszedł w wieczór i nie wiedzieć kiedy, nastął czwartek.

OBUDZIŁAM SIĘ przytulona do Toma i długo leżałam w jego ciepłe, z rękami splecionymi na piersi. Wokół mnie rozlegały się odgłosy budzących się i poruszających kobiet, ale zamknęłam oczy, by na powrót przywołać sen. Jednakże mój umysł, raz oprzytomniawszy, nie chciał usnąć. Usłyszałam, jak więźniarka obok mnie odmawia Ojczy Nasz, i wraz z nią dopowiedziałam znajome słowa do końca. Zastanawiałam się, czy ta kobieta, która tak gładko, bez zająknięcia i wahania wypowiada słowa modlitwy, pragnie w ten sposób dowieść swej niewinności. Powiada się wszak, że szatan miesza słowa tym, których naznaczył jako należących do niego. Nawet jednak ten środek okazał się zawodny, kiedy bowiem były pastor Salem Village, George Burroughs, recytował tę samą modlitwę spokojnie i bez pomyłki, stojąc pod drzewem wisielców z pętlą wokół szyi, Cotton Mather rzekł: „Sam bowiem szatan podaje się za anioła światłości”. George Burroughs miał zostać powieszony następnego ranka, wraz z moją matką.

Ja również starałam się skupić myśli na modlitwie. Pragnęłam wierzyć, że - jak nieraz słyszałam w domu modlitwy - moją matkę czeka to samo, co wszystkich świętych po śmierci. Lecz przecież matka została ekskomunikowana z Kościoła jako czarownica, bez nadziei na zbawienie, jeżeli przed śmiercią nie wyzna swojej winy. Kościół powiedział, że dla niej nie ma miejsca w niebie, czeka ją tylko wieczny ogień potępienia. Ona jednak nie była żadną czarownicą, podobnie jak ja. Jakież to pośrednie miejsce czeka na nią, pomiędzy najwyższą niebiańską nagrodą a katuszami piekła? Pod zamkniętymi powiekami widziałam

jedynie ciemność, w której na wąskiej przestrzeni unosiły się nieokreślone kształty. Czy taka właśnie będzie dla niej śmierć? Czy będzie jak pogrążanie się we śnie, ze świadomością miejsca i czasu uchwyconą jedynie w nieskładnych majakach? Nagle otworzyłam oczy, poruszona myślami o ciemnej zamglonej egzystencji rozciągającej się poza dni, lata, całe wieki.

Panującą o wczesnym poranku ciszę zakłóciły niedbale szurające kroki na schodach. Któraś kobieta spod krótkiej ściany zerknęła na korytarz i szeptem poinformowała nas, że to: „Żona szeryfa zjawia się z samego rana”. Słyszeliśmy, jak dwie pary kroków zmierzają na koniec korytarza, ku celi skazanych.

- Wchodzi do celi - oznajmiła wkrótce ta sama kobieta. Wstałam szybko i znalazłam miejsce przy kracie, gdzie czekałam, aż żona szeryfa pojawi się znowu. Widziałam szeryfa stojącego z latarnią na korytarzu - niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Po jakimś czasie zacna pani Corwin wyszła na korytarz, niosąc coś w ramionach. Ruszyła, ale na widok mojej twarzy przyciśniętej do kraty zatrzymała się.

- Dzisiaj dostaniecie trochę więcej jedzenia - powiedziała do mnie.

Spuściłam wzrok i zobaczyłam, że trzyma suknię, teraz brudną i cuchnącą, tę samą, którą miała na sobie moja matka w dniu aresztowania. Popatrzyłam na żonę szeryfa z pogardą, ona jednak wchodziła już po schodach z mężem. Niedługo przed południem szeryf podał przez kraty najpierw Richardowi, potem mnie mały bochenek chleba i kawałek solonej wieprzowiny. Tylko tyle była warta suknia mojej matki. Tuliłam bochenek w ramionach i kołysałam się w przód i w tył, w przód i w tył, aż moje łzy zmiękczyły go na tyle, że nadawał się do zjedzenia.

SKAZAŃCÓW WIESZA SIĘ wczesnym rankiem i szeryf musiał jeszcze przed świtem zejść po schodach, przyświecając sobie swoją starą latarnią. Odczytał wyroki śmierci, wymieniając nazwiska tych, którzy tego dnia mieli umrzeć. W piątek, 19 sierpnia, czuwający bezsennie w celach usłyszeli nazwiska pięciu osób: Johna Proctora, Johna Willarda, George'a Jacobsa, wielebnego pana Burroughsa i Marthy Carrier. O siódmej zostaną wyprowadzeni z więzienia i przewiezieni na Gallows Hill.

Poprzedniego wieczoru pięciu odzianych na czarno księży z Salem i okolicznych wiosek zjawiono się w celach, by błagać skazańców o pełne i szczere wyznanie winy. Żaden jednak nie wyrzekł słów potwierdzających ich niewinność. Margaret Jacobs, wnuczka George'a Jacobsa, stała obok mnie przy kratkach i błagała o przebaczenie dla swojego dziadka i George'a Burroughsa, którego sama oskarżyła o czary podczas swojego procesu. Wielebny pan Burroughs, człowiek o nadnaturalnej sile, który przeżył pięć żon, długą na siedem stóp strzelbę potrafił trzymać w ręce jak pistolet, z łatwością dźwigał beczki pełne cydru, który postępował wbrew przyjętym obyczajom i nauczał pozbawionych duszy Indian, z wielką dobrocią wybaczył Margaret. Jego głos, ochryply i zahartowany od przemawiania na ogromnych dzikich przestrzeniach, zagłuszył głosy jego kolegów po fachu i stłumił ich bezbarwne modły nad skazańcami potężną modlitwą o przebaczenie.

Wzgardzeni księża wyszli, oznajmiając, że nim wybije południe, pięć nowych żagwi zapłonie w piekle, a ja patrzyłam, jak ich ciemne sylwetki wspinają się po schodach na podobieństwo kwaśnego dymu uciekającego przez komin. Jedynym wyjątkiem był wielebny pan Dane, który modlił się wraz ze swoim małym nieszczęsnym stadkiem, po czym odszedł, przysłaniając twarz chustą, tak że potykał się na

schodach jak dziecko niepotrafiące odnaleźć drogi w ciemności.

Potem przyszedł ojciec. Udało mu się zebrać nieco monet dla szeryfa, aby pozwolono mu na ostatnie pożegnanie. Z pochyloną sylwetką przeszedł po cichu na koniec korytarza, czubkiem głowy muskając belki z surowego drewna na suficie. Doszedł tak do miejsca, w którym ręce mojej matki wysunęły się, by ująć jego dłonie. Zdjął kapelusz, położył go, po czym chwytając się krat, ukląkł w brudzie i przywarł czołem do szorstkiego metalu. Słowa, jakie między sobą wymienili, zostały wypowiedziane szeptem, by towarzyszyły matce po śmierci. Widziałam, jak jej palce ujmują jego twarz, a kciuki gładzą łagodnie głębokie bruzdy pod oczami, ocierając łzy. Ojciec parokrotnie skinął głową i raz spojrzał w moim kierunku pociemniałymi zapadłymi oczami. Gdy musiał odejść, zamienił kilka słów z Richardem i Andrew, potem z Tomem i ze mną, obiecując, że będzie tam do samego końca. Będzie stał w imieniu nas wszystkich, aby zamykając oczy po raz ostatni, czuła, jak nasza miłość swoją siłą tłumi wszechobecną mściwość i strach. Kiedy odszedł, Tom i ja siedzieliśmy całą noc oparci o ścianę, otępiali i ogłuszeni.

A teraz nastał ranek i moje serce niczym zegar odmierzało minuty do egzekucji. Razem z Tomem staliśmy przy krótszej ścianie, z palcami oplatającymi kraty niczym letni bluszcz. Gdzieś w zakamarkach umysłu wiedziałam, że inne kobiety odsunęły się od nas w głąb celi. Nie wiedziałam, czy powodowała nimi litość, czy strach. Usłyszeliśmy, jak otwierają się drzwi u szczytu schodów, po czym zszedł szeryf w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy mieli mu pomagać w wykonaniu czekającej go tego dnia pracy. Podeszli do męskiej celi i ledwo drzwi do niej stanęły otworem, czterech skazańców wyszło na korytarz, trzech najsilniejsi wspierając George'a Jacobsa, który liczył sobie niemal osiemdziesiąt lat.

Poprowadzili ich schodami, po czym drzwi na górze zamknęły się za nimi. Widziałam niewyraźnie twarz Richarda za kratami po drugiej stronie korytarza. Jego rozgorączkowane oczy ciskały błyskawice. Drzwi u szczytu schodów otworzyły się znowu i tym razem szeryf sam jeden przyszedł po swego ostatniego więźnia. Otworzyłam usta, by do niej zawołać, ale nie potrafiłam dobyć głosu. Drzwi otworzyły się przy ogłuszającym łomocie kluczy, lecz ciemna dziura wiodąca do celi długo pozostawała pusta. Gdy matka w końcu przekroczyła próg, mrużąc oczy w rażącym ją świetle latarni, była równie przezroczysta i zwiewna jak powietrze, które z trudem wciągała przez popękane i skrwawione usta. Miała na sobie samą koszulę i obejmowała się w pasie ramionami przez żelazne kajdany poranionymi do żywego mięsa. Kajdany usunął poprzedniego dnia ten sam kowal, który na samym początku osobiście ją w nie zakął.

Z wielkim wysiłkiem szła korytarzem ku nam, a gdy popatrzyła mi w oczy, nie musiała wypowiadać na głos słów, abym mogła poznać jej uczucia do mnie i moich braci. Jej zagłodzone ciało było najlepszym dowodem miłości, jaką nas darzyła; jedzenie, z którego rezygnowała być może od wielu tygodni, bylebyśmy tylko mieli okruszynę chleba więcej; suknia, którą sprzedała za ochłap mięsa; kubek, który odsuwała, by jej dzieci mogły ugasić pragnienie i żyć. Nie pozwolono jej przystanąć, dotknąć ani objąć swych synów i córki, ona jednak odnalazła nas wszystkich wzrokiem i długo z nas nie spuszczała oczu, pogrążona w dumnym milczeniu. Poprzedniego dnia powiedzieliśmy jej wszystko o naszej miłości i smutku.

- Śmierć nie ima się pamięci. Pamiętaj o mnie, Saro. Pamiętaj, a część mnie zawsze będzie przy tobie.

Tak brzmiały jej ostatnie umęczone słowa skierowane do mnie, gdy wraz z zapadającym wieczorem i zbliżającym się nocnym odpoczynkiem w celach cichły odgłosy.

Gdy przechodząc, znalazła się najbliżej mnie, uniosła palec, dotknęła nim swojej piersi, po czym wyciągnęła go ku mnie, rysując niewidzialną łączącą nas nić; nić nadziei, nić jedności i porozumienia. Po raz ostatni pokazała swoją siłę woli, wchodząc po schodach sama, bez niczyjej pomocy, nie potykając się, nie podpierając rękami. Po chwili drzwi nad nami obróciły się na zawiasach i zamknęły.

Na wpół ośleplą przez pobyt w ciemnej celi, poruszającą się niemal po omacku wsadzono ją na wóz wraz z czterema mężczyznami. Z mocno skrępowanymi rękami z przodu, z trudem utrzymała równowagę, gdy wóz skręcił gwałtownie z Prison Lane w Main Street. Po drodze mijali domy sędziów i niektórych przysięgłych. Wielu mieszkańców ustawiło się wzdłuż ulic, by patrzeć, jak wóz zmierza na zachód w stronę Gallows Hill. Przejechał przez Town Bridge spinający brzegi odnogi North River, śmierdzącej słoną oceaniczną wodą, po czym na rozwidleniu łączącym Boxford Road i biegnącą na południe Old Road potoczył się po wyboistej ścieżce wiodącej do stóp Gallows Hill. Tam czekał na skazańców tłum mężczyzn, kobiet i dzieci z Salem Village, Salem Town i okolicznych miejscowości, przybyłych, by widok wieszanych był dla ich dusz ostrzeżeniem, lekcją przywołującą je do porządku. Wśród zgromadzonych znajdowali się również duchowni, w tym także najznamienitszy z nich, wielebny pan Cotton Mather.

Dzisiaj w tym miejscu rośnie jedynie akacja. Wtedy jednak stał tam potężny dąb o grubych konarach, które nie ugięłyby się pod ciężarem dwudziestu ciał, czymże więc było tych kilkoro, wychudzonych i lekkich jak wiór. O pień drzewa stała oparta drabina. Szeryf, dobrze wszystkim znany, założył

swą urzędową maskę nie po to, by przysłonić swoją twarz, lecz ponieważ przyjęty angielski obyczaj nakazywał katom nosić kaptury. Mając na względzie czekający go wysiłek, powiódł na szubienicę najpierw najcięższych mężczyzn. Poprowadził na drabinę Johna Proctora, następnie George'a Burroughsa, założył im pętle na szyje, po czym popchnął ich, by zawisli w powietrzu. Dalej przyszła kolej na Johna Willarda i wreszcie na George'a Jacobsa.

Na końcu kat przerzucił sobie przez ramię kruche ciało mojej matki, osłabłe już w obliczu zbliżającego się, tak długo wyczekiwanego uwolnienia. Umieścił ją na drabinie i założył pętlę na szyję. Pchnął ją, a ona zawisała w ciepłym letnim powietrzu, pod błękitnym bezchmurnym niebem. Można by pomyśleć, że Bóg patrzy na to wszystko szeroko otwartymi oczami, pilnując, by ani jeden obłoczek nie przysłonił oświetlających wszystko jaskrawo promieni słonecznych. Niebo nie uroniło ani jednej łzy, żaden powiew wiatru nie pokarał gapiów lękliwie zbitych w półokrąg wokół drzewa. Znoszone, popękane buty zsuwają się z drgających konwulsyjnie stóp. Szyja napina się i pęka; brama życia zamyka się i wali. Gasnące za opadającymi powiekami oczy szukają, szukają i znajdują wysoką postać stojącą samotnie na niewielkim wzniesieniu z tyłu tłumu. Olbrzym z Cardiff zgodnie z daną obietnicą stoi w imieniu nas wszystkich, z odkrytą głową, nieruchomy, rysując się wyraźnie na tle znikającego świata, igła kompasu prawdy wskazująca na północ, poza Salem, ku Andover, jej ostatniemu domowi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sierpień - październik 1692

Śnię, że jestem w piwnicy na warzywa u ciotki. Wiem, że to piwnica, ponieważ panują ciemności i wilgoć przesiąknięta stęchłym zapachem stwardniałych, przerośniętych rzeczy ukrytych pod ziemią. W brązowawej aksamitnej ciemności mającą niewyraźnie kosze, które wraz z Margaret napelniałyśmy jesienią, by potem stopniowo opróżnić przez całą długą zimę. Nad głową słyszę kroki. Ktoś przechadza się po pokoju dziennym w domu wuja, dobiega mnie jakaś rozmowa, także śmiech, cichy i niewyraźny, jak pył drzewny przeciskający się przez szpary w podłodze. Nade mną jest życie i światło. Ale drzwi do piwnicy są zamknięte, a ja w ręce trzymam jedynie dopalający się ogarek świecy.

Krzyczę, ale nikt mnie nie słyszy. Kopię w ziemię, z której są zrobione ściany piwnicy. Na próżno jednak. Wsłuchuję się w otaczającą mnie ciemność i słyszę, jak wszędzie rozlega się szelest niczym westchnienie. Nie jest to chrobot przemykającej chyłkiem myszy czy szczura, ale dźwięk cichszy, bardziej delikatny. I w pewien sposób bardziej cierpliwy. Przypomina trzepot skrzydeł żuka bądź chrząst pancerny szarańczy żerującej na kłosie pszenicy. A może suchy, szepczący odgłos korzonków przebijających się przez ściany do wnętrza piwnicy. Smukłe, cieniutkie korzonki, niektóre delikatne jak pajęczna sieć wdzierają się do jaskini, gdzie jestem uwięziona. Znęcone moim coraz szybszym oddechem owijają się wokół moich stóp i kostek, przegubów i dłoni. Coraz dłuższe macki delikatnie obejmują mnie, pną się po moich udach, talii, piersiach. Ściskając coraz mocniej, przytrzymując z całej siły, suną ku górze, aż wreszcie spowijają moją twarz, a płomyczek ogarka migocze i wreszcie gaśnie ostatecznie. Tkwię w zanikającym świetle piwnicy, z zatkanymi, niezdolnymi dobrać głosu ustami, szeroko

otwartymi niewidzącymi oczami, a w uszach dźwięczy mi cisza. I wtedy się budzę. Ten sam sen nawiedza mnie noc w noc przez wiele dni po śmierci mojej matki, a po przebudzeniu wciąż jestem w celi więzienia w Salem. I niezmiennie pada deszcz.

Ciemnobłękitne letnie niebo zasnuły gęste, przewalające się chmury, przez które nie przenika światło błyskawicy, a towarzyszący jej grzmot brzmi jak stłumiony, pusty hurkot. Deszcz przesiąkł przez kruszącą się zaprawę między kamieniami i strumyczkami wlewa się przez szczeliny w ścianie. Sitowie zaścielające podłogę zmieniło się w woniejącą kwaśno, gnijącą masę, od której przemakały nam podeszwy butów. Siedzieliśmy wtuleni w siebie, możliwie jak najdalej od przeciekających ścian. Tyle czarownic zamknięto w więzieniu w Salem, ponad sześćdziesiąt uwięzionych, zakutych w kajdany kobiet, że dach sam powinien odfrunąć, otwierając nam drogę ucieczki. Lecz gwoździe rdzewieją w drewnianych belkach, kraty w oknach tkwią niewzruszenie, zamki pozostają zaryglowane, a my wszystkie, te najmłodsze i te najstarsze, dźwigamy ciężar ważących osiem funtów łańcuchów.

Deszcz, gwałtowny i nieprzewidywalny, nadciągnął z północnego wschodu, swoimi strugami zalewając wybrzeże od Falmouth przez Wells do Kittery, po czym na podobieństwo czarnej, dobrze wypasionej klaczy podążył do Salisbury. Gwałtowne prądy znad Cape Ann pognały w głąb lądu sztormowe chmury, od Marblehead ku Merrimack i dalej na zachód. Wraz z wichrem nadciągnęły z Salem Village dziwaczne zjawiska i niezadowolenie. We wrześniu ponad trzydzieści kobiet i trzynastu mężczyzn z Andover trafiło do więzienia, z czego połowa była nieletnia. Młode dziewczęta z Andover zaczęły mieć dziwne ataki, takie same jak te, które się przytrafiały ich siostrzom z Salem Village, i wielebny pan

Barnard zarządził próbę dotyku. Odbyla się ona podczas modłów i miała wskazać dręczycieli nieszczęsnych. 7 września wielu znamienitym obywatelom Andover kazano stanąć przed pulpitem, aby mogły ich dotknąć krzyżące przeraźliwie, dygoczące dziewczęta. Ledwo któraś dotknęła tego, kto rzucił na nią urok, natychmiast zdrowiała. Drzwi więzienia otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały, i znowu otwierały i nie upłynęło wiele czasu, gdy siedmiu krewnych wielebnego pana Dane'a spało w mroku tuż obok mnie. Wnuk wielebnego, zaledwie trzynastoletni, trafił do celi, w której przebywali Richard i Andrew.

Jednakże nie tylko rodzina wielebnego pana Dane'a ucierpiała. Andover ocknęło się, odkrywając, że czarownice mieszkają wszędzie, w każdym możliwym zakątku, na każdej farmie i polu. Córka susząca zioła nad kołyską była podejrzana. Siostrzenica zostawiająca odcisk palca na nieupieczonym jeszcze chlebie odprawiała czary. Żona zapraszająca męża do małżeńskiego łóża była sukubem wysysającym krew z ciała poślubionego mężczyzny. Złe słowo, nierozwiązany zatarg, przysięga lub przekleństwo wypowiedziane pół pokolenia wstecz nagle było przypominane, wypominane, ujawniane. Przez oskarżenie mężczyzny o nazwisku Moses Tyler jego siostra, pięć jej córek, teściowa jednego z braci, a także żona i trzy córki drugiego brata trafiły do więzienia. Taki oto szlachetny i hojny duch objawił się kobietom owej pamiętnej tragicznej środy w domu modlitwy wielebnego pana Barnarda, czyniąc z niego niekwestionowanego przywódcę osaczonego miasta, w cień spychając jego starszego udręczonego kolegę po fachu.

WRAZ Z NOWO UWIEZIONYMI W celach pojawił się strach, niczym blizny po pobiciu, i nikt już nie wiedział na pewno, czy rzeczywiście czarownice nie siedziały obok niewinnych. Skończyły się spacerunki po „dobrej” celi. Miejsca starczało

jedynie na zmianę pozycji. I to wyłącznie za wspólną zgodą. Ani na chwilę nie zapadała cisza. Za sprawą wilgoci wiele kobiet cierpiało z powodu uporczywego kaszlu i nocami hałas panował większy niż za dnia. Sara Wardwell, nasza sąsiadka z Andover, została uwięziona wraz ze starszą córką i drugą, niespełna roczną. Dziecko, chorowite i malutkie, zawodziło rozpaczliwie w godzinach poprzedzających świt. Samuel Wardwell, ojciec dziewczynki, zamknięty w celi dla mężczyzn, został skazany i powieszony przed końcem miesiąca. Kobieta z gnijącym zębem płakała z bólu przez całą noc i większość dnia, nie znajdując już ukojenia w napitku, którego coraz większe i większe ilości wlewano jej do gardła. Również mnie dano się go napić, bym przestała krzyczeć z przerażenia i w cierpieniu, kiedy moją matkę po raz ostatni wyprowadzono z celi.

Gdy cichły kroki mojej matki wstępującej na schody, rzuciłam się do krat, szarpiąc je z całej siły, a moje przeraźliwe, coraz głośniejsze krzyki cięły gęste powietrze w korytarzu jak ostrze noża. Czyjeś mocne ramiona objęły mnie i odciągnęły.

- Ucisz się, już - zadźwięczał mi w uchu ostry głos. - Twoja matka nie może słyszeć, jak krzyczysz. To jej tylko przysporzy cierpienia. Ucisz się. Ucisz się i bądź dzielna przez wzgląd na nią.

Ja jednak nie mogłam przestać zawodzić, szarpać się i rzucać, zgrzytać zębami, gdy walczyłam z kobietami, które starały się mnie uspokoić. Stałam się szalona. Przestałam być dzieckiem. Straciłam rozsądek. Opanowanie. Biłam, kopałam i gryzłam, aż w końcu siłą rozwarto mi szczęki, wiano mi do ust gorzki dławiący płyn i zmuszono, bym go przełknęła. Powtórzyło się to jeszcze dwukrotnie i po kilku minutach bestia odstąpiła, a ciepło z mojego brzucha rozlało się po całym ciele, ogarnęło najpierw nogi, potem piersi, ramiona i

wreszcie głowę. Mój umysł się zamknął, a udręczone myśli stały się jak pogniecione prześcieradło pod grubym kocem. Przytrzymujące mnie ramiona poluźniły uchwyt i ktoś, być może zacna pani Faulkner, z wielkim brzuchem trzymał moją głowę na kolanach, nucąc szeptem jakąś pozbawioną melodii kołysankę.

Lulaj, moje maleństwo, lulaj, lulaj, Lulaj, moje maleństwo, lulaj, W płaczu się utulaj.

Wpatrywałam się w niską belkę na suficie i widziałam, jak sęki i zwoje na drewnie stają się wykrzywionymi twarzami mężczyzn i kobiet, niektóre w maskach i kapeluszach na głowach, wysokich jak gigantyczne tykwy. Głęboka szczyrba przybrała postać konia galopującego przez pole, inna stała się statkiem, który zaraz stoczy się z wąskiej szorstkiej krawędzi. Belka była samoistnym światem, fantastycznym i oddzielnym od otaczającej mnie niewyraźnej, zamazanej celi. Nagle jasna, gwałtowna myśl przebiła się przez gęstwę wyimaginowanych obrazów. Kiedyś, po wielu, wielu dniach belka ograniczająca moje widzenie stanie się jedynie częścią celi, nietkniętej, mimo że rozbiorą wszystkie kamienie, a resztę spalą do gołej ziemi. Więzienie, które teraz wydaje się nie do przebiccia i wieczne, rozpadnie się jak każda piwnica. Zaprawa spajająca głązy zmięknie. Belki popękają i pogną się. Kamienie runą. A gruz wypełni wszystkie ziejące dziury, tak że żaden przechodzień nie będzie mógł przystanąć i rzec:

- Tutaj i tutaj mój prapradziadek albo moja prababka lub daleka ciotka byli trzymali w ciemnościach i niedającej nadziei rozpacz.

Nim upłynęła kolejna godzina i zanim zamknęłam oczy, by się pogрузić w otchłani snu, figury na belce zaczęły się poruszać.

KAŻDY NASTĘPNY dzień upływał na podobieństwo poprzedniego. Wynoszono kubły, rozrzucano świeżą słomę.

Zjawiali się krewni, przynosząc jedzenie. W piątki przychodziła żona szeryfa. W soboty lekarze. W niedzielę odprawiano modły, od rana do wieczora. W poniedziałki zjawiali się duchowni, aby się pomodlić, błagać o wyznanie winy lub potępić i ekskomunikować. Dziewiątego września odbyło się czwarte posiedzenie sądu i skazano następnych sześć kobiet: Marthę Corey, Mary Easty, siostrę Rebeki Nurse, powieszoną w lipcu, Alice Parker, Ann Pudeator, Dorcas Hoar i Mary Bradbury. Wszystkie umieszczono w celi dla skazanych kobiet i nie widziałam ich do dnia, w którym poprowadzono je na śmierć. Często jednak słyszałam ochryply głos Marthy Corey, wymyślającej kapłanom, którzy przychodzili, by wymusić na niej przyznanie się do winy.

- Taka ze mnie czarownica jak i z was. Nigdy nią nie byłam i dzisiaj też nie jestem. Możecie postawić na mnie krzyżyk, ale moje uczynki są już spisane w boskiej księdze. A wy, pospołu z szatanem, możecie sobie wziąć tylną część mojego ciała, jeśli taka wasza wola.

Kapłani niejednokrotnie uciekali z więzienia równie szybko i ukradkiem, jak psy przed razami.

Na początku września wypowiedziano wojnę dzieciom. Znalazły się wśród nich Abigail i Dorothy Faulkner, pierwsza miała dziewięć, druga dwanaście lat. Nieśmiałe i przestraszone córki zacnej pani Faulkner ani na chwilę nie opuszczały bezpiecznych objęć matki, trzymały się jej kurczowo nawet wtedy, gdy wstawiała, by się wypróżnić. Znajdowały się tu też siostrzenice Mosera Tylera, Hanna, Joanna i Martha, dzikie i nieokrzeseane. Dwie młodsze były bliźniaczkami i choć miały zaledwie dwanaście lat, zmuszały starsze dziewczynki, by oddawały im całe swoje jedzenie. Kiedy weszły do celi, zobaczyliśmy, że wszystkie trzy noszą ślady wcześniejszych pobić, mają posiniaczone usta i podbite oczy. Na pełne przerażonej troski pytania, czy winę za to

ponoszą sędziowie, zaśmiały się tylko i powiedziały, że to pożegnalny prezent od ojca.

Na początku wiele dziewczynek z Andover garnęło się do mnie, bez wątpienia w przekonaniu, że mój długi pobyt pod ziemią obdarzył mnie jakimś sprytem pozwalającym znieść trudy uwięzienia. Ja jednak zamknęłam się przed całym światem i moja apatia szybko je zniechęciła. Jedyna osoba, która mogła podnieść mnie na duchu, ani razu na mnie nie spojrzała, leżała tylko w objęciach ciotki, obojętna na wszystko, co działo się wokół. Moje dni przypominały wieczór, pogrążone w otępieniu, jakie towarzyszy przechodzeniu z jawy w sen. Głosy Toma, ojca, doktora Amesa czy wielebnego pana Dane'a były pozbawione znaczenia, poza jednostajnym błagalnym rytmem: „Proszę, Saro, zjedz”, „Saro, wstań, proszę”, „Saro, proszę, odezwij się do mnie”, „Proszę, proszę, proszę...”. W końcu zatykałam uszy i wtulałam głowę w słomę, dając mówiącemu do zrozumienia, by zrezygnował z prób zmuszenia mnie do czegokolwiek. Hanna Tyler, myśląc, że zmogła mnie słabość, próbowała ukraść mi ukryty w fartuchu kawałek kukurydzianego chleba. Odepchnęłam jej rękę, ona jednak nie dawała za wygraną i starała się rozewrzeć mi palce, którymi ścisakałam chleb.

Podniosłam wzrok i ujrzałam przed sobą bladą, chciwą twarz z wystającymi zębami i złośliwie wysuniętym językiem. Przypomniła mi się podobna do pyska fretki twarz Phoebe Chandler i śpiewnie powtarzane: „Czarownica, czarownica, czarownica...”. Usiadłam tak gwałtownie, że Hanna straciła równowagę i opadła na pięty. Spojrzała na mnie zezem, najwyraźniej gotowa ponowić próbę, co przepełniło miarkę. Tom podpełzł, by w razie czego nas rozdzielić, ja jednak nie zwróciłam na niego uwagi.

- Dotknij mnie jeszcze raz, a palce ci zgniją i mięso odpadnie od kości - powiedziałam do niej.

Poruszyła szczęką, chyba zamierzając powiedzieć coś złośliwego, powstrzymała się jednak.

- Nie chcesz mnie znowu dotknąć - powiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Znalazłaś się tutaj, bo jesteś podła i brzydka. Ja tu trafiłam, dlatego że jestem córką swojej matki.

Odsunęła się, a ja kątem oka zobaczyłam, jak kobiety wymieniają pomiędzy sobą niespokojne spojrzenia. Rozejrzałam się po celi i stwierdziłam, że moje ostrzeżenie obudziło głębokie podejrzenie, iż nawet dziecko zdolne jest czynić zło. Zaczyna pani Faulkner i jeszcze jedna kobieta z Andover siedząca obok niej spuściły oczy pod wpływem mojego spojrzenia. Jednakże ktoś tuż obok odezwał się ostrzegawczo:

- Przeciwdstawiajcie się diabłu, a ucieknie od was - usłyszałam.

Mówiąca skierowała te słowa do mnie, ja jednak w nagłym przyływie gniewu pomyślałam, że przecież to nie mnie przyłapano na grzebaniu w cudzej kieszeni.

Spod ściany naprzeciwko podniosła się ciemna sylwetka i podeszła do nas. Była to kobieta odziana w grubą warstwę zszytych razem, parujących strzępów wielu różnych okryć. Widziałam ją, jak tydzień po tygodniu siedzi nieruchomo wsparta o ścianę, a jej błyszcząca czarna twarz pozostaje bez wyrazu, obojętna jednakowo wobec kapłanów, jak i współwięźniarek. Otwierała usta tylko po to, by zjeść skromne okruchy chleba lub odrobinę kleiku, które przynosił jej pan. Była jedną z pierwszych z Salem sądzoną i osadzoną w więzieniu, gdzie pozostała zakuta w łańcuchy, aż nastąpiły przenikliwe lutowe wiatry. Wielebny pan Parris, pastor Salem, który przywiózł ją jako niewolnicę z Indii Zachodnich, bił ją tak długo, aż się przyznała, i od tamtej pory chodziła

zgarbiona. Jej czary były równie słabe jak jej ciało. Równie kruche jak „szklanka Wenus”, którą się posłużyła, by pomóc wiejskim dziewczętom poznać przyszłość.

Przekroczyła rozciągnięte na podłodze ciała, jakby przechodziła na drugą stronę płytkiego strumienia, i zatrzymała się tuż przy wycofujących się rękach i nogach Hanny, która się czołgała, by uciec od tej pierwszej czarnej czarownicy. Czarne oczy omiotły pomieszczenie, a ona sama uniosła skute łańcuchami przeguby, jakby pragnąc coś ofiarować.

- Chcecie zobaczyć ręce szatana? - powiedziała. - Ręce szatana obejmują moje przeguby.

Obracała się i przesuwiała z miejsca na miejsce, by każdy mógł ujrzeć żelazne ogniwa bez początku i końca, połączone w zamkniętym kręgu obejmującym narodziny, życie i śmierć. Potem opuściła ramiona i zwróciła swoje wielkie wilgotne oczy na mnie. Westchnęła chrapliwie i przemówiła łamiącym się głosem, jakby udęczona wielkim bólem.

- Ja także jestem córką swojej matki - powiedziała.

Odeszła w martwej ciszy, jaka zapadła po jej słowach, i wróciła na swoje miejsce pod ścianą. Nigdy więcej nie słyszałam, by powiedziała coś jeszcze. Miała na imię Tituba. Gdy opuściła więzienie, została sprzedana innemu panu i wszelki słuch o niej zaginął. Przepadła jak kamień w wodę.

Od tej chwili nikt mnie już nie zaczepiał. Z wyjątkiem Toma, który robił co w jego mocy, by mnie karmić i chronić, a także doktora Amesę i żony szeryfa, mało kto zbliżał się do mnie.

DNI POD ZIEMIĄ wyglądały wciąż tak samo. Jedyna znacząca zmiana następowała w porze zachodu słońca, gdy przez krótką chwilę jego promienie wpadały przez wąskie szczeliny w ścianie. Do połowy września deszcz padał bez przerwy i przez kilka dni nic nie odróżniało poranka od nocy.

Potem nagle ulewy ustały i nastąpiły przeraźliwie zimne noce. Gdy któregoś ranka do celi weszła żona szeryfa, wiedziałam, że musi być piątek. Dzień wcześniej wieczorem piętnastoletnia Elizabeth Colson została schwytana i trafiła do więzienia, ponieważ skazano ją jeszcze w maju. Uciekła ze swego domu w Reading i schroniła się u krewnych w New Hampshire, jednakże miejscowi konstable odnaleźli ją i pod osłoną ciemności wywlekli z kryjóWKi. Miała na sobie porządną odzież z grubej wełny i zacna pani Corwin ogromnie pragnęła wymienić ją za jedzenie.

Zaskoczyło mnie, że Elizabeth, krzepka i dobrze odżywiona, jest wnuczką tej samej starej kobiety, która naigrywała się z doktora przybyłego, by odjąć ramię Andrew. Lidia Dustin, po tak się owa babka nazywała, była tak stara i niedołężna, że wyglądała jak żywcem wyjęta z dziecięcej opowiastki o czarownicach zrodzonych z kości i piór żurawia. Stała przed zacną panią Corwin i zakołysała swoją brudną, poplamioną spódnicą.

- Odstąp, paniusiu - powiedziała. - Nic od niej nie dostaniesz. Ale ja mam piękną suknię, którą chętnie oddam za kęs chleba.

Żona szeryfa skrzywiła się z obrzydzeniem i odeszła, brnąc przez słomę, odprowadzana rehotliwym śmiechem starej kobiety.

Zanim opuściła celę, przystanąła nieopodal i popatrzyła na mnie, przekrzywiając głowę, jakby chciała się przyjrzeć czemuś z kilku stron. Tupnęła czubkiem buta, dając znak siedzącej obok mnie kobiecie, by się przesunęła, robiąc dla niej miejsce. Przykucnęła, trzymając skraj sukni z dala od zalegającego podłogę brudu.

- Pamiętaj, że ja ci to dałam - rzekła cicho, upuszczając mi coś na kolana.

Wstała i wyszła z celi. Kiedy spojrzałam w dół, ujrzałam kawałek nadziewanej bułki. Co prawda była twarda, ale środek wypełniało chyba mięso. Schowałam ją pod fartuch, jednakże nie dość szybko i siedząca obok kobieta widziała, co robię. Posłała mi spojrzenie, w którym malowały się jednocześnie zawiść i nieufność.

Przez kilka kolejnych dni żona szeryfa przychodziła do celi i za każdym razem zostawiała mi coś do jedzenia. Chciałam dzielić się nim z Tomem, ale po pierwszym dniu niezmiennie odmawiał przyjęcia czegokolwiek ze stołu szeryfa. Ja wręcz przeciwnie. Głód, początkowo niezbyt dokuczliwy, teraz powrócił niczym krwiożerczy brytan, który posmakował pierwszej krwi. Tom nie miał do mnie pretensji, inni natomiast nie kryli swojej pogardy. Codzienne wizyty żony szeryfa wywoływały wiele komentarzy i plotek. Widziałam te same wrogie, oskarżycielskie spojrzenia, na które byłam narażona w domu modlitwy. Spokojnie i bezlitośnie odsuwano się ode mnie, co mnie jednak cieszyło, ponieważ pozwalało mi zapanować nad narastającym we mnie coraz większym gniewem. Gniewem, który był zbroją chroniącą mnie przed głębokim, szarpiącym duszę poczuciem winy, że w wielkiej mierze to ja właśnie przyczyniłam się do śmierci mojej matki.

W sobotę 17 września sędziowie skazali osiem kolejnych kobiet. Jedną z nich była Abigail Dane Faulkner, która w południe wróciła do celi wraz ze swoimi dwiema córeczkami, zmuszonymi świadczyć przeciwko matce. Niepewnym krokiem doszła do swojego miejsca pod ścianą, tuląc dziewczynki do wydętej niczym balon spódnicy, a nas ogarnęło przerażenie na wieść, że nawet kobieta w tak zaawansowanej ciąży miała trafić w ręce kata.

Jedynym sądzonym tego dnia mężczyzną był Miles Corey, mąż Marthy Corey, który nie wyrzekł ani słowa, nie chcąc ani

przyznać się do winy, ani jej zaprzeczać. Liczył sobie osiemdziesiąt lat. Raz po raz wypytywany przez sędziów, skrzyżował ramiona i z zaciśniętą szczęką wpatrywał się w deski podłogi. Ponieważ nie chciał mówić, poddano go torturom, które miały rozwiązać mu język. 19 września, w owiewany łagodnym jesiennym wiatrem dzień, wyprowadzono z celi zacnego pana Coreya na więzienne podwórze, gdzie został rozciągnięty płasko na ziemi. Ręce i nogi zakuto mu w dyby i przykryto go deską, na której ułożono głazy tak ciężkie, że nie był w stanie zaczerpnąć tchu. Ani razu nie odezwał się do swoich oprawców, z wyjątkiem słów wypowiedzianych pod sam koniec.

- Więcej kamieni - powiedział.

W końcu śmierć uwolniła mu język. Miażdżący ciężar głazów wypchnął go spomiędzy martwych opuchniętych warg i dopiero szeryf siłą wepchnął go z powrotem końcem swojej laski. Śmierć Milesa Coreya odmieniła kierunek wiatru wiejącego nad Salem, ponieważ Dorcas Hoar, na której kara śmierci miała zostać wykonana 22 września, zmieniła zdanie i przyznała się, że jest i od wielu lat była czarownicą. Z litości nad zaawansowaną ciążą ułaskawiono również Abigail Dane Faulkner.

Po PIĘCIU, może sześciu dniach zacna pani Corwin powiedziała mi wreszcie, czego oczekuje w zamian za jedzenie. Zjawiała się rankiem, niespokojna i zdenerwowana, to szarpiąc fartuch rękami, to na powrót go wygładzając. Jak zwykle podeszła do mnie, rzuciła mi na kolana coś do jedzenia i przemówiła szeptem, by nikt jej nie usłyszał.

- Mój zacny mąż twierdzi, że być może masz moc uzdrawiania - rzekła.

Popatrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc.

- Twój brat - rzekła. - Ten, który miał stracić ramię. Doktor powiedział, że na pewno umrze. Ale on przeżył i teraz jest zdrowy.

Czekała, a ponieważ ja wciąż milczałam, zaczęła mówić dalej:

- Mam córkę. Prawie w twoim wieku.

Popatrzyła na czubek mojej głowy, a ja przypomniałam sobie, jak sprawdzała ręką, ile mam wzrostu. Bez wątplenia pomyślała sobie, że moja suknia będzie pasować na jej córkę.

- Jest bardzo chora i bliska śmierci. Doktor powiedział, że nic już nie można zrobić. Chyba że... - Zawiesiła głos, a ja wreszcie zaczęłam pojmować, o co jej chodzi, i poczułam, jak kurczy mi się skóra na głowie. - Uzdrów ją, a już nigdy nie zabraknie ci jedzenia. Przynajmniej tak długo, jak będziesz tutaj.

Zajrzałam w głąb jej wyczekujących oczu i ujrzałam niekończącą się procesję dni spędzonych w więzieniu, powolne umieranie z głodu lub przetrwanie, a wszystko to uzależnione od kaprysu strażników. Wzięła moje milczenie za zgodę i wyszła, pozostawiając mnie pod ostrzałem zdziwionych spojrzeń współwięźniarek.

Wczesnym rankiem 22 września niebo rozwarło się i spuściło morze wody na domy i mieszkańców Salem Town. Ulicami i ścieżkami płynęły rzeki i strumienie. Wlewały się przez okna, zatapiały piwnice i fundamenty. Ulice zamieniły się w jeziora, przez które ludzie i zwierzęta musieli przeskakiwać albo tonęli w wodzie po kolana. Gdy szeryf Corwin otworzył drzwi piwnicy, by wraz ze swymi zastępcami wejść na korytarz, woda spłynęła małą kaskadą, mocząc im podeszwy butów. Dwaj zastępcy strzepnęli krople deszczu ze swoich peleryn.

Szeryf wyprowadził Samuela Wardwella z celi dla mężczyzn. Sara Wardwell ustąpiła miejsca przy krótszej

ścianie, a ona uniosła swoje dziecko, by jej mąż mógł spojrzeć na nie przez kraty. Gdy prowadzono go na górę schodami, siedem starych kobiet, potykając się i drżąc, wyszło ze swojej celi. Wolno i ostrożnie wspięły się po śliskich stopniach, zatrzymując się jedynie po to, by pomóc tym, które się potknęły lub zawahały. W końcu dotarły do górnych drzwi, a ich kroki zginęły w szumie deszczu.

Martha Corey, Alice Parker, Mary Easty, Ann Pudeator, Wilmot Reed, Mary Parker, Margaret Scott i Samuel Wardwell wyszli na spotkanie śmierci, do końca utrzymując, że są niewinni. Kiedy jednak wóz kata utknął w dziurze na ścieżce wiodącej do Gallows Hill, jeden z gapiów krzyknął:

- Patrzcie, szatan próbuje zatrzymać wóz!

Dzień po egzekucji szeryf Corwin i jego zastępcy zabrali wszystko, co należało do Parkerów i Wardwellów. Według prawa ich dobytek powinien był przejść na własność Korony, ale większość zagarnęli Corwinowie. Synowie Mary Parker zdołali wykupić swój majątek, kiedy jednak Sara Wardwell wróciła na farmę, odkryła, że zwierzęta, cały zapas kukurydzy, co do ostatniej kolby, wszystkie dające się wynieść meble, nawet stolarskie narzędzia jej męża zostały zabrane i sprzedane za pieniądze. W ten piątek, 23 września, córka szeryfa zmarła i kiedy jego żona się nie zjawiała, wiedziałam z całą pewnością, że więcej nie dostanę od niej nawet okruszyny chleba.

HYZOP NA KASZEL. Rozmaryn na gorączkę. Odrobina mięty na zabicie niemiłej woni w ustach. Kora wiązu dla akuszerki. Kasztan na sztywność stawów. Złota gałąź na drżączkę. Czym jednak uleczyć wściekłość? Rumianek uspokaja. Może odpowiednio duża dawka w połączeniu z mocą czarnego proszku i soli zdołałaby uwolnić od niej ciało. A co z niespokojnym umysłem, który nie chce się pogрузić we śnie o określonej porze? Być może wystarczyłaby

poduszka z lawendy lub nasenna mikstura zmieszana w równych ilościach z rumem, wodą i słodkim balsamem.

Co jednak z cierpieniami pogrążonej w poczuciu winy duszy? Jaki środek zażyć, przeżyć, połknąć, by trucizna samooskarżenia wypłynęła przez pory w skórze? W którym narzędzie mieszka? Ropiejącą ranę można opatrzyć. Na oparzenie lub opuchliznę nałożyć maść. Przyłożyć pijawki, by wysały truciznę, lub usunąć ją cięciem noża. Wina jednak jest duchem, który przybiera postać tego, w kim mieszka, i żywi się tym, co w nim najdelikatniejsze: mózgiem, wnętrznościami, sercem. Nie da się jej usunąć za pomocą odłamka szkła czy uleczyć szklanką naparu z ziół.

Gdzieś obok rozległ się przenikliwy dźwięk. Stara kobieta z gnijącym zębem nie przestaje, nie może przestać jęczeć. Przyszedł doktor, mówiąc, że go wyrwie. Jej siostry w niewoli zaklinały ją i błagały, starały się przywiązać do zęba kawałek sznurka, by z jego pomocą usunąć gnijący korzeń z opuchniętej szczęki. Ale ona zasłaniała usta rękami i jęczała, jęczała, jęczała i jęczała, aż myślałam, że sama zacznę wrzeszczeć, by już nigdy nie umilknąć.

Jest środek nocy. Patrzę, jak kołysze się w przód i tył z wysuniętymi przed siebie gołymi nogami, a palce u stóp kurczą się i rozprostowują z bólu. W nagości jej chudych białych nóg wystających spod spódnicy jest coś wzruszającego i okropnego. Coś mi się przypomina i nagle widzę gołą nogę wystającą z płytkiego grobu. Próbuję odepchnąć od siebie tę wizję, wiem bowiem, że nie jest to prawdziwe wspomnienie. Tkwi w mojej wyobraźni wywołane podsłuchanymi rozmowami kobiet z celi, które przez cały czas plotkują i coś sobie opowiadają. Dzielą się historiami o swoich rodzinach. O wieszaniu skazańców. I o pochówku powieszonych. Zmarłych. Odcina się ich i ciągnie za strzępy przyodziewku lub za końcówkę wisielczego sznura do

wykopanych nieopodal płytkich grobów. Do których się ich wpycha. A potem przysypuje ziemią. Warstewką tak cienką, że wystają spod niej części ciał. George Burroughs, odarty ze spodni i koszuli, pochowany w jakimś skalistym miejscu. Przysypany, ale jego broda i jedna ręka wystają spod ziemi, jakby kogoś przywoływał. Obok niego leży zacny pan Willard. A teraz cicho, cicho, bo dziewczyna słucha. Wiecie, co się stało z zacną panią Carrier. Leży obok niego. A spomiędzy głazów wystaje jej jedna noga. Jakby lada chwila miała wstać z grobu.

Jęcząca kobieta wpycha sobie palce do ust, a ja modłę się, żarliwie jak nigdy dotąd, bym mogła zamienić się z nią cierpieniem. Bym to ja odczuwała szarpiący ból w szczęce, a ona przeżywała katusze wywołane moim postępkami. Kobieta zaczyna gwałtownie poruszać ręką, a ja widzę, jak spomiędzy palców wycieka jej strużka krwi i spływa po wierzchu dłoni. Podnosi drugą rękę do ust, by odsunąć wargę, która jej zawadza i grzebie, grzebie przy zębie. Szarpie go, rozdrapując paznokciami dziąsło, aż wreszcie wyrywa go i wyciąga z ust. Przez kilka chwil wpatruje się zdumiona w poczerńiałe ziarno, które trzyma między palcami, a potem na jej twarzy pojawia się wyraz całkowitej, bezgranicznej ulgi. Uśmiechając się zakrwawionymi wargami, pokazuje mi swojego demona. Kładę się na słomie, odwracam od niej, przysuwając się do Toma tak blisko, jak to tylko możliwe, i czując, jak mój demon wciąż miota się we mnie.

GDY NASTĘPNEGO DNIA przyszedł doktor Ames, nie usiadłam, aby go powitać, ani nawet na niego nie spojrzałam. Zapytał Toma, czy coś jadłam, i przyłożył ucho do mojej piersi, by posłuchać bicia mojego serca. Usatysfakcjonowany wynikiem badania usiadł i wziął mnie za rękę.

- Saro, musisz wierzyć, że sąd uzna w końcu twoją niewinność. Nawet teraz wielu ważnych ludzi śle petycje do

gubernatora. Księża z Bostonu, wasz wielebny pan Dane zwracają się bezpośrednio do wielebnego pana Increase'a Mathera, ojca Cottona Mathera, by spróbował skierować te procesy na drogę rozsądku.

Schylił głowę, aby móc lepiej spojrzeć mi w oczy.

- Wielu z nas zbiera pieniądze, żeby zaproponować kaucję za wasze uwolnienie. Uwolnienie wszystkich dzieci.

Pomyślałam o powrocie do zniszczonej skorupy, niegdyś będącej moim domem. Pokoje zagracone przez brak troski. Nieczyszczone od dawna palenisko, okopcone, brudne od sadzy po sam komin. Pola zachwaszczone i nieuprawiane przez brak odpowiedniej ilości rąk do pracy. Pięć samotnych dusz błakających się w pustce wszystkich pokoi. Szukających grobu, nad którym ich rozpacz mogłaby znaleźć swój kres.

- Saro, wiem, że cierpisz po stracie matki, ale ona jest już w miejscu, do którego, da Bóg, my także w końcu trafimy.

- Jest w płytkim grobie - powiedziałam płaskim, bezdźwięcznym głosem.

Doktor spojrzał krzywo na siedzące wokół kobiety i marszcząc brwi, potrząsnął głową, jakby chciał je zawstydzić spojrzeniem, po czym zwrócił się do Toma i do mnie, mówiąc tak cicho, by nikt poza nami go nie usłyszał.

- Wasz ojciec nie zostawił jej w tym straszliwym miejscu. Pochował ją jak należy, daję wam na to moje słowo. On i wielu innych wrócili, by zabrać ciała swoich ukochanych i przenieść je w sekretne miejsca.

Pomyślałam o ojcu wracającym na Gallows Hill, by wykopać sztywniejące ciało matki z wąskiego dołu, i zadrżałam. Doktor Ames otulił mnie szczelniej szalem i przez chwilę siedział przy mnie w milczeniu, ściskając moje palce w swoich. Poczułam, jak powieki robią mi się ciężkie pod dotykiem jego palców, i zapragnęłam pogрузić się we śnie. We śnie, który trwałby i trwał bez końca, spokojnym i

nieprzerwanym. Gdy matka budziła ojca w szabat, spod kołdry dobiegał jego dudniący, głęboki głos mówiący po walijsku:

- Śpię i nie budź mnie.

Jednakże sen, który przyzywałam, był bajkowym marzeniem, znacznie głębszym i zaczarowanym. Mglistym, pełnym zadumy końcem, trwającym dłużej niż czas. Poczułam, że mój umysł uwalnia się, pogrąża w senności, usłyszałam jednak, że doktor mówi dalej, głosem tak napiętym, że wyteżyłam słuch, by go zrozumieć.

- Nie wiem, ile ci wiadomo o twoim ojcu, Saro. O jego przeszłości, zanim przybył tu z Anglii. Być może wiesz bardzo niewiele i nie moją sprawą jest mówić ci o dawnych uczynkach, które byłyby... - powiedział, ale przerwał w pół zdania, ostrożnie szukając właściwych słów. - Twój ojciec był żołnierzem, który długo i ciężko walczył dla Cromwella. Wielu mężczyzn tutaj z dumą walczyło za Cromwella i jego parlament, ale nie obnoszą się z tym teraz. Ale zanim twój ojciec postanowił walczyć za parlament, był żołnierzem Korony i popierał króla, podobnie jak wielu jego rodaków. Z czasem jednak nabrał przekonania, tak jak i wielu innych wielkich ludzi tamtych czasów, że to właśnie król jest głównym sprawcą cierpień ludu. Tyrania królewskich przepisów podatkowych, religijna nietolerancja...

Otworzyłam oczy, a on umilkł i uśmiechnął się, widząc, że po dziecięcemu nie mam pojęcia, o czym mówi. Uścisnął moją rękę.

- Nic nie rozumiesz, prawda? - Potrząsnęłam głową, a on mówił dalej. - W takim razie powiem tylko, że twój ojciec to najdzielniejszy z ludzi. Dźwiga na swoich barkach potworny ciężar swoich uczynków i przegranych. Przegranych, które słabszego człowieka wpędziłyby do grobu. Czy naprawdę myślisz, że pozwoliliby, aby grupka opętanych dziewcząt

powstrzymała go od dopełnienia obowiązków wobec swojej żony?

- Nie potrafię powiedzieć, co zrobi - odezwałam się cicho.
- Nie uratował mojej matki.

Doktor spuścił na chwilę głowę.

- Łatwiej zabić tyrana mieczem, niż pokonać całe hrabstwa spętane okowami przesądów - powiedział. - Nie mógł jej uratować, Saro, nie narażając ciebie i twoich braci na ogromne ryzyko.

Gdy nie odpowiadałam, zaczął zbierać swoje narzędzia i fiołki do torby i wstał.

- Nie spocznie, póki nie sprowadzi was wszystkich bezpiecznie do domu - rzekł odchodząc.

Z przerażeniem przypomniałam sobie o wiadomości, którą miałam przekazać ojcu. Chwyciłam doktora za rękaw jego czarnego płaszcza.

- Zapomniałam przekazać mu wiadomość od was - powiedziałam. Poklepał mnie uspokajająco po ręce.

- Przekażesz mu ją więc, kiedy go zobaczysz następnym razem - rzekł. - To ważne, żeby wiedział o naszym wsparciu. Śpij teraz, a ja niedługo przyjdę znowu.

Na odchodnym poprosił Toma, aby troszczył się o mnie i pilnował, żebym zjadała swoją porcję chleba.

Do końca dnia spałam głęboko, a kiedy o zmierzchu się obudziłam, poczułam ucisk i drapanie w gardle, jakby uwięzienia w nim szamocząca się ćma. Znowu przespałam kilka godzin, a gdy się obudziłam po raz kolejny, głowa mi płonęła, a ciałem wstrząsały przenikliwe dreszcze. Pierwszy suchy kaszel szybko przeszedł w szarpiący, dobywający się z głębi mojej piersi. Tom dotknął ręką mojej szyi, ale cofnął ją tak szybko, jakby się oparzył. Przywołał skinieniem zacną panią Faulkner, ona jednak widząc, że nie jest ze mną dobrze, wycofała się pospiesznie.

- Musisz pilnować, żeby cały czas była okryta - powiedziała. - Poproś ojca, aby przyniósł jej zupę, albo podawaj jej rozmoczony chleb, bo na razie nie wolno jej jeść niczego stałego. I ocieraj jej czoło. Nic więcej nie można zrobić.

Przyciągnęła swoje córki bliżej do siebie i trzy pary oczu wpatrywały się we mnie bardziej ze strachem niż współczuciem.

Po RAZ DRUGI w więzieniu w Salem Tom czuwał przy chorym. W zimne noce okrywał mnie swoim płaszczem, własny chleb i mięso wymieniał za odrobinę papki, zupy lub słabego piwa, które moje rozpalone gardło było zdolne przełknąć. Po kilku dniach zapadłam w ten trawiony gorączką stan, kiedy chwile świadomości są zamazane i fragmentaryczne, a senne majaki jasno i mocno zapadają w pamięć. To stan bliski szaleństwa, ponieważ nie można być pewnym niczego, co się słyszy i widzi, i potem wspomina, gdy choroba się wypali i gorączka mija.

Raz ujrzałam, jak drzwi celi same otwierają się na oścież i ciemnowłosa mężczyzna o długich kończynach, niespotykane chudy, huśta się na nich niczym laska zawieszona na rozkołysanej gałęzi. Miał ostre rysy twarzy i przyłożył palec do uśmiechniętych ust, jakby łączył nas jakiś niedobry sekret. Popatrzyłam na Toma, chcąc mu pokazać dziwnego mężczyznę, kiedy jednak spojrzałam znowu w stronę drzwi, ów człowiek zniknął. Drzwi celi były zamknięte i nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek poza mną widział dziwną postać. Słyszałam bezcielesne głosy ojca i doktora Ames, którzy mnie wołali, kazali mi wstać i zacząć szykować śniadanie albo usiąść przy kołowrotku. Kiedy im odpowiadałam, mój głos ogłuszająco i żałośnie dźwięczał mi w uszach.

Co jakiś czas czyjeś ręce przewracały mnie na plecy, a ja opierałam się, pragnąc tkwić zakopana w słomie, chronić oczy przed rażącym blaskiem światła, które na mnie kierowali. Do czoła przykładano mi wilgotne szmatki, ja jednak zaraz je odpychałam, bo miałam wrażenie, że dotykają mnie dłonie zmarłych. Chciałam tylko spać, kiedy jednak w środku nocy moim ciałem zaczynały wstrząsać dreszcze i dopadały mnie ataki kaszlu rozrywającego piersi, godziny dzielące mnie od świtu zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Słyszałam szelest poruszających się w słomie szkodników i raz ujrzałam dwa szczury, które przyglądały mi się z zaciekawieniem, a w ich ślepiach malowało się inteligentne współczucie. Przysiadły na zadnich łapkach i zaczęły rozmawiać cienkimi drżącymi głosami, jak u starych bab.

- Zdaje się, że kilka dni temu powiesili w Salem psa - odezwał się jeden.

- Tak - odpowiedział mu drugi. - Słyszałem też, że dokładnie w tej godzinie wieszają innego w Andover.

Zaśmiały się, jak dwaj starzy przyjaciele rozbawieni dobrym kawałem, kiedy jednak popatrzyły na mnie, zobaczyłam ich ostro zakończone, poźółkłe zęby. Usłyszałam miauczenie małego kotka, żałosne i słabe, jakby dobywające się z worka, w którym topi się kocięta. Szczury potrząsnęły łbami, patrząc na mnie ze smutkiem.

- Takie maleństwo, raczej nie przeżyje - odezwał się większy. - I tyle krwi...

Opadły na przednie łapy, przyjmując przyczajoną, skuloną pozycję, w jakiej się poruszają wszystkie szczury od czasów Adama, i wkrótce znikły w ciemnym szeleszczącym sitowiu zaścielającym podłogę.

Raz obudziłam się ze snu i stwierdziłam, że rozmawiam z kimś siedzącym obok mnie. W uszach słyszałam cichutkie dzwonięcie, które jednak nie sprawiało mi bólu, a wszystko

widziałam tak wyraźnie, jakby każdy przedmiot był obwiedziony czarną kreską odróżniającą go od tła. Piersi opasywała mi ciasna obręcz i oddychając, mogłam wciągać powietrze przez pojedynczą wąską rurkę.

- Ale dlaczego muszę zostać? - usłyszałam swoje własne słowa.

Coś ścisnęło mi palce, a gdy odwróciłam głowę, zobaczyłam, że Tom siedzi przy mnie i trzyma mnie za rękę. Twarz miał błyszczącą i moką, a jego oczy zdradziły mi, że płakał. Chciałam go pocieszyć, ale język miałam napuchnięty i zdrętwiały i mogłam jedynie leżeć bardzo spokojnie, słuchając jego niskiego, łamiącego się głosu.

- Saro, pamiętasz, co się stało w czerwcu, kiedy matkę już zabrali, a ja i ojciec pracowaliśmy w polu?

Opuściłam odrobinę brodę, by mu pokazać, że pamiętam, choć nawet tak niewielki ruch był niemal ponad moje siły.

- Oraliśmy pole pod zasiew. I nagle... obejrzałem się za siebie i zobaczyłem rzędy bruzd zaoranych poprzedniego dnia, i poprzedniego, a potem spojrzałem przed siebie i zobaczyłem kamienie i pniaki, które trzeba usunąć. Już zawsze, do końca moich dni, będę chodził zaprzęgnięty w skórzany pas i miał przed sobą ziemię, którą trzeba oczyścić. Nie widziałem nic, tylko czarną beznadziejną otchłań. Więc zrzuciłem uprząż i poszedłem do łóżka.

Później przyszedł ojciec i usiadł koło mnie. Z początku milczał. Siedział tylko, aż zrobiło się całkiem ciemno. Wtedy zaczął mówić. Powiedział mi, że jestem jego imiennikiem, ponieważ tak bardzo go przypominam. Zdziwiło mnie to, Saro, bo zawsze myślałem, że to Richard jest najbardziej podobny do ojca. Ojciec powiedział, że są ludzie, którzy od narodzin aż do dnia śmierci mają takie samo pojęcie, po co żyją, jak mizerny żuczek. Ale my jesteśmy inni, on i ja.

Potrzebujemy czegoś więcej niż gruda ziemi, żeby mieć po co wstawać rano i kłaść się wieczorem.

Powiedziałem mu, że wolę raczej umrzeć, niż do końca życia tylko orać i strzepywać błoto z butów. A wtedy on odrzekł, że jeżeli ja umrę, jakaś część jego umrze także. Powiedział, że muszę znaleźć sobie coś, co będzie ważniejsze ode mnie i dla czego będzie warto żyć, co da mi siłę, żebym mógł chodzić z wysoko podniesioną głową, jak mężczyzna. Dawno temu pogrążony był w rozpacz, upadł tak nisko, że był bliski śmierci. Ale wtedy spotkał matkę i to ona przywróciła sens jego życiu. Długo myślałem nad jego słowami. I wiesz, co mu powiedziałem, Saro?

Ścisnął mnie boleśnie za rękę i umilkł na chwilę, bo głos mu uwiązł w gardle. Zmagał się ze sobą, by wyrzucić to, co mu leżało na sercu, a ja czekałam, aż da upust swojemu żalowi po matce.

- Powiedziałem mu, że to ty - rzekł w końcu - ty jesteś moją siłą. Saro, nie wolno ci umrzeć, nie możesz zostawić mnie samego w tym strasznym miejscu.

Ogarnęła mnie senność i powieki zaczęły mi opadać. Wciąż słyszałam głos Toma i chciałam mu odpowiedzieć, zapewnić, że go nie zostawię, ale brakowało mi tchu. Jakże prosto byłoby utonąć pod ciężarem przytłaczającym mi piersi, pomyślałam, przypominając sobie Milesa Coreya pod okryciem z głązów. Oddychać coraz słabiej i słabiej, aż każde żebro zamarłoby, znieruchomiało. Zacisnęłam palce na dłoni Toma i zasnęłam.

NIEKIEDY LEŻAŁAM rozpalona, a słoma żarzyła się pode mną, by w końcu stanąć w ogniu. Na czele płomieni kroczyły po podłodze legiony szcurów, poprzedzane przez armie wszy, by zniknąć niczym dym w szparze pod drzwiami. Kiedy indziej tkwiłam zamknięta w zimnej piwnicy, zamieniając się w lód, kamieniejąc i stając się zamarznętym prochem.

Niezmienny był tylko wilgotny bulgot w moich płucach, broniących się przed powolnym tonięciem. Raz otworzyłam oczy i zobaczyłam siedzącą obok mnie Margaret z rozpuszczonymi, opadającymi w nieładzie na ramiona włosami. Potrząsnęłam głową i zacisnęłam powieki, by odegnąć zjawę, kiedy jednak ponownie rozwarłam powieki, Margaret wciąż tam była.

- Zabrali mi lalkę, Saro - powiedziała, ściskając mnie za ramię. - Tę, którą dostałam od ciebie.

- Moją także zabrali - wycharczałam jak stara kobieta. Poszukałam wzrokiem Toma, by wrócić do prawdziwego świata, nigdzie go jednak nie widziałam.

Margaret nachyliła się ku mnie.

- Nie możesz winić mojego ojca - szepnęła. - Chce dobrze i wszystkich nas kocha. Po prostu był w ostatnich dniach trochę zagubiony. Ale popatrz, zobacz, co dla ciebie znalazłam.

Sięgnęła do rękawa i wyjęła kawałek nitki.

- Widzisz, mam dla ciebie kawałek wstążki. Nauczyłam się tego od ojca. Ale jak już ją wyciągnę, nie umiem sprawić, żeby na powrót znikła.

Delikatnie położyła mi nitkę na piersi. Uśmiechnęła się słodko, a jej spojrzenie stało się szkliste i zamglone, jak u kogoś, kto w ślad za wrózkami podąża na skraj pochyłego brzegu nad przepaścią. Położyła się obok mnie, objęła ramionami i ucałowała. Wargi miała chłodne i gładkie jak kamienie rzeczne, ale oddech ciepły i wilgotny.

- Zawsze będziemy siostrami - szepnęła śpiwnie.

Kiedy zasnąłam, wydawało mi się, że się unoszę na falach wielkiego ciemnego oceanu.

TOM I MARGARET ani razu mnie nie odstępili na zbyt długo. Nie wiedziałam, co ciotka sądzi o trosce, jaką Margaret mnie otacza, ale nigdy nie kazała jej wrócić na miejsce w

odległym kącie celi. Dałam Margaret kawałek starego naczynia, który nosiłam pod stanikiem od tak dawna, i powiedziałam, że jeśli umrę, zostanie jej po mnie coś, co będzie mogła zatrzymać na zawsze. Twarda gliniana skorupa tak długo wciskała mi się w mostek, że gdy jej zabrakło, miałam wrażenie, iż oddałam Margaret kawałek własnego zębra. Mój podarek ją zachwycił, przyglądała mu się, obracając cały czas w dłoni. Kiedy pokazałam jej haftowaną krzyżykami chusteczkę, którą nosiłam przy sercu, rozplakała się, otarła nią łzy i wsunęła na miejsce pod moją sukienkę.

Gdy siły wróciły mi na tyle, że mogłam zadawać pytania, Tom mi wyjaśnił, co było tworem mojej trawionej gorączką wyobraźni, a co wydarzyło się naprawdę. Rzeczywiście, niektóre kobiety z celi opiekowały się mną na zmianę, choć większość z nich zrezygnowała, widząc, że paląca mnie gorączka nie spada. Jedyną, która wiernie przy mnie czuwała, pozwalając, by Tom i Margaret zażyli nieco snu, była Lydia Dustin, staruszka o ciętym języku. Dwa psy zostały powieszzone, jeden w Salem, drugi w Andover, oba uznane za kompanów szatana. Jedna z więźniarek przy nadziei, w siódmym miesiącu, w milczącym cierpieniu wydała na świat swoje pierwsze dziecko. Zrozumiałam, że miauczenie kota, które słyszałam, w rzeczywistości było kwileniem noworodka. Dziecko szybko zmarło, jego młoda matka niedługo po nim, gdyż jej życie wraz z krwią wyciekło na słomę.

Przerażona przypomniałam Tomowi o wiadomości, jaką miałam przekazać ojcu od doktora Amesa, a o której w malignie zupełnie zapomniałam. Tom jednak uspokoił mnie, zapewniając, że powtórzył ojcu słowo w słowo wszystko, co doktor mi powiedział. Na moje pytanie, o co mu chodziło, mój brat odparł, że ojciec mu wyjaśnił, iż doktor Ames i jego towarzysze należą do New Levellers. Tom nie wiedział, co to oznacza, a ojciec rzekł mu tylko, że są to ludzie, którzy wierzą

w równe prawa dla wszystkich i wolność podążania za własnym sumieniem w kwestii wiary i religii. Przypomniał mi się kwakier ukrywający się w stodole wuja, człowiek, którego za to właśnie Margaret nazwała heretykiem, i zastanowiłam się, czy doktor Ames również nie był kwakrem.

Wraz z nadejściem jesiennych chłódów wróciła moja gorączka i dla obrony przed zimnem siedzieliśmy ciasno do siebie przytuleni. Po kilku tygodniach wody gruntowe zaczęły zamarzać i przez umieszczone wysoko w zachodniej ścianie otwory wciskał się śnieg, oprószając bielą nasze włosy, a cienkie szale zamieniając w zamarznięty pergamin. Margaret godzinami leżała przy mnie, plotąc bez końca o procesach i swoim domu w Billerice. Czasami broniła się przed oskarżeniami stawianymi przez niewidzialnych sędziów, co wpędzało ją w melancholię i apatię, jak gdyby zaraziła się ode mnie gorączką i popadała w znużenie. Dla mnie jednak zawsze była czuła. Obmywała mi twarz, nakłaniała do przełknięcia kilku łyżek rosółu, jeżeli akurat ktoś go nam przyniósł, lub w mętym świetle iskała z mojej głowy wszy będące dla mnie prawdziwą udręką.

Często bywa, że ciało staje się najslabsze w porze, gdy zachodzi słońce. Gorączka rośnie, kobieta przy nadziei szykuje się do porodu, a wraz z nastaniem ciemności dusza mrocznieje i słabnie. Właśnie w takiej chwili przepelniające mnie poczucie winy stało się nie do zniesienia i wyznałam wszystko Margaret.

- Zabiłam własną matkę - zaszlochałam rozpaczliwie, chowając twarz w dłoniach.

Margaret tuliła mnie i kołysała, odgarniając mi włosy z twarzy. Z uśmiechem nachyliła się, by szepnąć mi coś do ucha.

- Zdradzić ci sekret? - spytała.

Skinęłam głową, dobrze pamiętając tajemnice, jakimi się dzieliłyśmy, gdy mieszkałam u jej rodziny. Spodziewałam się, że powie mi coś miłego, co odwróci moją uwagę od ponurych myśli.

- Cii, cii. Nie płacz. Widziałam ją nie dalej jak wczoraj, i ma się dobrze.

Kiwnęła głową i zerknęła w odległy kąt celi.

- Kogo? - spytałam z gardłem wysuszonym nagle na pieprz. Zdawała się mnie nie słyszeć, tylko dalej zwinnie splatała mi włosy w warkocze.

- Jeśli zbierzemy ci włosy, nie będą się plątać i nie trzeba będzie obciąć ci ich przy skórze. Ale masz kołtuny, których nigdy nie da się rozczesać. Kołtuny są jak więzy, łatwiej je zadzierzgnąć niż rozsypać.

Złapałam ją za rękę.

- Margaret, kogo wczoraj widziałaś? - zapytałam ją znowu.

- No jakże, ciotkę Marthę. Przyszła do celi, kiedy spałaś. Smuciła się, że jesteś chora, i zasmuci się jeszcze bardziej, jeśli nie wyzdrowiejesz. Prosiłam, żeby została, ale nie mogła. Czy wiesz, co prosiła, żebyś ci powiedziała?

Potrząsnęłam głową, wpatrując się w nią szeroko rozwartymi oczami, czując, jak przewracają mi się wszystkie kiszki. Przekrzywiła głowę, a jej spojrzenie stało się nagle jasne i zamyślane.

- Powiedziała: „Trzymaj mocno kamień...”.

Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie dotyk ręki matki, gdy zaciskała moje palce na kamieniu, który przyniosłam z farmy Prestona. Nie wiem, skąd Margaret mogła o tym wiedzieć. Być może w gorączkowych majakach sama jej o tym powiedziałam. A może po prostu jakoś się o tym dowiedziała, chwytając swym splątaniem umysłem wiadomość z krainy cieni, tak jak w siatkę łapie się przelatującą ćmę.

Margaret wróciła do zaplatania mi warkoczy, śpiewając pioseneczkę, którą ciotka nuciła, gdy krzątała się przy palenisku. Tę samą, którą śpiewała moja matka, kiedy myślała, że jest sama i nikt jej nie obserwuje. Znowu zapłakałam, lecz tym razem nie z poczucia przygniatającej mnie winy, lecz z ulgi, że się od niego uwolniłam. Od tej chwili zaczęłam dochodzić do siebie.

PEWNEGO DNIA pod koniec września szeryf otworzył drzwi i wysoki, dostojny mężczyzna w obszernej pelerynie i kapeluszu z szerokim rondem wszedł do celi i zatrzymał się, omiatając nas wszystkich wzrokiem. Otaczała go aura wyniosłego lekceważenia wobec nas, gdy unosząc kraj peleryny do ust i nosa, starał się odsunąć od siebie odrażający smród. W pierwszym odruchu chciał natychmiast wyjść, opanował się jednak i mocno wbił stopy w ziemię, jakby walcząc z napierającym wiatrem. Widok całej gamy uczuć malujących się na jego twarzy wrył mi się w pamięć i towarzyszył do końca moich dni. Patrząc na niego, widzieliśmy nasz własny upadek, stopniowe staczanie się od należytej skromności, wdzięku i godności do zepsucia wywołanego strachem, samooskarżeniem i chorobą. Jego mocno zarysowane rysy zadrżały i rozmyły się, niczym topiący się воск trzymany zbyt blisko źródła gorąca. Jego oczy, w pierwszej chwili zmrużone i niekryjące słusznego potępienia dla tak wielkiej liczby oskarżonych o czary, rozszerzyły się i nabiegły łzami, które otarł gwałtownie, jakby paliły mu skórę. Jego usta, mocno zaciśnięte w obawie, by nie wymknęły się z nich jakieś nieuważne słowa o rzeczach niegodnych, rozwarły się, gdy gwałtownie wciągał powietrze. Uniósł zaciśniętą pięść i przytknął ją do drżących warg.

- Mój Boże, mój Boże, mój Boże... - powtarzał w kółko.

Żadna z kobiet nie odezwała się, nie rozległo się ani jedno błaganie o litość. Nie słychać było jęków rozpacz, z żadnych

oczu nie popłynęły łzy. Wszystkie siedziały bądź leżały nieme, pozwalając, by ich ciała stały się księgą objawienia.

Increase Mather, słynny duchowny, przyjaciel króla i gubernatora, od tej chwili miał nie spocząć, starając się obudzić w oskarżycielach ducha wątpliwości. I choć nigdy wprost nie obwinił sędziów ani własnego syna, Cottona Mathera, zwątpienie, jakie go ogarnęło, było potężnym ciosem dla sądu. Wielebny Increase Mather ponownie zjawił się w więzieniu 19 października, by wysłuchać kobiet, które wyjawiały, jak siłą zmuszano je do fałszywego świadectwa przeciwko samym sobie, mnie jednak nie było już wówczas w Salem.

W sobotę, pierwszego dnia października doktor, Ames przyszedł do naszej celi i oznajmił, że zebrano pieniądze na wykup i w krótkim czasie wielu najmłodszych więźniów odzyska wolność. Monety pochodziły z Andover, Bostonu, nawet odległego Gloucester. Powiedział, że są one dowodem, iż ludzie zaczynają zmieniać zdanie na temat słuszności poczynań sądu w Salem. Wczesnym rankiem 6 października szeryf otworzył drzwi, by wpuścić kowala. Podczas gdy nas rozkuwano z łańcuchów, on stał na korytarzu i czekał, aż pożegnamy się i opuścimy celę. Zwolniono mnie, moich trzech braci oraz czternaścioro innych dzieci. Dwie córeczki Abigail Dane Faulkner i siostrzenice Mosesa Tylera. Mary Lacey, przyjaciółka Mercy Williams, która jako jedna z pierwszych wysunęła oskarżenia przeciwko mojej matce, była tak osłabiona pobytem w zamknięciu, że musiano ją wynieść z celi na rękach. Mercy Wardwell, której ojciec, Samuel został powieszony 22 września, zaledwie trzy dni wcześniej skończyła dziewiętnaście lat, tym samym przestając być dzieckiem. Ukryła twarz w dłoniach i nie pożegnawszy się z nami, siedziała w lodowatych jesiennych podmuchach pod

zachodnią ścianą. Zostawiliśmy w celi siostry, matki i babki bez obietnicy czy choćby nadziei na rychłe uwolnienie.

Lydia Dustin przyłożyła mi dłonie do twarzy i pobłogosławiła mnie.

- Niech to będzie jak zły sen - powiedziała. - Teraz możesz się już obudzić i pozostać wśród żywych.

Ona i jej prawnuczka spędziły całą zimę zakute w łańcuchy. Pierwszego dnia lutego sąd uznał ich niewinność, ponieważ jednak nie mogły pokryć więziennych opłat, musiały wrócić do celi. 2 marca zwolniono Elizabeth Colson, która wróciła do Reading. 10 marca 1693 roku Lydia Dustin zmarła, jako jedna z ostatnich kobiet przebywających w „dobrej” celi więzienia w Salem.

Radowałam się odzyskaną wolnością do czasu, gdy się dowiedziałam, że więzienie opuściły tylko dzieci z Andover. Dzieci z Salem, Beverly, czy Billeriki miały w nim pozostać. Gdy Richard wnosił mnie z celi, Margaret wróciła na swoje miejsce obok matki i wyciągnęła ku mnie rękę, ściskając w palcach kawałek naczynia, który jej dałam. Trzymała go niczym talizman chroniący przed utratą lub obietnicę, że łącząca nas więź przetrwa wszystkie ciemne i niebezpieczne dni. Richard wnosił mnie po schodach, a ja słyszałam jej głos, odległy i stłumiony, dochodzący jakby z głębi zamkniętej studni.

- Sara, Sara, Sara...

Słyszałam ją nawet wówczas, gdy drzwi na schody zatrzasnęły się i zostały na powrót zaryglowane.

W PAŹDZIERNIKU 1692 roku liście na drzewach były złote i czerwone jak krew męczenników, o barwie tak intensywnej, że jej jaskrawość poraziła boleśnie nasze na wpół ośleple oczy. Staliśmy mrugając, zbici w gromadkę przed drzwiami, nie wiedząc, czy iść naprzód czy też raczej zawrócić, w pierwszej chwili zbyt osłabli, by samodzielnie pokonać kilka

schodków dzielących nas od więziennego podwórza. Moi bracia i ja stanęliśmy w drzwiach więzienia jako ostatni i powoli, bardzo powoli zaczęliśmy odróżniać rysujące się w jasnym świetle nieruchome sylwetki znajdujące się na więziennym dziedzińcu.

Milczący tłum zgromadził się wokół schodów. Nie słysząc było żadnych rozmów z wyjątkiem kilku rozpaczliwych słów, którymi rodziny witały swoje dzieci stojące przed nami. Po kolei, jedno za drugim, przywoływano, chwytano i unoszono, aż została tylko nasza czwórka, drżąca i chwiejąca się w coraz silniejszych podmuchach wiatru. Stałam między Richardem i Tomem, którzy pomagali mi utrzymać się na nogach. Andrew pierwszy zszedł po schodach, z chorym ramieniem wciąż przyciśniętym do piersi. Tłum naparł na nas i dopiero wtedy ujrzałam wyraźnie, co maluje się na twarzach zgromadzonych ludzi. Litość, może nawet jakaś odrobina współczucia, ale głównie widziałam strach. Strach, że być może jednak dzieci kobiety powieszanej za czary niosą w sobie diabelskie nasienie. Dopiero Andrew, słaby na umyśle, torturowany Andrew, odepchnął delikatnie pięścią napierający tłum.

- No, wracajcie do domu - powiedział. - Wracajcie, już.

Gdy odepchnął ich wystarczająco daleko, ujrzeliśmy ojca, jak toruje sobie ku nam drogę, przewyższając swym wzrostem wszystkich, z twarzą ocienioną rondem kapelusza. Stał przed ludźmi, naszymi współmieszkańcami, i czekał, aż zejdziemy ze schodów. Nie przyszedł nam z pomocą, nie zbliżył się, by nas powitać, po prostu czekał, żebyśmy sami podeszli do niego. A gdy ostatnie z nas zeszło ze schodów, obrócił się, a tłum ze szmerem rozstał się pośpiesznie, niczym fale przed tnącym je dziobem statku, robiąc nam przejście. W tamtej chwili zrozumiałam w pełni, dlaczego ojciec nie wziął mnie na ręce, dlaczego nie stawał w mojej

obronie, gdy walczyłam o swoje miejsce na tym świecie. Nie dlatego, że mnie nie kochał, lecz dlatego, że kochał mnie tak bardzo. Gdy byliśmy w więzieniu, przynosił nam jedzenie i odzież, dobrym słowem dodawał otuchy; nie zostawił nas. Ale nigdy by nie dopuścił, bym stała się słaba, niezdolna poradzić sobie z trudem, okrucieństwem, niesłusznym oskarżeniem. Dopiero raniąc sobie wargi o twardą ziemię, dziecko uczy się chodzić. Dopiero smak własnej krwi sprawia, że broni się przed następnym upadkiem.

Zrobiłam jeden krok. Potem następny. I tak, stawiając jedną nogę przed drugą, podążyliśmy za ojcem, który przybył, aby zabrać nas z Salem na zawsze. Z każdym kolejnym krokiem myślałam o odwadze mojej matki, gdy przyszło jej stanąć przed obliczem sędziów. Z każdym krokiem myślałam o tym, jak była wierna prawdzie, nawet kiedy spadała na krótkim sznurze. Z każdym krokiem myślałam o jej dumie, jej sile, jej miłości.

I z każdym krokiem myślałam: jestem córką mojej matki, jestem córką mojej matki...

WKRÓTCE PO POWROCIE do domu ojciec zaprowadził nas do miejsca, w którym pochował matkę. Znajdowało się na południe od Ladle Meadow, na Gibbet Plain, gdzie jako dziewczynka przychodziła ze swoją siostrą. Tu też przyprowadziła mnie ubiegłej wiosny, w pobliże samotnego wiązu, pod którym była zakopana czerwona książka. Ojciec nie mógł wiedzieć o książce. Wiedział po prostu, że właśnie tutaj matka czuła się wolna od wszystkich trosk. Położyliśmy gałązki rozmarynu wokół kręgu z kamieni, którym oznaczył grób. Poranek był cichy, wiał lekki wietrzyk, liście łagodnie opadały z drzew, za ostatnie zadanie mając ochronić ziemię przed nadciągającym chłodem. Nie słychać było śpiewu ptaków, nad naszymi głowami nie leciały klucze gołębi i dzikich gęsi, albowiem dawno już odfrunęły na południe.

Uklękłam i przyłożyłam ucho do kamieni, słuchając, jak z cichym stęknięciem osiadają w ziemi.

Pamiętam, jak dawno temu zastanawiałam się, co będą śpiewać kości mojej matki. Kiedyś wyobrażałam sobie, że będzie to jak muzyka rozbijających się o skały fal, wiedziałam bowiem, że nawet najkruchsza muszelka chowa w sobie szum oceanu. Teraz jednak usłyszałam tylko delikatny szelest, dziwne, ciche pogwizdywanie. Było to jak odgłos delikatnych pędów fiołka przebijających się przez zamarznąłą skorupę ziemi pod koniec zimy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Październik 1692 - maj 1735

ZOSTALIŚMY W ANDOVER jeszcze przez jakiś czas. Pracowaliśmy na farmie, a ojciec zawsze był przy nas. Jak dawniej był zamknięty w sobie i zachowywał się z rezerwą, a mimo to otaczał nas łagodną troską; opatrywał każdą ranę, łagodził każdy wybuch gniewu, odpędzał każdy senny koszmar, aż w końcu na powrót staliśmy się sobą. Sąsiedzi nas nie nachodzili i prawdę rzekłszy, ludzka podejrzliwość i strach działały na naszą korzyść. Zawsze dobijaliśmy najlepszych targów, a w pierwszych dniach po naszym uwolnieniu znajdowaliśmy na progu podarunki w postaci jedzenia lub przyodziewku. Nigdy nie dowiedzieliśmy się na pewno, kto je przynosił, zawsze bowiem odbywało się to pod osłoną nocy, a ponieważ kundel już nie żył, nic nie ostrzegało nas o owych odwiedzinach.

Raz przybył do nas z Haverhill doktor Ames i chociaż ojciec dziękował mu z całego serca, myślę, że dobry doktor był rozczarowany ich krótką rozmową. Nie doszło do żadnej wymiany światłych poglądów, ożywionej dyskusji o naprawie zła. Ograniczyli się do krótkich zdawkowych uwag o zmienności pogody i zwiększającej się bądź malejącej liczbie żywego inwentarza. Po przedłużającym się milczeniu ojciec pożegnał gościa i odszedł w pole, zostawiając doktora z nami przed domem. Po śmierci swego ojca doktor Nathaniel Ames przeniósł się wraz z żoną i dziećmi do rodzinnego domu w Bostonie i resztę życia poświęcił na pisanie petycji do Korony i sądów w Massachusetts w sprawie poprawy warunków w królewskich więzieniach na terenie kolonii.

Moja ciotka i kuzynka opuściły więzienie dopiero w lutym 1693 roku. W styczniu sąd uznał ich niewinność, Allen jednak mógł je wykupić z niewoli dopiero po sprzedaniu ojcowskiego konia, Bucefała. Margaret i ciotka wracały do Billeriki

wozem, ponieważ jednak wybrali biegnącą bardziej na północ Ipswich Road, nie przejeżdżali obok naszego domu. Allen odziedziczył farmę po ojcu i bez wątpienia zarządzał gospodarstwem twardą ręką, bacząc na wszystko. I choć ojciec nieraz prosił go, żeby pozwolił mi się spotkać z Margaret, Allen niezmiennie trwał w kamiennym i przepełnionym goryczą uporze.

W maju pięćdziesięciu sześciu oskarżonych o czary, którzy wciąż jeszcze pozostawali w więzieniu, po raz kolejny osądzono, uniewinniono i wypuszczono na wolność. Upłynęły całe miesiące i lata, a rany odniesione podczas niewoli zasklepiały się z wolna dzięki zdawkowym gestom grzeczności ze strony mieszkańców miasta. Rany były jednak zbyt szerokie i głębokie, by dały się uleczyć bez dokładnego oczyszczenia. W ciągu pięciu lat, jakie upłynęły od procesów czarownic, jeden z sędziów z Salem i dwunastu przysięgłych oficjalnie przeprosiło za swój udział w zabijaniu niewinnych. W 1706 roku Ann Putnam Młodsza, jedyna z oskarżających w Salem, która się na to zdobyła, stanęła przed miejscowym domem modlitwy i publicznie przyznała się do wszystkich swoich czynów. Przyznała jednakże, że wszystko co powiedziała, pochodziło nie od niej, lecz z podpuszczenia samego szatana. Zmarła w wieku trzydziestu pięciu lat, samotna i niezamężna, w snach prześladowana przez zmarłych w Salem.

W tym samym roku, w którym Ann Putnam złożyła swoje zeznanie, Mercy Williams, dziewczyna wykupiona przez nas, która składała przeciwko mnie fałszywe zeznania, zmarła. W zimny grudniowy dzień wypadła lub też, jak niektórzy szeptem rozpowiadali, została wypchnięta z promu w Haverhill, gdy przepływał na drugą stronę Merrimack River. Znaleziono ją o zmierzchu, unoszącą się pośród lodowej kry, ze wzdętą jak balon czerwoną halką, na tle szarej wody

wyglądającą niczym boja. Wieść o jej śmierci nie przyniosła nam satysfakcji, ogarnął nas jedynie gorzki żal nad zmarnowanym, nieszczęsnym życiem.

Goście rzadko zjawiali się na naszej farmie i nawet rodzina Dane'ów, która przygarnęła Hannę jak własne dziecko, nie poświęcała nam większej uwagi. Hanna już nawet jako dorosła kobieta pozostała przestraszona, płochliwą duszą. Wyszła za mąż i wydała na świat dzieci, ale w jej oczach wciąż tlił się smutek utraty. Cierpiała na dziwne ataki melancholii, a senne koszmary nawiedzały ją do końca życia. Rodzina Dane'ów uznała, że lepiej, abyśmy jej nie niepokoiili odwiedzinami, tak więc ujrzałam ją dopiero, kiedy skończyła dwanaście lat. Kiedy przyszedłam do domu Dane'ów, zaprowadzono mnie do pokoju dziennego. Siedziała tam moja siostra, pochylając głowę nad kołowrotkiem. Znikło miękkie ciało i dziecięce dołeczki, a na ich miejsce pojawiła się kanciasta, szorstka surowość. Ujęła moją rękę słabo i podniosła na chwilę oczy, wiedziałam jednak, że prawie o mnie zapomniała. Rozmawiałyśmy o tym, co się działo w mieście, i o domowych sprawach, ani razu jednak nie zapytała o ojca czy braci, a ja nie wracałam do przeszłości. Gdy się z nią żegnałam, skinęła głową i wróciła do przedzenia. W długiej drodze do domu płakałam nad nią, przed ojcem jednak ukryłam łzy, mówiąc mu, że prosiła, aby mu przekazać wyrazy miłości i wierności.

Ponieważ nigdy więcej nie poszliśmy do domu modlitwy, nie byliśmy świadkami przywrócenia wielebnemu panu Dane'owi godności sprawowanej funkcji. Najwyraźniej jego adwersarz, wielebny pan Barnard, zrozumiał, jak potężne zmiany zaszły, i zamiast jak dotąd surowo i pochopnie osądzać, z powagą i wątpliwością podchodził do dowodów na istnienie duchów. Wraz z wielebnym panem Dane'em w gorączkowym pośpiechu, jak człowiek, na którym płonie

ubranie, wziął się do pisania petycji w sprawie uniewinnienia więźniów.

Robert Russell pozostał naszym przyjacielem i wraz z żoną często zjawiał się w porze żniw, orki czy w czasie choroby. Jego marzenie o synach spełniło się i wraz z dawną wdową Frye spłodził ich pięciu, jednego po drugim. Nie minęły dwa lata od naszego wyjścia z więzienia, a Richard pojął za żonę bladą, nieśmiałą siostrzenicę Roberta, Elizabeth Sessions.

Pod koniec roku ospa przybyła ze Starej Anglii, by upomnieć się o kolejne ofiary, nas oszczędziła, ale w grudniu królowa Maria, władczyni Anglii i wszystkich kolonii, zmarła z powodu zarazy.

W 1695 roku, na początku sierpnia, Margaret została uprowadzona przez Indian. Niewielki oddział Wabanaki na koniach podjechał do osady w długich płaszczach i kapeluszach, przez co omyłkowo wzięto ich za ludzi z sąsiedztwa. Ciotkę zarąbano siekierą, podobnie jak kilkunastu innych mieszkańców Billeriki. Obok nagrobka jej matki położono również kamień dla mojej kuzynki, wierzono bowiem, że choć nigdy nie udało się odnaleźć jej ciała, dusza uleciała z niej w chwili porwania. Powiedziano mi, że nagrobki znajdują się w ładnym miejscu, chociaż ja sama nigdy nie udałam się, by je odwiedzić. Przez wiele kolejnych lat Margaret śniła mi się nocami i za każdym razem widziałam ją żywą.

W 1701 roku ojciec, wówczas już siedemdziesięcioletni, zaczął wyruszać w długie podróże do Colchesteru w Connecticut, czasami udając się wraz z Richardem, czasem w towarzystwie Toma. Wybudował tam wielki dom dla całej rodziny. Nadszedł czas, gdy również Tom i Andrew się ożenili. Moi trzej bracia spłodziли w sumie dwadzieścioro dziewięcioro dzieci. Zanim

przyszedł na świat pierwszy syn, Tomowi urodziło się pięć córek, i jedną z nich nazwał po mnie. Jego czwarta córka nosiła imię Martha. Tom jako jedyny z naszej czwórki nazwał tak swoje dziecko. Myślę, że żadne z nas nie zniosłoby, gdyby kolejna Martha w naszej rodzinie nie przeżyła.

Kiedy miałam dwadzieścia trzy lata, wraz z ojcem, braćmi i ich żonami przeniosłam się do Connecticut, zabierając ze sobą czerwoną książkę matki. Kilka lat wcześniej wczesnym wieczorem wykopałam ją z ziemi, a gdy odwinęłam brudną od gliny skórę, znalazłam książkę w zasadzie nienaruszoną, suchą i całą. Szybko ją otworzyłam i zobaczyłam pismo mojej matki, staranne i delikatne, zaraz jednak zamknęłam ją na powrót, póki co, nie mogłam i nie chciałam czytać zawartych w niej słów.

W Colchesterze wybudowaliśmy dwa domy. Ja wkrótce poznałam i poślubiłam mojego męża. We wrześniu 1707 roku zostałam panią Sarą Carrier Chapman i po kilku miesiącach byłam gotowa przeczytać książkę. Sądziłam, że osiągnęłam dojrzałość, która mi pozwoli znieść ciężar jej słów. Kiedy jednak trzymałam książkę na kolanach, poczułam, jak narasta we mnie przerażenie, i długie godziny siedziałam, trzymając ją w rękach zamkniętą. Bałam się, że znajdę w niej fragmenty, które zmienią szczęśliwą więź, jaką nawiązałam z ojcem, odmienią też w pewien sposób moje wspomnienia o matce. Ponieważ byłam przy nadziei, wzięłam sobie do serca przestrogi akuszerki, że jakieś przerażające odkrycie może źle wpłynąć na moje nienarodzone jeszcze dziecko. Ukryłam książkę w starej dębowej komodzie ojca stojącej w piwnicy i chociaż nigdy tak naprawdę o niej nie zapomniałam, zawsze czyjeś narodziny bądź śmierć nie pozwalały mi jej wyjąć.

W 1711 roku Sąd Najwyższy Massachusetts Bay Colony wydał akt, na mocy którego oczyszczono z zarzutów niesłusznie oskarżonych. W ramach rekompensaty za śmierć

mojej matki ojciec otrzymał od sądu niewiele ponad siedem angielskich funtów, równowartość ceny, jaką zapłacił za jej jedzenie i kajdany. Zwrócono mu tylko tyle, ile musiał za nią zapłacić. Oczyszczenie z zarzutów oznaczało, że unieważniono wyrok skazujący wydany na moją matkę. Jednakże dziewięć skazanych kobiet nie spotkało się z zadośćuczynieniem ze strony Korony. Nigdy nie zwrócono im ich zagarniętych domów i ziem. Wiosną 1712 roku wróciliśmy, by odebrać nasze odszkodowanie, zabierając na dwa wozy wszystko, co zostało w domu i stodole w Andover. Po raz ostatni odwiedziliśmy grób matki na wielkiej łące. Przykrywające go kamienie zarosły trawą, a my posadziliśmy wokół nich rozmaryn, by latem rozsiewał swój zapach, zimą zaś przywoływał wspomnienia.

Ojciec zmarł w wieku stu jeden lat, w połowie łagodnego i ciepłego maja 1735 roku. W dniu jego śmierci żyło jeszcze pięcioro jego dzieci, trzydziścioro dziewięcioro wnuków i trzydziścioro ośmioro prawnuków. Pod koniec swoich dni coraz częściej odzywał się po walijsku, co powszechnie zdarzało się jego rówieśnikom i krajanom. Niezbyt posiwiął i zawsze trzymał się prosto i pewnie. Często pokonywał sześć mil, udając się w odwiedziny do naszego sąsiada, niedomagającego wdowca, aby mu zanieść na grzbiecie worek zboża. W dniu swojej śmierci był niespokojny, nie umiał sobie znaleźć miejsca i bez przerwy masował sobie dłonie, jakby odczuwał ból w stawach. Nie uskarżał się, nie robił żalosnej miny, lecz tylko przemówił do mnie cicho w swoim starym języku: Henaint ni thow ay heenan. Starość nie przychodzi sama.

Nie, pomyślałam, śmierć podąża za starością jak pan młody za swą oblubienicą. Trzymałam jego wielkie sękaty dłonie w swoich i myślałam, że mój ojciec dokonał w ostatniej ćwiartce swojego życia więcej, niż wielu ludziom udało się

osiągnąć w pierwszej. Zamknął oczy i bez walki pogрузił się w swoim ostatecznym śnie. Trzeba było przerobić dwie sosnowe trumny na jedną, mogące pomieścić jego ciało. Ramiona jednak miał tak szerokie, że musiał leżeć przekrzywiony na bok, i zanim wieko trumny opadło, wyglądał, jakby spoczął na wieki z jednym uchem przyłożonym do ziemi.

Wkrótce potem udałam się na nasze budzące się do życia pola i przysiadłam na murku z surowego kamienia, oznaczającym ich granicę.

Otworzyłam czerwoną książkę i przeczytałam słowa mojej matki, i słowa przekazane jej przez ojca, i wszystkie moje pytania, cała niepewność, zasłyszane u innych plotki znalazły swoje wyjaśnienie w czasie, miejscu i celu. Odłożyłam książkę, gdyż nagle zaczęła nadto ciążyć mi w rękach. Rozejrzałam się wokół siebie zdumiona, że świat u moich stóp wciąż wygląda tak samo. W czasie gdy czytałam, słońce przesunęło się po niebie, ranek przeszedł w popołudnie, ale drzewa jak przedtem stały, szeleszcząc na wietrze pierwszą wiosenną zielenią, powietrze było wilgotne i świeże, pierwsze kielki pszenicy tak samo połyskiwały na polach. Jak to możliwe, że wszystko wokół mnie pozostało niezmienione, podczas gdy ja przed oczami miałam życie dwojga ludzi, których nazywałam matką i ojcem? Wtedy zrozumiałam, dlaczego moja matka żądała, abym zaczekała z otwarciem książki, dopóki nie przejdę zwycięsko próby upływającego czasu, nie stanę się silniejsza.

W ciągu jakichś pięćdziesięciu lat przeżyłam okrucieństwo i śmierć, moje serce cierpiało z powodu straty ukochanych, doświadczyłam rozpacz i odkupienia. Nie przygotowało mnie to jednak na poglądy, które z siłą potężnego gromu spadły na mnie ze stronic zapisanych atramentem wyblakłym do koloru rdzy, według których

ziemia i zamieszkujący ją ludzie mogą być rządzeni niekoniecznie miążdzącą, mściwą ręką monarchy. Ludzie zaś, będąc takimi, jakimi są, na miejsce owego monarchy powołają tak zwanego obrońcę ludu, który szybko, tłamsząc, walcząc i oszukując, sam stanie się tyranem. Popatrzyłam na drzewa i poprzez ich gałęzie ujrzałam wielkie nacierające na siebie armie, syna atakującego ojca, brata walczącego z bratem, a wśród głośnego krakania wron usłyszałam jęki i krzyki dzieci, kobiet i starców mordowanych i tratowanych żywcem. W zwiewnych, chybotliwych cieniach widziałam, jak słudzy Kościoła bezwzględnie spiskują przeciwko sobie nawzajem, mężczyźni i kobiety sączą jad w uszy tłumów zgromadzonych na zrujnowanych ulicach Londynu. Słowa takie jak „zdrada” i „oszustwo” cisnęły mi się na usta niczym śrut wystrzeliwany ze strzelby.

Na koniec, gdy światło pełzło po ogrodowych kamieniach, ujrzałam, jak król wychodzi z więzienia i kroczy na szafot, gdzie za chwilę odrąbią mu głowę. Obok króla stał zamaskowany mężczyzna w kapturze - najpierw delikatnym gestem odsunął z szyi opadające kosmyki włosów, by nie spowolniły cięcia, po czym spokojnym wprawnym ruchem uniósł za głowę siekiere, a następnie opuścił ją, a w jej błyszczącym ostrzu odbiła się historia, odrąbując raz na zawsze przeszłość od przyszłości, ciemność od światła, poddaństwo od wolności.

Dawno już zapadła noc, a ja wciąż siedziałam na murku i czułam, jak krew moich rodziców, na powrót dla mnie żywych, płynie w moich żyłach. W całkowitych ciemnościach schowałam dziennik w wielkiej komodzie ojca, gdzie przez lata przykrywały go kolejne warstwy rzeczy należących do żywych. Ciepłe kołdry chowane na lato, bielizna, z której dzieci powyrastały, szorstkie płótno na worki i zasłony. A ona

była tam zawsze, jak kamień ułatwiający przekroczenie rzeki
płynącej bystrym nurtem.